

KRONIKI DWUŚWIATA

PAWEŁ KOPIJER

# MROK WE KRWI





**Paweł Kopijer**

**Kroniki Dwuświata**

**Mrok we krwi**

*Ilustracja na okładkę* Tomasz Ryger  
*Redaktor* Paulina Zyszczak Zyszczak.pl  
*Opracowanie graficzne i projekt okładki* Anna Kopijer

© Paweł Kopijer, 2019

Powieść „Mrok we krwi” to pierwsza część serii KRONIKI DWUŚWIATA. Ukazuje dwie różne historie bohaterów, którzy w wykreowanym uniwersum magii i miecza mierzą się z ich przeznaczeniem. Losy młodej szamanki i skażonego mrokiem zabójcy są tylko wątkiem na tle zmagania potężnych sił żądnych władzy absolutnej. Przygoda wprowadza Czytelnika w szerszy kontekst nakładających się knowań, intryg i pułapek. Królewskie rody, mocarni wojownicy, mityczne stworzenia, potężni magowie, manipulujące ludźmi bóstwa.

ISBN 978-83-8189-089-2

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

# Spis treści

## Kroniki Dwuświata

### CZAS ROZŁAMU

#### WYSPA ORIN

- I. Test ostatecznego przejścia
- II. Księżycowy mech
- III. Rytuał inicjacji Szarim
- IV. Legenda Wieży Dwóch Światów
- V. Sala Wiedzy
- VI. Pierwsza misja

#### KRÓLEWSKIE ZLECENIE

- I. Ukryte Miasto
- II. Trudne przymierze
- III. Opowieść druida
- IV. Historia Norana
- V. Konfrontacja z cienistymi
- VI. Świerkowa Górka
- VII. Twierdza Kozia

#### WIEŻA DWÓCH ŚWIATÓW

- I. Port w Oron
- II. Czarująca znajomość
- III. Zgromadzenie Starszych
- IV. Trudne relacje na początek
- V. Dolina Kerbera
- VI. Więzień
- VII. Każdy wybór ma swoją cenę
- VIII. Przejście Królów

#### DRAKONION

#### AMADAL

*Lei Satanás makre des torri...  
Pozwól Złemu kroczyć jego ścieżką...  
(Słowa modlitwy darzańskich szamanów)*

# CZAS ROZŁAMU

*Era Lwa, rok 397, ostatni*

Padało wyjątkowo mocno. Przyczajony za grubym drzewem mężczyzna przetarł wilgotną, zimną twarz wierzchem dłoni. Był przemoknięty mimo peleryny z kapturem. Krople wody kapały mu z grubych, gęstych brwi i z czubka zniekształconego złamaniami nosa, łaskotały, spływając po lekko zarośniętej, poznaczonej bliznami brodzie.

„Mroczni nadali taką ulewę” — przeklął w duchu.

Las, przez który się do tej pory przemieszczał, dawał niestety niewielką osłonę przed szalejącą nawałnicą. Błyskawice przecinały nocne niebo raz za razem, sprawiając, że polana, na której skraj właśnie dotarł, rozświetlała się zaledwie na mgnienie oka i znów pogrążała w ciemności. Skupiony bandyta próbował ocenić sytuację wokół sporego, osłoniętego specjalnymi płótnami szałas. Usiłował dojrzeć, ilu i jakich wędrowców skrywało się wewnątrz. Prowizoryczne schronienie wyglądało na typowe dla tych, którzy często podróżują po leśnych traktach. Przez targane wiatrem gałęzie dostrzegął w środku migotliwe światło małego ogniska i kilka niewyraźnych sylwetek. Co do jednego wątpliwości nie miał. To byli Darzanie.

Huk wyładowań momentami prawie zlewał się w jeden łoskot. Nie mogło być więc mowy o tym, by obecność intruza została odkryta na czas przez wartownika — jeśli w ogóle jakiś tu był. Podobne sytuacje zwykle oceniał jako sprzyjające. Ale dziś było inaczej. Jakoś dziwnie. Nie czuł dobrze mu znanych emocji zazwyczaj towarzyszących takim okazjom. Z reguły była to swoista mieszanina podekscytowania, rozpalonej wyobraźni chciwości i chłodnego wyrachowania. Teraz doświadczał jedynie nieprzyjemnego niepokoju pełzającego mu z żołądka do gardła i z powrotem. Nie wiedział dlaczego, ale miał silne przeczucie,

że dzieje się coś szczególnego, ważnego i obcego mu, coś, co budziło w nim niezrozumiały strach. Idiotyczne wrażenie znalezienia się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie mocno irytowało. Najbardziej zaskakujące jednak było to, że mimo wielu lat życia na marginesie społeczeństwa, podczas których wyrobił w sobie żelazny mechanizm samokontroli, teraz nic nie mógł na to poradzić. „Może to jednak nie jest dobry dzień na szybkie wzbogacenie się?” — w jego umyśle znowu pojawiła się męcząca wątpliwość.

Obliznął nerwowo mokre od deszczu wargi i zmusił się do rozsądnego myślenia.

„Na wielki łup nie mam co liczyć, to pewne, ale długi po ostatniej wizycie w melinie Karczocho trzeba szybko oddać” — rozważał. Zbyt dobrze znał tych, którym zalegał należne, i wiedział, że przeciąganie struny oznacza pewną śmierć i to zupełnie inną od tej, którą mógłby sobie wymarzyć.

„Na dodatek czasy mi sprzyjają, Wielki Król od miesięcy ugania się z całą armią za jakimiś tam durnymi najeźdźcami, więc miejscowy lord służący pod królewskimi sztandarami musiał zostawić zamek pod opieką synalka gołowąsa. Wojna to w ogóle korzystny czas dla takiego jak ja... rzemieślnika” — pomyślał, mimowolnie się uśmiechając.

— No, stary, kto nie ryzykuje, temu w pas się nie kłaniają — mruknął do siebie jak zawsze. Sprawdził jeszcze raz umocowanie noży rozmieszczonych tak, by były pod ręką niezależnie od sytuacji, i ruszył w stronę łatwej zdobyczy. Łatwej, bo w taką pogodę zaskoczenie było pewne, a pokonanie grupki bab i gamoni z podgórszych osad — oczywiste. Cóż mogłoby przeszkodzić w ograbieniu nieszkodliwych Darzan słynnemu Czernemu ze Stróbieży, jednemu z najgroźniejszych bandziorów w tej okolicy?

Grzmoty i ulewa bębniąca falami w materiałowe ściany szałasów zagłuszały krzyki rodzącej kobiety. Długie miesiące walczyła o utrzymanie się przy życiu, choć ból i cierpienie dawno już przeniosły ją w świat obłądu. Uczepiona jednej myśli, jednego pragnienia, brnęła przez męczarnie trawiące jej ciało i umysł.



Za wszelką cenę starała się dotrwać do momentu rozwiązania i tylko to się liczyło.

— Tatko, czy ta pani... czy jak ona urodzi, to już będzie jej dobrze? — Jasnowłosa dziewczynka kurczowo trzymała się poły ojcowskiej kurtki, stojąc przytulona do jego boku.

— Nie wiem tego, moja ptaszyno. — Wysoki, szpakowaty Darzanin pogładził delikatnie małą po głowie i uśmiechnął się ciepło. Zazwyczaj wolał mówić prawdę, nawet jeśli była trudna, ale patrząc na smutek i współczucie malujące się na delikatnej twarzyczce córki, pomyślał, że powinien w jakiś sposób wlać otuchę w jej serce. — Ale za to wiem, że nasza Mge to najlepsza opiekunka rodzących, jaką znam, zatem bądźmy dobrej myśli.

„Właśnie, bądźmy” — złapał się sam na braku optymizmu. Może to jednak płód był przyczyną choroby, choćby pośrednio. Przecież znaki podczas rytuału oczyszczania i aura wokół obłąkanej nie wskazywały jednoznacznie, że to właśnie ta majacząca od tygodni kobieta jest naznaczona mrokiem, a nie akurat to, co miało wyjść z jej łona. Tego nie dałoby się wiarygodnie ocenić przed porodem. Na moment powróciło wspomnienie parzącej umysł mocy, której uderzenia doznał, gdy próbował z uzdrowicielką dotknąć ducha ciężarnej. „Gdyby tylko ta moc nie była nasączona aż tak odrażającą skazą” — westchnął w myślach. Na samo wspomnienie tamtej chwili przypływ optymizmu natychmiast wyparował.

Burza niespodziewanie przybrała na sile. Serce rodzącej uderzyło ostatni raz i zamarło. Gdy stara Darzanka zgodnie ze zwyczajem zaczęła nucić pieśń pożegnania, by wskazać uwolnionej duszy ścieżkę światła, potężny piorun trafił niedaleko leśnego schronienia. Wielki konar odłupany nagle od pobliskiego drzewa zmiażdżył skradającego się za nim człowieka.

Starszy mężczyzna przewodzący grupie wędrujących Darzan nagle zeszytniał z zaskoczenia. Całym sobą czuł teraz powstałe niespodziewanie wiry mocy kłębiące się w otoczeniu ich szałasów. Punktem centralnym kumulującej się niesamowitej ilości energii

wydawało się potomstwo nieznajomej kobiety, troskliwie owijane w chusty. Podszedł bliżej posłania zmarłej i pochylił się, by zamknąć jej powieki. Zmarszczył brwi i przyjrzał się uważnie twarzy. Do tej pory widział w niej jedynie odstraszącą maskę szaleństwa, nienaturalnie pomarszczoną i wykrzywioną z obłąkanym spojrzeniem oczu stale będących w ruchu. Teraz wyglądała całkiem inaczej, zupełnie jak inna osoba. Rysy wygładziły się, zastygłe spojrzenie wypełniały spokój, ulga i... tak, musiał przyznać, że widział w nim głębokie szczęście. Coś w tym obliczu zaczęło wydawać się znajome, przywoływało wspomnienia, zapamiętane sytuacje. Powoli docierało do jego świadomości, że kojarzy je doskonale. Znał tę osobę, jej imię i historię.

— Na Najświętszy Ród i Błogosławioną Krew Ogromirów... — wyszeptał do siebie z nagle ściśniętym gardłem. Poczuł, jak cały jego świat tonie w narastającej rozpacz i przerażeniu.

# WYSPA ORIN

*Era Miecza, rok 17*

## I. Test ostatecznego przejścia

Test ostatecznego przejścia nosił swoją nazwę nie bez powodu. Zadania przydzielane uczniom przez Najstarszego na zakończenie ich procesu nauki i dojrzewania do wyjątkowej roli w społeczności Darzan stawały się nie tylko egzaminem do zdania, ale też prawdziwie śmiertelnym wyzwaniem. Prawie z każdego naboru któryś uczeń kończył próbę uzyskania tytułu szamana śmiercią lub ciężkimi obrażeniami.

Dla Skry, siedemnastoletniej córki kowala i zielarki z klanu Quaistas, zaskakującą trudnością ostatniego z testów okazała się również sama bezczynność oczekiwania. Nie miała wprawdzie porywczej natury, choć z pewnością należała do osób energicznych, szybkich w działaniu i poświęcających się w pełni temu, do czego się brały, ale dziś był wyjątkowy dzień. Wykonanie wyznaczonego zadania otwierało przed nią całkiem nowe, upragnione życie. Życie, o którym marzyła właściwie od dawna, podobnie jak prawie wszystkie dzieciaki w wiosce, również te, które nie okazały się wystarczająco obdarzone. Odbycie siedmioletniej służby u Najstarszego, oprócz prawa do pełnienia funkcji oficjalnego Szarim i związanego z tym uznania w społeczności Darzan, dawało też szansę na wytęskniony powrót do rodziców, przyjaciół i normalności. Dla młodziutkich adeptów magii okres nauki u Najstarszego był zazwyczaj traumatycznym etapem życia, podczas którego dziecięce marzenia wypalały się w bólu, wyrzeczeniach, strachu i niewiarygodnym wysiłku.

Lata spędzane głównie pod ziemią, w systemie niezliczonych korytarzy i grot, na odciętej od kontynentu wyspie, jedynie w gronie kilkunastu uczniów i ich nauczycieli, odciskały niezatarte piętno. Był to czas całkowicie poświęcany niezwykle intensywnym ćwiczeniom umysłu i ciała, w trakcie których kandydaci, często jeszcze dzieci, przekuwani byli w ponad wiek dorosłych i odpowiedzialnych qiszamanów — szamanów nowicjuszy. Nie było tu miejsca ani na zabawę, ani na jakąkolwiek słabość. Żaden z mentorów, czy tym bardziej mądrych, nie tolerował nie tylko wybryków i nieposłuszeństwa, ale także zbyt słabej woli, niedostatecznej determinacji i niewystarczającego poświęcenia. Morderczy reżim nauki na wyspie Orin dla niektórych obdarzonych okazywał się zbyt trudny. Odsyłani do rodzinnych wiosek, najczęściej stawali się pohańbionymi wyrzutkami, tak zwanymi kage, winnymi w oczach własnej społeczności zmarnowanej szansy dla całego klanu i zaprzepaszczenia wielkiego daru od losu. O takich mówiono: „lepiej urodzić się nieobdarzonym, niż wrócić z Orin wyrzuconym”.

Dzisiejszy dzień otwierał przed dziewczyną długo wyczekiwaną okazję, by nie wrócić już do Najstarszego jako uczeń. Dlatego Skra szczególnie dziś chciała by po prostu działać, a nie siedzieć całymi godzinami w przygotowanej przez siebie kryjówce w głównych konarach dużego, rozłożystego drzewa akabrowego. Jednak wyczekiwanie w całkowitym bezruchu było niestety jedynym jej znanym sposobem na wypełnienie pierwszej części swojego przejścia. Upolowanie górskiego lotarda, zwanego też panterakiem królewskim, graniczyło z cudem i nawet wykorzystanie połączonych umiejętności łowcy, maga i wojownika nie dawało realnych szans na unieszkodliwienie kota. Jedynie dodanie do tych wszystkich zdobytych ciężkim treningiem i nauką zdolności własnej intuicji i pomysłowości mogło przynieść sukces.

Typowy panterak, jeden z najgroźniejszych przedstawicieli rodziny kotowatych, był właściwie pozbawiony słabych punktów. Prawie osiemdziesiąt kilogramów mięśni dających siłę, zwinność i szybkość, doskonały słuch, węch i wzrok czyniły z niego prawdziwego króla wyspy, a z pewnością jej górzystych terenów. Drapieżnik, potrafiący wspinać się na drzewa, jednym susem

przeskoczyć szeroki strumień lub bez problemu go przepłynąć czy przejść po wąziutkim ustępie skalnym, nie miał wielu godnych przeciwników.

Jednak górski lotard, rzadki podgatunek występujący wyłącznie na Orin, miał jeszcze jedną wyjątkową cechę: był całkowicie odporny na magię. Dla ludzi z kontynentu nie grałoby to wprawdzie żadnej roli, bo magia od początku panowania rodu Ogromirów była całkowicie zakazana i blokowana, ale dla Skry, darzańskiej kandydatki na szamankę, miało to niebagatelne znaczenie. Dla niej kolosalna była różnica między dziecinnie prostym zaklęciem obezwładniającym, które załatwiłoby zwykłego panteraka bez większego problemu, a zmierzeniem się z dziką furią najgroźniejszego zwierzęcia wyłącznie przy pomocy swoich marnych metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu i żalosnych sześćdziesięciu kilku kilogramów wagi. Mimo lat doprowadzania swojego ciała do niespotykanej dla zwykłych ludzi kondycji w fizycznym starciu nie miała żadnych szans. Mogła jednak wykonać zadanie, wykorzystując informacje zdobyte podczas tysięcy godzin ślęczenia nad zwojami i starymi księgami. Bezcenne okazywały się też dziesiątki wieczorów przegadanych z Eliasem, jednym z mądrych przekazujących uczniom zdobytą przez jej lud starożytną wiedzę.

Kolejny raz wykonała rutynowe ćwiczenia oddechowe, rozluźniając zeszywniałe i obolałe już ciało. Jej plan był właściwie bardzo prosty. Może dlatego, że proste rozwiązania zawsze kojarzyły się jej z czymś bezpiecznym i skutecznym. A może dlatego, że w tym przypadku nic innego nie przychodziło jej do głowy. Tak czy inaczej, dzięki sporemu zorientowaniu w temacie zwyczajów panteraków dość szybko odnalazła odwiedzone przez nie miejsce wodopoju, dostatecznie dogodne, by z bezpiecznej odległości kilkudziesięciu kroków móc trafić strzałką kurrari. Prostej budowy rurka miotała małe nasączone trucizną pociski wystarczająco celnie i mocno, jeśli miało się lata treningu za sobą. Ponieważ za zadanie miała tylko zdobyć odpowiednią ilość będącego źródłem magicznej odporności futra, nie planowała zwierzęcia zabić, lecz jedynie uśpić. Było jej żal tych wspaniałych istot, podobnie jak wszystkich innych, a na samą myśl o uśmiercaniu jakiegokolwiek stworzenia robiło

jej się strasznie źle i smutno. Niestety, walka stanowiła jedną z czterech głównych umiejętności, które w niej rozwijano i których społeczeństwo Darzan oczekiwało od swoich Szarim. Byli oni zarówno przewodnikami, reprezentantami, lekarzami, jak i obrońcami całego ludu, dlatego ich życiem w naturalny sposób musiało kierować pełne poświęcenie się służbie. Ogromne uznanie i przywileje rodzące równie ogromną odpowiedzialność i wyrzeczenia.

Gorący, słoneczny dzień z jednej strony był jej sprzymierzeńcem, ale z drugiej zamieniał czas oczekiwania w prawdziwy koszmar. Polując na lotarda, musiała oszukać nie tylko jego wzrok i słuch, ale również węch. Cierpiała więc długie godziny zarówno za sprawą tkwienia w całkowitym bezruchu w niewygodnej pozycji, jak i z powodu okropnego swędzenia. Źródłem udręki był lepki, mocno aromatyczny sok uzyskiwany z krzewów zapachowca pokrywający od rana całe jej ciało. Słyszając z intensywnego zapachu substancję dokładnie wsmarowała w dosłownie każdy fragment skóry, poza tym wypła sporą ilość soku w ramach przygotowania do zadania. Generalnie woń była miła, ale taka jej koncentracja powodowała zawroty głowy i mdłości.

Kot pojawił się na ścieżce zupełnie niespodziewanie. Przeszedł kilka kroków w stronę strumienia i stanął. Skra widziała tylko, jak osobnik lekko porusza uszami, sprawdzając, czy w otaczającej go gamie dźwięków nie ma czegoś niepokojącego. Z pewnością badał też okolicę, wchłaniając wszystkie zapachy, ale z tej odległości nie mogła dojrzeć drgających nozdrzy. Czas płynął, a lotard wciąż tkwił w miejscu, rozglądając się leniwie, zupełnie jakby analizował coś istotnego.

„Gdybym miała twoje możliwości, byłabym znacznie pewniejsza sobie” — pomyślała. Dziewczyna pozazdrościła drapieżnikowi. Musiała przyznać rację Eliasowi, który kiedyś powiedział, że słuchać o tym mitycznym stworzeniu to jedno, a móc zobaczyć je na własne oczy to drugie. Kiedy w końcu zwierzę nieśpiesznie ruszyło dalej, nie mogła oderwać wzroku, zafascynowana gracją ruchu i potęgą mięśni czającą się pod połyskliwym granatowoczarnym futrem.

Miała to zrobić jedynie w ostateczności, ale nie wytrzymała i rozgryzła trzymaną w ustach kulkę. Gorzki, charakterystyczny smak narkotyku rozlał się po gardle.

„To tak na wszelki wypadek” — starała się usprawiedliwić strach, który nagle rozpanoszył się w jej umyśle. Przywołała mentalne afirmacje i skoncentrowała się na swoim planie.

Lotard dotarł spokojnie do brzegu. Przez chwilę jeszcze lustrował ścieżkę za sobą, jakby na kogoś czekając, a potem zaczął gasić pragnienie.

Pod wpływem wyostrzającej zmysły substancji Skra widziała go teraz znacznie wyraźniej. Słyszała nawet cichy plusk wody zagarnianej językiem przez zwierzę, współgrający z głuchymi uderzeniami jej własnego serca i szumem krwi. Powoli, płynnie wydobyła z małej kieszeni strzałkę z niebieskim piórkiem i umieściła ją w niewygodnie długiej rurce. Oparła ją odległym końcem na jednej z gałęzi, tak jak to wcześniej ćwiczyła. Dystans na precyzyjny strzał nie był zbyt duży, ale dziewczyna wiedziała, że musi trafić w bardzo konkretne miejsce i to za pierwszym razem. Wyuczona koncentracja sprawiła, że wszystko dookoła znikło. Dla umysłu zostały tylko cel i ciało mające wykonać dobrze wytrenowany ruch.

Nabrała powietrze do płuc, odczekała długi moment, a potem mocno, ale zarazem delikatnie dmuchnęła w wąski otwór. Rozległ się lekki furkot. Drapieżnik fuknął zaskoczony i dziwnie podskoczył na czterech łapach.

Dalej wypadki potoczyły się już błyskawicznie. Lotard warczał i prychał, próbując nerwowo sięgnąć niebieskiego obiektu wbitego tuż przy kręgosłupie za karkiem. Strzałka znajdowała się poza zasięgiem jego pyska, a on był z tego powodu coraz bardziej wściekły. Już po kilku chwilach zaczął się chwiać, jego ruchy zrobiły się ociężałe.

„No, zaśnij, kotku, zaśnij sobie” — gdyby mogła, zanuciłaby mu kołysankę. Patrzyła na szybkie skutki działania przygotowanej przez siebie mikstury, a w jej sercu rodziła się już nadzieja na powodzenie planu bez komplikacji. Prosto, szybko, bezproblemowo. Gdy bestia w końcu upadła, było jasne, że środek usypiający okazał się

wystarczająco skuteczny. Dziewczyna z westchnieniem przymknęła oczy, czując efekty nagromadzonej adrenaliny.

„Niepotrzebnie użyłam narkotyku” — zdążyła pomyśleć, gdy usłyszała charakterystyczne warknięcie. Spojrzała natychmiast w kierunku lotarda, ale ten wciąż leżał przy strumieniu bez ruchu. Do jej uszu dobiegło kolejne warczenie przeradzające się w ryk. Tym razem wiedziała, że trzeba spojrzeć w zupełnie inną stronę. W tym samym miejscu, w którym na ścieżce pojawił się pierwszy kot, stał teraz drugi. Był większy, o futrze bardziej przesyconym granatem. Odruchowo przełknęła ślinę w ogarniającym ją przerażeniu. Samiec patrzył prosto na nią. Obnażone kły i napięte mięśnie kazały jej zadziałać automatycznie.

Zręcznie sięgnęła do kieszonki, z której wystawało czarne piórko. Odchyliła się, by móc manewrować rurką. Kątem oka dostrzegła, że drapieżnik jest już w połowie drogi do niej. Widziała rozmazane susy, którymi pędziła w jej kierunku nieunikniona śmierć. Wycelowwała instynktownie, jednocześnie szarpiąc ciałem w tył, za gruby konar, by oddzielić się od napastnika czymkolwiek. Nie wiedziała, czy trafiła, nie było czasu na nic więcej niż wyciągnięcie noża darzańskiego łowcy. I wtedy zobaczyła kota na przeciwległej gałęzi. Zaatakował łapą, ale odruchowo zablokowała ją uzbrojoną ręką. Uderzenie wytrąciło jej nóż, a chwilę później poczuła kolejny, prawie równoległy cios zadany z drugiej strony w bark. Trafienie było tak silne, że zmiotło ją z drzewa. Spadając, zawadziła jeszcze o jeden z niższych konarów i łupnęła o ziemię. Ostatnim zapamiętanym wrażeniem był przeszywający ból.

Powracająca świadomość zarejestrowała uczucie wilgotnego i łaskoczącego dotyku na twarzy. Skra otworzyła oczy i wtedy coś rudego i futerkowego czmychnęło jej z głowy. Czyżby to był łasuch? Pierwsze myśli skłoniły ją do ruchu i wtedy nagle bark przypomniał jej, dlaczego leży na ziemi pod akabrowcem. Fala potwornego bólu sprawiła, że aż zrobiło jej się słabo. Wytrenowany umysł włączył jednak szybko tryb wojownika. Poczuła przypływ siły i spokoju, a palące doznanie lekko się wycofało. Na tyle, że mogła szybko ustalić swoje położenie.



„No tak, wciąż żyję, a więc samiec lotarda musiał zostać trafiony”. Rozejrzała się, delikatnie unosząc na łokciu i zaciskając zęby. Faktycznie, ciało samca leżało tuż przy samicy, na szczęście wciąż jeszcze uśpionej.

„Na Jasność, zabiłam jej partnera!” Skra poczuła się nad wyraz podle, wyobraziwszy sobie rozpacz zwierzęcia, gdy się obudzi. „Biedny kot, widocznie źle zinterpretował sytuację”. Za sprawą długich lat treningu głos rozsądku, brzmiący zupełnie niechętnie jak głos Rejwana, rygorystycznego mentora walki, podsunął jej myśli, że zwierzęta, nawet mityczne, prawdopodobnie nie interpretują tego typu sytuacji, tylko działają instynktownie, i że jeśli ona nie pozwoli swojemu instynktowi natychmiast wziąć się w garść i skupić na zabezpieczeniu rany, wykonaniu zadania i zniknięciu z tego miejsca, w którym niebawem może spotkać drugiego przebudzonego i równie groźnego osobnika, sama może mieć kłopot z przetrwaniem. Jej autoironicznie zaprogramowany umysł wygenerował jeszcze komentarz, że w takiej sytuacji nie będzie miała wystarczająco czasu na dogłębne odżałowanie swojego czynu i rozważenie pełni jego podłości.

Dźwignęła się powoli, etapami: najpierw na kolana, przerwa, potem na nogi, przerwa i opanowanie zawrotu głowy, rzut oka na leżące niedaleko zwierzęta, wejście w stan qi, uruchomienie procesu magicznie wzmocnionego leczenia obrażeń i przyspieszonej regeneracji. Po chwili ruszyła ostrożnie w stronę ciała. Teraz była już skupiona wyłącznie na wykonaniu do końca zadania i na zapewnieniu sobie bezpieczeństwa. Reszta refleksji i odczuć musiała poczekać.

Dopiero wieczorem przy ognisku, siedząc nad resztkami symbolicznej kolacji, pozwoliła sobie na przemyślenia i analizę.

„Wygląda na to, że ten łasuch, liżąc mnie po twarzy, uratował mi życie” — przypomniała sobie, że gdy odchodziła, samica lotarda zaczynała się już powoli wybudzać. Gdyby nie on, mogłaby już nie mieć okazji odzyskać przytomności. Swoją drogą w ogóle miała wyjątkowe szczęście, upadając rozoranym ciałem akurat w leżące pod drzewem liście. Przylgnęły do ciała szczelnie niczym

opatrunek, spowolniły wykrwawianie się i dały organizmowi szansę na zasklepienie ran. Na samo wspomnienie widoku głębokich rozcięć, które z wielkim trudem oczyszczała nad strumieniem i zabezpieczała specjalnie nasączonym leczniczym opatrunkiem, aż się skrzywiła.

„No to piękne plecy już miałam” — skostatowała ze smutkiem. „Ale za to blizny dodają szamanowi prestiżu” — próbowała się pocieszyć.

Przeniosła się myślami do czasów sprzed naboru. Kiedyś taką sytuację uznałaby za tragedię. Była ładną dziewczyną, o nietypowej dla Darzan urodzie, zwracała na siebie uwagę wszystkich w wiosce. Wyższa niż rówieśniczki, o smuklejszych kształtach, lekko pociągłej twarzy, gęstych, długich włosach koloru dojrzałego zboża i błękitnych oczach. Często słyszała: „jaka śliczna dziewczynka” albo „to szczęście dla rodziców, będzie z niej kiedyś atrakcyjna partia”. Miała przywileje nawet u chłopców, szczególnie tych parę lat starszych. Nieraz siadały z Nimą, najbliższą przyjaciółką, nad strumieniem i bawiły się w ocenianie poszczególnych młodych mężczyzn, śmiejąc się z ich wad i niby na poważnie naśladując zasłyszane rozmowy dorosłych kobiet, doceniając ich męskie walory. Wtedy w jej oczach prawie zawsze najlepiej wypadał Danil. Kilka lat starszy, wysoki, szczupły, ale mocno umięśniony, zawsze wygrywał pływackie zawody. No i te oczy koloru wody ze strumienia, którymi lustrował Skrę tak, że miała mrówki na skórze... Nima mówiła, że nie pasują do siebie, bo są jak dzień i noc. On o ciemnej karnacji, ona o jasnej skórze, nawet w lato opalającej się na jasny brąz, on spokojny i poważny nad wiek, a ona stale rozbawiona, pełna energii.

Złapała się na odczuciu, że te wszystkie migawki wspomnień z dzieciństwa wydają się jej strasznie odległe, zupełnie jakby od naboru minęło dwadzieścia, a nie siedem lat. Ile to razy w trakcie pobytu na wyspie zastanawiała się, co uległo zmianie w wiosce. Czy jej ojciec nadal ma problemy z Ryworem, czy młodszy brat Teo wydorósł już trochę i przestał być utrapieniem dla matki, czy Nima ma chłopaka? Wraz z kolejnymi latami mozolnego zagłębiania się w arkana magii i zwiększania odpowiedzialności, wpajanej boleśnie

przez mentorów, stare beztroskie życie stawało się jednak bardziej odległe i obce.

„No, ale taka jest kolej rzeczy, jeśli jest się jedną z obdarzonych” – zacytowała w myślach swoich nauczycieli.

Zgodnie z darzańskim prawem obdarzone mocą dziecko zabierano na wyspę Orin na naukę do Najstarszego i – jeśli ją ukończyło i przeszło test – kraina Sid zyskiwała kolejnego Szarim. Jedyń jego misją było służyć interesowi plemienia Darzan i stać się powiernikiem ich heroicznego dziedzictwa zawartego w Wielkiej Przysiędze, złożonej pierwszemu królowi kontynentu. Posiadanie dobrze wyszkolonego szamana dla każdej wioski stanowiło źródło prestiżu i możliwości. Szamani byli dumą całego plemienia, esencją jego istoty. Oni jedyni mogli używać magii, to od nich zależało praktycznie wszystko, mimo że osadami w klanie na co dzień zarządzali wiodący.

Uśmiechnęła się mimowolnie, przypomniawszy sobie miny wszystkich, kiedy to właśnie ona jako jedyna w wiosce od wielu lat przeszła próbę mocy. Zawsze marzyła o magii, od malucha przyglądała się każdemu szamanowi, który akurat przebywał w okolicy. Nawet w zabawach udawała, że jest Szarim.

„A teraz dziecięce marzenia mają szansę stać się moją przyszłością” – jej myśli wróciły do kolejnego zadania, ostatniego, które dzieliło ją od możliwości wejścia do Sali Objawień. Czy to będzie faktycznie ten upragniony kres jej pobytu na wyspie, czy raczej dołączy do nieszczęśników, którzy na swoją okazję muszą poczekać kolejny rok?

## II. Księżycowy mech

Droga do Czeluści Bez Dna nie była trudna, jeśli się ją znało z opisów i rycin oraz miało solidnie przemyślany plan. Dzień marszu, trochę pływania, trochę wspinaczki i stawało się nad krawędzią rozległej skalnej szczeliny. Prawdziwym wyzwaniem miało być dla Skry dopiero zejście w dół tak głęboko, aż dotrze

do miejsca pokrytego księżycowym mchem. Tego nie dało się już zaplanować, bo słyszała, że żaden z nielicznych śmiałków, którzy się tam zapuścili i wrócili na powierzchnię, nie był w stanie później przekazać nic poza nierealnymi opowieściami, stanowiącymi najprawdopodobniej efekt halucynacji.

Dziewczyna siedziała tuż nad rozpadliną, zapatrzona w mroczną nawet za dnia przepaść.

„Jesteś ostatnią przeszkodą dzielącą mnie od powrotu na kontynent. Pozwolisz mi zabrać garść twojego skarbu? Jak można zapewnić sobie twoją przychylność? Czy to w ogóle możliwe?” – w myślach rozmawiała z kimś lub czymś, co kryło w sobie istotę tego niebezpiecznego miejsca.

Elias często powtarzał, że Czułość Bez Dna przenika prastara magia zrodzona przez samą naturę Orin. O tego rodzaju magii Skra wiedziała bardzo niewiele, bo nawet sam Najstarszy, gdy poruszało się ten temat, stawał się dziwnie małomówny i najczęściej zbywał rozmówcę ogólnikami lub wręcz milczeniem. A przecież osobiście wybrał dla niej ten właśnie rodzaj testu. Odruchowo przesunęła uwierający ją w żebra flakonik ze świeżo przygotowaną miksturą kociej zwinności, który miała przekazać Najstarszemu jako dowód pokonania lotarda. W jej umyśle nagle rozjarzyło się skojarzenie: „Prastara magia wyspy Orin!”.

Wyciągnęła szklane naczynie i przyjrzała się mu w zamyśleniu. Czy to możliwe, żeby naturalna odporność lotarda na magię mogła jej zapewnić bezpieczeństwo tam, na dole? „No cóż, nie dowiem się, jeśli nie spróbuję. Właściwie to chyba niczym nie ryzykuję” – stwierdziła, chociaż doskonale wiedziała, że niektóre eliksiry mają nieciekawe skutki uboczne.

Upiła spory łyk. Smak był wyjątkowo obrzydliwy, nawet jak na magiczną substancję. Z początku nic się nie działo, ale po dłuższej chwili zaczęła mrużyć powieki, coraz bardziej oślepiana słonecznym światłem. Wkrótce nawet całkowite zamknięcie oczu przestało przynosić ulgę. Z zaciśniętymi powiekami panicznie próbowała odtworzyć niedawno mijaną okolicę i przypomnieć sobie, czy nie było tam jakiegoś zacienionego miejsca, ale w pamięci odszukała jedynie obrazy płaskich, pokrytych

gdzieniegdzie mchem skał. Ból stawał się nie do zniesienia, przenikał z oczodołów w głąb mózgu. Jedyne ratunkiem wydawało się jej teraz natychmiastowe zanurkowanie w skalnej rozpadlinie. Z trudem panując nad falami wlewającego się do głowy cierpienia, zaczęła po omacku schodzić do czeluści. „Spadnę, nic nie widząc”. Bezsensowność własnych myśli uruchomiła wytrenowane odruchy. „Skup się wyłącznie na tym, co musisz zrobić” – wściekły syk udzielającego reprimendy mentora tropienia wybrzmiał echem w jej umyśle. „Im więcej zmysłów skupisz na wykonywanej czynności, tym mniej ich zostanie na odczuwanie tego, czego odczuwać nie chcesz”.

Po kilkunastu metrach odkryła dwie rzeczy – obie ważne w jej sytuacji. Po pierwsze z każdym metrem ból oczu się zmniejszał, a po drugie wymacywała punkty oparcia i uchwytu zadziwiająco sprawnie. Górską wspinaczką była wprawdzie chlebem powszednim wszystkich uczniów, ale Skra nigdy nie czuła takiej lekkości poruszania się po, jak by nie było, całkiem pionowej ścianie. „Więc tak właśnie wygląda efekt kociej zwinności” – uświadomiła sobie z ulgą.

Schodziła dalej jeszcze przez paręnaście uderzeń serca, aż ból w oczodołach całkowicie minął. Zatrzymała się i powoli otworzyła oczy. Czekwała, aż wzrok przyzwyczai się do ciemności, ale nic się nie zmieniało. Z otoczenia nie wyłaniały się żadne kontury, kształty, cienie. „Na Jasność, oślepiłam!” Wisząc na jednej ręce, drugą gorączkowo poszperała w kieszonkach stroju łowcy i wyjęła małą broszkę używaną podczas nocnych polowań. Przedmiot emanował zielonkawym światłem, które nie było widoczne z większej odległości, więc nie zdradzało pozycji polującego, ale wystarczało, by móc rozpoznawać najbliższe obiekty. Odetchnęła z ulgą, dostrzegłszy popękany fragment skały, do której przywarła. „Mała, zacznij wreszcie myśleć” – skarciła się, wkurzona na swój brak opanowania. „Jak zachowałyby się teraz prawdziwy Szarim?”

Zaczęła analizować sytuację według wyuczonego schematu. Jeśli mikstura działa podobnie do innych jej znanych, powinna wspomagać ją co najmniej parę godzin. To znacznie ułatwi odnalezienie mchu. Nie wiadomo wprawdzie nic o jego położeniu

poza tym, że jest tu, w rozpadlinie, ale znała przecież wskazówki. Najbezpieczniej będzie zatem schodzić zakosami, co jakiś czas oglądając przeciwległą ścianę, na wypadek gdyby mech rósł tylko w jednym miejscu.

Spojrzała na drugą stronę szczeliny. Przeciwległa skała nie była daleko. Ponieważ słabe światło broszy ledwo tam docierało, wzmocniła nieznacznie siłę świecenia. Pozostało cierpliwe przeczesywanie otoczenia i schodzenie coraz niżej. Znów musiała ujarzmić wrodzony brak cierpliwości, ale po latach uczenia się technik medytacyjnych przynajmniej robiła to automatycznie. Czas mijał, a kolejne metry skał stawały się bardziej porowate i zwietrzałe.

Po godzinie metodycznie wykonywanej sekwencji czynności stopa dziewczyny trafiła na większy występ skalny, który okazał się rozległą półką, miejscami łączącą niczym most obie strony szczeliny. Ostrożnie kucnęła przy samym skraju, wsłuchując się w ciszę. Nagle poczuła lekki, lodowaty podmuch i zaraz potem usłyszała czyjś szept. Mięśnie instynktownie napięły się, gotowe do działania niczym naciągnięte ramiona katapulty. Wytężyła wzrok, lustrując otoczenie. Jej spojrzenie wyłowiło nieregularny otwór na przeciwległej ścianie, coś na kształt sporej niszy lub wejścia do grotu bądź bocznego tunelu. Wystarczyło przejść na drugą stronę rozpadliny i trochę się wspiąć. Kolejny powiew był mocniejszy i bardziej przenikliwy, a szept stał się znacznie wyraźniejszy. Odruchowo przykucnęła jeszcze niżej, usiłując wsłuchać się w głos. Teraz słyszała już wiele szeptów, tak jakby jakieś istoty właśnie się wokół niej gromadziły. Rosnący poziom adrenaliny domagał się działania, jej natura krzyczała o ruch, jedynie siedmioletni trening utrzymywał ją w miejscu wciąż skupioną, zastygłą. Skoncentrowana maksymalnie na odgłosach, starała się zlokalizować pozycje nadciągających przeciwników. Jej umysł odruchowo projektował kolejne wersje uników i uderzeń, ale nasilające się dźwięki były zbyt liczne i zbyt różne. Zmarszczyła brwi, bo uświadomiła sobie, że część z nich zupełnie nie pasuje do tego miejsca. Skrzywienie drewna, płacz dziecka, odległe wycie wilka, rozpaczliwy, przytłumiony krzyk kobiety...

Nagle z ciemności kilkanaście metrów przed nią wyłoniła się rosła postać. Gdy zmaterializowała się całkowicie, Skra dostrzegła nieznanego jej rodzaju stworzenia. Był ewidentnie humanoidem, z twarzy przypominającym nawet człowieka. Grubo ponad dwa metry wzrostu, potężne bary, ramiona i kark, a także solidny rynsztunek bojowy budziły respekt. Dziewczyna poczuła guł w gardle. Nie miała odpowiedniego uzbrojenia, atak bestii będzie dla niej prawdziwą próbą przetrwania. Gdy przeciwnik ryknął i dziko zaszarżował, wyczuła cień nadziei. „Marzeniem wyszkolonego wojownika jest wróg zbyt pewny swego. Zaskocz go od razu w pierwszym zwarciu i nie daj mu już z niego wyjść” – dobrze znane rady rozbrzmiały tak wyraźnie, jakby mentor Rejwan stał tuż obok i przyglądał się spokojnie całemu zajściu.

Ogromny topór uderzył w skałę dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą stała Skra. Ale dziewczyna już znalazła się za plecami atakującego i mocno cięła podwójnym uderzeniem noża po ścięgnach i jeszcze raz ukośnie w nieosłoniętą wewnętrzną część uda. Zwiększona działaniem mikstury szybkość, z jaką wykonała wszystko, a potem odskoczyła i przyjęła ponownie pozycję gotowości, aż ją samą zafascynowała. Jednak to, co stało się później, zbiło ją totalnie z tropu. Stwór, który nie miał prawa wykonać już żadnego kroku, wywijał dalej orężem, rycząc przy tym straszliwie, aż w końcu znów zaszarżował w ataku na... przeciwległą ścianę. I zniknął w niej, jakby była z mgły.

Skra wytrzeszczyła oczy zdezorientowana, ale po chwili musiała raptownie uskoczyć przed... nadjeżdżającym konno kolejnym wojownikiem! Teraz wokół niej roило się już od walczących postaci. Huk uderzeń, wrzaski trafionych oraz wszechobecny odór krwi i wnętrzości wręcz zalewały jej zmysły. W pełni opancerzeni ludzie, stwory podobne do tego pierwszego, jakieś inne istoty o paskudnym wyglądzie i jeszcze paskudniejszym uzbrojeniu, a także barczyste karły z labrysami – wszystko to teraz otaczało ją w całkiem nierealistycznym chaosie... prawdziwej bitwy? Uświadomiła sobie, że znajduje się w centrum walki, ale nikt nie zwraca na nią uwagi. Przetarła oczy, jednak obraz nie zniknął, tylko zastąpił go nowy.

Tym razem była świadkiem straszliwej rzezi. Wkoło płonęły chałupy, a mieszkańcy osady cierpieli wyrzynani i gwałceni przez bestialskich żołdaków w srebrnych maskach grozy. Wypełniające przestrzeń przerażenie, potworny ból i gwałtowna nienawiść wręcz rozdzierały jej jaźń. Zdała sobie sprawę, że to muszą być iluzje, ale nie mogła uwierzyć, by ktokolwiek umiał stworzyć je aż tak realistycznie. Wizje były coraz bardziej makabryczne i uderzały coraz gwałtowniejszymi falami emocji. Jej umysł i ciało za każdym razem odbierały intensywnie wszystko to, co musiałyby naprawdę przeżywać istoty uczestniczące w obrazach. Natłok odczuć stawał się prawdziwą torturą, od której Skra nie potrafiła się odciąć. Instynkt kazał jej biec gdziekolwiek, byle daleko od tego miejsca, ale to resztką przytomności umysłu podpowiedziała kierunek. Cała jej świadomość skupiła się teraz na jednym zapamiętanym widoku: majaczącym w mroku otworze w skalnej ścianie.

Biegła zaledwie parę chwil, a gdy tylko wczołgała się do tunelu, wszystko ucichło. Podpełzła jeszcze kawałek i gwałtownie zwymiotowała. Każdy fragment jej organizmu wydawał się trząść i boleć. Potrzebowała dłuższej chwili na dojście do siebie na tyle, żeby móc rozejrzeć się i ocenić miejsce.

W głębi tunelu dostrzegła lekko falującą srebrzystą poświatę, podobną do tej, która tworzy się czasem w bezchmurną noc przy pełni. Ruszyła czujnie w jej kierunku. Gdy przeszła kilkadziesiąt kroków, ujrzała cel swojej misji. Boczne ściany skalnego korytarza całe pokryte były legendarnym księżycowym mchem! Stała urzeczona widokiem mieniającej się przepięknie rośliny. Impulsywnie przejechała dłonią po jej powierzchni i wtedy poczuła się nagle bardzo spokojnie i dobrze, zupełnie jak człowiek w letnie, słoneczne popołudnie siedzący przed domem na ławeczce i patrzący na leniwie płynące po niebie chmurki. Ogarnęło ją przemożne pragnienie, by usiąść pod ścianą, wtulić się w ten żywy dywan i pozwolić sobie na długi, beztroski odpoczynek. Wszystkie sprawy i zmartwienia zeszły na dalszy plan. Szła powoli, pieszcząc dłonią miłą w dotyku powierzchnię, coraz bardziej pochłonięta błogością nastroju i sielanką tego miejsca. I wtedy kątem oka dojrzała nieco dalej pod ścianami znajomo wyglądające kształty. Skupiwszy wzrok,



zrozumiała, że to ludzkie szkielety w różnych pozach przylgnięte do pulsującej srebrem wyściółki. „Szczęśliwcy” — pomyślała, czując zazdrość, że oni już tak długo upajają się tym wspaniałym miejscem, a ona dopiero do niego dotarła. Usiadła i sama zagłębiła się w miękkość, przepełniona rozkoszą podobną do tej, którą odczuwa znużone dniem małe dziecko kładące się w pachnącą czystością pościel w ukochanym łóżeczku, bezpieczne, kochane, szczęśliwe...

Z wszechobecnej mleczej mgły w ciszy wynurzyła się jasna postać otoczona błękitną poświatą. Wysoka, przepiękna kobieta z rozpuszczonymi jasnymi włosami zbliżała się powolnym, lekkim krokiem. Długa, prosta suknia rzucała przy każdym ruchu delikatne świetlne refleksy. Szeroka twarz o klasycznej urodzie, pełne usta i duże ciemne oczy nadawały jej wygląd prawdziwej bogini. Były od niej jednocześnie siła i majestat, ale też bezmiar kojącego spokoju. Podeszła do Skry, przyglądając się jej wciąż przenikliwie.

— Kim jesteś, pani? — wyszeptała dziewczyna, bo zdawało się jej, że mówienie pełnym głosem jest nie na miejscu.

Kobieta milczała dłuższą chwilę, jakby nie usłyszała pytania lub nie miała zamiaru odpowiadać. W końcu na jej twarzy zagościł lekki uśmiech.

— Witaj, dziecko światła. — Wykonała nieznaczny ruch ręką mający być chyba formą powitania. — Istoty podobne tobie nadawały mi przez wieki różne imiona, ale najbardziej przypadło mi do gustu określenie Wszechmatka. Jeśli chcesz, możesz się zatem tak do mnie zwracać.

— Czy to twoje miejsce, Wszechmatko? — Skra chciała rozmawiać. O czymkolwiek, byleby przekonać się, że tym razem obraz nie jest iluzją.

Rozmówczyni przysiadła obok, podpierając się ręką w swobodnej pozie, zupełnie takiej, w jakiej dwie kobiety usadawiają się podczas pogawędek w ogrodzie. Zapachniało kwitnącą łąką. Skra się zdziwiła.

— Jesteś teraz w miejscu, gdzie twoja natura przenika się z moją. To szczególne miejsce, dla mnie zresztą też, chociaż o każdym innym mogę powiedzieć, że jest tak samo moje jak to. Ale właśnie tu

możliwe było wyczucie znajomych drgań, które cię tworzą. Przyszłam sprawdzić ich... spójność ze mną i faktycznie to się potwierdza.

— Co chcesz w związku z tym zrobić? — Skra czujnie obserwowała wyraz twarzy kobiety, nie mając pewności, czy może pozwolić sobie na tak swobodny dialog.

— Istnieję od zawsze, a moja istota przenika wszystko. Nie widzę powodu, bym miała cokolwiek z tym robić. Pytanie brzmi raczej: co TY chcesz z tym zrobić?

— Eee, ale... ja nie bardzo cię rozumiem. — Postanowiła mówić jak najbardziej wprost, zdawała sobie bowiem sprawę, że ma do czynienia z kimś, kto prawdopodobnie postrzega świat zupełnie inaczej.

Kobieta milczała dłuższą chwilę, patrząc głęboko w oczy Skry.

— Spróbuję dać ci pewne zrozumienie, choć przyznaję, że rozmawianie z ludźmi, nawet naznaczonymi światłem, nigdy nie wychodziło mi najlepiej. — Zamyśliła się, dziecięcym gestem nawijając kosmyk włosów na palec. — Wśród przedstawicieli twojego gatunku trafiają się tacy, którzy zostają dotknięci miłością Tych-Którzy-Są. Jest to niezwykle rzadkie, ale jeśli już się zdarzy, wtedy to szczególne... — Zamyśliła się. — ...uwrażliwienie przechodzi z pokolenia na pokolenie aż do wygaśnięcia linii danego rodu. Sprawia ono, że drgania, z których stworzone są wszystkie istoty ożywione, stają się u takiej osoby w pełni harmonijne z... hmm, w pewnym sensie ze mną. To odziedziczone przez ciebie naznaczenie powoduje, że... to tak, jakbyś była częścią mnie, moim fragmentem. Rozumiesz? — Jej lekko zmarszczone brwi sugerowały, że nie jest w pełni zadowolona ze swojego tłumaczenia.

— Szczerze mówiąc, Wszechmatko, to zupełnie nie. Wybacz mi, że nie jestem wystarczająco godnym słuchaczem, ale nic mi nie wiadomo ani o Tych-Którzy-Są, ani o drganiach, z których się mam składać. Poza tym musisz się chyba mylić, bo nie czuję się niczym szczególnie naznaczona, a moi rodzice to bardzo prości i zwykli ludzie i...

— Jesteś przede wszystkim bardzo młoda — przerwała jej — nawet jak na czas wyznaczany twojemu gatunkowi. Żeby wyczuć to,

o czym mówię, musisz się bardzo wnikliwie wsłuchiwać w samą siebie, a to wymaga i umiejętności, i praktyki. — Bogini się podniosła. — Ale ta wiedza wcześniej czy później do ciebie dotrze, szczególnie że masz bardzo mądrego nauczyciela. — Uśmiech kobiety sugerował, że zna sytuację dziewczyny. Ale jak to możliwe? Czyżby obserwowała Najstarszego?

— Wybacz, że zapytam, ale czy masz na myśli kogoś konkretnego? — Skra była teraz równie zaintrygowana i zaskoczona, co przerażona.

— Drogie dziecko światła. — Jej uśmiech się pogłębił. — Ja wszystko wiem. Albo inaczej: mam dostęp do wszelkiej wiedzy, bo jestem strażniczką wszystkiego, co tworzy... świat, w którym żyjesz. — Zobaczywszy zagubienie na twarzy młodej Darzanki, bogini westchnęła. — Szkoda naszej rozmowy, to dla ciebie jeszcze nie czas na zrozumienie. — Machnęła zrezygnowana ręką, ale zaraz potem przybrała wyraz, jakby właśnie wpadła na dobry pomysł. — Jeśli chcesz, możemy jednak spróbować podejrzeć, do czego Twórcy cię przeznaczili. — Uśmiechnęła się jak dziewczynka, która namawia drugą na wspólną psotę. — Chciałabyś wiedzieć więcej o tym, co cię czeka?

Skra przełknęła nerwowo ślinę. Pomyślała, że to z jednej strony retoryczne pytanie, bo któż nie połakomiłby się na taką okazję, ale z drugiej... czy to dobrze znać to, co nie jest naturalnym do poznania?

— A jeśli zechcę, co będę musiała zrobić?

— Zasadniczo nic, bo tylko ja mogę uzyskać dla ciebie te informacje. Przyznam, że sama jestem po prostu ciekawa, a obecność w tym osobliwym miejscu daje nam właśnie taką możliwość.

Dziewczyna kiwnęła niepewnie głową na znak gotowości. Kobieta wstała i dotknęła wskazującymi palcami obu skroni Skry, przymykając oczy. Odczucie przypominało spadanie w przepaść. W umyśle rozbłyskiwały szybko następujące po sobie obrazy i emocje. Pojawiały się i znikwały w takim tempie, że nie dało się ich nie tylko zapamiętać, ale też w większości nawet dostatecznie rozpoznać, by zrozumieć, co dokładnie przedstawiają. Tak, jakby

ktoś błyskawicznie obejrzał wszystkie czekające dziewczynę chwile. Jedyne, co umysł Skry zdołał odnotować wystarczająco trwale i wyraźnie, by mogła sobie to uświadomić, to niezwykłość spojrzenia jakiegoś młodego wojownika, jego silne emocje i własną nadspodziewanie intymną reakcją na jego bliskość. Obraz był intensywniejszy niż pozostałe, a ujrzone niesamowite, złotawe oczy z wąskimi pionowymi źrenicami niepokojąco fascynowały.

W pewnym momencie bogini gwałtownie oderwała palce i przycisnęła dłonie do sukni, zupełnie jakby się oparzyła. Na jej twarzy malowały się zdumienie i przerażenie.

— Dlaczego wy, istoty ze mnie, zawsze musicie tak gwałtownie transformować?! — Wyraz niesmaku i oburzenia na jej obliczu szybko przeszedł w głęboką troskę. Pogłaskała dziewczynę po głowie z zaskakującą jak na swój majestat czułością.

— Widziałam... zdaje mi się, że widziałam mężczyznę. — Skra niepewnie nazwała wrażenie, które jako jedyne pozostało w jej pamięci. — Smukły chłopak o nieludzkich oczach. Jego spojrzenie... czułam... — Odruchowo objęła się ramionami. — ...straszny ból, rozpacz, strach, wszystko wkoło niego pogrążone było w takim okropnym cierpieniu... Czy to właśnie mnie czeka?

— Nadejdzie chwila, gdy odkryjesz, jak niezwykle jest dla ciebie ważny, ale on... przykro mi. — Kobieta przytuliła ją niespodziewanie w ludzkim geście współczucia. — Nie powinnam tego robić. To prawdopodobnie zmieni bieg wydarzeń, ale chcę ci coś ofiarować. To taki swoisty dar ode mnie. Staniesz się jeszcze bardziej spójna ze mną. Przejdiesz przez wyznaczony ci czas stabilniej. W ten sposób dotrzesz do swojego przeznaczenia mniej podatna na gwałtowność zdarzeń, które cię czekają po drodze.

Skra poczuła miliony drobnych igiełek, które przerodziły się w falę wszechogarniającego ciepła. Nie wiedziała, czy dziękować, a nawet czy w ogóle powinna coś mówić. Cudownie kojąca bliskość Wszechmatki nie była jednak w stanie stłumić niepokoju pozostałego po mentalnej podróży we własną przyszłość.

— A teraz już idź. Ci, którzy na ciebie liczą, martwią się twoją długą nieobecnością. — Kobieta lekko popchnęła zdezorientowaną Skrę w stronę błękitnej szczeliny, która niespodziewanie pojawiła się

obok. — I zabierz ze sobą trochę więcej mojego mchu, może ci się jeszcze przydać. — Wymowne mrugnięcie bogini świadczyło o tym, że ma pełną świadomość, po co przyszła młoda szamanka.

Dziewczyna, wciąż nie wiedząc do końca, jak powinna się zachować, dygnęła jedynie, skłaniając głowę, i zanurzyła się w pulsującej poświacie. Po chwili znów znalazła się w podziemnym tunelu, koło skrzącego się srebrzyście mchu i szkieletów. Wprawdzie miała teraz mocno poplątane myśli, ale nie przeszkodziło jej to w uświadomieniu sobie, jaki los czekałby ją, gdyby nie łaskawość kobiety. Gdy tylko zniknął magicznie wiążący błogostan, nauczony dyscypliny umysł natychmiast wrócił do konkretów i celów. Głębsze zastanawianie się nad tym, czego właśnie doświadczyła, Skra odłożyła na później.

Podczas powrotu na powierzchnię nie atakowały jej wprawdzie już żadne iluzje, ale za to doskonale mogła odczuć różnicę we wspinaczce bez wspomaganie eliksirem. To był koszmarnie wyczerpujący wysiłek, więc gdy ujrzała nad głową rozgwieżdżone niebo, odetchnęła pełną piersią. Dopiero teraz dotarło do niej, że właśnie wykonała zadanie. Nic już nie stanie jej na drodze, by zostać Szarim! Emocje wyrwane z długotrwałej koncentracji przyniosły gwałtowny przypływ łez. Łez szczęścia i niesamowitej ulgi. Stan, który niejednokrotnie próbowała sobie wyobrazić przez te siedem pustelniczych lat kieratu. Jest wolna! Wolna! Wolna!

Pozwoliła sobie na dłuższy czas rozkoszowania się nowymi uczuciami. Teraz nie musi się już śpieszyć — może spokojnie wędrować do Najstarszego z prawem wejścia do Sali Objawień, by ostatecznie dokonał się wybór koloru jej szat maga.

Coś kazało jej krzyknąć z radości na cały głos, aż echo potoczyło się po pobliskich zboczach.

Gdy chciała ruszać, z mroku nagle wyłonił się kształt. W mgnieniu oka przyjęła pozycję bojową z nożem łowcy w dłoni ukrytej za plecami.

— Spokojnie, dziewczyno. To ja, Tulan. — Znajomy, stonowany głos pozwolił jej się rozluźnić. Ale dlaczego mentor tropienia był tutaj?

— Wydawało mi się, że reguły ostatecznego przejścia kategoriycznie zabraniają komukolwiek uczestniczyć w zadaniu kandydata.

— I od wieków ich przestrzegamy. — Szczupły, szpakowaty szaman postąpił kilka kroków i zaczął się jej bacznie przypatrywać. W jego postawie wyczuła skrywane napięcie i niepewność. — Ale jak wiesz, gdy minie tydzień ponad wyznaczony na zadanie czas, rozpoczynamy poszukiwania kandydata.

— Minęło przecież zaledwie pięć dni od chwili, gdy wyruszyłam z grotty.

— Na Orin nie mamy problemów z mierzeniem upływu czasu. — Wzrok Tulana utkwiał na mocno wypchanym zawiniątku przeznaczonym na zdobycz w zadaniu. — A gwoli ścisłości: dni minęło piętnaście, gdy widzieliśmy cię ostatni raz.

— Ale to niemożliwe... — W jej pamięci pojawiły się słowa wypowiedziane przez Wszechmatkę na koniec spotkania. Czyżby to wszystko wydarzyło się naprawdę? Ale jeśli nawet, to przecież jej rozmowa z tajemniczą boginią trwała ledwie chwilę...

— Czy udało ci się wykonać zadanie do końca?

Wzmózona czujność tropiciela, którą aż za dobrze nauczyła się przez te wszystkie lata rozpoznawać, udzielała się Skrze coraz mocniej. Gotowa do ewentualnej szybkiej reakcji, powoli odwinęła materiał, wyjęła spory fragment mchu i pokazała go na wyciągniętej dłoni. Srebrzysta poświata stanowiła fascynujący widok. Tulan odetchnął głęboko z ulgą, po czym uśmiechnął się lekko.

— Gratuluję. Przyznam szczerze, że choć bardzo cię polubiłem, nie stawiałem na twój sukces. Nie w tym zadaniu. A będąc jeszcze szczerzym: dziś po zachodzie księżyca planowałem wracać. Niejeden nie wyszedł już z czeluści.

— Dzięki za tak ogromną szczerłość... — Dziewczyna schowała mech. — ...jako charakterystyczną dla całego uroczego Orin.

Tulan stanowił wyjątek wśród mentorów. Jego życzliwa i nad wyraz spokojna natura czyniła ich relacje bardzo przyjacielskimi. Przynajmniej jak na ogólne zwyczaje panujące na wyspie i stosunki między mentorami i uczniami.

Łowca znów lekko się uśmiechnął. Wyjął z podręcznej sakwy kawałek ciemnego chleba, korzeń dojrzałca, którym wzmacnia się osłabionych lub chorych, i podał to wszystko wraz z bułakiem Skrze.

— Myślę, że jeszcze nie raz docenisz tę szczerłość i zatęsknisz za nią. — Przypatrywał się, jak świeżo upieczona szamanka usiłuje zachować nonszalancję w jedzeniu, mimo że jej żołądek z całą mocą potwierdzał wersję ponadtygodniowego postu na dnię rozpadliny. — Zjedz spokojnie. Wiadomość o tobie dotarła właśnie do Najstarszego. — Tulan rozsiadł się w charakterystyczny dla siebie sposób ze skrzyżowanymi nogami. — Mam cię odprowadzić bezpośrednio do Sali Objawień.

— Ale skąd ta nadopiekuńczość? Jestem już duża. A poza tym dlaczego niby mamy zmieniać ustalony porządek rytuału? — Zachowanie tropiciela zaczynało ją niepokoić.

Tulan wzruszył ramionami z obojętną miną.

— To polecenie Najstarszego, ja je tylko wykonuję. Ale nie traktowałbym na twoim miejscu mojej obecności w drodze powrotnej jako jakiegokolwiek nietypowego przywileju.

— Jasne, na Orin istnieją tylko dyscyplina i jej kontrola. — Powoli docierała do niej radość, że wkrótce będzie mogła to tylko wspominać jak zły sen.

Kończyła posiłek w milczeniu. Ciepła, bezchmurna noc sprawiała, że umysł naturalnie się wyciszał. O ile o wielu zajęciach i prowadzących je mentorach wolałaby prędko zapomnieć, o tyle specyficzna atmosfera tego miejsca, pełna miłych zapachów i kojących zmysły dźwięków, była akurat czymś, co chciałaby utrwalić w pamięci na zawsze. Jako zaprzysiężona Szarim najprawdopodobniej nigdy już nie ujrzy wyspy.

— Tulan... — Zastanawiała się przez chwilę, na ile otwarcie może z mentorem rozmawiać o tym, co ją spotkało na dole. — Powiedz: ilu kandydatów dostało za zadanie przyniesienie mchu i wykonało je przede mną?

Noc wprawdzie była jasna, ale nie na tyle, by móc dokładnie ocenić wyraz twarzy tropiciela. Jego przedłużające się milczenie sugerowało jednak, że temat nie jest łatwy.

— Z tego, co wiem, zadania tego podjęło się tylko kilka osób, ale... — Mężczyzna zapatrzył się na wzgórze. — ...z tego miejsca wrócili tylko Najstarszy i Rejwan. Straciliśmy tam paru dobrych, doświadczonych Szarim.

— Czyli chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy pozostali kandydaci zginęli podczas takiej misji? — Skra poczuła suchość w ustach.

Tulan spojrzął jej w oczy z nietypową dla niego zadumą.

— To nie jest miejsce, do którego posyłano kiedykolwiek kandydatów.

— Nie rozumiem. Zatem... — Myśli, które pojawiły się w głowie dziewczyny, były trudne do zaakceptowania.

— Nikt nie rozumie niektórych motywów Najstarszego. Ale to dzięki niemu nasze plemię ma swoją historię. Posłał ciebie i właśnie ty wykonałaś to zadanie. Można by rzec: znów miał rację. Albo po prostu wie coś, czego nie wiesz ty. Ani ja.

Mentor wstał i położył rękę na jej ramieniu.

— Ruszajmy. Możemy pogadać po drodze, a i tak pewne sprawy powinnaś omówić wyłącznie z nim. Moim zadaniem było nauczyć cię sztuki tropienia jako podstawowej umiejętności łowcy. Oglądając dowody tego, czego dokonałaś przy wodopoju, uznaję swoje zadanie za dobrze wykonane. Sprawy magii zrodzonej przez samą naturę to nie moja działka.

### III. Rytuał inicjacji Szarim

Sala Objawień była tak naprawdę przestronną grota o regularnym, owalnym kształcie, z wysokim sklepieniem, z którego zawsze kapała woda, gromadząca się pośrodku pomieszczenia w formie symbolicznego jeziorka. Unikalną cechą tego miejsca była specyficzna akustyka. Monotonia plusku szybko przynosiła rozluźnienie. Idealne warunki do medytacji.

Skra otworzyła niewielką metalową szkatułkę przekazaną jej przez Tulana tuż przed wejściem. Patrzyła w zamyśleniu na cztery



kolorowe drewniane kulki leżące na aksamitnej wyściółce. Intensywnie szkarłatna była od Rejwana, wielkiego obrońcy krainy Sid, w pewnych sytuacjach gwałtownego człowieka i nieprzejednanego wojownika. Magia tego koloru wiązała się z agresją, siłą, wpływem i niezłomną determinacją. Nie sądziła, by właśnie to był jej rodzaj magii, ale żaden kandydat nie mógł być pewien wyniku w Sali Objawień.

Ciemnozieloną włożył tu Wilko, główny łowczy ludu, zawsze będący autorytetem dla Tulana. Gdyby wybrał ją ten rodzaj magii, oznaczałoby to bliskość z naturą i umiejętność czerpania z jej źródeł. Dotknęła kulki, myśląc sobie, że odpowiadałby jej ten wybór.

Błękitna oznaczała silne związki z magią życia, ciałem i umysłem i to również mogłoby być jej bliskie. Ten kolor niechybnie pochodził od Frakira, mistrza uzdrowiciela, ale też mentora telepatii.

Jednak to ostatnia najbardziej odpowiadała profesji, którą Skra chciała zadeklarować Najstarszemu. Wściekły fiolet uznawany był za symbol magii jako takiej, reprezentował powiązanie z istotą magicznej mocy i zaklęciami utrwalonymi. Od dawna marzyła o samodzielnym tworzeniu zaklęć, a nawet własnych struktur magii. Wprawdzie dotychczas był to wyłączny przywilej Najstarszego, ale też nie istniał żaden zakaz uniemożliwiający przynajmniej próby podjęcia tej dyscypliny.

Rozebrała się do naga i zanurzyła powoli w sadzawce aż po pępek. Z rosnącym podekscytowaniem rozrzuciła wszystkie kulki wokół siebie i przymknęła oczy. Zgodnie z rytuałem Sali Objawień w zależności od tego, który rodzaj magicznej esencji zawartej w kulkach będzie najbliższy naturze i przeznaczeniu szamana, ten kolor przybierze woda. Każdy kandydat przynosił przed oblicze Najstarszego symboliczną karafkę zabarwionej wody, deklarując profesję, w której chciałby dalej się rozwijać i służyć ludowi.

Myśli dziewczyny przeskakiwały pomiędzy skojarzeniami czterech kolorów. Z jednej strony wiedziała, że woda zabarwia się prawie natychmiast, więc mogła już otworzyć oczy, by sprawdzić wybór, ale z drugiej blokował ją jakiś wewnętrzny lęk. „Czego ja się właściwie boję? Przecież wiem, że zaakceptuję każdy z rodzajów

magii” — próbowała racjonalizować sprawę, ale wciąż nie otwierała oczu. „W najgorszym przypadku grozi mi magia walki, ale to przecież nie tragedia, a poza tym może wówczas mogłabym wybrać dyscyplinę obrony, pomagając innym unikać obrażeń”. W końcu dopuściła do świadomości myśl, która mogła stanowić źródło niepokoju. „Jest przecież jeszcze jedna możliwość. Czarny kolor to ten, który oznaczałby dla mnie... no właśnie, co by oznaczał?” Przypomniała sobie wszystko to, co usłyszała od swoich mentorów. Magia ciemności wybierała Darzan niezwykle rzadko, ale gdy tak się stawało, lud nie odrzucał również takiego daru. Obecnie wśród Darzan pełnił służbę tylko jeden mag czerni. Szaman Bragon odpowiadał za kultywowanie i zgłębianie czarnej magii pod osobistym nadzorem Najstarszego, by plemię nie było odcięte od tego rodzaju mocy, chociaż żaden z szamanów bez ciemnych szat nie miał prawa samodzielnie jej używać. „No cóż, musiałabym pewnie zostać takim samym samotnikiem jak Bragon”. Poczowała się nieswojo na myśl o życiu, w którym szacunek do szat szamańskich nie przeszkadzałby Darzanom milknąć w jej obecności i starać się uprzejmie, jednak jednoznacznie unikać jakichkolwiek kontaktów z nią.

Przełknęła ślinę. Otworzyła oczy z nadzieją na niezobaczenie mętnej czerni. Umysł potrzebował chwili, żeby zaakceptować szokujący fakt — zawartość sadzawki pozostawała krystalicznie przezroczysta. Zamrugowała. „O co chodzi, na Jasność?!” W bezradnym odruchu zamieszała rękami wodę wokół siebie, ale ta wciąż pozostawała całkowicie bez koloru. Czuła rosnący strach i suchość w gardle. Wyłowiła dryfujące przy powierzchni kulki i przyjrzała się im wnikliwie. Każda miała na sobie delikatne wzory, swego rodzaju podpis poszczególnych mentorów, a więc nie mogło być mowy o pomyłce. Gorączkowo szukała interpretacji tej sytuacji, ale nic rozsądnego nie przychodziło jej do głowy. Próba w Sali Objawień od wieków dawała odpowiedź każdemu z kandydatów i nigdy nie słyszano o żadnym wyjątku. Skra miała świadomość, że jej czas w tym miejscu powoli się kończył i z tym czy innym kolorem wody musi wreszcie udać się na audiencję do Najstarszego. „Czy to możliwe, by mimo zaliczenia próby wszystkie rodzaje magii

mnie odrzuciły? Czyżbym była z jakichś względów niegodna magii?” — coraz trwoźniejsze myśli ścisnęły jej żołądek. Ale przecież nigdy tak się nie zdarzyło — kandydaci zawsze opuszczali to miejsce z jakimś kolorem. Nie miała pojęcia, co może dla niej oznaczać ten wynik, ale wiedziała, że nie może wiecznie tkwić w sadzawce.

Zesztywniałym ruchem podniosła karafkę i z nadzieją, że woda nabierze jakiegoś koloru, napełniła naczynie do połowy. Patrząc zrozpaczona na niezmienną przezroczystość cieczy, ubrała się. Gdy kładła dłoń na drzwiach do pomieszczeń Najstarszego, zdała sobie sprawę, że jej policzki są mokre od łez. A liczyła, że rozstała się z nimi na zawsze siedem lat temu...

Komnata Zaprzysiężeń, w której Najstarszy przyjmował kandydatów, nie była szczególnym miejscem. Mocno rozczarowywała jak na doniosłość chwili. Doniosłość przynajmniej dla samych młodych szamanów, dla których ten moment miał stanowić jeden z najważniejszych w życiu. Było to po prostu jedno z pomieszczeń Najstarszego, regularny, duży pokój, pośrodku którego stał spory okrągły stół bez nakrycia, z błyszczącym dębowym blatem. Jak widać, surowość wieloletniej nauki na wyspie Orin miała swoje odzwierciedlenie w równie surowym charakterze mało uroczystej ceremonii nowicjatu. Drzwi przeciwległe do tych, w których pojawiła się Skra, ozdabiał niepokojący ornament w formie srebrnych węży wijących się pośród runicznych znaków charakterystycznych dla starodawnej magii kontynentu, wyplenionej już na samym początku panowania rodu Ogromirów. To właśnie wtedy wychodzili ci, którzy zostawali zaprzysiężeni. Na ścianach po obu stronach widniały ogromne malowidła przedstawiające mityczne sceny bitewne Wielkich Królów Rodu Krwi, ozywające w lekko migotliwym blasku kilkunastu świec. W powietrzu unosił się silny zapach kadzidła.

Spojrzenie Skry od razu wyłowiło ostrzegawczy sygnał — pod bocznymi ścianami, na wysokich krzesłach z rzeźbionymi oparciami, siedzieli mentorzy. Czterej właściciele drewnianych kulek, z których żadna niestety nie wskazała preferencji magicznej energii dziewczyny. Zwalisty Rejwan w szkarłatnej, obszernej bluzie,

i tak opinającej się na jego potężnej piersi, z narzuconym czarnym kaftanem, miał skupiony wyraz twarzy. Lekko ściągnięte ku sobie gęste brwi ocieniały ostre spojrzenie. Chyba pierwszy raz nie widziała u niego żadnej broni. Obok siedział Frakir, wysoki i zasuszony, cały spowity błękitną szatą na modłę medyków. W jego obliczu nie odnalazła zwyczajowej łagodności, a jedynie zagadkowy dystans. Spojrzała w stronę szczupłego, żyłastego Wilka, który jak zawsze w przedziwny sposób przywoływał skojarzenie z drapieżnym zwierzęciem pod ludzką postacią. Obok, najbardziej rozluźniony, siedział Tedor, mistrz magii – na współpracę z nim wcześniej najbardziej liczyła.

Biorąc pod uwagę zwyczaje rytuału ceremonii, nie powinno ich tu być. „A więc już wiedzieli” – pomyślała z rosnącą rezygnacją. A może wręcz spodziewali się jej fiaska? Przypomniała sobie szczerze słowa Tulana przy Czeluści. Wzięła głęboki oddech. Może i nie została wybrana przez któryś z kolorów magii, ale w duszy w pełni czuła się prawdziwym Szarim z powołania i dlatego postanowiła zachować się tak, jak powinna – do końca z godnością. Ruszyła ku stołowi, za którym stał Najstarszy. Nie patrząc na niego, sztywno położyła na blacie zawiniątko z lśniącym mchem, a obok postawiła flakonik z miksturą kociej zwinności. Wygłosiła rytualną formułkę przygaszonym tonem, zastanawiając się nad jej sensem w odniesieniu do jej przypadku:

– Mistrzu mistrzów, oto owoce mojej nauki i pracy mentorów. Zadanie wyznaczone mi w teście ostatecznego przejścia wypełniłam całkiem samodzielnie, nie dopuszczając niczyjej pomocy, w oznaczonym terminie i zgodnie z pouczeniem. Przyjmij je jako mój dar dla krainy Sid, którym chciałabym otworzyć swoją drogę dozgonnej służby.

Zmusiła się, by spojrzeć na Najstarszego. Najwyższy rangą Szarim z pozoru mógłby uchodzić za rówieśnika niektórych mądrych. Człowiek średniej budowy ciała, o energicznych ruchach, szpakowatych włosach i siwiejącej brodzie wyglądał bardziej na kupca czy medyka niż odwiecznego przywódcę tajemniczego plemienia ze wzgórz. Jedynie w ciemnych oczach czaiła się otchłań

czasu tworzącego pełną wyrzeczeń historię Darzan. Dziś Skra widziała w jego obliczu zachęcający spokój i wręcz przyjazność.

Najstarszy skłonił lekko głowę.

— A zatem czy jesteś gotowa złożyć przysięgę wobec światła, rodu i naszej krainy?

Przełknęła z wysiłkiem, wiedząc, że zbliża się moment, który będzie wracał w nocnych koszmarach.

— Tak, mistrzu mistrzów, świadomą wolą, czystym umysłem i radosnym sercem.

— Okaż zatem wybór, jaki przynosisz z Sali Objawień, byśmy poznali ścieżki twojej magii.

Mała karafka mieściła się prawie cała w dłoni, a Skra trzymała naczynie tak, że nie sposób było dostrzec zawartości. Teraz nie było już po co zwlekać. Postawiła szkło na blacie, czując palący wstyd. Z lewej strony usłyszała nagłe szuranie krzesła i dźwięk gwałtownego nabrania haustu powietrza, a z prawej — ciche westchnienie i ledwie słyszalny szept. Szybko otaksowała twarze mentorów. Takich min u nich jeszcze nie widziała. Rejwan wyglądał, jakby połknął żabę, zeszywniały Wilko wgapiał się w karafkę zahipnotyzowanym wzrokiem, jedynie Tedor zachował względny spokój, przygryzając nerwowo wargę. „Czyżby jednak nie wiedzieli?” — minimalna ulga zatrzepotała w jej umyśle. Popatrzyła na Najstarszego, zaciskając z napięcia pięści. Mistrz spokojnym gestem zachęcił ją do... kontynuacji ceremonii? Na jego ustach — i przysięgłaby, że także w oczach — błąkał się uśmiezek.

— Oto... magia... — Musiała przełknąć ślinę. — Oto magia, która dokonała wyboru mojej ścieżki — dokończyła formułkę. Serce waliło jej jak szalone, gdy obserwowała reakcję Najstarszego, ale ten niczym więcej nie zdradził, że widzi jakąkolwiek wyjątkowość sytuacji.

— Odpowiedz zatem przede mną. — Skierował ku dziewczynie otwarte dłonie, co zgodnie z rytuałem miało symbolizować włączanie jej energii do wspólnoty magii wszystkich Szarim. — Czy przysięgasz wierność Jasności, Rodowi Krwi pobłogosławionemu przez bogów przedwiecznych i krainie Sid?

— Przysięgam. — Jej myśli krążyły wokół budzącej się nadziei, której rozsądek wciąż nie chciał zaakceptować.

— Czy uznajesz zwierzchnictwo kręgu i decyzje zgromadzenia jako przejaw naszego przeznaczenia?

— Uznaję.

— Czy przyrzekasz wierność Wielkiej Przysiędze złożonej przez naszych przodków królom Rodu Krwi, nakładającej na Darzan obowiązek podtrzymania blokady magii, zakazu jej używania poza krainą Sid oraz usuwania wszelkich niepożądanych jej przejawów na całym kontynencie?

— Przyrzekam.

— A zatem kraina zyskała nowego strażnika, przewodnika i powiernika. — Najstarszy wydobył z szat niewielką bursztynową szkatułkę, obszedł stół i położył ją przed Skrą. — Bądź wierna słowom dnia dzisiejszego, Szarim, do ostatecznego swojego tchnienia życia, a także później.

Drżącymi dłońmi podniosła wieczko, wiedząc, że to, co otrzymuje od Najstarszego, jest jednoznaczne z jej zaprzysiężeniem. Wyjęła charakterystycznie złożony szeroki pas zwany elite, złożyła go na pół wzdłuż delikatnego szwu biegnącego przez całą długość i przewięzała się nim podwójnie, tak aby kieszonki wszyte w wybranych jego odcinkach pozostały ukryte przed wzrokiem. Ten symbol godności wykonany ze specjalnej niezniszczalnej tkaniny był stałym wyróżnikiem stroju Szarim. Szamani wkładali długie, luźne szaty podobne do tych noszonych przez królewskich kapłanów, tyle że bez kaptura, jedynie na oficjalne wydarzenia, takie jak zgromadzenia, śluby czy pogrzeby. Na co dzień wybierali najczęściej strój odpowiadający ich profesji i zadaniom. Jedynie pas elite jako znak rozpoznawczy musiał być noszony zawsze.

Skra ostrożnie wyjęła ze szkatułki jeszcze jeden przedmiot, zwany przez Darzan ke — prostokątną klamrę nieco mniejszą niż wewnątrz jej dłoni. Lekko zakrzywiona powierzchnia metalu podzielona była po przekątnej płytkim wgłębieniem wyznaczającym dwa trójkątne pola — górne, wychodzące z lewego rogu, zawierające oznakowania zadeklarowanej dyscypliny, oraz dolne, pokazujące

innym rangę Szarim. Przyjrzała się swojej ke. Pole profesji nie było puste, choć zwyczajowo umieszczano oznaczenia dopiero po zatwierdzeniu zadeklarowanej przez qi-szamana dyscypliny. W środku widniał okrągły czarny kamień połyskujący szkliscie, identyczny z materiałem pokrywającym całą kłamrę Najstarszego. Dolna część, zgodnie z regułami, miała pomarańczową barwę identyfikującą nowicjat qi-szamana. Zasadniczo szata szamana ograniczała się do elite spiętego ke.

Zapinając specjalnie zaprojektowane zatrzaski klamry, dziewczyna poczuła w oczach wilgoć. Zamrugła, by pozbyć się efektów wzruszenia.

— Wiedziałaś od początku? — Rejwan wycelował oskarżycielsko palec w stronę Najstarszego. — Czy właśnie dlatego nas tutaj wezwałeś?

Najstarszy uniósł dłoń gestem powstrzymującym dalsze słowa.

— Co wiedziałem, to wiedziałem, ale możecie być pewni, że brak koloru w karafce Skry stanowi dla mnie takie samo zaskoczenie jak dla was. I nie, nie z tego powodu was wezwałem. Mamy do poruszenia znacznie poważniejsze kwestie, ale skoro już jesteśmy w takim gronie, to zapraszam wszystkich na filiżankę herbaty, przy której omówimy potencjalne konsekwencje tej niecodzienności. — Uśmiech na jego twarzy zdradzał odrobinę złośliwości.

## IV. Legenda Wieży Dwóch Światów

Siedząc przy jednym stole, już jako qi-szamanka, z największymi autorytetami plemienia Darzan, Skra czuła się niezręcznie i dziwnie, ale Najstarszy wskazał jej miejsce obok siebie. Prywatny pokój Najstarszego był znacznie przytulniejszym miejscem. Dziewczyna знаła to pomieszczenie, kilka razy miała już okazję w nim przebywać. Finezyjne meble z polerowanego starodębu, podłoga z wąskich, ciemnych deszczułek ułożonych w ciasną jodełkę i szklane, matowe kasetony na suficie jarzące się delikatnym

światłem o kolorze i natężeniu zależnym od nastroju maga tworzyły niepowtarzalny klimat. No i ten zapach świeżo zaparzonej herbaty, dziś w wersji z miętą i hibiskusem. Z drugiej strony taki intymno-herbaciany charakter jakoś nie pasował Skrze do ważkości tematów i dostojnego grona, ale cóż, na tyle znała już upodobania mistrza, by wiedzieć, że nie należy zwracać uwagi na jego nieco ekscentryczny sposób bycia.

Zastanawiała się nad całą sytuacją. Miała mętlik w głowie. Jak to się stało, że Najstarszy zaprzysiągł ją bez określonego rodzaju magii i że na jej ceremonii obecnych było czterech głównych Szarim? W dodatku zabrakło tej części, podczas której kandydaci otrzymywali nowe imię i deklarowali przynależność względem magicznej dyscypliny. Zupełnie też nie mogła zrozumieć, co robi czarny kamień na jej ke. Wszystko jednak schodziło na dalszy plan w obliczu dwóch przepełniających ją uczuć — ogromnej ulgi i szczęścia. Stało się. Spełniła marzenie swojego siedemnastoletniego życia — została Szarim!

Zapewne każdy z obecnych, nie mówiąc już o samej Skrze, niecierpliwie snuł domysły, ale dopóki rozmowy nie zaczęła Najstarszy, wszyscy w ciszy rozkoszowali się herbatą, kruchymi ciasteczkami i spadziowym miodem.

— Zanim poruszymy tematy, dla których was zebrałem, chciałbym, żebyśmy zamknęli kwestię naszej świeżo upieczonej szamanki. Odkąd istnieje rytuał zaprzysiężenia, nie zdarzyło się, by magia źródła nie określiła charakteru obdarzonego mocą. Czy mógłbym każdego z was prosić o osobistą opinię, co o tym zdecydowało?

Mężczyźni nie kwapili się do wyrażania zdania, oglądali się jeden na drugiego, aż w końcu Rejwan chrząknął, prostując się w zbyt wąskim dla siebie oparciu.

— Po prawdzie nie przychodzi mi do głowy nic rozsądnego poza pomysłem zgoła niedorzecznym, a jednak... — Pokiwał głową, jakby nie mógł się z czymś pogodzić. — ...stając w obliczu faktu, któremu zaprzeczyć się nie da, może... może jakimś wytłumaczeniem mogłoby być, że ta dziewczyna ma na tyle wielką



moc wewnętrzną, że żadna z naszych esencji nie mogła się z nią scalić. — Rozłożył dłonie w geście rozterki.

Najstarszy przeniósł spojrzenie na pozostałych, ale Wilko i Frakir wzruszyli tylko ramionami, dając do zrozumienia, że nie mają żadnej sensownej hipotezy. Jedynie twarz Tedora stężała w zamyśleniu. Pochylił się do przodu, splatając dłonie.

— W istocie to mogłoby być przyczyną, ale podobnie jak Rejwan, mam poważne wątpliwości, czy tak wielka moc, nawet gdyby istniała u tak młodej osoby, umknęłaby naszemu rozpoznaniu w czasie tych siedmiu lat. Niewątpliwie, co zresztą kiedyś nam osobiście zasugerowałeś, Skra jest niezwykle uzdolnioną szamanką i jej moc robi wrażenie, ale... — Pokręcił głową. — Przychodzi mi natomiast do głowy inne wytłumaczenie i choć wydaje się równie mało prawdopodobne, to jednak nie niemożliwe, przynajmniej teoretycznie. — Tedor przeciągnął dłonią po krótkiej brodzie i cicho odchrząknął. — Biorąc pod uwagę założenia działania naszych esencji w Sali Objawień, mają one wskazać ten rodzaj energii qi, który w kandydacie jest po prostu silniejszy... w pewnym sensie którego rodzaju magii jego umysł produkuje choćby odrobinę więcej. Ale przecież czysto hipotetycznie albo przynajmniej w chwili testu mogłoby być ich wszystkich dokładnie tyle samo. — Spojrzał na pozostałych, unosząc brwi.

— A o ile więcej wystarczyłoby, by uaktywnił się kolor? — Frakir mocno zainteresował się koncepcją.

— O cokolwiek. — Mistrz magii przesunął bezwiednie dłonią po blacie stołu, jakby chciał zetrzeć niewidzialny kurz. — Zasadniczo nawet o jedno modulo.

— Ale szansa, że tak by się zdarzyło, jest praktycznie żadna. — Frakir odchylił się w krześle, zagryzając wargi. — No chyba że nie jest to przypadkowość. Że z jakiegoś konkretnego powodu esencje, których układ przecież nie jest nawet stały w czasie, akurat układałyby się w czystej równowadze.

— W teorii o magii taki stan nazywamy pełną spójnością z ea, czyli samą esencją świata, ale jest to pojęcie czysto teoretyczne, wykorzystywane jako swego rodzaju stała w obliczeniach i rozważaniach modelowych.

Zapadła cisza. Skra zerknęła dyskretnie na Najstarszego. Sprawiał wrażenie mocno zamyślnego. W końcu odwzajemnił jej spojrzenie. W jego oczach widziała przez ułamek sekundy coś na kształt przeblysku zrozumienia i... podziwu?

— Przychyliam się do tego, na razie jedynie, założenia. — Najstarszy również pochylił się nad stołem. — Tedorze, cieszę się, że mamy w naszym gronie tak potężny umysł teoretyczny.

Mistrz magii skinął lekko głową w podziękowaniu za słowa uznania.

— To oczywiście nasza robocza interpretacja, którą będziemy jeszcze rozważać, ale na dziś musi nam wystarczyć do podejmowania decyzji. Przechodząc do pozostałych spraw: mam dla was kilka informacji.

Najwyższy Szarim wstał i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem obok stołu, z rękami założonymi za plecami. „No i tyle całej ceremonii, na którą się czeka siedem bolesnych lat” — refleksja, która przeszła Skrze przez głowę, nie miała w sobie żadnej goryczy. Radość i ulga z faktu zaprzysiężenia chwilowo wypierały jakiegokolwiek inne odczucia.

— Za tydzień mamy, jak wiecie, zgromadzenie. — Zatrzymał się i omiół spojrzeniem siedzących. — Tym razem wezmę w nim udział.

Mentorzy poruszyli się zaskoczeni. Najstarszy niezwykle rzadko uczestniczył w zgromadzeniach, na których z reguły dyskutowano — i czasem decydowano — o sprawach bieżących plemienia, o nowych działaniach lub zaniechaniu starych, o większych sporach i konfliktach między klanami, a czasem także o problemach bardziej lokalnych, ale o ogólnym charakterze. Zwyczajowo prezentowani też byli nowo zaprzysiężeni qi-szamani. Mistrz lekceważąco podchodził do zgromadzeń. Miał w nich decydujący głos, ale często oceniał je jako „mielenie ozorami o niskim znaczeniu decyzyjnym”. Szarim byli do tego przyzwyczajeni, gdy więc Najstarszy pojawiał się osobiście, chociażby na wybranej części spotkania, zawsze wywoływał zaskoczenie, poruszenie i kularowe spekulacje.

— Ale na razie chciałbym, żebyście zatrzymali te informacje w waszym gronie.

Spojrzeli po sobie jeszcze bardziej zdumieni.

— A co takiego mamy w rozkładzie, żeby to aż tak przykuwało twoją uwagę, mistrzu? — Rejwan jak zawsze, zgodnie ze swoją porywczą naturą, nie czekał z domysłami.

Najstarszy uśmiechnął się tajemniczo.

— Między innymi chodzi o postulaty Karana, którego frakcja zdobywa coraz większe poparcie.

Rejwan machnął nonszalancko ręką.

— Mistrzu, dobrze wiesz, że niezależnie, jak skutecznie ten chłoptaş będzie podzegał przeciw Wielkiej Przysiędze, nic mu to nie da. Jesteśmy jej wierni od prawie czterystu lat. — Wojownik założył potężne ramiona na piersi, wzgardliwie wysuwając dolną wargę.

— Nie o to chodzi, mój przyjacielu. — Mistrz znowu zaczął chodzić po pokoju. — Chcę wykorzystać zapał Frakcji Białych do ustalenia szczegółów pewnych zdarzeń z przeszłości. — Stał i zamyślił się nad czymś. — A poza tym myślę, że mocno nie doceniasz tego „chłoptasia”. Pamiętaj, że nie jesteśmy monarchią, tylko strukturą klanową. Ale jest też inna sprawa. Sprawa, którą wniesie na obrady czuwający.

Tym razem nawet Skra poruszyła się zaniepokojona.

— Mamy doniesienie o kolejnym tąpnięciu mocy na północnym wschodzie kontynentu. — Matowy ton głosu Najstarszego dobitnie świadczył o powadze zdarzenia.

— Jak duże? — zapytał Tedor prawie szeptem.

Mistrz popatrzył w zatroskane oblicze mentora magii.

— Niestety duże, bardzo duże.

— Na Jasność, to już trzecie tylko w tym cyklu. — Rejwan uderzył pięścią w dłoń, a na jego czole pojawiły się głębokie bruzdy zafrasowania.

— Musimy więc podjąć radykalne działania — mruknął do tej pory milczący Wilko.

— Tak. I dlatego będę potrzebował waszej pomocy podczas zgromadzenia. Również twojej, szamanko.

Skra o mały włos rozdziawiła usta ze zdziwienia. Powstrzymała się w ostatniej chwili.

Najstarszy podszedł do stołu, oparł dłonie o brzeg i dłuższą chwilę przyglądał się uważnie każdemu ze zgromadzonych. W powietrzu dało się wyczuć rosnące napięcie.

— Przyjaciele — zaczął tonem bardziej niż dotąd oficjalnym — obawiam się, że możemy stanąć w obliczu poważnego zagrożenia. Obawiam się też, że będzie to czas radykalnych decyzji. — Zwrócił się bezpośrednio do Skry: — Nie pytałem dotąd o twoje deklaracje dyscypliny. — Lekko westchnął. — I nie zapytam. Dołączysz do szamanów Orin. Jak już zauważyłaś, będziesz nosić białą szatę. Twoje imię, pod którym pozna cię świat, to... Winea.

Równie dobrze ktoś mógłby ją teraz zdzielić pałką w głowę. Ona szamanką Orin!? A więc resztę życia spędzi na tym przeklętym odludziu? I właściwie z czym związana jest biel szaty? Nigdy nie widziała takiego koloru elite. Będzie jak odszczepieniec, nawet tu. Dramatyczne myśli szalały w jej umyśle niczym gromy, niszcząc fundamenty jej dziecięcych marzeń. Wiedziała, że decyzje mistrza nie podlegają negocjacjom, mimo to nie potrafiła się powstrzymać przed jęknięciem:

— Ale ja nie mam doświadczenia, by uczyć kandydatów...

Najstarszy powstrzymał ją gestem dłoni.

— Nie takie będzie twoje zadanie. Od szkolenia adeptów mam mentorów, mądrych i wiedzących. Ty, Wineo, zostaniesz moim osobistym uczniem.

Nie miała pojęcia, co to tak naprawdę dla niej znaczy, w odróżnieniu od otaczających ją mentorów, którzy aż poruszyli się na swoich krzesłach. Potoczyła wzrokiem po ich twarzach, chcąc wyczytać z nich swój wyrok, zgodnie z którym miałyby zaakceptować przyszłość ograniczoną do tego skrawka świata. Wszyscy bez wyjątku wydawali się na równi osłupiali i poruszeni. Jedyłą emocją, która mogła coś podpowiedzieć, był cień respektu i jakby zazdrości w twarzy Tedora.

— Wineo, przyjdź dziś wieczorem, po kolacji, do komnaty obok Sali Wiedzy. Omówimy twoje zadania. A teraz zostaw nas samych, proszę. Oczywiście nie muszę ci chyba mówić, jak ważne jest, aby wszystko to, czego byłaś świadkiem, nie wyszło poza nasze

grono? — Najstarszy miał tendencję do ucinania ewentualnych dyskusji samym tonem wypowiedzi.

Wciąż zszokowana i zdezorientowana rozwojem wypadków, dziewczyna ukłoniła się sztywno zgromadzonym.

Gdy tylko wyszła bocznymi drzwiami, wiodącymi do pomieszczeń zajmowanych przez kandydatów, Frakir stwierdził stanowczo:

— Mistrzu, to imię... wybacz mi mój osobisty osąd twojej decyzji, ale to nie jest dobry wybór. Szarim zaczną szemrać, to pewne jak los mekona w potrzasku. Imiona pradawnych członków królewskiego Rodu Krwi nie powinny być ponownie używane. Nawet jeśli są to imiona z dalekiej przeszłości, część Szarim je rozpozna.

— A dodatkowo wyniesienie jej do pozycji twojego osobistego ucznia, gdy jest jeszcze siedemnastoletnią, zieloną jak szczypiorek qi-szamanką... — Rejwan pokręcił głową z dezaprobatą. — Relacje pośród szamanów ma z góry ustawione i nie zazdroszczę jej. Mimo całego zaszczytu, jakim jest zostanie twoim uczniem, rzecz jasna — dorzucił szybko.

— Cóż, jestem świadom tego, co ją czeka, ale uwierzcie mi, mam bardzo ważne powody podjąć dokładnie takie decyzje. — Najstarszy przysiadł na krześle z lekką rezygnacją. — A co do imienia: ważniejsze jest dla mnie, na ile ono oddaje osobowość.

„I przeznaczenie” — dodał w myślach.

— Ale to też mi przypomina, że kolejną sprawą, dla której was tu wezwałem, jest właśnie Winea i rola, którą dla niej określiłem. — Powiódł skupionym wzrokiem po zebranych. — Ta szamanka będzie bardzo potrzebowała waszego wsparcia, przede wszystkim tego niewidocznego. — Dostrzegłszy pytające spojrzenia, kontynuował: — Potraktujcie to też jako moją prywatną prośbę. Osobiście przedstawię Wineę na zgromadzeniu jako nową qi-szamankę, ale też mojego ucznia. Oficjalnie będzie działać nad ulepszeniem spraw ustroju naszego społeczeństwa, prowadząc prace badawcze i historyczne. To da jej dostęp do sfer polityki, zbiorów wiedzy, ale też możliwość zadawania dowolnych pytań bez zbędnych podejrzeń, a nawet poruszania się po całym kontynencie. Chcę,

o czym wiecie wyłącznie wy i parę wtajemniczonych osób, by zbadała naturę jednego z miejsc na północnym wschodzie.

— Czy to ma jakiś związek z tym ostatnim tąpnięciem? — spytał Tedor, upijając łyk chłodnej już herbaty.

— Możliwe. Ale wolałbym, żeby nie miało.

— Powiesz nam, o jakie miejsce chodzi, mistrzu? — Rejwan starał się mówić spokojnym tonem, ale widać było, że aż pali się do udziału w działaniach konspiracyjnych.

Najstarszy odchylił się na oparciu i przez chwilę obracał w dłoniach spodek razem z filiżanką. Zbierał myśli.

— Co wiecie o Wieży Dwóch Światów zwanej też Przejściem Królów lub Lustrzaną Komnatą?

Z oczywistych względów pierwszy odezwał się Tedor:

— To tylko legenda. Jedyne znane mi zapiski mówiące o tym mitycznym miejscu sugerują, że jest to swego rodzaju metateleporter dwukierunkowy, łączący Stary Kontynent Amadal z innym miejscem.

Najstarszy pokiwał głową potwierdzająco.

— Coś więcej? — Zachęcał wzrokiem pozostałych.

Tedor zmarszczył czoło, próbując odszukać w pamięci dodatkowe informacje.

— W jednej z pieśni mistycznych jest wzmianka o Przejściu Królów. To oczywiście poetycki tekst, ale wyraźnie z niego wynika, że skorzystać z tego teleportera może albo ktoś o niebywałej mocy, albo członek Rodu Krwi. Wieża miała być jednym z pobłogosławionych darów przekazanych ludziom przez bogów w czasach błogosławieństwa Ogromirów. Tak zwanym ósmym Wielkim Artefaktem. — Wzruszył ramionami.

— Czyżbyś, mistrzu, znalazł jakieś materiały potwierdzające istnienie tego miejsca? — Frakir żywo zainteresował się tematem, podobnie jak Tedor traktując odkrywanie źródeł i istoty magii jako swoją życiową pasję. Szczególnie jeśli w grę wchodziły telepatia i teleportacja, związane ściśle z właściwościami umysłu. — Czy Winea ma właśnie odnaleźć te materiały?

Najstarszy uśmiechnął się wymownie.

— Nie, nie chodzi o materiały o Wieży Dwóch Światów. — Odczekał chwilę, trzymając zebranych w napięciu. — Chodzi o samą Wieżę.

Zszokowani szamani z niedowierzaniem spoglądali to po sobie, to na Najstarszego.

— Chcesz nam powiedzieć, że odkryłeś Przejście Królów?! — Rejwan aż wstał z miejsca.

— Ale to by znaczyło, o ile dobrze zrozumiałem Tedora, że tym drugim miejscem, z którym miałyby być połączony Stary Kontynent, jest... nasz. — Wilko myślał na głos. — A to z kolei otwiera nam... na Jasność... — Zamilkł, nie chcąc już dalej wymawiać swoich wniosków na głos.

— Czy zdajesz sobie sprawę, mistrzu, z konsekwencji takiego odkrycia? — Tedor wyglądał na wstrząśniętego. — Dlaczego posyłasz do sprawdzenia twoich przypuszczeń akurat Wineę, a nie na przykład nas czy innych doświadczonych szamanów? Przecież to wyprawa poza Sid, jej pierwsza, notabene.

— Spokojnie, spokojnie. — Najstarszy próbował gestem ostudzić coraz gorętsze emocje mężczyzn. — Zdaję sobie sprawę ze wszystkiego, co teraz przychodzi wam do głów. Opanujcie się. — Sam też wstał i znowu zaczął spacerować po pomieszczeniu. — Winea ma nie tylko odnaleźć Wieżę, ale też odkryć jej naturę. — Podszedł do jednego z regałów z mnóstwem zamkniętych wnek i wyjął wąską tubę używaną do przechowywania manuskryptów. — Tu macie swoje instrukcje oraz szkice map tamtych terenów. Winea potrzebuje najlepszego łowcy.

Wilko dał znak dłonią, że rozumie.

— A także wiernego sit, który będzie gotów oddać w jej obronie życie.

Rejwan potarł brodę, najwyraźniej wybierając w myślach wśród swoich ludzi odpowiedniego kandydata. Profesja osobistego ochroniarza nie była zbyt popularna wśród Szarim, a w randze sit, czyli zaprzysiężonego powiernika życia, miał jedynie trzech wojowników, łącznie spełniających kilka kryteriów sprawności i uzdolnień na poziomie mistrza: walka nożem, walka wręcz,

szermierka wieloma rodzajami broni oraz zastawianie i rozbieranie pułapek.

Gdy mentorzy pochyłali się nad rozwiniętymi kartkami, Najstarszy kontynuował:

— Wszystko to muszą być też najbardziej zaufani ludzie, którym nic nie wymyślnie się o naszych wciąż domysłach i planach. Zdajecie sobie chyba sprawę, co by się stało, gdyby te informacje dotarły teraz i w takiej formie do Szarim czy nawet kręgu.

— Kiedy Winea ma ruszyć? — Rejwan podniósł wzrok znad papieru.

— Po zgromadzeniu, bez zbędnej zwłoki.

— Nie odpowiedziałeś nam, mistrzu, dlaczego wysyłasz na tę misję akurat ją — przypomniał Frakir.

— Ach, cóż. Hipoteza o idealnej równowadze wszystkich esencji w umyśle Winei zwyciężyła. — Uśmiechnął się tajemniczo. — Zapewne tego nie wyczuliście, ale w trakcie testu ostatecznego przejścia w aurze Skry dokonała się subtelna, acz kluczowa zmiana. Ona jest inaczej... ukształtowana, niż była, gdy wychodziła stąd jako kandydat. Jej... jak to nazwałeś, Tedorze, spójność z ea?

Szaman potwierdził lekkim kiwnięciem głowy.

— No właśnie, więc jej spójność z magią natury jest teraz nie tylko pełna, ale też stabilna.

Tedor uniósł pytająco brwi.

— A nawet biorąc pod uwagę wyjątkowość tej cechy, jak to wpływa na wyznaczenie jej do tego zadania?

Najstarszy znowu przybrał lekko złośliwy uśmiešek.

— Ty mi to powiedz. Masz niecały tydzień, by przygotować Wineę do wykorzystania tej właśnie cechy w celu zdobycia informacji o Wieży.

Tedor aż prychnął, ale Najstarszy jak zwykle samym tonem wypowiedzi zamknął spotkanie.

— Wszystkie wasze bieżące obowiązki schodzą chwilowo na dalszy plan. Ta misja ma dla nas pierwszorzędne znaczenie.

Kiedy zbierali się do wyjścia, Najstarszy pomyślał gorzko: „Gdybyście wiedzieli, ile sam ryzykuję, wyznaczając ją do tego zadania...”.



## V. Sala Wiedzy

Nie miała ochoty na spotkanie teraz kogokolwiek. A szczególnie Eliota. Nie żeby go nie lubiła, wręcz przeciwnie — darzyła go największą sympatią ze wszystkich kandydatów przebywających obecnie na wyspie Orin. Właściwie byli nawet przyjaciółmi, jednak chwilowo desperacko potrzebowała spokoju, aby przemyśleć sobie wszystko. A poza tym musiała się spakować. Nawet jeśli miałyby nadal przebywać na Orin, nie mogła już pozostawać w obszarze pomieszczeń kandydatów. Niestety, nie da się niepostrzeżenie dotrzeć do swojego pokoju, jeśli ktoś po prostu czeka pod twoimi drzwiami.

— Ho, ho, ho, widzę, że jakiś kandydat przebrał się za szamana. — Smukły młodzieniec z ciemną czupryną gwizdnął przeciągle. — I to, proszę, proszę, za... — Na widok podchodzącej dziewczyny Eliot rozdziawił usta. Wytrzeszczał oczy, patrząc to na jej twarz, to na pas.

— No cóż, nie myślałam, że mój niefart może mieć też pozytywne skutki. — Winea stanęła dwa kroki przed drzwiami i przyjęła swobodną pozę z założonymi na piersiach rękami, opierając się ramieniem o ścianę. — Ale okazuje się, że biały kolor elite niesamowicie oddziałuje na męczące przytyki nieopierzonych nowicjuszy. — Uśmiechnęła się lekko drwiąco. — Dałabym głowę, że blokuje im niektóre istotne zdolności myślowe i... jakoś tak dziwnie powoduje idiotyczny grymas na twarzy. — Sparodiowała minę chłopaka.

Eliot sapnął i zgrzytnął zębami, już szykując się do jakiejś kąśliwej riposty, ale ostatecznie uśmiechnął się i odpuścił. Przyjął za to lustrzaną pozycję naprzeciw Winei, próbując z kolei zmałpować typowo dziewczęcy sposób ułożenia sylwetki z lekko wypchniętym biodrem. Odwzajemniła uśmiech.

— Oj, Eliot, Eliot, nigdy nie dajesz za wygraną, co? — westchnęła zrezygnowana. — Wybacz, ale dzisiaj wyjątkowo nie mam nastroju na przekomarzania.

— A to nie dziś jakby jest ten dzień, na który czeka się siedem lat? Hmm, jakby ceremonia zaprzysiężenia czy jakoś tak? — Udawał, że próbuje sobie coś przypomnieć, po czym nagle spowaźniał. — A po drugie nie „Eliot”, tylko „szamanie Kalen”, proszę.

— Też ładnie. — Dziewczyna spróbowała go wyminąć, pokazując, że to naprawdę nie jest dobry moment na zwracanie jej głowy.

— Hej, no daj spokój. — Zatrzymał ją, chwytając za ramię. — Przyszedłem ci tylko pogratulować — dodał z chytrym uśmieszkiem. — A wiesz, tylko dwie osoby postawiły na to, że dasz radę za pierwszym razem. Zgadnij, kto za chwilę stanie się szczęśliwym posiadaczem aż dwóch dodatkowych nowiutkich księżyców.

— Postawiłeś na mnie TYLKO dwa księżyce!?! — Winea poczuła się dotknięta do żywego, chociaż akurat nie wysokością zakładu, tylko faktem, że większość obstawiała jej porażkę. Nagły impuls, który normalnie by zignorowała, zlał się ze wszystkimi emocjami kotłującymi się w niej już od dłuższego czasu, dotąd bez możliwości rozładowania. — O wy zgniłe śledzie! — wybuchnęła nieadekwatnie gwałtownie do sytuacji. — Idź i powiedz tej całej zgrai, że mają ci dopłacić trzykrotność, bo nie dość, że wykonałam zadanie, którego nawet nie ośmielono się dać innym kandydatom, to jeszcze zostałam szamanką Orin, z białym elite, którego nikt nigdy nie zakładał, a na ostatek mistrz mianował mnie swoim uczniem!

— Swoim uczniem? — Kalen znowu wybałuszył na nią oczy. — Ale przecież już nie jesteś uczniem, przecież zostałam zaprzy...

— O S O B I S T Y M uczniem Najstarszego. — Winea zaakcentowała pierwsze słowo.

— Ale właściwie... co to znaczy? — Kalen drapał się po głowie i marszczył zabawnie brwi.

— A choćby to, że teraz jestem cholernie ważnym Szarim — kontynuowała, dając upust nagromadzonej frustracji. — Żałuj, że nie widziałeś min Rejwana i Tedora, gdy się dowiedzieli... — Dalsza wypowiedź utknęła jej w gardle. „Niech Mrok pożre moją głupotę i zbyt długi jęzor!” — nagła myśl chlasnęła jej świadomość

parzącym biczem. „Szlag, szlag, szlag, ten pleciuga na pewno rozpowie wszystkim”.

— Kiedy by mieli się dowiedzieć? Przecież dopiero co wyszłaś z pomieszczeń Najstarszego. — Chłopak mierzył ją wzrokiem z rosnącym zaciekawieniem.

— Uch... — Winea wiedziała, że nie będzie teraz łatwo wykręcić się byle czym. Przed kim jak przed kim, ale na pewno nie przed Kalenem. — Słuchaj, mam za sobą naprawdę paskudne dni, bolesne spotkania z wkurzonymi lotardami i szokujące decyzje niektórych ludzi, które właśnie wywracają moje życie do góry nogami. Byłabym ci dozgonnie wdzięczna, gdybyś dał mi chociaż dojść do siebie.

Chłopak przygryzł wargę i kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Zdradź przynajmniej, jaki rodzaj magii oznacza ten biały elite.

— A myślisz, że mam o tym jakiegokolwiek pojęcie? — Wzruszyła ramionami. — Ale i tak nie mogłabym ci nic powiedzieć, bo Najstarszy nakazał zachować bezwzględne milczenie. Jak go znam, kazałby mnie obedrzeć ze skóry, gdybym coś pisnęła. Nawet sam fakt, że ci to teraz mówię, jest niebezpiecznym naciąganiem struny.

— Znaczy się duża sprawa. — Kalen mlasnął i się zamyślił. — A może chcesz, żebym przyłożył ucho tu i tam? No wiesz...

Energicznie zaprzeczyła.

— No to spotkamy się już po drugiej stronie — zakończył, patrząc na nią w ten swój charakterystyczny sposób, sprawiający, że zaczynała się zastanawiać, czy ich relacja to aby tylko przyjaźń.

— Tak, do zobaczenia po drugiej stronie — odrzekła równie ciepło utartym powiedzeniem kandydatów uzyskujących tytuł qiszamana i otworzyła drzwi do swojej izby.

Gdy została sama, odetchnęła głęboko, próbując pozbierać w jakikolwiek porządek myśli i emocje.

Spojrzała na świetlik pokazujący na ścianie porę dnia. Niewielka plamka jasnego światła słonecznego, które szeregiem wąskich kanałów przewierconych przez skałę docierało do wyżłobionej sekwencji kresiek, wskazywała dwie miary czasu do kolacji. Rozejrzała się. Skromny wystrój, niewielki stół z krzesłem, kilka

wnęk na ubrania, proste drewniane łóżko, specjalny stelaż do ćwiczeń, mały stojak na broń. Poczwała delikatne ukłucie żalu. Rozstawiała się z czymś, co tworzyło swego rodzaju dom przez prawie połowę jej życia, jakkolwiek pustelniczo by on wyglądał. Pomyślała, że „pakowanie się” to w tym przypadku zbyt wyniosłe pojęcie. Całość jej dobytku zmieści się w jednym niedużym worku podróżnym, a wrzucenie wszystkiego zajmie dosłownie chwilę. Teraz, gdy była już poza rygiem rytmu dnia wypełniającym szczerze życie każdego z kandydatów, musiała zastanowić się sama, jak wykorzystać te ponad dwie godziny pozostałe do spotkania z Najstarszym. Jako qi-szamanka nie musiała też uczestniczyć w kolacji, z czego postanowiła skwapliwie skorzystać. „Zdaje się, że czeka mnie jeszcze tyle ochów i achów na widok koloru moich szat, że przesunięcie tego o jeden dzień bardzo mi się przyda”. Skrzywiła się na samo wyobrażenie tych setek spotkań z innymi Szarim, a być może nawet ze zwykłymi Darzanami, którzy będą wlepić oczy w jej pas i robić durne miny. Przyszło jej na myśl, że chyba najrozsądniej będzie wstępnie zorientować się co do swojej nowej roli. Blefowała w rozmowie z Kalenem — tak naprawdę nie miała bladego pojęcia, co oznacza bycie uczniem Najstarszego.

Spakowała się szybko i ruszyła do Sali Wiedzy, w której zgromadzono wszelkie księgi, mapy i zwoje, a także specjalne podręczniki dla kandydatów. Usiadła przy jednym ze stolików, czekając, aż podejdzie do niej Keor — wiedzący opiekujący się zbiorami, bez którego zgody nie wolno było niczego przeglądać. Nawet Najstarszy, gdy potrzebował jakiegoś egzemplarza, zawsze prosił Keora o konkretny tytuł lub propozycję pozycji mogącej zawierać interesujące informacje. Lubiła specyficzną woń tego miejsca, której nie mogła porównać z żadną inną. Czasem nawet, gdy nikt nie widział, wachała pergamin i skórzane okładki ksiąg. Jak na podziemne pomieszczenie Sala Wiedzy była bardzo jasno oświetlona ciepłym blaskiem sufitowych kasetonów, podobnych jak w pomieszczeniach Najstarszego, tyle że jaśniejszych.

Łysy szaman zjawił się po chwili. Spojrzał pytająco na dziewczynę, marszcząc brwi na widok pasa i klamry.

— Czego potrzebujesz, Szarim? — spytał rutynowo, chociaż jego oczy nie odklejały się od elite Winei.

— Witaj, wiedz... Witaj, Keorze — poprawiła się. — Czy mógłbyś, proszę, podpowiedzieć mi, gdzie znalazłabym jakieś informacje o... — Zastanowiła się przez chwilę, jak to określić. — ...byciu uczniem Najstarszego?

Wiedzący otworzył szerzej oczy, po czym znów skupił wzrok, tym razem na ke Winei. Jego poorana zmarszczkami twarz wyrażała szybkie kojarzenie faktów, a następnie pogłębiające się zdumienie. Milczał pogrążony w zamyśleniu.

— Przyniosę ci zaraz jedną czy dwie pozycje.

Podreptał między wysokie regały ciągnące się szeregiem w dodatkowych korytarzach przyległych do sali. Gdy wrócił, niósł aż trzy różnej wielkości księgi, a pod pachą — tubę na manuskrypty.

— Pomyślałem sobie... Szarim...

Uświadomiła sobie, że wiedzący nie używa jej nowego imienia, bo się nim nie przedstawiła, a zgodnie ze zwyczajem, zobaczywszy nowicjat, nie chce jej urazić, posługując się starym. Przeklęła się w duchu za swój brak taktu.

— ...że może cię zainteresować też nieco informacji o regułach sprawowania władzy w Sid.

„O sprawowaniu władzy w Sid? A do czego mi ta wiedza?” Zupełnie nie potrafiła sobie wyobrazić jakiegokolwiek sensownego kontekstu. Wzruszyła ramionami.

— Keorze... Wybacz, nie przedstawiłam ci mojego imienia. — Poczowała skrępowanie, bo przecież znała go bardzo dobrze i nawet lubiła mimo jego chłodnego dystansu. — Otrzymałam na ceremonii imię Winea.

Stary szaman po raz trzeci okazał zadziwienie. Tym razem oczy niemal wychodziły mu z orbit — otwierał je bardziej i bardziej, trawiąc to, co usłyszał. Przez chwilę wydawało się nawet, że otworzy też usta, co byłoby pewnie miną stulecia w jego przypadku.

— Keorze... Czy powinnam wiedzieć coś na temat mojego imienia Szarim? — Zaczynała się niepokoić, że istnieje jeszcze jeden powód stania się największym dziwadłem w plemienu.

— Eee... Wineo. — Starzec pocierał dziwnie nerwowo swoją łysinę. — Twoje imię... hmm... Może usiądźmy.

Opadł na jedno z krzesel. Badawczo jej się przyglądał.

— Nie rozumiem niektórych decyzji mistrza — zaczęła, jakby mówił sam do siebie. — Nie nadaje się nikomu imienia, które nosił już ktoś błogosławiony. — Zobaczywszy brak zrozumienia i niepokój u Winei, odchrząknął, wyraźnie szykując się do dłuższej opowieści. — To imię jednej z królowych Rodu Krwi. To oczywiście zamierzcha przeszłość, jeszcze gdy ród panował wyłącznie na Amadal, czyli Starym Kontynencie. Winea jest dość... hmm... tragiczną postacią w historii dynastii. Edward Szarowłosa miał trzech synów. Jak wiesz, pierwszeństwo przejścia próby uświęcenia na tronie mocy i odziedziczenia władzy miał najstarszy, ale, jak to często w dziejach bywa, pozostali pretendenci mieli własne ambicje i nie czekali biernie na rozwój wydarzeń. Po śmierci Edwarda Dargbor, najmłodszy z synów, sprowokował pojedynek starszych braci na tyle skutecznie, że obaj jego konkurenci zmarli z powodu odniesionych ran. Istnieje nawet domniemanie, że osobiście pomógł im w przejściu do chwały Jasności. Jak się później okazało, od jakiegoś czasu pozostawał pod wpływem jednego z bóstw mroku i gdy jako jedyny królewski potomek zasiadł na tronie mocy, ten mistyczny artefakt zamiast uświęcić, prawie spalił go żywcem. Prawdopodobnie to samo bóstwo, które skaziło błogosławioną krew, ocaliło go, pomagając przetrwać straszliwe oparzenia, chociaż świadkowie, którzy mieli później okazję ujrzeć Dargbora, mówili, że jego ciało pozostało strawione i nigdy się nie zagoiło.

— A jak pojawiła się w tym Winea, skoro nie było żadnego następcy Krwi? — rzuciła pytanie, wykorzystując pauzę Keora.

— Ano, właśnie. Na Starym Kontynencie, jak zresztą powinnaś wiedzieć z moich nauk, przerwanie ciągłości panowania Rodu Krwi oznaczałoby wojny i chaos. Zbyt wiele innych ras ma w naturze krwawą ekspansję. Ponieważ starsi bracia zginęli bezpotomnie, najbliższe otoczenie króla podjęło szeroko zakrojone poszukiwania domniemanej córki Dargbora z nieślubnego łoża, bazując jedynie na zasłyszanej pogłosce o jej istnieniu. Wszystkie dziewczynki,

na które padło podejrzenie, że mogą być potomstwem królewicza, poddawano próbie uświęcenia.

— Ale przecież... na Jasność, wszystkie te nieprawdziwe musiały podobnie spłonąć! — Winea była przerażona. Starzec pokiwał tylko smętnie głową.

— Owszem. Nazwano nawet ten akt rozpaczliwego okrucieństwa próbą siedmiorga. W końcu, po wielu miesiącach inwigilacji i sprawdzania różnych tropów, daleko na północy, na bagnach, odnaleziono jeszcze jedną kilkunastoletnią kandydatkę. Mimo oporów jej i jej matki zabrano dziewczynkę do stolicy. Tron uświęcił ją, obdarzając mocą Rodu Krwi, ale tu kończą się dobre informacje.

— Tak jakby śmierć królewskich synów, obłąd jedynego następcy, spalenie siedmiorga niewinnych dzieci i odebranie matce niczego nieświadomej córki były dobrymi informacjami. — Winea westchnęła, czując już nadchodzące kłopoty związane z jej imieniem.

Keor milczał, dobierając w myślach słowa.

— Skoro tak to widzisz, pominię zatem komentarz o reakcji arystokracji i samego ludu na wieść o tym, że ich władcą ma zostać nastoletnia dziewczynka, dziki, niewykształcony bękart człowieka skażonego mrokiem, a także mieszaniec półkrwi.

Teraz z kolei szamanka wytrzeszczyła oczy.

— Mieszaniec? A z kim była zmie... znaczy spokrewniona? — Czują suchość w gardle.

— Hmm, nie wiem, czy forma „z kim” jest tu odpowiednia. — Starzec oparł się o stolik, ścisząc nieco głos. — W jej żyłach płynęła krew Arrakinów, choć ponoć wygląd jej matki wskazywał, że ona sama też była mieszaneccem.

— Na tronie Rodu Krwi zasiadała kiedyś pół-Arrakinka?! — Winea nie mogła uwierzyć własnym uszom.

Szaman wzruszył tylko ramionami.

— W ramach twojej edukacji historycznej nie było miejsca na takie szczegóły. Tak czy inaczej, najgorsze było co innego. — Nieznacznie poprawił się na krześle. — Jej ojciec, który wówczas przyjął już pod wpływem mroku imię Semaël, na wieść o tym, że na tronie zasiadła jego córka, wpadł w straszliwy gniew.

Wykorzystując czarną magię, podjął próbę zgładzenia wtedy już Winei, ale, jak można przeczytać w kronikach, ostatecznie nie był w stanie zabić własnego dziecka. Nigdy nie dowiemy się, czy chodziło o to, że nie mógł się na to zdobyć, czy po prostu uświęcona młoda królowa posiadała już moc zdolną oprzeć się jego magii. W każdym razie rzucił na nią przewrotnie okrutną klątwę. Każdy mężczyzna, którego dopuści do swego łoża, miał zginąć w przeraźliwych męczarniach.

— Jak on wymyślił coś tak... — Szamanka szukała odpowiedniego słowa, ale nie znalazła niczego satysfakcjonującego. — No i jak udało mu się osadzić takie zaklęcie w czasie w otoczeniu kogoś pobłogosławionego?

Keor wzruszył ramionami.

— Nie sposób dziś ustalić, na ile to faktycznie była prawdziwa klątwa, a na ile tylko złowróżbna obietnica, jednak rezultat był zgodny z zamiarami Semaela: wszyscy kochankowie jego córki bardzo szybko ginęli w budzących grozę okolicznościach.

— Uch. — Winea czuła, jak robi jej się gorąco. — Czy ta wiedza jest znana innym Szarim? — zapytała, ale nie liczyła zbyt na zaprzeczenie.

— No cóż. — Wiedzący popatrzył na nią ze współczuciem. — Obawiam się, że niektórzy starsi dość dobrze znają historię Amadal, przynajmniej na poziomie podstawowych faktów. Mogą też znać romantyczny wątek losów królowej. — Ujrzawszy pytające spojrzenie dziewczyny, niepewnie kontynuował: — W jej otoczeniu pojawił się mężczyzna, który okazał się wielką miłością monarchini, zresztą odwzajemnioną. Trestin, dowódca stołecznego garnizonu w Oroburku, bo o nim tu mowa, przez wiele lat był nieskonsumowanym kochankiem, ale gdy królowa dobiegała wieku, w którym kończył się jej czas możliwości pozostawienia potomka, postanowił poświęcić na szali swoje życie i sprawił, że stała się brzemienną. Ktoś замуrował go w bloku zaprawy używanej do wzmocnienia zewnętrznych fragmentów fortyfikacji w taki sposób, że musiał jeszcze długo żyć, bo cała powierzchnia muru pokryta była licznymi śladami krwi. Po narodzinach dziecka, kolejnego dziedzica Rodu Krwi, Winea rozkazała postawić



przy jednej z baszt Oroburka makabryczny pomnik. Sylwetka Trestina została wyrzeźbiona z tego samego bloku, w którym został uwięziony, i to tak, by zachować jak najwięcej krwawych nacieków.

Zesztywniała szamanka przełknęła głośno ślinę wpatrzona tępo w blat stolika. Keor chrząknął tylko, wymownie poklepał przyniesione księgi, ostrożnie wstał i oddalił się, by dziewczyna mogła w spokoju przetrwać usłyszaną historię.

„Dlaczego Najstarszy wybrał dla mnie takie imię?” — żaden sensowny powód nie przychodził jej do głowy. „Biorąc pod uwagę kolor szat i to feralne imię, może i lepiej, że moja przyszłość będzie związana z Orin. Mniej kontaktów z ludźmi, mniej trudnych sytuacji” — próbowała oswoić się z gorzkimi myślami.

W końcu wyuczona samokontrola skierowała jej uwagę na księgi. „Negatywne emocje biorą się z negatywnych myśli, a myśli można zmienić na inne, wystarczająco decyzja i chwila koncentracji na czymś innym, co jest dla ciebie istotne” — cytaty z wpajanych latami nauk pojawiały się w jej umyśle automatycznie. Otworzyła grube tomisko w mocno wysłużonej skórzanej oprawie — *Dzieje władzy plemion darzańskich*. Chwilkę zajęło jej znalezienie ustępów odnoszących się do terminu „uczeń najwyższego mistrza”. Nie napisano na ten temat wiele, ale przekaz był dość jednoznaczny: pozycję ucznia Najstarszego przewidziano i zasadniczo zarezerwowano dla... jego potencjalnego następcy!

„Na Jasność i

Światło! Czyżby mistrz planował...? Ale to bez sensu. Jestem zwykłą córką...” Nagle przypomniała sobie słowa Wszechmatki. Powoli zaczynało docierać do niej znaczenie sygnałów, które dotąd wprawdzie ją dziwiły, ale którymi nie zaprzętała sobie głowy. Zaproszenie na jej ceremonię czterech głównych mentorów, włączenie jej do grona szamanów Orin, uznanie i może nawet nutka zazdrości w oczach Tedora, dobór ksiąg przez Keora... Zagryzła wargi strapiona, próbując to sobie jakoś ułożyć. Z zamyślenia wyrwał ją gong oznaczający porę kolacji. Westchnęła i wysłała ostrożną myśl wiedzącemu. Zjawił się wkrótce.

— Keorze... — zaczęła ostrożnie. — Trochę jestem dziś skołowana i... dużo tych informacji w przyniesionych przez ciebie pozycjach.

Czy możesz mi zapamiętać tytuły, bym mogła jeszcze później to postudiować?

— Oczywiście. — Wiedzący delikatnie skłonił głowę. — Idź na kolację, a po niej znów się spotkamy. — Dostrzegłszy jej zaskoczenie, dokończył szybko: — Mistrz powiedział, że macie obok spotkanie i że mam do was dołączyć.

Winea skrzywiła się kwaśno.

— Nie jestem dziś głodna. — Pozwoliła sobie na małe kłamstwo. — Usiądę tam od razu i zaczekam.

— Aha.

Keor rozejrzał się zupełnie tak, jakby przed chwilą coś przerwał i teraz chciał do tego wrócić.

— Mam jeszcze jedno pytanie — podjęła Winea nieśmiało, nie wiedząc, czy temat, który planowała poruszyć, nie należy czasem do tabu w gronie Szarim. — Czy możesz mi wyjawić... jak stary jest nasz mistrz? Czy wolno mi to wiedzieć? — Spojrzała uważnie w oczy szamana.

— Hmm. — Wiedzący potarł dłonią brodę. — Nie jest to tajna wiedza, chociaż też nie jest powszechnie dostępna. Ale tobie mogę ją przekazać. — Odwzajemnił spojrzenie. — Nikt nie zna jego dokładnego wieku, ale jedno jest pewne: kiedy przyplłynął tu z wyprawą nadziei, był jeszcze młodzieńcem.

Winea otworzyła oczy ze zdumienia.

— Mistrz przyplłynął tu z flotyllą osadniczą Grywora Wysokiego?! Ale to by znaczyło, że ma co najmniej czterysta lat! — Położyła z wrażenia dłoń na czole. — I że był świadkiem składania Wielkiej Przysięgi przez pierwszych Darzan!

— Nie tylko byłem świadkiem.

Oboje drgnęli na dźwięk słów Najstarszego, który niespodziewanie pojawił się tuż obok. Na jego twarzy błąkał się tajemniczy uśmiezek.

— Byłem również jej sygnatariuszem.

Bawiła go konsternacja młodej qi-szamanki.

— No dobrze, skoro już jesteśmy w tym gronie, załatwmy szybko najpilniejsze sprawy. — Skinął dłonią na drzwi pomieszczenia przylegającego do Sali Wiedzy.

Gdy usiedli przy stoliku połączonym z jednym z regałów, przeszedł od razu do sedna.

— Keorze, chciałbym, abyś w ramach swych obowiązków znalazł możliwie dużo czasu, by przekazać Winei informacje o Starym Kontynencie. Mam tu na myśli wszelką wiedzę, która pozwoli jej zrozumieć, jak funkcjonowało królestwo w dawnych czasach, przed ostatecznym rozłamem.

Wiedzący potarł łysinę.

— Bez mała czwarta część naszych zbiorów dotyczy tego typu informacji. Myślę, że zapoznanie się z generaliami może dokonać się do przyszłej wiosny, a potem...

— Mam tu bardziej na myśli niecały tydzień, przyjacielu. — Mistrz zabębnił palcami po blacie. — Dwa tuziny ostatnich dynastii, ich koligacje, ich losy w dużym skrócie, mapy kontynentu z zaznaczonymi wpływami i ich zmianami na przestrzeni ostatniego wieku przed rozłamem, specyfika wszystkich głównych ras, najważniejsze wydarzenia, nazwiska, nazwy miast i istotnych miejsc. Polityka na tyle, na ile da się to uogólnić. No i struktura magii, ale to pewnie oczywiste.

Winei wydało się, że widzi w mistrzu brzemień tych setek lat.

— Uch. — Wiedzący kiwał głową i kręcił się nerwowo na krześle. — To raczej Sala Wiedzy będzie nieczynna przez tydzień.

— Zamieść na drzwiach informację, że robisz porządki pod inspekcją kręgu.

Keor skrzywił się na żart Najstarszego, ale potwierdził skinieniem głowy.

— Postaram się wyselekcjonować odpowiednie fragmenty i dopowiadać resztę. Dużo jednak zależy od samej Winei.

— O jej motywację się nie martw, będzie z pewnością bardzo wysoka. — Najstarszy nawet nie spojrzał w jej stronę, wstając od stolika. — Będziesz też objęty klauzulą milczenia w tej sprawie. Plotki na temat naszego nowego Szarim mają już obecnie na czym się skupić i niech tak pozostanie.

Zerknął na swojego ucznia, po czym dał znak Keorowi, że to wszystko. Łysy szaman skłonił się lekko Winei i wyszedł.

Dziewczyna zdążyła jeszcze uchwycić czające się w jego oczach współczucie.

## VI. Pierwsza misja

Gdy tylko zostali sami, arcymistrz westchnął ciężko i opadł na krzesło. Milczeli przez dłuższą chwilę, aż Najstarszy niespodziewanie przymknął oczy. Winea poczuła wokół gwałtowny skok natężenia magii. Odruchowo skupiła się na identyfikacji rodzaju zaklęcia. To była bariera dźwięku, ale nie taka, jaką wytwarzała wielokrotnie na ćwiczeniach. Ta musiała być potężna, bo dziewczyna czuła się wręcz otoczona zewsząd drganiami. Musiała przełknąć ślinę z powodu powstałego ciśnienia, by odetkać uszy. Doskonale wiedziała, jak dużej koncentracji i mocy wymaga takie działanie. Przyjrzała się swojemu mistrzowi. Rozluźnił się, odchrząknął i jak gdyby nigdy nic wstał i zaczął po swojemu chodzić tam i z powrotem z założonymi na plecach rękami. Wiedziała oczywiście, że jest najpotężniejszym z żyjących magów, ale gdyby ktoś chciał na niej zrobić wrażenie, to właśnie takim pokazem udałoby mu się to z całą pewnością.

— Wineo — przemówił w końcu — jesteś szczególną osobą. I szczególnym Szarim. — Rzucił na nią przelotne spojrzenie. — I dlatego przewidziałem dla ciebie wyjątkową rolę i wyjątkowe zadania. Ale zanim przedstawię ci wszystko, powiedz mi jedno.

Stanął i skupił na niej wnikliwe spojrzenie.

— Spotkałaś ją tam? W Czeluści Bez Dna?

Od razu zorientowała się, o kogo mu chodzi. „A więc wiedział. Ale skąd?” Zrelacjonowała w skrócie przebieg drugiej części swojego testu przejścia, pomijając jedynie próbę zajrzenia w swoją przyszłość. Najstarszy słuchał w skupieniu, nie zadając żadnych pytań. Gdy skończyła, znów zaczął chodzić w zamyśleniu.

— Mistrzu... — Nie wiedziała, na ile ich obecna relacja upoważnia ją do stawiania pytań, których wcześniej by nie zadała. — ...kim jest ta cała Wszechmatka?

— Raczej „czym”. — Starzec odpowiadał spokojnym głosem, trochę jakby mówił sam do siebie. — To swoisty byt obdarzony inteligencją, ale myślący i odczuwający zupełnie inaczej niż my. — Uśmiechnął się w sposób świadczący o tym, że właśnie coś sobie uświadomił. — Ale jak na byt czysto duchowy zachowuje się niczym zwykła kobieta. Nie sądzisz? — Spojrzał na Wineę z nieznaczną ironią w oczach.

„Hmmm, właściwie to zachowywała się zupełnie jak człowiek” — pomyślała. Nie miała wprawdzie porównania z kobietami o tak władczej osobowości, jednak wspominała to zdarzenie jak spotkanie z kimś fizycznym, a nie eterycznym.

— Co myślisz o tym wszystkim, czego doświadczyłaś w ostatnich dniach? — Najstarszy zmienił temat.

— Eee... — Potarła dłonią czoło, próbując sklecić jakąś rozsądną odpowiedź. — Właściwie to mam w głowie jeden wielki mętlik i usilnie próbuję to sobie jakoś uporządkować. No i oswoić się z... z tym, co mnie czeka. — Spojrzała na Najstarszego, sondując jego intencje. — Szczerze mówiąc, jeszcze tydzień temu po prostu wyobrażałam sobie swoje życie jako Szarim z plemienia Quaistas. I tyle. Zwykły los Szarim pośród swoich, może jako uzdrowicielka lub łowca. Myślałam też, by... zajmować się trochę strukturą magii. — Przyznawszy się do profesji, którą chciała zadeklarować na ceremonii, poczuła rumieniec na twarzy.

— Przykro mi, że musiałem zniweczyć twoje plany. — Mistrz położył jej delikatnie dłoń na ramieniu w wyrazie współczucia.

Nie myślała, że podobny gest jest w ogóle możliwy u tego człowieka. Najstarszy może i nie był agresywny czy nieżyczliwy, ale z drugiej strony szalenie serdeczny też nie. Postrzegą go raczej, podobnie jak większość, jako mistycznego przywódcę — stanowczego, niezłomnego, nietolerującego podważania jego decyzji. No i bardzo wymagającego nauczyciela.

— Nie jest moim celem cię straszyć. — Kontynuował to swoje chodzenie od ściany do ściany. — Bynajmniej. Ale twoje przeznaczenie, przynajmniej na tyle, na ile ja jestem w stanie to ocenić i wręcz sprowokować, jest zgoła inne niż zwykłe życie Szarim. Musisz zacząć przyzwyczajać się do wielu... trudnych

sytuacji i... — Spojrzał na nią z podobnym wyrazem jak Keor. — ... jeszcze trudniejszych wyrzeczeń.

— Wyrzeczenia są chlebem powszednim obdarzonych. — Zaryzykowała wejście mu w słowo, ale on od razu energicznie zaprzeczył.

— Nie, nie takich wyrzeczeń. — Zatrzymał się i spojrzał jej głęboko w oczy. — Wineo, najprawdopodobniej całe twoje życie będzie jednym wielkim wyrzeczeniem i ogromną odpowiedzialnością. A przynajmniej powinnaś być na to przygotowana.

Poczuła się nieswojo pod wpływem tonu i siły wypowiedzi.

— Ale na zrozumienie przyjdzie jeszcze czas — westchnął, a dziewczyna przypomniała sobie podobne słowa Wszechmatki. — Na razie skupmy się na twoich najbliższych zadaniach. Zacznę od Zgromadzenia Starszych, które nas czeka już za siedem dni. Samo zgromadzenie, jak to zgromadzenie, będzie niechybnie nudne. — Najstarszy aż się skrzywił. — Ale chcę, by dla ciebie był to czas wytężonej obserwacji i analizy. Dużo ważniejsze od zorientowania się w samym protokole i zasadach tych rytualnych spotkań jest dla mnie, abyś zobaczyła na nim prawdziwych ludzi. — Zatrzymał się i zapatrzył w jakiś odległy punkt. — Chcę, mój uczniu, byś NAPRAWDĘ zobaczyła tam ludzi wraz z ich emocjami, osobowościami, ukrytymi marzeniami, pragnieniami i lękami. — Spojrzał w jej kierunku, unosząc brwi. — Rozumiesz, co mam na myśli?

Winea skinęła głową, choć miała wątpliwości, czy rzeczywiście rozumie polecenie.

— Szczególną uwagę zwróć na Karana. — Podjął swój monotony chód. — To bardzo inteligentny człowiek. Może niebawem mieć spory wpływ na nasze losy. Już dziś zasiada w kręgu mimo młodego wieku. Z roku na rok zyskuje kolejnych zwolenników i poparcie, chociaż jego postulaty trąca buntem przeciw temu, co jest fundamentem naszej kilkusetletniej egzystencji.

— Ale... — Ostrożnie dobierała słowa. — Czy nie jest tak, mistrzu, że on nie ma żadnych szans na uchylenie Wielkiej Przysięgi?

Przecież dopóki choćby ty sam stoisz na jej straży, jest to zgoła utopijna idea.

Najstarszy uśmiechnął się dziwnie. Popatrzył na dziewczynę przeciągle i podniósł wskazujący palec.

— I tak, i nie. Nie możesz zapominać o kilku sprawach. Po pierwsze nie jesteśmy monarchią i wiele decyzji zapada głosem większości, a po drugie żyć wiecznie nie będę.

Aż drgnęła w środku na te słowa, uświadomiwszy sobie kontekst informacji, które przeczytała w Sali Wiedzy. „Czy on przygotowuje mnie już na swojego następcę?” Jej umysł natychmiast odrzucił tę myśl jako całkowicie niedorzeczną.

— Ale nie kwestie formalne są tu najistotniejsze. — Podszedł do niej, przewiercając ją wzrokiem. — Spróbuj odkryć motyw Karana. On nie robi tego ani dla władzy, ani dla poklasku. Wiesz, dlaczego jego argumenty są groźne? — Zawiesił głos, po czym dodał cicho, ale emocjonalnie: — Bo ma wielkie marzenia. A nie jest mądre ignorowanie ludzi, którzy mają w sobie tyle mocy, by je spełnić za wszelką cenę.

Winea milczała, zaskoczona z powodu niespodziewanej ekscytacji swojego mistrza sprawą, wydawałoby się, drugorzędną. Najstarszy przez chwilę obserwował twarz dziewczyny, po czym usiadł po drugiej stronie stołu.

— Poznawanie motywów ludzi, którzy cię otaczają, jest ważniejsze niż wszystko inne, czego się tu nauczyłaś — stwierdził tonem, którym zwykle zamykał sprawy. — Czy wiesz, dlaczego Keor ma wpoić ci wiedzę o Starym Kontynencie? — Przeskoczył swobodnie do kolejnego tematu.

Winea skoncentrowała myśli. Jej umysł, przyzwyczajany latami przez mentorów do działania w trybie „pytanie–szybka analiza informacji–odpowiedź”, błyskawicznie wysupłał najbardziej prawdopodobną możliwość.

— Do odnalezienia doskonalszych mechanizmów władania społecznością Sid, które można by zaszcześcić z doświadczeń w historii Rodu Krwi? — wyrecytowała jednym tchem odruchowo jak odpytywany kandydat.

— Dobrze. — Najstarszy uśmiechnął się z satysfakcją właściciela wyszkolonego psa, który właśnie bezbłędnie wykonał komendę swego pana. — Dokładnie tak wszyscy mają myśleć. Prawdziwy powód jest zgoła inny. — Splótł dłonie oparte na blacie i postukał kciukiem o kciuk. — Misja, którą ci powierzam, jest niezmiernie ważna, niezmiernie niebezpieczna i niezmiernie nieprzewidywalna. — Wstał, podszedł do regału i wyjął z niego tubę wykonaną z ciemnobrunatnej, specjalnie utwardzanej skóry.

Winea widywała już tego typu futerały i nasłuchiwała się o nich. Wiedziała, że ich przeznaczeniem jest bezpieczne przechowywanie cennych przedmiotów podczas dłuższych wypraw. Serce zabiło jej żywiej na samą myśl o tym, co to może oznaczać. „Podróż! I to daleka!”

— Tak, to będzie żmudna wyprawa. — Najstarszy podał etui, trafnie odgadując jej myśli. W tym też był (niestety) mistrzem.

Pozwolił qi-szamance wyjąć ze środka ciasno ściśnięty, złożony arkusz koźlecej skóry i rozprostować go na stole. To była mapa. Są jednak mapy i Mapy. Gruby, odpowiednio wyprawiony i zabezpieczony niezwykle rzadkimi żywicami materiał, wielokolorowe, precyzyjnie kreślone linie, mnóstwo nazw i zapisków w co najmniej trzech językach, przepięknie wyrysowane symbole i malutkie obrazokształty — arcydzieło kartografii! Winea patrzyła zauroczona. „To jest warte stukrotność całego mojego majątku” — oceniła, czując, jak pocą się jej dłonie. Słyszała kiedyś o takich mapach od Tulana, który twierdził, że są praktycznie niezniszczalne — odporne na wodę, zanieczyszczenia, a nawet na rozdarcia i czasowo na ogień. Powoli docierało do niej, że to faktycznie nie będzie zwykła wyprawa.

Z coraz większą suchością w ustach przyglądała się poszczególnym oznaczeniom. Zasadniczo była to mapa obu kontynentów osadzonych po dwóch stronach karty, z prawej Starego — starożytnej krainy Amadal, z której historycznie wywodził się Ród Krwi — a z lewej Nowego, zasiedlonego parę wieków temu. Złapała się na tym, że prawa część mapy jest dla niej tylko hipotetycznym zbiorem miejsc, a lewa wywołuje mnóstwo



obrazów i skojarzeń, mimo że w całym swoim dotychczasowym życiu nie była nigdzie poza terytorium wyznaczonym do życia Darzanom.

— Zaraz po zgromadzeniu wyruszysz do tego miejsca. — Najstarszy stuknął lekko palcem w małą kropeczkę gdzieś na północnym wschodzie Nowego Kontynentu.

Wykonała w myślach pobieżne obliczenia, analizując topografię w linii prostej. „Jakieś dziewięć–dziesięć dni forsownego marszu”. Czuła podekscytowanie.

— Wśród niewielkich zalesionych wzgórz — kontynuował — znajduje się budowla przypominająca nieco wieżę wartowni, a właściwie jej ruiny. Jedna z jej wewnętrznych ścian wyraźnie emanuje magią natury, podobną do tej, która pulsuje w księżycowym mchu. Dysponujesz specyficznym rodzajem energii, więc nie powinnaś mieć kłopotów, by uruchomić tkwiący w niej mechanizm otwierający zejście do podziemi. Schody są bardzo niebezpieczne...

— Pułapki? Magia? — Gorączkowe pytania wyrwały się wręcz same. Wyobraźnia dziewczyny rozkręciła się na dobre, napędzana obietnicą niezwyklej przygody.

Najstarszy popatrzył na Wineę chłodno.

— Nie. Stopnie są po prostu stare i popękane, a że jest ich sporo, ewentualny upadek może skończyć się czymś groźniejszym niż tylko wybite zęby. — W jego głosie pobrzmiwała lekka irytacja, podobna do tej, gdy starsze osoby mają dość nadmiernego rozbrykania dzieci.

Zarumieniła się ze wstydu. „Jesteś Szarim, a nie wioskowym dzieciakiem!” — skarciła się.

— Na dole znajdziesz wykutą w kamieniu specyficzną rzeźbę. Przedstawia dwie pochylające się ku sobie istoty światła, aldenów wspartych na ogromnych mieczach.

Najstarszy zawahał się. Winea zamarła przerażona, że może zmienić zdanie i zrezygnuje z powierzania jej misji.

— Co mam zrobić, mistrzu? — Ze wszystkich sił starała się, by jej głos brzmiał spokojnie, pewnie i rzeczowo.

— Hmm... — Potarł nieświadomym gestem okolice mostka. — To portal. A dokładnie dwukierunkowy metateleporter. — Odczekał,

aż znaczenie tego stwierdzenia w pełni dotrze do Winei. — Twoim zadaniem jest go użyć. — Odchylił się na wysokie oparcie.

— Eeee... Ale masz na myśli, mistrzu... — Odnosiła wrażenie, że jej mózg zazgrzytał, zacinając się. — Że mam się t e l e p o r t o w a ć?

— Przecież uprzedzałem cię, że to niecodzienne zadanie. — Ton Najstarszego zdradzał zniecierpliwienie. Z jego mimiki odczytała kąśliwą reprimendę, typową dla mentorów Orin: „A do czego miałabyś go użyć, niemądry dzieciaku? Do usmażenia jajeczniczy?”.

„Niecodzienne zadanie?!” — pomyślała ze zgrozą, uświadomiwszy sobie przepaść w postrzeganiu tych samych spraw przez nią i mistrza.

— Zanim zalejesz mnie potokiem, skądinąd słusznych, pytań, zarysuję ci sytuację. — Przysunął do siebie mapę. — Ta rzeźba to Mitrys zwany też Przejściem Królów. Ten zaginiony, mityczny portal łączący oba kontynenty miał być powierzony Rodowi Krwi jako tak zwany Ósmy Wielki Artefakt. Jednak bratobójcza waśń, której dopuścili się potomkowie Ogromira jako pierwsi w historii spadkobiercy Błogosławieństwa, tak bardzo rozgniewała bogów światła, że zdecydowali, by pozostał nigdy nieodnaleziony.

— Zatem mam zdobyć jak największą wiedzę o Starym Kontynencie, bo mam się na niego przenieść? — Winea ostrożnie składała w logiczną całość elementy zadania, które wydawało się jej niedorzecznością. — Ale czy to w ogóle możliwe, żebym się teleportowała? Czy ja dam radę? Przecież to... to wydaje się całkiem nieprawdopodobne.

— Nie wiemy, czy uda ci się uruchomić teleporter, to prawda. — Starzec mówił spokojnie, nie odrywając nawet wzroku od mapy.

— A co jest moim zadaniem po... ewentualnym przeniesieniu się do Amadal? — zapytała delikatnie, mając nadzieję, że nie będzie to coś w stylu „odnaleźć i zabić króla” albo „pokonać czarnego smoka i przynieść tu jego skórę”. Jakoś nie widziała się w roli kolejnej legendarnej postaci, której heroiczne dokonania zostaną uwiecznione pośmiertnie na kartach kronik.

— Jak wiesz, nie mamy żadnego kontaktu z kolebką naszej cywilizacji od paruset lat, od kiedy wyprawa kolonizacyjna Grywora

Wysokiego przybiła do brzegów tego lądu. Nie wiemy, co tam się dzieje. I nikt też do tej pory nie czynił starań, by się czegokolwiek dowiedzieć, bo niby jak. — Najstarszy westchnął i podniósł wzrok. Miał zagadkowe spojrzenie. Winea mogłaby przysiąc, że widzi w jego oczach ocean tęsknoty, żalu i nostalgii.

„On przecież jako jedyny pamięta jeszcze tamten świat” — doznała olśnienia.

— To misja zwiadowcza — mówił powoli. — Przeteleportujesz się, o ile ci się oczywiście uda, i spróbujesz zdobyć informacje o ogólnej sytuacji politycznej, głównych wydarzeniach z ostatnich wieków i obecnych nastrojach społecznych poszczególnych ras. Byłoby znakomicie, gdybyś dowiedziała się też jak najwięcej o obecnie panującym monarsze i jego ambicjach, ale jeśli to wymagało zbytnej inwigilacji osobistej, nie czyn tego.

Winea skinęła głową, coraz więcej rozumiejąc. Magia natury, jej spójność z nią, specyficzne wyzwanie w trakcie testu przejścia — wszystko to prowadziło do jednego wniosku: Najstarszy czekał na okazję, by wykorzystać wiedzę o istnieniu Mitrys i nawiązać kontakt ze światem utraconym całkowicie przed wiekami w efekcie ostatecznego rozłamu.

„Ale jeśli na ten obraz nałożymy obecną sytuację na Nowym Kontynencie: utratę ciągłości Rodu Krwi, pogłębiający się chaos wojny domowej, zyskujące posłuch postulaty Karana i jego Frakcji Białych, to...” — nasuwające się Winei potencjalne implikacje sukcesu tej misji mogły całkowicie wywrócić dotychczasowy porządek.

— Tak, to jest zadanie, którego rezultat może dać nam, Darzanom, ogromne możliwości. — Czytał w niej niepokojąco łatwo, jak w otwartej księdze. Mogłaby równie dobrze odsłonić przed nim telepatycznie umysł, a efekt pewnie byłby ten sam. — Będą towarzyszyć ci dwaj specjalnie wybrani Szarim. Powierzam im twoje bezpieczeństwo w drodze do Wieży Dwóch Światów i z powrotem.

Winea zmarszczyła brwi. Przecież nie potrzebowała pomocy w podróżowaniu.

— Mistrzu, ale...

Uniósł dłoń, powstrzymując jej wypowiedź. Jego spojrzenie wyraźnie mówiło: „bez dyskusji”.

— Musisz zrozumieć, że nie jesteś i nie będziesz zwykłym Szarim, a w twoim życiu nie ma miejsca na osobiste plany i widzimi się. Każdy szaman składa swój los w bezwarunkowej służbie plemieniu zgodnie z naszym prawem. Ty możesz poświęcić swoją przyszłość zgodnie ze swoim sumieniem. Im szybciej to zrozumiesz i zaakceptujesz, tym lepiej. Ochrona twojej osoby staje się od teraz dla krainy Sid kwestią racji stanu, a nie tylko mojej zapobiegliwości. Cokolwiek mogę zrobić w tej sprawie, zrobię, bądź tego pewna. Na Amadal, o ile uda się przejście, i tak będziesz skazana wyłącznie na własne siły, więc weź to sobie do serca i przygotuj się jak najlepiej.

Wstał energicznie od stołu i odwrócił się do niej plecami.

— Nikt z nas nie wie, co cię tam czeka. — Przyciszony głos skrywał nutkę troski i obawy.

Winea się zamyśliła. Jej marzenia o własnym elite zawsze nieodłącznie wiązały się z akceptacją doniosłej roli Szarim i pełnego poświęcenia interesom plemienia. Bezkompromisowa służba krainie Sid wydawała się wręcz nadawać sens jej życiu. Wychowała się w społeczności, w której oddanie się sprawom swojego ludu stanowiło jedną z najważniejszych wartości i powód do dumy, a śmierć w obronie pobratymców była najwyższym zaszczytem i honorem. Jednak informacja, że będzie musiała działać z jakimiś ochroniarzami, mocno kłóciła się z poczuciem wolności i niezależności.

— Jest jeszcze jedna sprawa... — Najstarszy z głębokim westchnieniem usiadł niechętnie z powrotem przy stole. Na jego twarzy dało się zauważyć wewnętrzną rozterkę i emocje, których Winea nigdy wcześniej u niego nie widziała. — Nadszedł czas, bym powiedział ci coś, co do tej pory było tajemnicą, a co dotyczy cię osobiście.

Skrepowanie najwyższego Szarim wydawało się wręcz kuriozalne. Wyglądał, jakby szukał najlepszych słów i ich nie znajdował. Winea przyglądała mu się z rosnącym niepokojem i zażenowaniem. Zdawało się, że nagle przybyło mu lat. Zniknął

mistrz, mentor i ten, któremu winna była bezwzględne posłuszeństwo. Przed nią siedział teraz zwykły zatroskany starzec, który nie wie, jak przekazać niewygodną wiadomość.

— Opowiem ci... pewną historię — zaczął nietypowym dla niego, miękkim tonem. — Pewnego dnia jeden z naszych tropicieli podczas rutynowego rozpoznania na terenie południowej strefy przygranicznej natknął się na ciała pomordowanych Darzan. Byli to członkowie jednej z wypraw dage torri, które, jak wiesz, są podstawą naszych kontaktów handlowych z kontynentem. Dwa miesiące wcześniej wyruszyli, by odwiedzić Lwieszno i leżące dalej wybrane południowe porty. Czternaście osób, w tym sześć kobiet, prowadzonych przez dwóch doświadczonych Szarim. Wszyscy zostali bestialsko zarżnięci. Z relacji tropiciela wynikało jednoznacznie, że grupa została zaatakowana w drodze powrotnej przez co najmniej kilku zawodowych zabójców. Nic nie zniknęło, cały dobytek pozostał nietknięty. Ponieważ napaść miała miejsce ledwie parę godzin przed jego przybyciem, łowca sprawdził skrupulatnie, czy duch któregoś z wędrujących nie jest jeszcze choć trochę związany z ciałem. Wprawdzie wszyscy przeszli już do Krainy Światła, ale w trakcie oględzin pod zwłokami jednej z Darzanek, w jej poncho, znalazł niemowlę. Było nieprzytomne, prawdopodobnie przyduszone upadającym ciałem. Ów Szarim popędził wprost do najbliższej wioski tuż przy granicy, w której mógł zastać uzdrowiciela. Noworodka udało się odratować, a ponieważ z pewnością nie było to dziecko żadnego z członków wyprawy, a nikt nie przeżył, zdecydowano się je adoptować i wychować w naszej społeczności.

Zawiesił głos. Przetarł dłonią czoło. Winea wiedziała, że to nie koniec opowieści, nie odzywała się więc również. Zachodziła w głowę, dlaczego mistrz jej to opowiada.

— To było siedemnaście lat temu. Siedemnaście lat, jedenaście miesięcy, dwa tygodnie i trzy dni. — W końcu podniósł wzrok i spojrzał na nią. W jego oczach ujrzała niepokojąco głęboki smutek. — To była dziewczynka, a jej przybranymi rodzicami zostali Tobór i Korzenna z plemienia Quaistas, wtedy jeszcze bezdzietni. Wybacz mi, że dowiadujesz się o tym dopiero teraz,

ale postanowiłem nie mówić ci prawdy, dopóki nie zostaniesz Szarim.

Winea patrzyła na Najstarszego, szukając jakichkolwiek znaków, że to próba, jakiś test odporności, a może nawet żart. Ale nic na to nie wskazywało. Siedział spięty, z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami.

— Nie, nie, nie. — Wstała i gwałtownie się cofnęła. — To nie może być prawda. Gdyby moi rodzice nie byli moimi, wiedziałabym, wyczułabym. Z pewnością tak by było...

Rozpaczliwie szukała luki w przedstawionej historii. Jej pamięć intensywnie wyświetlała obrazy z dzieciństwa. Zawsze czuła się kochana i szczęśliwa, nawet w trudnych chwilach mogła liczyć na rodziców, również na Tea. Czy Teo wiedział? Nie wyobrażała sobie, by mogła to wszystko przekreślić, uznać za mistyfikację. Tam był jej dom, jej miejsce. Instynktownie objęła się ramionami, jakby chciała obronić swoją jaźń przed niewidzialnym zagrożeniem.

— Naprawdę mi przykro, Wineo. — Głos mistrza brzmiał niezwykle szczerze. — Wiem, że to dla ciebie cios, ale taka jest prawda, a jako szaman musisz ją znać.

— Czy wiemy cokolwiek o tym, kto mógłby być moimi prawdziwymi rodzicami? — odezwała się po dłuższej chwili. Mówiła matowym, obcym dla siebie głosem, wciąż wewnątrz odpychając usłyszane informacje. Jej świadomość zupełnie nie przyjmowała i nie akceptowała wiadomości.

Najstarszy zaprzeczył.

— Same domysły i przypuszczenia. — Stwierdził, że lepiej będzie mówić, niż milczeć, więc dodał: — Możesz tego nie wiedzieć, ale w takich okolicznościach trzeba przeprowadzić szczegółowe śledztwo i sporządzić pisemną relację. Sprawę mordu badała specjalnie powołana grupa szamanów, ciała i przedmioty sprowadzono i zbadano magicznie. Udało się ustalić, że napastnicy mieli kontakt z mrokiem. Działali szybko i zdecydowanie. Prawdopodobnie ich celem było coś, po co przyszli i co zabrali ze sobą. Nie przybyli też ze strony Lwieszna, nie śledzili zatem karawany. Musieli w jakiś inny sposób namierzyć naszych ludzi, bo nie było w tym zdarzeniu żadnych oznak przypadku.

— Zabójcy naznaczeni mrokiem? — Winea zmarszczyła brwi. — Ale na kontynencie nie ma magii, a już szczególnie czarnej.

— Tak, ale pamiętaj, że dokładnie siedemnaście lat temu straciliśmy króla Reingarda i jak wiesz, stało się to właśnie z powodu mrocznego maga. Bardzo możliwe, że zabójcy mieli z nim kontakt. Kto wie, może nawet sam ich wysłał.

— Szkoda, że wyparował w magicznym wybuchu. Miałabym do niego parę pytań.

Rosła w niej rozpacz. Jakby prawda znalazła jakąś szczelinę w jej odporności i przesączała się do myśli. Szkolony latami umysł odruchowo neutralizował zbyt trudną do przyjęcia emocję, zamieniając ją na o wiele łatwiejszą w odczuwaniu wściekłość.

— Obawiam się, że żadne z nas nie miałyby szans z nim dyskutować. Nie zapominaj, że był na tyle potężny, by pokonać błogosławionego. Oparł się potężnie miecza prawdy, choć wydaje się to całkowicie nieprawdopodobne.

Dla Winei w jej obecnym stanie nie miało to znaczenia. Gdyby mroczny był w tym pomieszczeniu, wypaliłaby w nim całą jego pieprzoną ciemność i wycisnęła każdy strzęp informacji z najciemniejszych zakamarków jego pamięci.

Najstarszy przyglądał się jej chwilę w milczeniu, po czym wy dobył spod szaty niewielkie pudełeczko obite błękitnym sukmem i położył na stole, w zasięgu ręki Winei.

— To jedyna rzecz, którą znaleziono wtedy przy tobie. Sprawdziliśmy. To coś bezsprzecznie należało do ciebie i zostało ci przekazane przez kogoś spokrewnionego, być może twoją matkę.

Dziewczyna, wyciągając drżącą rękę po podarunek, nieświadomie przysiadła przy stole. Serce biło jej w piersi tak, jakby chciało wyskoczyć. Delikatnie podniosła wieczko.

W środku, na wyściółce, leżał dziwny przedmiot zawieszony na błyszczącym łańcuszku. Wyjęła go i obejrzała z bliska. Misternie wykonany żeton wyglądał tak, jakby ktoś przełamał go na pół. Potwierdzała to powierzchnia jednej z krawędzi. Trudno powiedzieć, z czego zrobiono medalion, ale jego wygląd i twardość sugerowały jakiś rodzaj lekkiego metalu. Powstrzymała się przed przeczytaniem teraz drobniutkich symboli wyrytych po obu jego stronach. Będzie

miała na to całe życie. Pomyślała, by wypytać Najstarszego o wszystko, o medalion, jej pochodzenie, ale to był tylko przebłysk natychmiast zduszony wewnętrzną potrzebą zostania samą. Starzec odczytał jej rozterki jak zwykle bezbłędnie. Chrząknął cicho i wstał.

— To wszystko na dziś. — Zabrał z powrotem błękitne puzderko. — Spróbuj się trochę przespać, bo zaczyna się dla ciebie trudny czas i dobrze, żebyś była w jak najlepszej formie.

Unikał jej wzroku. Wyraźnie wyczuwała jego silne pragnienie zakończenia już tej rozmowy. Zawiesiła medalion na szyi z przesadną dbałością i schowała pod bluzą.

— Niech noc otuli twoje sny, mistrzu. — Skinęła głową, zegnając się zwyczajowym wieczornym pozdrowieniem, charakterystycznym dla ludzi będących w bliskich relacjach.

— I twoje, mój uczniu. — Przez chwilę patrzył jeszcze na drzwi, za którymi zniknęła Winea. — I twoje...

Czuła się jak wyrwany z korzeniami krzew, jak rozbitek, którego morze wyrzuciło na całkiem nieznanym łąd. To, że nie będzie wiodła zwykłego życia Szarim, dołączywszy do wąskiego, zaufanego grona szamanów Orin, to, że jej wyprawy nie będą zwykłym patrolowaniem przygranicza czy wyprawami handlowymi na kontynent, tylko zadaniami typu teleportacja do Amadal, to, że będzie wytykana palcami jako jedyna nosząca białe szaty, to, że wielu będzie krzywić się na sam dźwięk jej nowego imienia — to wszystko było tylko zwykłą zmianą, życiowym kolorytem. Mieściło się w stwierdzeniu, że ludzki los układa się czasem inaczej, niż planujemy.

Ale nie to, że kobieta, którą dotychczas uznawała za matkę, najważniejszą osobę we wszechświecie, kogoś, do kogo czuła bezwarunkową miłość i zaufanie, okazuje się kimś innym. Nie to, że całe dzieciństwo było podszyte fundamentalnym kłamstwem, iluzją szczęśliwej rodziny. Nie to, że miejsce w jej podświadomości będące do tej pory azylem, domem, w który wrosła, okazuje się tylko chałupą, w której mieszkała przez dziesięć lat... Jakże często podczas tych trudnych siedmiu lat tęskniła i marzyła o powrocie właśnie do tego miejsca. Do domu, do rodziny, do znajomych, do znanych



z dzieciństwa miejsc, które kochała. Teraz czar prysł. Czuła się oszukana i zawiedziona. Ograbiona z czegoś najcenniejszego.

Godzinami włóczyła się bez celu rzadko uczęszczanymi korytarzami, snując gorzkie myśli. Przygasające oświetlenie sugerowało późną porę. Zmęczenie ostatnich dni dawało się coraz bardziej we znaki, wiedziała jednak, że jeśli się położy, i tak nie zaśnie.

Zdała sobie sprawę, że jedynym ratunkiem jest całkowite skupienie się na misji, którą ma do wykonania. Na rozpacz przyjdzie jeszcze czas. Ruszyła w kierunku Sali Wiedzy, zastanawiając się, co powiedzieć Keorowi, by się na nią nie wkurzył za wyrwanie go z łóżka w środku nocy.

# KRÓLEWSKIE ZLECENIE

## I. Ukryte Miasto

Noran nie cierpiał roboty za dnia. Mimo późnopołudniowej pory jesienne słońce wciąż intensywnie oświetlało wąskie uliczki zachodniej dzielnicy Lwieszna. Każdy rozsądny ciemny nóż, jak nazywano płatnych zabójców zrzeszonych w Gildii, pozostawałby niezauważony i starałby się po prostu wtopić w spory ruch, by stać się okruczem zwykłego życia mieszkańców stolicy kontynentu. Na ocienionych drzewami skwerach spacerowałyby z rozpogodzonym obliczem jak gdyby nigdy nic, na placach targowych przemieszczałyby się między straganami, z zaciekawieniem oglądając produkty, po uliczkach maszerowałyby jak człowiek zdążający do domu.

Każdy poza nim. On musiał pocić się w zakurzonej siermiędze podróźnej z głębokim kapturem, bo tylko taki strój zapewniał równocześnie trzy rzeczy: pozwalał schować specyficzny ekwipunek egzekutora wyroków Ukrytego Miasta, minimalizował ryzyko niepotrzebnych zaczepek oraz dawał możliwość zasłonięcia twarzy bez wzbudzania podejrzeń. To otulanie oblicza kapturem stało się wręcz jego drugą naturą, od kiedy jako siedmiolatek został uratowany przed śmiercią i przygarnięty przez Gildię. Odruchowo ukrywał swój demoniczny wygląd, który dla prawie wszystkich był jednoznacznym dowodem skażenia mrokiem i przez to automatycznie wyrzucał go na margines społeczeństwa. Złote oczy z pionowymi źrenicami, ostre kły, specyficzne linie bruzd i zgrubień groźnie znaczących czoło wystarczały, by czuć się pewniej jedynie w nocy lub w ścisłym gronie tak zwanych przyjaciół Bo. Należeli do niego kamraci wyłącznie z najbliższego otoczenia niekwestionowanego władcy całej południowej części kryminalnych struktur Lwieszna, obiegowo określanych Ukrytym Miastem. Chociaż nawet w tym towarzystwie starych wyjadaczy i zawodowców, których

nazwiska powszechnie budziły szacunek i strach, nie wszyscy potrafili ukryć negatywne reakcje na widok rysów Norana.

Sam Bo, zasadniczy, ale też nieobliczalny przywódca południowego kartelu, traktował swojego — jak wielu go oceniało — pupilka całkowicie naturalnie. Wieki Bo był prawdziwą legendą Ukrytego Miasta, nikt nie kwestionował jego decyzji. Ale obcowanie z tym człowiekiem zawsze wiązało się z nieuchwytnym napięciem. Nigdy nie można było mieć pewności, co oznaczają w danym momencie jego przyjazny uśmiech, ciche zamyślenie czy gwałtowna wściekłość. Mimo statusu odmieńca nawet wśród szpiegów, awanturników, złodziei i morderców Noran traktował nielegalny półświatek jak dom, a Gildię Zabójców jako swego rodzaju azyl. Nie miał innych korzeni.

Kupiony jako niemowlę przez zdziwaczałego, na wpół szalonego alchemika, wzrastał bardziej jako przedmiot jego eksperymentów i niewolnik niż dziecko. Zamknięty i strzeżony, bez kontaktu ze światem zewnętrznym, przeżył dzieciństwo ograniczone do prostego systemu kar i nagród. Jediną atrakcją tamtego czasu była możliwość obcowania z egzotycznymi roślinami i substancjami z nich produkowanymi, zadziwiającą oranżerią niezwykłych stworzeń, a także tajemnicami sporego zbioru ksiąg i manuskryptów, których czytania nauczył się niezwykle szybko. Z początku przyciągały go ryciny i symbole, potem zainteresowały pojedyncze słowa. Księgi były główną przygodą w jego malutkim świecie. Fascynacja nimi stanowiła przeciwwagę dla ciągłego zagrożenia, bólu i głodu. Oglądał, a później czytał wszystko, do czego zdobył dostęp. Niektóre pozycje kartkował tak często, że znał je praktycznie na pamięć. Podglądanie i podsłuchiwanie tłumaczeń oraz stale gadającego do siebie starego alchemika dawało mu szansę poznania treści nawet pisanych w obcych, starożytnych językach. Te rzadkie przypadki były najcenniejsze, bo fragmenty dotyczące magii zawsze rozbudzały jego dziecięcą wyobraźnię.

Kobięcy krzyk bólu wyrwał Norana z zamyślenia. Wyczulone zmysły rozpoznały odgłosy szamotaniny oraz nutkę charakterystycznych perfum. Znał ten zapach z odwiedzin w rejonie enklawy Białych Sióstr — dystryktu cieszącego się sławą najlepiej

chronionego w całym mieście, a kojarzonego prawdopodobnie na całym kontynencie. Siostrzyczki, jak żartobliwie mówiono o solidarnej społeczności kobiet lekkich obyczajów kierowanych przez Białą Różę, mogły na swoim terytorium liczyć na swoisty immunitet praktycznie we wszystkich kręgach społecznych. W powietrzu odmieniec wyczuł również coś, co stanowiło dla niego istotne zagrożenie – delikatną woń ludzkiej krwi.

Przeszedł szybkim krokiem chwilowo opustoszałą uliczką do następnej bramy i stanął tak, by móc bezpiecznie zerknąć w głąb ślepego zaułka po przeciwnej stronie. Trzej mężczyźni wykazywali wyraźne oznaki wrogości wobec wysokiej młodej kobiety z białą różyczką wpiętą w gęste ciemnobrązowe włosy.

„Nie mogła mieć większego pecha” — pomyślał. W strefie niczyjej, gdzie ścierały się wpływy karteli Bo i Czerwonego Psa, nikt nie mógł czuć się bezpieczny. W tym miejscu niestety dotyczyło to również siostrzyczek. Dodatkowo ci trzej to czerwone pięści, frontowi ludzie Psa, a po nich można było spodziewać się najgorszego.

Powinien teraz skupić się na wykonaniu zadania, które dostał od Bo. Powinien trzymać się Kodeksu Ciemnych Noży, wtłaczanego mu latami przez Leśniada, nieformalnego mentora, któremu zawdzięczał swoją obecną pozycję w Gildii. Powinien dostosować się do traktatów zawartych między Bo i Czerwonym Psem. Szczególnie on powinien. Ale jak widać, w niektórych sytuacjach miał problem z tym „powinien”, nawet gdy wiedział, że przyjdzie mu za to słono zapłacić.

Ruszył prosto w stronę mającego się właśnie wydarzyć incydentu, jak pewnie nazwano by później gwałt, pobicie, a może nawet zakatowanie na śmierć prostytutki przez kamratów.

— Co, do cholerrrr... — Tyle zdążył powiedzieć zwalisty osiłek, odwracając się do nadchodzącego pozornie zdrożonego, zakapturzonego wędrowca.

Wprawny ruch ręką i nadlatujący kawałek stali utkwiał w krtani zaskoczonego właściciela czerwonych tatuaży na dłoniach, zmieniając dalszą część jego wypowiedzi w zduszony charkot. Pozostali dwaj błyskawicznie zorientowali się w sytuacji. W końcu

ich też wychowywała ulica. Wyższy od pozostałych wyciągnął prosty miecz i od razu ciął ukośnie będącego już w zasięgu zabójcę. Noran wygiął się gwałtownie w sposób, który raczej nie był możliwy dla zwykłego śmiertelnika — wyglądało to tak, jakby jednocześnie lekko zgiął kolana, a tułów skręcił mocno wokół swej osi i zaskakująco silnie odchylił w tył. Ostrze prześlizgnęło się po powierzchni klatki piersiowej i brzucha. Nie napotkawszy punktu oporu, pomknęło w dół, pociągając za sobą nieprzygotowanego na to uderzającego. Krótka, wąska klinga sztyletu uzyskała w ten sposób bardzo łatwy dostęp do nieosłoniętego karku.

W żargonie Ciemnych Noży nazywano to czystą śmiercią — najcenniejsza metoda zabijania, skutkująca natychmiastowym zgonem, bez zagrożenia, że ofiara zaalarmuje kogokolwiek. Dla Norana o tyle istotna, że minimalizująca krwawienie.

Niesygnalizowany atak ostatniego z napastników nastąpił, jeszcze zanim upadające ciało poprzednika łupnęło na ubitą ziemię zaułka. Dobrze wyszkoleni uliczni siepacze Czerwonego Psa często odznaczyli się też umiejętnościami fechtunku, a także czymś, czego nie dało się nauczyć, z czym trzeba było się urodzić. Krępy, zimnooki brunet najwyraźniej to właśnie miał. Sprytny cios wykorzystujący unikalny moment musiał dosięgnąć każdego. Cechujący się niesamowitą szybkością i zręcznością zabójca zdołał jednak szarpnięciem tułowia przyjąć pchnięcie pod pachę, czując, jak krawędź metalu płytko rozcina jednocześnie skórę boku i wewnętrznej strony ramienia. W tym momencie wcześniej „jedynie” nieodpowiedzialna, karygodna i głupio impulsywna decyzja stała się już śmiertelnym zagrożeniem dla wielu. W zakamarkach umysłu odmieńca obudziły się znany mu nieskończony głód i niepohamowana żądza mordy. Otwierała się brama dla mroku. Wewnętrzne alarmy instynktu pogarszały dodatkowo sprawę, produkując ogromne ilości adrenaliny. Uzdolniony przeciwnik w jednej chwili przestał stanowić główny problem — wystarczyły trzy uderzenia serca, by zaskoczony patrzył szeroko otwartymi oczami na miecz głęboko wbity w swoją pierś. Pobudzone zmysły Norana zaatakowała jeszcze intensywniejsza woń krwi. Wyraźnie poczuł zaczynającą się przemianę — stale

przyczajone zagrożenie, które go przerażało i fascynowało jednocześnie.

— To ty...! Bękarci demon... — Kobieta, oniemiała do tej pory z powodu błyskawicznych zdarzeń, wpatrywała się z przerażeniem i rosnącą odrazą w przypadkowo odsłonięte oblicze swojego wybawcy. — Jestem przeklęta! — jęknęła rozpaczliwie i wystrzeliła z zaułka, pędząc na oślep.

— Nie ma za co — mruknął zabójca, naciągając ponownie obszerny kaptur. Wiedział, że ma niewiele czasu, by zatamować mrok rozpędzający się w umyśle.

Krótki bieg do najbliższej uchylonej bramy po przeciwnej stronie, kilka susów przez podwórze, wysoki mur, drugie podwórze, tym razem ze strzelistymi drzewami, i był już na dachu wysokiej jak na standardy Lwieszna kamienicy. Musiał natychmiast stawić opór mrocznym emocjom coraz bardziej odbierającym mu kontrolę. Drżącymi dłońmi wysupłał z kieszonki skrawek miękkiej, aromatycznej substancji i włożył nerwowo pod język. Przymknął oczy, pogłębiając oddech. Raz... dwa... trzy... Zapadał się w podświadomość. Na jej dnie spotkał to, czego ciągle obawiał się od wielu lat, co było jego ukrytym przekleństwem. Czarny wir drapieżnej wściekłości, szaleńczego okrucieństwa i bezdusznej otchłani. Był większy niż poprzednio i bardziej hipnotyczny. Z każdym przypadkiem opanowanie go stanowiło trudniejsze wyzwanie.

Gdy po wewnętrznej walce o pozostanie sobą ponownie otworzył z wysiłkiem oczy, słońce chyliło się już ku zachodowi. Potwornie wyczerpany ruszył chwiejnym krokiem, starając się nie zsunąć z dwustronnie spadzistego dachu. Musiał przecież za dnia zrealizować zadanie, które Bo powierzył mu do wykonania.

Dotarcie do rezydencji Syriusza, zadziwiająco dobrze prosperującego kupca, z którym Bo miał niedokończone interesy, nie zabrało wiele czasu. Troszkę dłużej zajęło wślizgnięcie się do jego gabinetu, by zaskoczyć handlarza i wyrzucić na nim jednoznaczne wrażenie: „Tak, możemy wejść do twojego pilnie strzeżonego domu, do twojego pokoju. Tak, możemy to zrobić

z łatwością nawet w biały dzień”. W pomieszczeniu intensywnie pachniało atramentem.

— Nie rób tego. — Noran wypowiedział lodowate ostrzeżenie, dostrzegłszy u zdumionego Syriusza odruch sięgnięcia do alarmu pod blatem biurka, przy którym starszy, łysawy mężczyzna przeglądał sterty dokumentów i wyliczeń. — Pomyśl, ile będziesz musiał zapłacić za pozyskanie nowych ochroniarzy w miejsce tych, których zabiję. To w kontekście poświęcenia mi chwili na przekazanie informacji od Bo zupełnie ci się nie kalkuluje.

Leniwym ruchem zmęczonego posłańca zsunął z głowy kaptur, pozwalając długim jasnym włosom, tak nietypowym dla południowców, opaść na ramiona. Podał zwinięty pergamin z pieczęcią Gildii stężałemu w sekundzie rozmówcy. Mimo że Syriusz był jednym z tych mieszkańców Lwieszna obytych w kontaktach z najróżniejszymi osobistościami Ukrytego Miasta, jego twarda dłoń sięgnęła po wiadomość dopiero po dłuższej chwili. Na dnie jego spojrzenia kotłowały się sprzeczne pragnienia.

— Przekaż Bo, że dobrze pamiętam o jego sprawie i jak tylko będę mógł ją finalnie zrealizować, sam chętnie pofatyguję się do niego z rozliczeniem. — Mężczyzna silił się na rzeczowy i spokojny głos. Unikał kontaktu wzrokowego. — Przekaż mu też, że tak wielce cenię sobie interesy z nim, że nie są one żadną miarą zagrożone i że... — Zawahał się. — ...nie ma konieczności wysyłania do mnie najcenniejszych... ludzi.

Ostatnie słowo wypowiedział o ton ciszej i niezwykle ostrożnie. Noran uśmiechnął się z przekąsem, odsłaniając kły.

W drodze powrotnej młody zabójca rozmyślał nad jakąś strategią obrony przed nieuchronnymi konsekwencjami. Wyjście na jaw jego nielegalnej interwencji było tylko kwestią czasu. Bo z pewnością się wścieknie, a rzetelne wykonanie zadania nic tutaj nie zmieni. Gildia była na tyle silna, na ile jej członkowie przestrzegali reguł Ukrytego Miasta. A on właśnie złamał ze trzy naraz.

W gospodzie „Rozkosz przelyku” śmierdziało przypalonym tłuszczem i potem tych, którzy siedzieli w przestronnej izbie już tak długo, że wydawali się częścią jej wyposażenia. Był późny

wieczór, a właściciel wyraźnie oszczędzał na świecach, pozwalając gościom cieszyć się urokami półmroku. Gwar rozmów co i raz przerywały podniesione głosy kłótni lub gromki rechot. Noran zdążył jedynie zamówić dzban gorzkawej arraki, usiąść ciężko i wlać w wysuszone ulicznym kurzem gardło kilka łapczywych łyków, gdy do lokalu wszedł krępy mężczyzna. Kwadratowo ciosana twarz, króciutko przycięte czarne włosy, zimne jak stal spojrzenie i żylaste, szerokie przedramiona jednoznacznie ostrzegały. Przybysz rozejrzał się i zauważywszy Norana, od razu podszedł i spoczął naprzeciwko. Zabójca spiął się wewnątrz, zdawszy sobie sprawę, że wizyta w tym miejscu przybocznego Bo może oznaczać tylko jedno: zwierzchnik wzywa go do siebie.

— Cześć, Hen. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że relacja z mojej roboty jest aż tak pilna, że nie może poczekać do rana? — odezwał się Noran cicho i na tyle spokojnie, na ile potrafił.

Hen wzruszył ramionami i sięgnął po dzban kompana.

— Szef chce cię widzieć teraz, ale odniosłem wrażenie, że bardziej go interesuje dzisiejsze niecodzienne zdarzenie z twoim udziałem niż zadanie. — Wychylił spory łyk i się skrzywił.

— A mogę chociaż dokończyć MOJĄ arraki? — Noran niemal ze złością wyszarpnął mężczyźnie naczynie i przysunął do siebie.

— Możesz, możesz. — Ciemnooki szef ochrony wykonał dłonią uspokajający gest.

— Mówisz, jakbyś dawał skazańcowi zgodę na ostatnie życzenie.

Zabójca wziął znowu parę pazernych łyków.

— A co mam ci powiedzieć? — Hen skrzywił się kwaśno. — Znasz mnie i wiesz, że jestem ci życzliwy, ale nie cierpię ściemniać. Dupa ci się pali i tyle. To, że ci współczuję głupoty, nie zmieni faktów.

— W tym cholernym mieście plotki rozchodzą się szybciej niż pożar w suszarni — sarknął i pomyślał: „Jak to możliwe, że Bo już wie? Przecież to było ledwie parę godzin temu, nie było świadków... nie, niemożliwe, by ta siostrzyczka... to bez sensu”.

— Bo się wścieka. — Hen wymownie podniósł jedną ze swoich grubych brwi. W Gildii panowało przekonanie, że gniew przywódcy ma trzy poziomy: najniższy, gdy szef się wściekał, wyższy, gdy był



milczący, i najwyższy, gdy po winnego nikt już nie przychodził. Ta ostatnia sytuacja zwiastowała nieuchronny wyrok.

— No to znaczy, że się nie pali, tylko zaledwie tli. — Młodzieniec dopił trunek i pełen niepokojącego przeczucia ruszył za znacznie od siebie starszym mężczyzną. Hen był jedną z nielicznych osób, z którymi wiązała go przyjazna zażyłość.

Po kilku przecznicach zorientował się, że Bo wezwał go na spotkanie do swojej kwatery głównej, jak określano wysoki budynek tuż przy południowej baszcie. To nie było typowe. Gdy doszli do dwuskrzydłowej, okutej żelazem bramy prowadzącej na podwórzec rozległego gmachu, Hen puścił zabójcę przodem, mówiąc:

— Dalej idziesz sam.

To też nie było typowe.

W pomieszczeniu, w którym zwykle organizowano spotkania, znajdowały się tylko dwie osoby: wyraźnie wściekły na twarzy Bo i milczący, ale jak zawsze dystyngowany Leśniad.

— Chciałeś się ze mną widzieć, Bo. — Noran próbował wyczuć sytuację, patrząc na twarz Leśniada, ale ta była zaskakująco pozbawiona jakichkolwiek emocji, zupełnie jak nie jego.

— Wcale nie chcę cię widzieć. Szczególnie ciebie. — Bo miał wyjątkową zdolność wyrażania tonem głosu emocji skrajnie różnych od tych, które można było wyczytać z jego mimiki i zachowania. Przysadziste ciało aż kipiało od hamowanej agresji, w wypowiedzi pobrzmiwała za to głęboka nostalgia. — Ale z racji tego, co rozpętałeś, jestem do tego niestety zmuszony.

Noran zdawał sobie sprawę, że nikt nie oczekuje od niego komentarza, więc zacisnął usta i milczał, wlepiając wzrok w bliżej nieokreślony punkt podłogi. Tłumaczenie się nie leżało w jego niepokornej naturze, a pozostawanie w jakiejś strukturze, hierarchii czy zależności sprawiało mu kłopot. Gildii zawdzięczał jednak wszystko, co miał i czym był. No, może poza odmiennością, którą pewnie odziedziczył po nieznanym mu rodzicach.

— Mam z tobą niezły dylemat. — Bo nie mówił głośno, ale jego postawa wręcz emanowała zagrożeniem. — Z jednej strony potrafisz

być bardzo pożytecznym i zaufanym członkiem Gildii, a z drugiej notorycznie próbujesz zrobić sobie krzywdę. I zaszkodzić mi.

Podszedł irytująco blisko i spróbował złapać uciekające spojrzenie sporo wyższego młodzieńca. Kolejne słowa niespodziewanie wycedził z furją:

— Twój depozyt szczęścia jest wręcz kolosalny. Masz fart, że mam do ciebie słabość. Masz fart, że twoi wrogowie są też moimi wrogami. Masz fart, że dziś, dzięki niezwykłym okolicznościom, być może wykpisz się niewygórowaną ceną z tego gówna, w które nas wszystkich wpakowałeś. — Przyglądał się przez chwilę, szukając pretekstu do ataku. Zobaczywszy kamienną twarz swojego najskuteczniejszego zabójcy, odwrócił się z wyrazem zawodu i podszedł do wysokiego krzesła z oparciem. Opadł na nie z isticie aktorską rezygnacją. — Leśny, wyłuszc mu, proszę, sprawę, bo ja jestem dziś jakiś nadmiernie rozchwiany.

Szpakowaty mężczyzna w sile wieku, który w wielu sprawach był prawą ręką Bo, słynął ze stoickiego spokoju, przyjaznego nastawienia i zupełnie nietypowej dla swojego fachu życzliwości. Przystojną twarzą z wydatną zuchwą pokrytą ciemnym cieniem zarostu, z niepokojąco szarymi oczami przybierającymi różne odcienie w zależności od światła, błyskawicznie zjednywał sobie sprzymierzeńców, w szczególności przedstawicielki płci pięknej. Każdy w Gildii wiedział, że to on wypromował Norana i był jego nieformalnym wsparciem, często ratując mu skórę.

— Wiesz doskonale, że to, co ci się dzisiaj przydarzyło z ludźmi Psa, nie może pozostać bez konsekwencji. — Na co dzień pogodna i przyjazna, twarz Leśniada wyglądała teraz starzej, a jego głos nie miał właściwych sobie ciepła i miękkości. Był chropowaty, z nutką zatroskania.

Noran traktował Leśniada jak kogoś znacznie bliższego niż kamrat, który wyciągał go z tarapatów i trzymał jego stronę w Gildii. Żaden z nich tego nigdy tak nie nazwał, ale ich relacja na tyle, na ile to było możliwe, przypominała raczej więź między młodszym i starszym bratem.

— W normalnych warunkach, zgodnie z naszymi traktatami, Czerwony mógłby zażądać wpływów, złota lub przysługi pod groźbą

rozpętania wojny, która pograżyłaby Gildię i zabrała wielu naszych ludzi. Ale dla równowagi do farta miałeś dziś też diabelnego pecha. Czy wiesz, kogo zabiłeś?

— Trzy frontowe pięści. — Już gdy mówił, wiedział, że to nie mogła być prawda, a przynajmniej nie w pełni.

— Dwie. — Leśniad westchnął, krzywiąc się. — Dwóch zwykłych osiłków, zastępowalnych trzymaczy ostrza. Trzecim trupem był Matias, kuzyn Czerwonego.

Nagle w umyśle Norana mignęła twarz ostatniego z przeciwników i dopasowała się do oblicza mężczyzny, którego widywał u boku Czerwonego zawsze, gdy miał okazję uczestniczyć w spotkaniach przywódców obu karteli. W jednej chwili oblał się zimnym potem.

— Czerwony chce twojej głowy i niewiele możemy w tej sprawie zrobić, jeśli nie chcemy wywołać wojny. Dwie godziny temu rozpoczął mobilizację w całej strefie, gotów wyrznąć pół miasta, byleby tylko cię dopaść. Wpadł w szal, gdy się dowiedział. Podobno nawet poderżnął gardło posłańcowi.

Pauza w wypowiedzi pozwoliła winowajcy wyobrazić sobie możliwe najbliższe zdarzenia. Odmieniec przełknął głośno ślinę i poczuł skok tętna. Jeśli oddadzą go na łaskę północnego kartelu, śmierć będzie najprzyjemniejszym ze scenariuszy.

— Pojawiła się jednak nieoczekiwana okazja, by zminimalizować nasze straty i dać ci szansę na przeżycie. Niewielka, ale jednak szansa. — Leśniad założył ramiona na szerokiej piersi i oparł się biodrem o duże dębowe biurko, ale tak, by nie odkształcić zbyt wiele materiału modnej bluzy z szerokimi mankietami. — Potrzebujemy trzech rzeczy, by rozładować sytuację: twojego zniknięcia ze Lwieszna, sowitej i specyficznej rekompensaty dla Czerwonego i wiarygodnej informacji o twoim tragicznym losie. — Strzepnął z ramienia niewidoczny pyłek.

Noran intensywnie próbował wymyślić coś, co by realizowało te trzy założenia, ale każdy pomysł, który mu przychodził do głowy, albo był nedorzeczny, albo mógł okazać się nieakceptowalny przez Bo.

— Paradoksalnie rozwiązaniem wydaje się pewien wyrok, którego wykonanie właśnie nam zaproponowano. Chociaż to, że zlecenie przyszło akurat teraz i akurat takie, wydaje się niepokojąco nieprzypadkowe. — Doświadczony zabójca nerwowo przejechał palcami po elegancko przystrzyżonej brodzie, co kazało Noranowi się odezwać.

— Kim jest trup?

— Tego do końca nie wiemy, ale wiemy, gdzie możemy go znaleźć i dla kogo pracuje. To rodzaj zadania, którego nikt wcześniej w Gildii nie wykonywał, więc zakładam, że idealny dla kogoś, kto uwielbia...

— Zgaduję, że to ktoś spoza Lwieszna. — Noran wolał nie dawać koledze po fachu szansy na zwyczajowy przytyk.

— Żebyś nie zgadywał dalej, powiem to krótko — wtrącił się sucho Bo. — To ktoś, kto od niedawna pomaga Drenarowi w walce z Daczysławem. Nie wiadomo, kto dokładnie, bo królewscy szpiedzy próbujący się tego dowiedzieć gryzą właśnie piach. Dworscy są jednak przekonani, że to ktoś na kształt maga. I żebyś nie miał wątpliwości, zlecenie nadał nam sam Druwian, a przyjęliśmy je wyłącznie ze względu na owocne negocjacje nagrody, którą w dużej mierze zaoferujemy za twoją skórę Czerwonemu. Tak właśnie wygląda skala problemów, które wywołałeś ratowaniem durnej dziwki.

Noran próbował przetrawić usłyszane informacje. Gildia nigdy nie wykonywała wyroków na zlecenie dworu. Nie podejmowano działań przeciw magowi, bo na kontynencie po prostu żadnego z nich nie było. Od początków osiedlenia się tutaj rodu Ogromirów magia była całkowicie zakazana, a dawni magowie, tworzący od stuleci darzańskie plemiona, złożyli przysięgę blokowania jakichkolwiek jej przejawów i dotąd wywiązywali się z obietnicy tak dobrze, że prości ludzie mieli kłopot nawet z wymówieniem słowa „magia”. Czerwony, żeby odpuścić dorwanie kogoś, kto był dla niego jak wrzód na tyłku, nie zadowoliliby się pieniędzmi, niezależnie od kwoty, więc stawką musiało być coś niezwykle dla niego ważnego. Druwian jako doradca króla odpowiadał raczej za eliminację struktur Ukrytego Miasta, a nie współpracę z nimi.

Ktokolwiek pomagał Drenarowi, najprawdopodobniej przebywał w Kronogrodzie, drugim pod względem wielkości mieście kontynentu, obecnie ogłoszonym stolicą zbuntowanej północy — a zatem na obszarze kontrolowanym przez zupełnie inne kartele półświatka. Jeśli zsumować te podstawowe fakty, zlecenie wyglądało zasadniczo na czysto abstrakcyjne.

— Niech się upewnię. — Zabójca starał się podejść do tematu najspokojniej, jak mógł. — Czy to wyrok, który ma się odbyć pod bokiem innej Gildii, na zupełnie nieznanym terenie, wobec kogoś, kogo namierzenie nie udało się tajniakom Korony?

— Tak. — Bo ugryzł suszoną śliwkę wyjętą z misy na biurku i zaczął żuć, wpatrując się czarnymi jak węgiel oczami w swojego podopiecznego. Zdawał się tylko czekać na jakikolwiek sprzeciw, by dać upust swojej irytacji nagromadzonej w muskularnym ciele.

— Po pierwsze będziemy dysponować pełnym wsparciem i informacjami od ludzi Druwiana. — Leśny starał się mówić rzeczowym tonem, jakby omawiali zwykłe zadanie. — Po drugie mamy relacje z Gildią w Kronogrodzie, a ja pojedę z tobą, bo znam ten teren i mam tam zaufanych ludzi. A po trzecie królewski druid obiecał przygotować nas do... konfrontacji z magiem.

— Królewski może sobie wsadzić w rzyć te... — mruknął Noran pod nosem, niestety na tyle głośno, że sprowokował nabuzowanego Bo.

— Ty, młody, stul pysk i skup się, bo to naprawdę duża łaska, że ci dupę ratujemy, stając na głowie. — Bo jak zwykle stawiał sprawy jasno, choć ton i przyglądanie się paznokciom stanowiły całkowity kontrast do morderczych emocji, które wręcz czuło się w powietrzu.

— W tej robocie twoje nastawienie do Druwiana będzie najmniejszym kłopotem do pokonania. — Leśny zneutralizował napięcie. — Jakikolwiek uprzedzenia i cały dotychczasowy stosunek do Korony chowamy do kieszeni. Jesteśmy otwarci na współpracę, korzystamy z niej tak obficie, jak się da, doceniając ją jawnie słowem i gestem. Czy to jest jasne? — Mężczyzna posłał zabójcy ostre spojrzenie. Gdzieś na dnie jego oczu zaśniła ostrzegawczo zimna stal.

Noran chrząknął, by ukryć złość, i skinął niechętnie głową. Nieludzkie zgrubienia na jego czole biegnące nad oczami w kierunku nasady nosa nabrzmiały lekko, sygnalizując tłumiony gniew.

— Ruszamy jutro przed wschodem słońca, by załapać się na ostatnią zmianę warty na północnej bramie. Weź tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Całość ekwipunku i prowiant będą czekały na nas w Wysokich Siołach. Resztę spraw omówimy już w drodze. Aha, jeszcze jedno. — Leśniad wsadził kciuki za nowiutki pas, którego nie powstydziliby się niejeden bogaty szlachcic. — Złap kilka godzin snu, żeby zagoić ranę. Nie chcę mieć więcej kłopotów, niż już mamy.

Ciemne chmury pędziły po niebie, a potężne wyładowania oślepiały raz za razem. Powietrze przesycone było zapachem palonego ciała i świeżej krwi. Leżał na ziemi twarzą do góry, nie mogąc drgnąć, a wkoło kłębiły się dziwaczne sylwetki. Nic nie słyszał, cisza idiotycznie kontrastowała z wszechobecnym ruchem. Chciał się podnieść, ale ciało było bezwładne, zupełnie jakby nie należało do niego, lecz zostało mu jedynie pożyczone. Obraz nabierał wyrazistości. Poruszające się wokół postacie okazały się walczącymi zawzięcie wojownikami. Choć nie wszystkie. Co chwila w tłumie zauważał kształty całkiem odmienne od ludzkich, o przerażających odnóżach i głowach. Natężenie emocji drażniło jego umysł i zmysły.

Perspektywa nagle się zmieniła, tak że teraz miał wrażenie lewitowania, jakby płynął z niewidzialnym prądem. Ów podmuch przenosił go w kierunku miejsca, które wydawało się początkiem i końcem wszystkiego. Dostrzegł wypalony krąg ziemi, w którego obrębie jedynymi osobami byli dwaj przeciwnicy. Choć stali nieruchomo, skądś wiedział, że cały czas toczą ze sobą walkę. Ogromny rycerz w pełnej złoczonej zbroi z lśniącym jak słońce mieczem drżał, jakby zmagał się z przytłaczającym go ciężarem, a ciemny zarys jego unoszącego się tuż nad ziemią oponenta emanował gęstą szarością. Między nimi dało się wyczuć moc narastającą do nieznośnego poziomu. Powietrze wokół kręgu drżało coraz wyraźniej, jakby wszystko paliło się od gorąca. Blask miecza

przeciw szarej mgle. W jego sercu kołatało się dojmujące uczucie, wszechogarniający strach przed utratą czegoś niezwykle cennego. Nagle rycerz ugiął się pod ciężarem niewidzialnego wysiłku. Po jego zbolącej twarzy płynęły łzy. Powoli uniósł swój błyszczący oręż, zawahał się, a potem gwałtownie opuszczając na opancerzone kolano, złamał ostrze. Obraz eksplodował w ciemność.

Pośród bólu i rozpaczycy zobaczył twarz o pięknych, delikatnych rysach. Usta kobiety coś mówiły. Miała takie ciepłe, ciemnozielone oczy. Przeniknęło go zimno. Postać oddalała się, cały czas starając się coś przekazać, ale niczego nie słyszał. Szarość, która go nagle otoczyła, zasyczała mu do uszu: „Stworzyłem cię, jesteś moim dziełem, należysz tylko do mnie...”.

Noran zerwał się z posłania z walącym sercem, cały drżący, rozgorączkowany i mokry od nieprzyjemnie pachnącego potu. Powoli wracał do siebie, przypominając sobie ostatnie wydarzenia. Ukrył twarz w dłoniach. Na dnie duszy znowu wzbierały niepokonana wściekłość i ślepy gniew. „Muszę się dowiedzieć, co się ze mną dzieje. I to szybko”. Obawiał się, że coraz częstsze i silniejsze ataki przyzajonego w jego podświadomości szaleństwa, podczas których prawie tracił nad sobą panowanie, nie są jedynie objawem jego porywczej osobowości, ale też oznaką jakiejś postępującej z dnia na dzień przemiany grożącej całkowitym pomieszaniem zmysłów. Wciąż rozważał, czy jego pochodzenie, którego nie znał, domaga się w ten sposób haraczu od terażniejszości, czy to po prostu przypadłość związana z fizyczną deformacją, czy może następstwo któregoś z okrutnych eksperymentów ojczyzna. Odruchowo odrzucał myśl o sugerowanej mu czasem klątwie, wsadzając takie pomysły między bajki dla niedouczonej prostaczków. Większość ludzi i tak widziała tylko to, co zewnętrzne — jego demoniczny wygląd i napady szału — ale on czuł wewnątrz obecność mrocznego wiru, który wydawał się odrębnym bytem, mającym swoją świadomość i cel, niczym pasożyt umysłu.

Zsunął się z wysiłkiem z pryczy i podszedł do okna. Gdy otworzył je szeroko, podmuch nocnego chłodu przyjemnie rozwiął resztki

koszmarnego snu, wyostrowając zmysły. Niebo migotało milionami gwiazd, a ciszę uśpionego miasta zakłócało jedynie ciche warczenie psa. Ulice były puste, tylko przy jednej z bram zgarbiony żebrak, postępując, mościł swoje miejsce odpoczynku.

Noran wciągnął powietrze pełną piersią i przymknął oczy. Nie zobaczył, jak w słabym świetle księżycyca na ścianę przeciwległej kamienicy na krótką chwilę padł dziwny, zmieniający kształt cień. Gdy zabójcy udało się trochę wyciszyć emocje, poczuł dojmujące ssanie w żołądku, charakterystyczne dla wzmożonego wysiłku organizmu.

Zamknął okno, włożył spodnie i obejrzał dokładnie rany pod pachą. Dzięki specjalnym maściom po płytkich rozcięciach zostały już jedynie nabrzmięte, zaczerwienione bruzdy. Sekret produkcji leczniczych substancji odziedziczył po parającym się alchemią ojczymie sadyście. Za dwa, trzy dni będą to ledwie widoczne blizny. Rozejrzał się po izbie, rozważając, co zabrać ze sobą. Nie miał sentymentu do rzeczy i miejsc, jednak czuł się jakoś dziwnie ze świadomością, że opuszcza Lwieszno na bardzo długo, a być może na zawsze. Normalnie gdy przyjmował nowe zlecenie, był skoncentrowany, precyzyjnie wybierał wyłącznie konieczny ekwipunek, a w głowie miał określone ramy działania. Lubił energię i atmosferę nowego wyzwania, uwielbiał swoją, słynną już, skuteczność. Przyzwyczyił się. Mimo młodego wieku miał wrażenie, że robi to od zawsze. Ale tym razem nie mógł oprzeć się poczuciu wygnania i straty. Straty miejsca, które, chcąc nie chcąc, musiał określać mianem domu. Miasto, znajome zaułki i dachy, sieć kryjówek i przejść, kamraci, nawet wrogowie — wszystko to tworzyło jego świat, w którym wzrastał, od kiedy Leśniad uwolnił z zaryglowanej komórki wycieńczonego siedmiolatka, ratując go od niechybnej śmierci głodowej.

„Może po wykonaniu zadania wrócę do Gildii?” — posmakował własną myśl, szybko odkrywając jej naiwność. „Nie, nic już nie będzie takie samo. Na pewno dopóki żyje Czerwony”. Znał przywódcę północnego kartelu wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że żadna rekompensata nie zaspokoi jego osławionej żądzy zemsty. Oficjalnie może przyjmie jakiś układ z Bo, w końcu kiedyś byli



wspólnikami i przyjaciółmi i do dziś potrafili się dogadywać nawet w trudnych i drażliwych kwestiach, pozostając konkurentami. Jednak nie ma co się łudzić — wykorzysta każdą sposobność, by wziąć na odmieńcu przykładny i z pewnością okrutny odwet. Noran nadal nosił w sobie złość i nie godził się, by tak trywialna rzecz jak przypadkowe zabicie niewłaściwego człowieka okazała się wystarczająca do zaprzepaszczenia całej kariery. Dopiero teraz dotarł do niego głębszy sens zasłyszanego kiedyś starego powiedzenia kasty Ciemnych Noży: „Kres zabójcy następuje, gdy zostawi o jednego trupa za dużo”.

— A więc to koniec — szepnął sam do siebie.

„Albo początek” — pomyślał zaraz. Zdawał sobie sprawę, że niezależnie od wszystkiego nie będzie mógł przestać oglądać się za siebie, ale wiedział też, że pomyślne wykonanie tak wymagającego zadania wywinduje wartość jego ostrza na rynku Ciemnych Noży. A to, co w jego profesji od wieków liczyło się najbardziej, to skuteczność. Budzące grozę i podziw imię było kluczem do wszystkiego, niezależnie od terytorium Gildii. „Czasem na stole trzeba położyć wszystkie karty i zagrać o najwyższą stawkę” — przypomniał sobie jedno z powiedzonek ulicy. Nie mógł wiarygodnie sfingować swojego zniknięcia, robiąc dalej to, co robił. Musiał więc zadbać, by rosnąca legenda jego imienia strzegła mu pleców. Zabicie osobistego doradcy samozwańczego króla wydawało się tu wręcz idealnym środkiem.

Do ostatniej zmiany na północnej bramie zostało już niedużo czasu. „Działanie. Skupmy się na działaniu” — zmobilizował się wewnątrz. Dokończył ubieranie, jednocześnie chaotycznie połykając kęsy chleba maczanego w winie. Zabrał wszystkie oszczędności, trochę uzbrojenia, zestaw trucizn i podręcznych medykamentów. Zawahał się, po czym podszedł do kufra przy pryczy. W środku poza ubraniami przechowywał tylko trzy cenne dla siebie przedmioty. Najpierw wyciągnął półtoraręczny miecz wykonany ze specyficznie łączonej stali o zwiększonej wytrzymałości i doskonałym wyważeniu, otrzymany od Leśniada w ramach uczczenia pierwszego wykonanego wyroku. W mieście wykorzystywał tę broń prawie wyłącznie do treningu, bo przy jego

zadaniach nie był to zbyt użyteczny oręż, ale w podróży mógł okazać się nieoceniony. Mały skórzany worek skrywał z kolei jedyny przedmiot, z którym Noran trafił do ojczyzny jako niemowlę. Mógł on być pamiątką po rodzicach. Ostatnim skarbem była stara zakazana prawem księga dotycząca założeń druidycznej magii. Przez chwilę przyglądał się grubej, zniszczonej oprawie niewielkiego formatu. Delikatnie przetarł palcami jej szorstką powierzchnię pokrytą wypukłymi runami. Cud, że gdy ludzie Leśniada zabierali go ze splądrowanego lokum ojczyzny, właśnie to zapomniane dzieło stało się wyłącznym spadkiem po alchemiku. Miał w pamięci wyryty obraz każdej z pożółkłych kart, mimo że większość treści pozostawała wciąż jedynie niejasnym ciągiem znaków i symboli.

Tajemnice magii fascynowały go w jakiś niezrozumiały sposób. Gdy tylko mógł pozwolić sobie na myślenie o niej, marzenia z dzieciństwa natychmiast rozbudzały wyobraźnię. Pragnienie poznawania wszelkiego rodzaju mocy towarzyszyło mu, od kiedy sięgał pamięcią. O tym sekrecie wiedział jedynie Leśniad, ale nigdy nie komentował skrywanej słabości Norana. Los niewątpliwie obdarzył chłopaka wyjątkowymi predyspozycjami przede wszystkim do walki. Dzięki temu stał się niezwykle skutecznym i coraz bardziej cenionym zabójcą. Pasowało mu to. Był dumny ze swojej pozycji w Gildii, a każdy sukces budował jego pewność siebie i motywował do dalszych ćwiczeń. Jednak wielokrotnie nachodziło go przeczucie, że gdyby kiedyś stanął przed wyborem między byciem mistrzem ostrzy a zanurzeniem się w świat magicznych reguł, to jego noże i miecz rdzewiałyby w skrzyni. Westchnął przybity. „Nie ma co lizać cukru przez słoik, gdy nie da się go odkręcić” – pomyślał z goryczą. Gdyby chociaż w świecie, w którym żył, istniało jakiegokolwiek przyzwolenie dla bycia magiem. Ale na kontynencie surowo zakazano wszelkich form magii. Temat był zamknięty.

Zatrzasnął wieko skrzyni, wciągając głęboko powietrze. „Dobra, tajemniczy sprzymierzeńcu Drenara, kimkolwiek i gdziekolwiek jesteś, stałeś się właśnie moją przepustką do nowego życia. Dla mnie jesteś już trupem”.

## II. Trudne przymierze

— Do czego to doszło. — Daczysław zadumał się na chwilę, po czym rzekł: — Czy jesteś pewien, Druwianie, że nie zdążamy w złym kierunku?

Wysoki, postawny druid o szerokich ramionach przeszedł w stronę jednego ze strzelistych okien przestronnej sali audiencyjnej i zapatrzył się w dal, ściągając w zamyśleniu gęste, grube brwi. Niebieskie linie tatuaży na jego wydatnym czole lekko przygasty, gdy twarz oświetliło jasne światło popołudniowego słońca. Tak, on też miał wątpliwości. Zbyt mało wiedzieli o tym, co dzieje się na dworze Drenara. Od prawie roku, kiedy to u boku władcy północy pojawił się tajemniczy człowiek, stając się jego najbliższym doradcą, ich szpiegowskie siły zostały gwałtownie przetrzebione. Wszystko wskazywało na niezwykłą skuteczność nowego sprzymierzeńca, a wiele — na działania wręcz magiczne, chociaż z niewiadomych przyczyn nierejestrowane przez darzańskich czuwających.

Zasadniczo funkcjonowanie maga poza terytorium Sid było nie do pomyślenia, ale to założenie już raz legło w gruzach, gdy mag mroku na czele armii Zamorzan rozpętał siedemnaście lat temu piekło terroru i zabrał ludziom ostatniego króla z rodu Ogromirów. Teraz, po tak długim czasie wojny domowej, Drenar nie musiał uznawać ani praw Rodu Błogosławionej Krwi, ani więzów Wielkiej Przysięgi. Jeśli więc samozwańczy król faktycznie złamał odwieczny zakaz i korzysta ze wsparcia jakiegoś dzikiego maga, to czy wysłanie działających poza prawem zabójców dałoby w takiej sytuacji pożądaný rezultat? Mógł mieć jedynie taką nadzieję. Członkowie nielegalnych struktur nie byli powiązani z królewską siatką szpiegowską, a wykorzystywanie przestępców przez Koronę nie miało swojego precedensu w przeszłości. To mogło stanowić pewien element zaskoczenia. Przygotowanie do konfrontacji z kimś takim jak mag, które planował im dać, a którego z oczywistych względów nie miał nikt z ludzi w służbie Daczysława, również mogło być znaczącą przewagą. Dodatkowo gdyby jego przeczucia wobec

tego młodego zabójcy, którego działania bacznie śledził od dłuższego czasu, okazały się prawdziwe...

— Niczego dziś nie jestem pewien, ale wiesz dobrze, panie, że nie można ignorować mocy magii i wierzyć, że powstrzymają ją jedynie pancerze naszych wojsk. Przez cztery wieki negocjowania jej istnienia i blokowania wszelkich jej przejawów odzwyczailiśmy się od tego, jak to jest, gdy ktoś jej świadomie i jednoznacznie używa. Zresztą gdyby nie ten wasz braterski konflikt, spacerowałbyś teraz beztrudno po parku z wnuczkami.

— Nie zaczynaj znowu. Musisz zrozumieć, że nie mogłem postąpić inaczej. Ani siedemnaście lat temu, ani dziś. — Król zacisnął nerwowo pięści. Na jego twarzy i w sylwetce było już widać brzemień czasu.

— A więc po co pytacie, panie, czy zdążamy w dobrym kierunku? To konsekwencje twoich decyzji. Twoich i twojego brata.

Władca westchnął, zapadając się w głęboki fotel z wysokim, rzeźbionym oparciem. Zastukał w szeroki podłokietnik zdobnymi w pierścienie palcami.

— Cóż, może i faktycznie nadszedł czas na niekonwencjonalne działania. — Odruchowo potarł czoło tuż pod złoconą wąską obręczą. — Tak szacownego grona w służbie Korony jeszcze nie było. Sami łotrzykowie, zabójcy i ten straszący w mieście odmieniec. Naprawdę nie uważasz, że najmowanie chłopaka skażonego mrokiem jest... jest...

— Nieakceptowalne? Oburzające? Niemoralne? Niegodne? — Druid uniósł pytająco brwi. — Owszem. Jest takie. O ile faktycznie jest skażony, bo tego do końca nie wiemy. — Spojrzenie mężczyzny stało się nagle nieobecne, gdy znów przeniósł je na odległy las poza murami miasta. — Ale wszystkie te przymioty miała również wasza rzeź wyznawców kultu, do którego należałem przed czterystu laty. A jednak świadomie zdecydowano o niej.

„Moje motywacje są znacznie bardziej uzasadnione” — dodał w myślach, nie chcąc komentować swojego wyboru. Nie musiał i nie chciał nikomu ujawniać śledztwa, w którym wreszcie złapano pierwszy sensowny od siedemnastu lat trop.

Monarcha zeszywniał, wpatrując się czujnie w swojego doradcę. Po chwili rozluźnił się, uznawszy wypowiedź za zwykły, choć zaskakujący komentarz. Skrzywił się jakby do swoich myśli.

— Ale czy na pewno twój osobisty udział w tej wyprawie to dobry pomysł? Przecież to wyszkoleni asasyni. Nie potrzebują cię, by wykonać zlecenie.

— Staram się nie popełniać nigdy dwa razy tego samego błędu. — Emanujący siłą charakteru mężczyzna podszedł do stolika, by napełnić swój kielich winem z kryształowej karafki. Śnieżna biel bujnej brody i długich wąsów mocno kontrastowała z łysiną i ciemnoniebieskimi oczami uwikłanymi w siatkę wzorów tatuazy wijących się na sporej części policzków i czoła. — Już raz zlekceważyłem tąpnięcia mocy. Teraz mam zamiar przyjrzeć się sprawie bliżej i zadbać o każdy szczegół. — Upił duży łyk, smakując trunek przed przełknięciem. — Poza tym chcę wykorzystać kawałek wspólnej podróży, by dać im wskazówki użyteczne w walce z magiem.

— Chcesz z nimi podróżować i jeszcze przekazywać im taką wiedzę?! — Daczysław aż wyprostował się ze zdziwienia. — Przecież przemieszczanie się królewskiego doradcy w towarzystwie bandytów to będzie najgłośniejszy temat na całym kontynencie! Myślałem, że to tajna misja.

— Panie, uwierz mi, wśród tysiąca domysłów, jakie ludzie będą snuli o celowości wyjazdu królewskiego druida z szemraną obstawą, ani jeden nie znajdzie się nawet blisko prawdy. Na tym właśnie polega odwieczna siła przestępców Ukrytego Miasta. Ścigając ich, wciąż widzimy coś, co nie jest tym, czym myślimy, że jest, nawet gdy próbujemy widzieć, co jest pod tym ukryte. A co do wiedzy pomagającej walczyć z magiem... — Druwian uśmiechnął się delikatnie, odruchowo głaszcząc smukłymi palcami brodę. — Cóż, nie za bardzo może być wykorzystana przeciw nam, bo przecież nie mamy w królestwie żadnych magów, czyż nie?

Król pokręcił głową nie do końca przekonany, ale druid miał w tym zakresie pełną swobodę decydowania. Poza tym jak nikomu innemu ufał mądrości i doświadczeniu swojego najbliższego doradcy. Doskonale też zdawał sobie sprawę, że obecnie jedyny

przedstawiciel legendarnej kasty rządzącej niegdyś tubylczą ludnością kontynentu ma swoje sposoby, by wiedzieć więcej i lepiej.

Druwian z kolei nie chciał informować króla o dodatkowych, osobistych powodach wybranego przez siebie rozwiązania, między innymi o intrygujących i niepokojących odkryciach, jakich dokonał niedawno. A jedyną osobą, z którą mógłby się podzielić wynikami prowadzonego przez ostatnie lata badania, był Najstarszy — przywódca plemion darzańskich. Mimo że na początku los skonfrontował ich jako śmiertelnych wrogów, obecnie byli raczej życzliwymi kolegami po fachu, w dodatku oficjalnie zakazanym. Ich relacji, ograniczającej się do rzadkiej korespondencji i jeszcze radszych spotkań, nie dało się wprawdzie nazwać przyjaźnią, bo w końcu konkurowali ze sobą na gruncie wiedzy i nauki, ale szanowali nawzajem swoje doświadczenie i osiągnięcia.

— Cóż, skoro tak zdecydowałeś, niech tak będzie. — Król przygryzł wargę zasępiony. — Nie powiem, żebym czuł się szczęśliwy, nie mając cię u boku w tak niespokojnym czasie, ale wojna wymaga podejmowania ryzyka. Mam tylko nadzieję, że naprawdę wiesz, co robisz — powiedział, wstając ociężale, a w duchu dodał: „Bo może jesteś obecnie jedynym, który wie”.

— Masz może jakieś zorientowanie, ile nam jeszcze przyjdzie czekać na jego mości druidyczność? — Noran siedział znudzony w kącie małomiasteczkowej karczmy i leniwie sączył arraki. — Rozstraja mnie to tkwienie bez sensu na jakimś zadupiu i czekanie, aż jakiś nadymany dworak raczy objawić się i dać nam wykonać naszą robotę.

— Błatego pojęcia nie mam. — Leśniad z lubością wsunął do ust kolejny kęs pieczystego i uśmiechnął się, pokazując swój ujmująco biały garnitur równych zębów, których widok wywoływał kobiece westchnienia. — Ale dopóki płaci za tej klasy aprowizację i najlepsze pokoje w Siolach, zupełnie nie mam mu tego braku pośpiechu za złe. — Mruknął z zadowoleniem, zagryzając chrupiący, świeży chleb i popijając klarowne wino.

Młodzieniec pokręcił z rezygnacją głową, patrząc ze wzgardą na starszego kompana stoicko delektującego się istic szlacheckim

posiłkiem. Obaj wiedzieli, że pora przybycia Druwiana jest zupełnie nieistotna w porównaniu z tym, co dręczyło Norana. Całe jego życie znajdowało się obecnie na zakręcie. Musiał znaleźć w sobie odpowiedzi na fundamentalne pytania.

— Słuchaj, Noran. — Szpakowaty zabójca delikatnie wytarł sukniem utłuszczone wargi i odsunął talerz z resztkami kolacji. — Życie dryfa, wprowadzie na własny rachunek i bez ochrony ze strony którejkolwiek z Gildii, wcale nie musi być takie złe. Wiem, że pozycja, którą zdobyłeś w Ukrytym Mieście, była jak ciepła pierzynka, ale to, co się stało, było ci pisane od początku. Bądźmy szczerzy, to była tylko kwestia czasu. Nie nadajesz się do schematu, porządku i reguł, bo jesteś typem, który zawsze płynie z uporem pod prąd.

Młodzieniec spojrział uważnie na kompana, próbując odczytać jego intencje.

— Każda zmiana... — podjął Leśniad.

— Tak, tak, wiem — przerwał mu Noran, wywracając oczami. — Jest jak moneta, a my sami decydujemy, którą stronę położymy na wierzchu. Mówiłeś to już setki razy. — Przetarł dłonią twarz i zrobił głębszy wdech. — Leśny... to jest coraz trudniejsze do opanowania. No wiesz, o co mi chodzi. — Zagryzł kłami usta, wahając się, czy poruszać męczący go temat. Leśniad był jednak jedyną osobą, która znała szczegóły jego sekretu i której wystarczająco ufał.

— Skaza? — Mężczyzna spoważniał w jednej chwili.

Noran skinął głową nieznacznie.

— Jest coraz gorzej. A ja wciąż nic o tym nie wiem. Same domysły i przeczucia.

— Myślałem, że dałeś już sobie z tym radę. Przynajmniej z blokowaniem emocji.

— Tak, z tym nie mam już w większości przypadków problemu. — Machnął lekceważąco dłonią. — Ale kiedy pojawia się zapach krwi... to uczucie, że zaraz przestaniesz istnieć, że to coś zabierze ci władzę nad umysłem i staniesz się uwięzionym we własnym ciele niewolnikiem, który nic nie może zrobić... Ten strach przed bezradnością jest przerażający.

— Ale przecież nie wiesz, czy to tak właśnie przebiegnie, a jeśli nawet, to czy twoja świadomość po prostu nie zaniknie. To tak, jakbyś umarł — myślał głośno, mrużąc oczy ocienione długimi rzęsami.

— Samej śmierci nigdy się nie bałem. — Zabójca upił solidny łyk, patrząc filozoficznie na opróżniony puchar. — Być może zbyt częste ocieranie się o nią uodparnia. Masz rację, nie wiem tego na pewno, to tylko wiecznie towarzysząca mi obawa. Tyle że taka obawa w zupełności mi wystarczy, żeby czuć się jak dziewczka wystawiona na nielegalnym targu niewolnych. A to, że nic nie wiem, wpienia mnie setnie, co bynajmniej nie ułatwia sprawy. — Zacisnął charakterystycznie zarysowane szczęki, uwidaczniając na chwilę ukryte pod skórą pokaźne kły.

— Spróbuję coś pogadać w Kronogrodzie. — Leśniad klepnął pocieszająco blondyna w ramię. — Może tam trafisz na jakąś informację. Nigdy nie wiesz...

— Tak, tak, wiem: który kamień polny stanie się węgielnym twojego domu. — Noran wstał, dając znak gospodarzowi karczmy, żeby przyniósł kolejną arraki. — W sumie to faktycznie sympatyczne, że Korona wszystko stawia, biorąc pod uwagę moją odporność na działanie alkoholu. Szkoda tylko, że trzeba wtedy tyle sikać.

Następnego dnia po śniadaniu pojawił się Druwian. Brzuchaty właściciel gospody, lekko sapiąc, poprowadził ich na dół do niedużej, odosobnionej salki, sprytnie wydzielonej z części zaplecza. Gdy weszli, dyskretnie zamknął za nimi drzwi.

— Witaj, panie. — Leśniad ukłonił się nisko ze szlachecką gracją. Uśmiechnął się z typową dla siebie życzliwością i zaciekawieniem w spojrzeniu. Noran za to obdarzył siedzącego za szerokim biurkiem druida jedynie symbolicznym skinieniem głowy. Ten jednak nawet nie zareagował na ewidentnie lekceważący i wręcz obraźliwy rodzaj przywitania.

— Witajcie, panowie. — Pokazał im ręką, by usiedli, i odchylił się w fotelu. Sprawiał wrażenie jednocześnie bardzo starego i pełnego młodzieńczej witalności. Prosta, ciemnozielona bluza z niskim postawionym kołnierzem nie była w stanie ukryć potężnych barków,



a spod częściowo podwiniętych rękawów pełzły intrygujące zawijasy czerwono-niebieskich tatuaży na żyłastych, mocnych przedramionach.

Leśniad przysunął sobie krzesło i spoczął równie nonszalancko, co elegancko, a odmieniec z kamiennym wyrazem twarzy oparł się o ścianę, zakładając ramiona na piersi. Przez chwilę wszyscy milczeli, a królewski doradca przyglądał się im wnikliwie. Jego ciemnoniebieskie, momentami wręcz granatowe oczy i wydatny, ostry nos nadawały mu władczości. W końcu westchnął i oparł sękate dłonie na blacie.

— Panowie. Zanim cokolwiek się stanie, ustalmy pewne kwestie natury dość drażliwej, acz niezwykle ważnej. — Mówił głosem przywykłym do wydawania poleceń, chociaż spokojnym. — Ani wy, ani ja nie chcemy tu być razem w jednej sali jako strony, które mają ze sobą współpracować. Ale w życiu tak bywa, że decydujemy się czasem na niewygodne sytuacje w imię wyższych wartości. Zawarłem w imieniu Korony kontrakt z waszym szefem, ryzykując swoją reputację. Nie muszę pochwalać tego, kim jesteście, wy nie musicie uznawać tego, kim jestem ja. Nie musimy się lubić. — Zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował, patrząc już wyłącznie na Norana: — Ale jeśli ten kontrakt ma zostać zrealizowany i jeśli to wszystko ma mieć sens, to musimy się umówić, my między sobą, minimum co do trzech zasad. Po pierwsze we wszystkim, co dotyczy zadania, ja wydaję polecenia, wy je wykonujecie, przynajmniej dopóki jesteśmy razem. Po drugie mówimy sobie wyłącznie prawdę lub odmawiamy odpowiedzi. I po trzecie staramy się być dla siebie uprzejmymi, by, na ile to możliwe, ograniczyć dyskomfort współpracy. Czy to jest dla was akceptowalne?

Obaj zabójcy kiwnęli twierdząco, chociaż Noran z wyraźną niechęcią.

— Dobrze. Przejdźmy zatem do sprawy. Za godzinę ruszamy traktem na zachód, w stronę Koziej. W twierdzy zatrzymamy się na dzień, może dwa, a następnie przejdziemy przełęczą i będziemy podróżować na północ szlakami Gór Zębatych aż do miejsca, w którym najprawdopodobniej wy skierujecie się już w stronę Kronogrodu, a ja być może udam się w swoich sprawach. Przez ten

czas postaram się z wami podzielić pewnymi wskazówkami pomocnymi przy konfrontacji z kimś takim jak mag. Możemy też, jeśli uznacie to za istotne, porozmawiać o samej sytuacji na dworze Drenara. Dam wam dodatkowo kontakt do osoby, która może być dla was użyteczna już w samym mieście.

Wyjął z szuflady dwa kawałki drogiego pergaminu zapisane drobnym, zgrabnym pismem i przyłożył do każdego z nich pierścień bez oczka wykonany ze specyficznie połączonych różnokolorowych metali. Gdy to robił, grawerowana powierzchnia rozżarzała się na moment, zostawiając wypalony znak.

— To są wasze oficjalne dokumenty. Mogą się przydać nawet na północy. Czy macie jakieś pytania?

Zabójcy spojrzeli po sobie. Użycie magii w świetle prawa było zabronione, a wykorzystanie jej do tak prozaicznej czynności jak rozgrzanie pierścienia — szokujące. Druwian najwyraźniej chciał im pokazać, że jego pozycja stawia go poza powszechnie przyjętymi regułami.

— Co wiemy o naszym celu? — Noran sięgnął od niechcienia po jedną z kartek i nawet nie rzucając na nią okiem, schował do wewnętrznej kieszeni szerokiego podróżnego stroju.

Siedzący za biurkiem mężczyzna zmarszczył gęste brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

— Niestety niezbyt wiele. Nie znamy jego imienia, a ci, którzy o nim mówili, zawsze nazywali go mistrzem. Pojawił się w towarzystwie Drenara zupełnie niespodziewanie jakieś dziewięć, dziesięć miesięcy temu i od razu stał się kimś w rodzaju królewskiego doradcy. Nikt z tych, którzy mieli okazję go widzieć, nie kojarzy go, więc zupełnie nie znamy jego pochodzenia ani przeszłości. Z opisów nielicznych świadków wynika, że jest spokojny, uważny i jego opinia ma decydujący wpływ na decyzje samozwańca. Podobno z reguły nosi się na czarno, a jego luźny ubiór trochę przypomina ceremonialne stroje Darzan... — Mówiąc to, nagle uświadomił sobie, że jego rozmówcy mogą nie mieć pojęcia, jak takie szaty wyglądają, więc dorzucił: — To połączenie lamowanego habitu i wędrownego płaszcza z kapturem.

— Dlaczego mamy podróżować? O ile w ogóle można tak nazwać przedzieranie się przez dzikie przełęczce Gór Zębatych okrężną trasą, skoro poruszając się nawet tylko nocą, można dystans do Kronogrodu pokonać ze trzy razy szybciej, kierując się po prostu na północ. — Leśniad mimowolnie skrzywił się, wyobraziwszy sobie, co ich czeka w krainie wiecznego śniegu.

— Planuję zasięgnąć opinii o naszym wrogu u pewnej zaprzyjaźnionej osoby. Lubię być przygotowany i doinformowany. Staram się nigdy nie lekceważyć moich przeciwników, szczególnie gdy dają mi wyraźne ku temu powody.

— W naszym fachu też tak działamy, ale... — Doświadczony zabójca zmarszczył brwi. — Nie słyszałem, by ktokolwiek mieszkał w samych górach. Nie licząc oczywiście niektórych dziwnych gatunków, których napotkanie doinformuje nas jedynie o tym, że Góry Zębate, szczególnie jesienią, nie są miejscem dla ludzi, chyba że tych o skłonnościach samobójczych.

Druid uśmiechnął się mimowolnie. Założył ramiona na piersi, przechylił lekko głowę i popatrzył ironicznie na szpakowatego zabójcę.

— Słyszałem kiedyś, że służyłeś pełne dwa sezony w królewskiej armii i to w Brunatnych Kolczugach. Podobno jej żołnierze wstawili się tym, że zaskoczyli Zamorców atakiem od strony, od której nie mogło to się zdarzyć, bo oddzielona była Trupimi Bagnami. Chyba musieli je najpierw jakoś przebyć, chociaż wcześniej nikt tego nie dokonał. Może zresztą dlatego, że ponoć oznacza to tydzień na bezkresnych mokradłach, w ciągłej wilgoci, gęstej mgle, z bardzo dużą szansą na spotkanie z krokonami i jadowitymi jaszczurami, nie mówiąc już o gigantycznych komarach roznoszących mnóstwo nieuleczalnych chorób.

— No cóż, chyba kiedyś nawet faktycznie tak było. — Leśniad udał, że próbuje sobie przypomnieć przytoczone wydarzenia. — A dokładniej to były dwa sezony, trzy kwartały i szesnaście dni, siedem większych bitew, dwadzieścia dwie potyczki, dziewięć poważniejszych ran i trzy odznaczenia Lwiej Gwiazdy.

Noran otworzył szeroko oczy i ze zdumieniem przyglądał się kompanowi. Ten w odpowiedzi wzruszył tylko ramionami, jakby

chciał powiedzieć: „No co, robiło się w życiu to i owo”.

— Co do Trupich Bagien... — Zabójca się skrzywił. — ... to nie sądzę, by dało się je przebyć szybciej niż w jedenaście dni, nie zostawiwszy w paszczach krokonów jednej trzeciej stanu osobowego oddziału jako haraczu. — Po jego obliczu przemknął cień bólu, charakterystyczny dla tych, którzy wciąż nie mogą odżałować straty kogoś bliskiego.

— Cóż. — Druid przygładził długie siwe wąsy i gęstą brodę. — Zapewniam cię, że śniegi Zębanych nie są nawet w połowie tak groźne, szczególnie dla kogoś, kto wie, jak w takim miejscu o siebie zadbać. A ja wiem.

— Czy ktoś inny wykonuje obecnie podobne zlecenie? — Ton głosu Norana był szorstki i nieprzyjemny. Wytrzymał zimne spojrzenie królewskiego doradcy, który sprawiał wrażenie, jakby rozważał różne reakcje na ukrytą w pytaniu insynuację. Tatuaze zrobiły się nagle prawie granatowe, niepokojąco podkreślając jego zmieniające się emocje. W końcu jednak druid przeniósł spojrzenie na swoje dłonie i odezwał się łagodnie:

— Jeśli nawet, to nic mi o tym nie wiadomo.

W praktyce oznaczało to „nie”, bo raczej trudno było sobie wyobrazić, by cokolwiek tego typu mogło dziać się poza wiedzą legendarnego zauszniaka kolejnych pokoleń władców kontynentu.

— Na ile faktycznie możemy liczyć na wsparcie Korony? — Leśniad wolał przenieść rozmowę na mniej drażliwe obszary. Jak zwykle emanował otwartością i życzliwością, która już niejednokrotnie neutralizowała wrodzoną zgryźliwość jego podopiecznego.

Druwian wysunął lekko dolną wargę w zamyśleniu.

— Fundusze w określonym limicie macie zapewnione. Gdyby potrzebne były znaczące sumy, będziecie zmuszeni przekazać informację przez naszego człowieka w Kronogrodzie. — Spojrzał po kolei na nich obu, jakby chciał im przekazać: „będę miał was na oku”. — W kwestii dostępu do informacji bądź... specyficznych usług... cóż, starajcie się polegać głównie na sobie. Jak mniemam, wasz fach wymaga pełnej samodzielności. — Uniósł brwi z ironią.

— Oczywiście. — Starszy z zabójców wyciągnął dłonie w uspokajającym geście. — Pytam, by mieć pełne rozeznanie w sytuacji. Po prostu wolę wiedzieć, niż domniemywać.

Druid kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy porozmawiać teraz? Tak czy inaczej, czeka nas sporo dni razem. — W jego postawie pojawiły się oznaki niecierpliwości, które nasiliły się, gdy zauważył, że padnie kolejne pytanie.

Jasnowłosy zabójca podszedł do biurka.

— Tak, mam jeszcze jedno, dość zasadnicze dla mnie, pytanie.

Leśniad, zobaczywszy minę towarzysza, aż znieruchomiał.

— Dlaczego ja?

O dziwo druid zareagował bardzo spokojnie, chociaż znowu namyślał się dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

— Z co najmniej trzech powodów. Pierwszy jest dość banalny i oczywisty: bo jesteś zabójcą i to skutecznym. Drugi jest moim założeniem, że działając kolejny raz według tego samego schematu, który się nie sprawdza, nie powinno się mieć wielkiej nadziei na to, że ten schemat nagle zacznie się sprawdzać, i trzeba rozważyć coś bardzo poza schematem. — Krótkie milczenie wydawało się zawierać wewnętrzne wahanie, czy trzecia z przyczyn powinna zostać wyjawiona. Ostatecznie jednak zdecydował się dokończyć wypowiedź: — Ostatnią sprawą jest fakt, że wiem o tobie coś, czego nie wiesz o sobie ty sam, i mam zamiar osobiście sprawdzić, czy moje odkrycia są uzasadnione.

Noran zmarszczył brwi i zacisnął usta. Zgrubienia na jego czole lekko się uwydatniły, podkreślając niesamowitość twarzy. Leśny na tyle dobrze znał młodzieńca, żeby wiedzieć, że on sam nie zapytał, o co chodzi królewskiemu doradcy. Zbyt często już widział, jak nadmierna hardość i buta tworzyły chłopakowi niewidzialną klątkę, w której cierpiał, ale z której nie potrafił się sam uwolnić.

Być może Druwian też to wiedział, bo milczał z niewypowiedzianym wyzwaniem w spojrzeniu. Po krótkiej ciszy podniósł się i wydał związane polecenie:

— Bądźcie za godzinę przy gościńcu.

### III. Opowieść druida

Droga ze Lwieszna na północny zachód nie była zbyt uczęszczaną trasą, ponieważ w odróżnieniu od wygodnych traktów wiodących w kierunkach północnym i północno-wschodnim nie prowadziła bezpośrednio do żadnej ważnej posiadłości czy zamku poza zimową twierdzą w Koziej, u podnóża Gór Zębatych. Nie była jednak miejscem całkowicie odludnym.

Trzej jeźdźcy, stanowiący dość specyficzne towarzystwo, napotykali w ciągu dnia innych podróżnych, niewątpliwie wzbudzając zainteresowanie i ciekawość większości z nich. Przeważnie na przedzie jechał Druwian, będąc dla wszystkich mijanych jasnym sygnałem: ukłonić się Koronie, nie zwracać uwagi, szybko minąć. Majestatyczny i tajemniczy zarazem, na okazałym bojowym koniu, jednym z najlepszych w królewskich stajniach, wydawał się jeszcze bardziej potężny i władczy niż zazwyczaj. Ciemnozielony płaszcz spięty pod szyją spinką z charakterystycznym plecionym guzłem z miodowoczerwonego złota, lamowany na brzegach królewskimi barwami, powiewał dostojnie, długi miecz z szerokim, typowym dla najwyższych kast rycerskich jelcem i oprawioną w kamień rękojeścią podskakiwał przytroczony do bogato zdobionego siodła. Jeździec wpatrywał się w dal z zamyśleniem. Równie dobrze mógłby być monarchą, gdyby nie wytatuowana czaszka, gęsta, długa broda i niepokojąco wyglądający kostur zwieńczony paskudnymi szponami jakiegoś drapieznika.

Trzymający się za druidem zabójcy dosiadali mniej okazałych koni, za to rasy wykazującej się znacznie większą wytrzymałością i karnością. Leśniad, jak zwykle gustownie ubrany, w modną koszulę z dobrej jakości materiału, skórzane podróżne spodnie i solidne buty z wysokimi, wypolerowanymi na błysk cholewami, bez problemu mógł uchodzić co najmniej za bogatego szlachcica. Jego klasycznie przystojna twarz zdradzała arystokratyczne pochodzenie, ale dwie bliźniacze rękojeści wystające znad barków ujawniały żołnierski rodowód.

O ile obaj z druidem pasowali do określonych schematów i mijający ich łatwo mogli sobie przyporządkować typowe skojarzenia, o tyle jadący z tyłu Noran budził wyłącznie niepokój i zaintrygowanie. Jak zwykle okryty obszernym płaszczem z głębokim kapturem, lekko przygarbiony, starał się unikać ciekawskich spojrzeń. Jedynym świadectwem jego przynależności do jakiejś profesji był groźnie wyglądający półtorak zawieszony nietypowo na plecach. Młody zabójca zaakceptował konieczność towarzystwa królewskiego druida, a ten nie komentował odmiennych zwyczajów i zachowań zabójców. Można by powiedzieć, że ich zgodność była wzorowa. Jednak cała trójka wiedziała, że to tylko bardzo napięta, wymuszona neutralność, która w każdej chwili może pęknąć i przekształcić się w otwarty konflikt.

Od początku podróży cieszyli się słoneczną i dość ciepłą aurą nadchodzącej dopiero jesieni, a szeroki uśmiech Leśniada opromieniał jego twarz nawet bardziej niż zwykle. Doskonale zdawał sobie sprawę z wręcz atawistycznych antypatii między wyniosłym i dystyngowanym dworzaninem strzegącym oficjalnych praw monarchii a wschodzącą gwiazdą kryminalnego półświatka, całe swoje życie omijającą i negującą te prawa.

Druwian nie był wprawdzie nawet szlachcicem, a jako jedyny oficjalnie żyjący przedstawiciel dawnej społeczności druidów nie miał wizerunku typowego członka dworu, jednak funkcja królewskiego doradcy sprawiała, że w oczach kamratów uosabiał znienawidzoną przez nich władzę Korony. Zabójca nie dziwił się negatywnym emocjom i wrogiemu nastawieniu chłopaka — w końcu każdy jego dzień życia we Lwiesznie i działania w Gildii umacniały nienawiść do wszystkiego, co reprezentowało króla i ludzi w jego służbie. Leśniad patrzył na to zgoła inaczej. Dla niego Druwian był wyjątkowy. Miał w przeszłości okazję poznać jego historię znacznie lepiej niż inni, nawet ci przebywający w jego otoczeniu. Wiedział naprawdę dużo o potomku przywódcy okrutnie wytępionych druidów. A teraz zrzędzeniem losu mógł być bardzo blisko, obserwować go i poznać osobiście. Istniały też pewne powody, dla których miał zamiar w pełni wykorzystać tę unikalną, sprzyjającą możliwość.

Początkowo przemieszczali się szybko, niewiele rozmawiając. Królewski doradca zachowywał się tak, jakby wszystko było jasne, marszruta i plan działania dokładnie określone i nie pozostało nic innego niż rzetelne wykonanie. Raz tylko Leśniad zauważył, że twarz ich towarzysza stężała w skupieniu, gdy przystanęli na chwilę w pobliżu niewielkiej polanki, na której odmieniec nazbierał garść maleńkich niebieskich kwiatków i skrzętnie zapakował do pudełeczka.

Po dwóch dniach spokojnej podróży z noclegiem w przydrożnej gospodzie dotarli na skraj większych połaci leśnych. Można by rzec, że ich misja właściwie dopiero miała się zacząć. Tutaj bowiem kończyły się tereny ściśle kontrolowane przez króla południa, a zaczynał rozległy masyw starych kniei ciągnący się praktycznie aż do południowego łańcucha Gór Zębatych. Gdyby skierowali się teraz na północ, czekałoby ich jeszcze przynajmniej kilka dni drogi przez wsie i miasteczka będące we władaniu poszczególnych lordów wiernych królowi południa, zanim dotarliby do tak zwanej ziemi niczyjej – obszaru walk, na którym napotkanie sztandaru dowolnej strony konfliktu było równie prawdopodobne. Zmierzali jednak na północny zachód i szybko wkraczali na coraz bardziej odludne ziemie, zamieszkałe przez niewielkie grupki drwali lub leśnych samotników oraz góralskie klany cieszące się sporą autonomią i często ustalające własne reguły i prawa.

Teren stawał się lekko pagórkowaty, a dotychczas wygodna, ubita droga zmieniała się w szeroki leśny trakt ocieniony wysokimi drzewami.

— Zatrzymamy się na noc obok tych zwalonych konarów. Słońce już dość nisko, więc rozbijemy tu obóz. — Ton głosu Druida zdradzał jakąś zaskakującą nostalgię.

— Myślałem, że podróżując z królewskim dostojnikiem, będziemy nocować wyłącznie w wybranych komfortowych gospodach. — Leśniad zeskoczył z konia i rozprostowując zeszywniałe ciało, rozejrzał się po okolicy. Przytulny klimat otaczającego ich mieszanego lasu, ciepłe powietrze przesycone zapachem sosen i traw, wszechobecny trzel ptaków, lekki szum liści



przerywany stukotem dzięcioła rozkosznie zapraszały do odpoczynku.

— A ja myślałem, że słynący z niezłomności zabójcy Ukrytego Miasta traktują wszelkie niewygodny życia codziennego jak element treningu swojego hartu ducha i wytrzymałości ciała. — Druid przywiązał rumaka do drzewa i wspiał się na najbliższy z leżących pni, by przyjrzeć się okolicy.

— No cóż, większość pewnie tak. Weźmy na przykład mojego kompana o złotych oczach. — Leśniad wyczuł okazję do rozluźnienia atmosfery. — Ten zwykle sypia na łożu nabitym tysiącem gwoździ, przytulony jedynie do zimnego, nagiego ostrza, a jeść pozwala sobie wyłącznie po zabiciu kolejnej ofiary.

Kątem oka już widział, jak młodzieniec wykrzywia twarz, otwierając usta, ale nagle druid zaniósł się tak swojskim i szczerym śmiechem, że obaj zamarli zaskoczeni tą naturalnością. W tym momencie wyglądał na zwykłego, sympatycznego starszego mężczyznę.

— A jednak może ta nasza wymuszona współpraca nie musi być do końca taka drętwa. — Kiwał głową rozbawiony, zupełnie nie przypominając już sztywnego, wyniosłego dostojnika.

Kiedy siedzieli przy ognisku, wciąż jeszcze leniwie delektując się smakiem dopiero co przełkniętych ostatnich kęsów kolacji, ze wzrokiem utkwionym w trzaskające płomienie, to właśnie Druwian przerwał ciszę:

— Taki wieczór przy ogniu na skraju lasu budzi we mnie całe mnóstwo wspomnień. Czujecie, jak te puszcze pachną bezmiarem czasu swego istnienia?

Zabójcy spojrzeli zdziwieni najpierw na niego, potem na siebie.

— Tak, to pewnie prawda. Słabo znam się na bezmiarach... — Towarzyski z natury Leśniad chętnie podjął temat. — ...ale jeśli już miałbym wybrać coś, co w dużej ilości czuję w tych kniejach, to pewnie wskazałbym raczej na ogrom tętniącego w nich radosnego życia niż ich wiekowość.

Druid uśmiechnął się. Przez chwilę jego twarz wyglądała znacznie młodziej. Spojrzał na Norana i spokojnie zapytał:

— Jak to jest być zabójcą odbierającym innym ludziom za pieniądze najcenniejszą rzecz, jaką mają?

— A jak to jest być druidem, który żyje wśród zamkowych murów i komnat, wśród głupkowatych dworzan i ograniczonych do rycerskiej reguły stalowych durniów? — Noran, lekko pochylony, z przymkniętymi powiekami i rozpuszczonymi jasnymi włosami opadającymi łagodnymi lokami na szerokie ramiona, przypominał bardziej zamyślnego barda niż bezwzględne mordercę.

Druwian pokiwał głową ze zrozumieniem, ignorując opryskliwy i wyzywający ton wypowiedzi, jakby ocenił zaczepkę jako niewartą irytacji.

— W porządku, powiem ci, jeśli to ma coś zmienić.

Przez chwilę próbował odnaleźć miejsce swego życia, od którego chciałby zacząć.

— Po masakrze w północnych gajach Derath, w której nie zginąłem tylko dzięki czystemu przypadkowi, przez jakieś dwieście lat starałem się trzymać na uboczu panoszącego się wszędzie nowego ładu. Ból i gniew wypalały się we mnie stopniowo i przytępiały wraz z upływem czasu. Dwa wieki to wystarczająco długo dla kogoś, kto nie jest z natury zły i mściwy, by spojrzeć z dystansu nawet na najstraszniejsze wydarzenia. — W migotliwym świetle płomieni zawile wzory tatuaży wydawały się całkowicie czarne. — Któregoś dnia do mojej samotni, o której myślałem, że jest nie do wytropienia, przybył jeden z królów. Przyszedł sam, bez straży, bez wojska. Była z nim za to jego żona. Mogłem go wtedy zabić. Był taki ufny i młody. — Mężczyzna spojrzał w oczy Noranowi, jakby chciał sprawdzić jego reakcję. — Powiedział, że chce poznać historię ludów kontynentu sprzed kolonizacji. Najbardziej zaś fascynowała go wiedza o druidach i ich zwyczajach. Z jednej strony gotowała się we mnie wściekłość, ale z drugiej coś w podejściu tego młodego dziedzica Rodu Krwi sprawiało, że zgodziłem się z nim jechać, by pozwolić jego kronikarzom utrwalić w księgach przeszłość kontynentu. Przeszłość mojego ludu. My, druidzi, nie spisywaliśmy naszego dziedzictwa. Przekazywane było wyłącznie ustnie, gdy ojciec uczył syna. Ale druidów już nie było. Nie istniała już żadna tradycja, nikt nie otaczał opieką świętych dębów,

nie odprawiano rytuałów zmiany pór roku. Wytracono całą społeczność. — Głos Druwiana wypełniały nigdy niewyleczony ból i tęsknota.

Wziął głębszy oddech i przez chwilę milczał. Żaden z zabójców nie ośmielił się mu teraz przerywać jakimkolwiek pytaniem.

— Darren Łaskawy. To on sprawił, że zrozumiałem przyczyny tego, co się stało. Nigdy nie wybaczyłem i nigdy nie wybaczę Gryworowi Wysokiemu, nawet jeśli to nie on osobiście zdecydował o rzezi. Ale żyjąc obok Darrena, patrząc, kim jest, jak myśli, czym się kieruje w trudnych sytuacjach, w których żadne z wyjść nie było dobre, podjąłem ważną decyzję. Postanowiłem zakończyć dwa wieki życia w cieniu straty i pustki, z duchami przeszłości. Życia bez celu, monotonnego trwania. Któregoś dnia, gdy zobaczyłem, jak młody król z nieskończoną miłością przytula swojego nowo narodzonego syna, wtedy to do mnie dotarło. Od tamtego momentu mam swój cel i misję w życiu. Obiecałem sobie, że służąc błogosławionej dynastii, będę chronił wszystkich. Przed okrucieństwem, nienawiścią i głupotą, również ze strony samych władców. Miałem swój wpływ na rządy siedmiu kolejnych królów. Byli bardzo różnymi ludźmi, niektórzy mieli okropne charaktery i podłe wady. Ale nauczyłem się, jak wydobywać z nich to, co zasiali w ich krwi wasi bogowie: dobroć, honor i miłość. Znalazłem jej pierwiastek w każdym z nich. I jestem przekonany, że znalazłbym również w Gryworze.

Płomienie strzeliły nieco w górę, gdy z trzaskiem pękła jedna z grubszych gałęzi. Garść iskier wzleciała w chłodne nocne niebo. Mocniejszy podmuch wiatru zaszumiał w kołyszących się koronach najbliższych drzew. Jasnowłosy zabójca w milczeniu dołożył kolejne kawałki drewna.

— Cała moja służba w królewskim wojsku to okres względnego pokoju, poza momentem inwazji Zamorców niecałe dwie dekady temu. — Leśniad obracał w dłoniach metalowy kubek z resztką arraki. — Pokoju zapewnionego przez mądre rządy Reingarda zwanego nie bez powodu Praworękim. Nie wiem, na ile twój głos wspierał go w dobrych dla nas wszystkich decyzjach. Wiem za to, jak może wyglądać świat, w którym mający władzę i siłę czerpią wyłącznie z mroku. To, co widziałem, mijając wymordowane

i spalone przez zamorskich barbarzyńców wsie, zawsze będzie powracać w moich snach. Ocean okrucieństwa i ślepego sadyzmu wrogów upewnił mnie, że służę pod słusznymi sztandarami.

— A jednak dziś działasz przeciw Koronie. — O dziwo rzekł to nie Druwian, lecz Noran. Druid tylko przechylił lekko głowę, zaciekawiony, co odpowie jego kompan po fachu.

— Dzisiaj ta złocona obręcz spoczywa na dwóch skroniach, z których żadna na nią nie zasługuje. Więcej praworządności widzę w Gildii niż na dworze. — Leśniad wziął mały łyk, cicho mlaskając. — Bez urazy, druidzie. Po śmierci Praworękiego z armii odeszła prawie czwarta część weteranów.

Druwian wzruszył nieznacznie ramionami, zapatrzony w płomienie.

— Reingard był najlepszym z władców, jaki mógł się temu światu przytrafić. — Przeciągnął dłonią po brodzie, nie odrywając zamyślonego spojrzenia od ognia. — Był jak sama natura, dobry, ale stanowczy, sprawiedliwy, ale i bezwzględny w razie konieczności, dumny, ale i pokorny, waleczny, ale i rozsądny. Sam nie wiem, kiedy stał się dla mnie kimś... wyjątkowym. Jak młodszy brat. Za jego rządów wszystko było na swoim miejscu.

— Ale wciąż nie zmienia to faktu, że wkoło mamy pełno nietolerancji, zawiści, głupoty. — Noran również patrzył w płomienie. — Urodziłem się wprawdzie już po śmierci Wielkiego Króla, ale nie sądzę, by świat był wówczas inny i nagle, w kilka lat zmienił się tak bardzo. A świat, który ja zastałem? Całkowity brak tolerancji dla odmienności, bezdenne bieda jednych i niezrozumiałe bogactwo innych, ludzie pełni wzajemnej nienawiści, gotowi zapłacić każdą cenę, byleby tylko pozbyć się nielubianego sąsiada, który zawinił jedynie tym, że nieopatrznie zadurzył się nie w tej osobie, co trzeba. To ma być wszystko na swoim miejscu?

Druwian lekko zaskoczony zmrużył oczy, przyglądając się uważnie zabójcy.

— I do tego to absurdalne zaprzeczanie istnieniu magii. Ludzie z kontynentu sprawiają wrażenie, jakby mieli w głowach jakąś blokadę. — Chłopak parsknął wręcz gniewnie, odsłaniając

na moment kły. Blask ogniska migotał w jego złotych oczach, odbijając się niczym w lustrach.

Na twarzy druida pojawiło się zdziwienie, ale gdy zorientował się, że ostatnie stwierdzenie było jedynie błahą irytacją, natychmiast ukrył swoją reakcję.

— Jesteś jeszcze młody, synu.

Leśniad aż drgnął przy ostatnim słowie, dobrze wiedział bowiem, że może ono podziałać na Norana jak płachta na byka, choć druid zdawał się zwracać do niego w ten sposób całkiem naturalnie i odruchowo, zapewne z powodu ogromnej różnicy wieku.

— A to, czym się zajmujesz, sprawia, że oglądasz rzeczy od tej gorszej strony. Pomyślałeś kiedyś, że świat bez akceptacji magii to też świat bez jej nadużywania?

— A czy ty, panie, pomyślałeś kiedyś, że świat bez akceptacji magii to również świat bez akceptacji takich anomalii jak ja? Nawet wykształceni, dobrze urodzeni ludzie nienawidzą samej myśli o magii tak bardzo, że gdy mnie widzą, czują się, jakby ktoś im napluł w twarz. Nie mówię już o zwykłych wieśniakach, którym na mój widok kosy stają na sztorc.

Druid popatrzył na jasnowłosego mężczyznę, jakby chciał przeniknąć do jego wnętrza. Pokręcił głową.

— Oczywiście, że świat się nie zmienił od czasów Praworękiego. Obawiam się, że nie zmienił się nawet od czasów przybycia Grywora. Ale gwarantuję ci, że gdybyś za panowania króla Reingarda wniósł sprawę przeciwko komukolwiek, kto bez zasadności potraktował cię obelżywie tylko dlatego, że wyglądasz nie do końca jak człowiek, uzyskałby on surową karę, a ty łaskę.

— Po prawdzie nie potrzeba mi niczyjej łaski, nawet królewskiej, a ludzi, którzy nie byli zbyt rozsądni i powściągliwi wobec mnie, wolę rozliczać z ich czynów osobiście. — Zabójca wzgardliwie wyduł wargi.

Druid rozłożył bezradnie ramiona.

— Za Wielkiego Króla uzyskałbyś zatem taką samą karę jak prawdziwy winowajca.

Przewidując dalszy ciąg dyskusji, Leśniad wszedł Noranowi w słowo, aby ominąć drażliwy temat:

— Tak czy siak, nadal nie wiemy, jak to się stało, że teraz służysz królowi południa. Ten na północy zdaje się mieć podobne prawa do korony, czyż nie?

Widząc jednak reakcję druida, pomyślał, że chyba wpadł z deszczu pod rynnę, gdy poruszył kwestie delikatne z kolei dla drugiej strony. Królewski doradca w milczeniu dorzucił energicznie do ognia, wzbijając przy tym snop iskier. Na jego obliczu oświetlanym jedynie blaskiem ogniska malował się dziwny wyraz cierpienia. Teraz wyglądał jedynie na bardzo zmęczonego starca. Mimo to zaczął cicho:

— Daczysław raczej nie posunąłby się do skorzystania z usług dzikiego maga, a Drenar, jak widać, nie miał z tym problemu.

Zacisnął wargi. Widać było, że zastanawia się nad dalszą rozmową. W końcu westchnął i przygarbił się lekko.

— Po tym, jak Praworęki... zginął... chciałem się całkowicie wycofać. To, co się wtedy wydarzyło, było w dużej mierze moją winą.

Zabójcy znowu spojrzeli na druida, nic nie rozumiejąc.

— Jak to: twoją? — zapytał Leśniad ostrożnie. — Przecież bitwa Złamanego Ostrza to była normalna, regularna bitwa jak wiele innych przed i po. Wielki Król pokonał szamana wyspiarzy, oddając życie za swój lud, a to się w bitwach zdarza. Dzięki temu wygraliśmy, a resztki najeźdźców musiały wsiąść na swoje smocze okręty i odpłynąć bez naszych skarbów, żon i córek.

Starzec pokręcił tylko głową.

— Tak śpiewają o tym bardowie — powiedział smutno ledwie słyszalnym szeptem i zamilkł. Odpłynął myślami gdzieś daleko. Sprawiał wrażenie człowieka noszącego brzemię niezwykle bolesnego ciężaru.

„Czyżby faktycznie ponosił odpowiedzialność za wydarzenia sprzed niespełna dwudziestu lat?” — zastanawiał się Leśniad. „A może jedynie nie umie pogodzić się, jak wielu innych bliskich Wielkiemu Królowi, z jego odejściem, niepotrzebnie obwinia się i wyolbrzymia swoją rolę?”

— Nie brałem udziału w tej bitwie, nie chroniłem więc króla, co było moją powinnością. Próbowałem w tym czasie odnaleźć jego małżonkę Jaśmianę, która, jak może nie wiecie, zniknęła

w tajemniczych okolicznościach. — Wrócił do tematu jak do przerwane go oczyszczania bolesnej rany. — Z pewnych względów potrafię zlokalizować kogoś, kto jest ze mną... hmmm... w bliższych relacjach. Wyczułem jej esencję gdzieś na północnym zachodzie. Poruszała się w kierunku Baranich Wzgórz i Lasu Wiecznego Słońca.

— Bardowie znowu śpiewają inaczej — zaryzykował pogodnie Leśniad.

Druwian skrzywił się cierpko.

— No cóż, myślę, że nie zarobiliby na chleb, gdyby wychwalali młodą królową, która zostawiła swego męża w ciężkiej próbie i ratowała swoją skórę ucieczką w największej tajemnicy.

— Jeśli tak było naprawdę, to faktycznie nie wygląda to na czyn bohaterski. Jak słyszałem, królowa była prawdziwie uwielbiana przez lud — wtrącił tym razem odmieniec.

— Nie znam prawdy — odparł po krótkim namyśle Druwian. — Mogła przecież zrobić to nie do końca z własnej woli lub być zgoła przymuszona. Kiedy podążając jej śladem dzień po dniu, z coraz większym trudem odnajdywałem jej umysł, wyczuwałem jakieś zło, które jej towarzyszyło. Za każdym razem było silniejsze, tak jakby się rozwijało, rosło, aż wreszcie po kilkunastu dniach uniemożliwiło mi całkowicie kontakt. Byłem zrozpaczony. Mimo że szedłem dokładnie ich tropem, nigdy nie zidentyfikowałem zwykłych śladów. Nie wiem, jak to możliwe, bo choć przyznaję, że nie jestem mistrzem w tropieniu, to jednak mam swoje sposoby, które zawsze były skuteczne.

— Może nie tropiłeś nigdy Darzan — rzekł Noran, rozważając coś w zadumie. — Z tego, co słyszałem, są niedościgli w biegności zacierania śladów. A tamte tereny należą właśnie do nich.

Druid wzruszył ramionami.

— Możliwe. Moje dotychczasowe kontakty z Darzanami nigdy nie wiązały się z tropieniem ich. — Na chwilę zacisnął usta. — Po powrocie zastałem już właściwie wojnę domową. Niby zgodnie z tradycją większe prawa do korony ma Daczysław, bo jest starszy, ale ta wojna to jedna wielka bzdura. Linia Błogosławionej Krwi

wygasła. Zresztą mam przecucie, że Drenarowi chodzi o coś innego niż tron.

Druwian skrzyżował ramiona na piersiach i znowu się zamyślił.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Noc wypełniała jedynie muzyka leśnych żyjątek, a w jesiennym powietrzu królował zapach drzew i leśnej ściółki.

— Rozstawimy dziś warty? — Subtelnie proponując koniec rozmowy, Leśniad zadał pytanie, które w ich sytuacji mogło być co najwyżej formalnością, bo i on, i Noran do mistrzostwa mieli opanowaną umiejętność zwaną przez półswiatek potocznie półśnieniem, dającą szansę na zaskoczenie ich podczas snu wyłącznie zawodowcom tej samej klasy, a spotkanie takowych w tym miejscu graniczyłoby z cudem.

— Poczekajcie. — Druid przymknął oczy i rozluźnił się.

Po kilku chwilach usłyszeli trzepot skrzydeł i na gałęzi pobliskiego drzewa wylądowała ogromna szara sowa. Przyglądała się im, przechylając co chwila w inną stronę głowę z wielkimi oczami. Dłonie mężczyzny wykonały kilka dziwnie migotliwych ruchów w powietrzu, a wtedy ptak odezwał się serią pohukiwań, zupełnie jakby zameldował swoją gotowość do współpracy.

— Moja przyjaciółka donosi mi, że nie ma w okolicy żadnych istotnych dla nas zagrożeń. Będzie czuwała do rana. — Druid uśmiechnął się półgębkiem, zobaczywszy zmieszanie u towarzyszy.

Zabójcy spojrzeli po sobie niepewnie. Co innego słyszeć w karczmie opowieści o potędze dawnych druidów, a co innego zobaczyć na własne oczy, jak ktoś kiwnięciem dłoni uzyskuje pomoc od jakiegoś zwierzęcia.

— A więc niech noc otuli twoje sny. — Leśniad pozdrowił Druwiana, rzucając jednocześnie szybkie spojrzenie na swojego przyjaciela, ale ten przybrał już swój zwykły, niewzruszony wyraz twarzy. Skinął jedynie lekko głową na znak przyłączenia się do formuły wygłaszanej przy udawaniu się na spoczynek, bez słowa wstał od ogniska i jak zwykle przed położeniem się zaczął dokonywać pedantycznego przeglądu swoich ostrzy.

Leśniad ułożył się wygodnie na wojskowym grubym kocu. Przymknął oczy i pogrążył się w medytacji, żując leniwie listki



marangi. Zawsze twierdził, że ich żucie poprawia jakość snu.

Druwian zapatrzył się w nocne niebo. Jego myśli błądziły wśród gwiazd, jakby tam szukał prorocत्व dla nadchodzących dni. Mimo otaczającego go fascynującego uroku natury nie odczuwał spokoju, ściśnięty wciąż klamrą poczucia winy. Zdał sobie sprawę, że od śmierci ostatniego dziedzica błogosławionej dynastii jego dawne postanowienia utraciły swoją wcześniejszą moc pełnego przekonania, że wszystko robi w słusznej sprawie i szczytnym celu. Służenie sprawom mieszkańców kontynentu nakazywało mu czynić wszelkie starania, by zakończyć wyniszczający konflikt między braćmi Jaśmiannej, ale nawet doprowadzenie do pokoju w tej sytuacji traktował jak wykonanie odstręczającego obowiązku. Jedyną rzeczą, która obecnie jeszcze rozpałała mu serce, było odkrycie tego, co naprawdę zdarzyło się siedemnaście lat temu. Przeczucie, że jego prywatne śledztwo wchodzi wreszcie w fazę mogącą rzucić nowe światło na ciężącą mu na duszy przeszłość, drgało zawieszona gdzieś w umyśle. Najświeższym tropem wciąż pozostawał młody zabójca o twarzy demona.

## IV. Historia Norana

O świcie ruszyli dalej. Wieczorna rozmowa przełamała pierwsze lody i choć stosunki między druidem a odmieńcem dalekie były od serdecznych, a nawet poprawnych, wyczuwało się w ich wzajemnym nastawieniu coś w rodzaju akceptacji.

Za dnia praktycznie nie zsiadali z koni poza krótkimi popasami, ale też nie przemęczali zbyt wierzchowców szybkim tempem. Mało było zresztą odcinków, na których las pozwalał choćby na kłus. Wczesna jesień długo jeszcze nie miała w pełni zastąpić swej letniej siostry, a słoneczna aura ogrzewała nastroje. Z możliwości rozluźnienia atmosfery jak zawsze najchętniej korzystał Leśniad. Jego natura nieodmiennie dążyła do budowania życzliwych relacji, a skoro druid niespodziewanie okazał się normalną w tym względzie osobą, lubiący rozmowy zabójca częstował go licznymi anegdotami

zbieranymi chyba ze wszystkich stron świata i na każdy temat. Druwian rewanżował się zasłyszanymi dworskimi dykteryjkami, rechocząc całkiem swobodnie. Nawet Noran obnażał czasem zęby w niemym uśmiechu, co jak na jego usposobienie stanowiło przejaw nadzwyczajnego rozbawienia.

Jednak zabójca myślami wciąż wracał do tego, co w Wysokich Siołach powiedział Druwian. O ile nieszablonowe motywy skorzystania z usług Gildii wydawały mu się dość rozsądne, o tyle wybranie akurat jego do tego zadania — już niekoniecznie. Co prawda faktycznie był wybitnie skutecznym egzekutorem i wielu doceniało jego wyjątkowe talenty, ale w tym zleceniu nawet sam by na siebie nie zagłosował. Przede wszystkim robota była w Kronogrodzie, który znał tylko pobieżnie. Skrytobójcy działający na tamtym obszarze z pewnością są znacznie bardziej konkurencyjni. Jeśli Leśny nie zapewni jednoznacznej przychylności miejscowych, Noran będzie musiał pracować prawie po omacku, a być może też z ciągłym oglądaniem się za plecy. To ewidentne prośenie się o kłopoty.

Dodatkowo istotnym atrybutem było tu zawodowe doświadczenie. Czym innym jest wyeliminowanie parszywego, zdeprawowanego urzędnika, bestialskiego oficera straży miejskiej czy nawet skorumpowanego członka rodziny lordowskiej lub innego mieszającego w nie swoich interesach Ciemnego Noża, a czym innym — zabicie osobistego doradcy monarchy. Jak by nie patrzeć, Drenar, mimo że samozwaniec, dysponuje przecież ufortyfikowanym pałacem obsadzonym setkami wartowników, silną osobistą ochroną i prywatną siatką szpiegowską, a tajemniczy cel znajduje się w samym środku tego kordonu. To tak, jakby porównywać odławianie ryb w stawie hodowlanym z chwytaniem gołymi rękami pstrągów w górskim strumieniu. Do takiego wyzwania znacznie bardziej nadawałby się choćby Leśniad, może zbyt zachowawczy i nie tak zabójczy, ale mający w swoim dorobku znacznie więcej najróżniejszych przypadków.

„Przecież Bo nie miał żadnych powodów ściemniać, otwarcie przyznając, że klient wyraźnie wskazał mnie do wykonania tego kontraktu. I co miał na myśli Druwian, gdy mówił, że wie o mnie coś,

czego ja sam nie wiem? Skąd w ogóle może coś o mnie wiedzieć i po co tę wiedzę zdobył? Czyżby to była jakaś sprytna intryga mająca na celu pozbycie się mnie ze Lwieszna?”

Ta myśl mu schlebiała, ale po chwili rozsądek zasugerował, że co jak co, ale chyba nie jest aż tak istotną personą, by w usunięciu jej ktokolwiek angażował aż takie środki. Miarą zabójcy jest wielkość jego wrogów, ale realnie najgroźniejszym z nich był obecnie Czerwony, przywódca północnego kartelu. Noran podskórnie wyczuwał, że gdyby za osobistego oponenta miał Druwiana, jego kariera zgasałaby znacznie wcześniej i nie w tak spektakularny sposób. Mimo niepokornego usposobienia zabójca czuł respekt przed druidem, zdając sobie sprawę, jak potężna to karta w talii.

Jadąc z tyłu za głośno rozmawiającymi mężczyznami, doszedł do wniosku, że im szybciej zdobędzie zaufanie królewskiego doradcy, tym więcej się od niego dowie. Być może uda mu się nawet pozyskać jakieś cenne wskazówki dotyczące najbliższych czekających go decyzji. Nie był też w stanie zdusić w sobie rosnącej fascynacji faktem, że pozostawał w towarzystwie chyba jedynej na kontynencie osoby, która władała magią, i co więcej, otwarcie jej używała. Napędzane ukrytymi marzeniami myśli zbyt często biegly do potencjalnej okazji, by móc dowiedzieć się czegoś w tej materii.

Na noc rozbijali mały obóz w wybranych przez druida miejscach. Dla tego typu podróży zdobywanie aprowizacji w środku lasu nie stanowiło żadnego problemu. Wprawdzie Druwian i Noran gustowali w produktach bezmięsnych i po każdym posiłku raczyli się naparem ze specjalnie przygotowanej mieszanki mięty i hibiskusa, jednak Leśniad równoważył ich oszczędne diety, pałaszując a to piezzonego zająca nadziewanego borówkami, a to egzotycznie przyprawioną dziczyznę, nie gardząc też piezonymi w muszlach ślimakami ze świeżymi liśćmi szaławii. Jego niebywale bogaty zestaw woreczków z przyprawami i gastronomicznymi dodatkami mógłby wprawić w podziw lub zawstydzenie niejednego kucharza. Dzięki obfitości darów natury, jaką zapewniały im lasy, oraz za sprawą wybitnych zdolności kulinarnych Leśniada ich posiłki stawały się wręcz wykwintnymi, godnymi pozazdrosczenia ucztami.

Zwyczajowo po kolacji Noran robił przegląd całego mnóstwa swoich ostrzy wszelkiej wielkości i rodzaju, czyszcząc niektóre lub ostrząc, mimo że i bez tego wydawały się w idealnym stanie. Najczęściej wówczas milczał i przysłuchiwał się, jak Leśniad, żując gorzkawe liście marangi, rozprawia z druidem o polityce, dworskich zwyczajach bądź historii kontynentu. Leśny żuł to ohydne zielsko z tysiąca powodów, choć pewnie żaden z nich nie był prawdziwy.

Nie musieli wystawiać wart, bo nie tylko sowy okazały się sprzymierzeńcami druida. Na jego wezwania reagowały także wilki, a nawet stary brunatny niedźwiedź. Raz po kolacji Druwian wstał od dogasającego ogniska i mruknął, że dziś dla nocnego bezpieczeństwa oznaczy obozowisko runami. Powiedział to tak zwyczajnie, jakby oznajmiał, że idzie się odsikać. Zabójcy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Noran zmrużył oczy. Sprawiał wrażenie, jakby coś intensywnie rozważał. Leśniad uniósł w zdziwieniu brwi. Znał przyjaciela na tyle dobrze, że domyślał się, co chodzi po głowie chłopaka. Pokręcił przecząco głową na znak, że to nie najlepszy pomysł. Jednak gdy starzec oddalił się, aby otoczyć miejsce ich noclegu ochronną magią, złotowłosey po krótkiej chwili podążył za nim. Podszedł do druida, gdy ten kreślił na ziemi pulsujące zielonkawą poświatą znaki, i zapytał jakby od niechcienia:

— Miałbyś coś przeciwko, gdybym popatrzył? — Nie czekając, kucnął obok.

Druwian zatrzymał się w połowie ruchu i zmarnował przygotowaną energię. Uniósł w zdziwieniu krzaczaste brwi.

— Po co ci to? — Przyglądał się bez zrozumienia. — Czyżby słońce zamieniło się miejscem z księżycem, a ty miałbyś zainteresowanie runiczną magią?

— Do siódmego roku życia wzrastałem w domu u pewnego ekscentrycznego alchemika. Niezwykle szerokie zainteresowania i niepohamowana żądza wiedzy prowadziły go w stronę wszystkiego, co wiązało się z magią, czarami, artefaktami i... — Wykrzywił usta, ukazując czubki kłów. — ...różnego typu ohydztwami. Nie nazwałbym go nawet ojczymem, ale chcąc nie chcąc, wiele się od niego nauczyłem. I wiele odziedziczyłem.

Noran narysował patykiem jakąś figurę na ściółce. Przetykane srebrem brwi druida powędrowały wyżej. Na jego obliczu poza dotychczasowym zdumieniem rysowała się cała gama dodatkowych emocji.

— Nie jestem nawet pośledni w sztuce kreślenia runów, ale sporo na ich temat wiem i widziałem, co potrafią zdziałać.

Druid stanął przed zabójcą i przyglądał się mu przez dłuższy moment. Widać było, że zastanawia się nad czymś w skupieniu. W końcu odrzekł:

— Opowiedz, co wiesz, a ja zdecyduję, czy pozwolę ci uczestniczyć.

Noran wzruszył ramionami i zaczął mówić o tym, jak stary alchemik gromadził wszelkiego rodzaju przedmioty i symbole związane między innymi z kulturą i magią druidów, spisywał zasłyszane opowieści, nieważne, że w większości pochodzące od pijanych w sztok szumowin. A ponieważ on jako dzieciak był dla przybranego ojca pomocnikiem i wyręką właściwie we wszystkim — a z pewnością w większości często bolesnych badań, odprawianiu okrutnych rytuałów oraz w udanych i nieudanych eksperymentach — siłą rzeczy mnóstwo wiadomości utkwilo mu w głowie.

Kreślił coraz to inne znaki, przytaczając z pamięci ich znaczenie i uwagi.

— O runach wiem tyle, że tworzą swego rodzaju mozaikę znaków symbolizujących różne elementy natury. Najważniejszym znakiem jest runa świata zwana też runą natury, która zawiera w sobie układ czterech wielkich run reprezentujących cztery żywioły. Wiem, że w tłumaczeniu ze starożytnego języka panów magii nazywa się je też koroną wielkich run, i wiem, jak wygląda ich pierwotna forma. Potrafię nakreślić trójkąty run zwierzęcych i dwanaście koron run pomniejszych związanych z symboliką roślinną. Właściwie nie wiem tylko, jak wygląda utworzona największa runa.

— Niewielu wie, a i tak jest to bezużyteczne. Jestem pod wrażeniem. Można by rzec, że masz solidne podstawy wiedzy, która przecież zasadniczo wymarła czterysta lat temu. — Mężczyzna gładził w zamyśleniu brodę. — Swoją drogą mógłbyś mnie kiedyś

przedstawić twojemu ojczymowi, miałbym z nim z pewnością do pogadania.

— Nie wiem tylko, czy on by miał. — Wyrzucił patyk i otrzepał dłonie. — To był bardzo dziwny i wyobcowany osobnik, przez wielu traktowany jak szaleniec. Nigdy nie mówił mi niczego wprost poza poleceniami typu „podaj to”, „zabierz tamto”. Tak czy inaczej, jest już prochem. Pewnego razu wyszedł, a robił to rzadko i niechętnie, i już nie wrócił. W zamian przyszli jego, jak sądzę, wierzyciele. To stado cmentarnych hien zamieniło nasze lokum w gruzowisko. Kiedy ludzie Leśniada rozbili drzwi komórki, w której stary zamykał mnie na czas swojej nieobecności, byłem już u kresu sił z niedożywienia. Chcieli mnie zabić, traktując jako potworny wytwór alchemika, ale Leśny zdecydował, że zabiera mnie do Gildii. Gdyby nie on, po prostu bym tam zdechł.

— Ojciec zamykał cię w komórce? — Druwian patrzył na Norana z niedowierzaniem.

Chłopak skrzywił się.

— Czy mnie zamykał? Powiedziałem ci, że nie nazwałbym go nawet ojczymem. I nie dlatego, że mnie nie kochał czy że był dla mnie niedobry. — Przerwał na chwilę i splunął. — Wiesz dlaczego? — Twarz zabójcy zmieniła się w okropną maskę utkaną z mieszaniny bólu, goryczy, zapiekłej nienawiści i wściekłości. Podjął opowieść głosem brzmiącym teraz jak chrobot łańcucha od kotwicy, gdy statek kołysze się na fali w porcie: — Może dlatego, że kupił mnie dla zysków od bandy nędznych rzezimieszków, gdy byłem niemowlęciem? Może dlatego, że byłem jednym z potworków i zwierzęcych dziwolągów, na którym przeprowadzał swoje eksperymenty i który później służył mu za niewolnika, gdy okazało się, że przeżył jako jedyny egzemplarz w jego kolekcji? A może po prostu dlatego, że obchodziłem go tyle co stary fotel, którego nigdy nie odkurzał, a który skończył w kominku, gdy się połamał?

— Teraz zaczynam rozumieć... — szepnął Druwian zmęczonym, pełnym wzrastającego przerażenia głosem.

— Ha. — Zabójca roześmiał się gorzko. — Zapewniam cię: wydaje ci się, że rozumiesz. Ale jak widzisz, nie ma tego złego,

co by nie mogło wyjść na jeszcze większe zło.

Zamilkli. Noc dźwięczała milionem delikatnych odgłosów. Pierwszy odezwał się druid. Miał mieszane uczucia, czy to dobry moment na wyciąganie informacji, których zdobycie stanowiło jeden z powodów zaaranżowania tej wspólnej podróży, ale w ostateczności stwierdził, że zaryzykuje. Najwyżej nie dostanie odpowiedzi.

— Słyszałem, że bardzo chciałbyś odkryć swoje pochodzenie, dowiedzieć się, kim byli twoi rodzice. Wiesz cokolwiek na ten temat?

Odmieniec odrzucił do tyłu spadające mu na ramiona częściowo spięte włosy.

— Żebyś dobrze zrozumiał. To jest coś więcej niż tylko sieroca ciekawość. Ty powinieneś wiedzieć, jakie znaczenie mogą mieć sny, szczególnie te, które się ciągle powtarzają. Ale od snów jeszcze gorsze jest samo przeczucie.

— Przeczucie, że co? — Druwian chłonał każde słowo, każdą reakcją mówiącego.

— Że mam coraz mniej czasu na dowiedzenie się, kim jestem. Albo czym. Nie podoba mi się to, co się ze mną dzieje, w środku, w moim umyśle. Być może to jakiś rodzaj choroby, która mnie trawi, być może zwykła konsekwencja trucizn, którymi pieprzony staruch mnie szpikował. Męczy mnie jednak przeczucie, że źródłem przypadku może być moje pochodzenie. Tak czy siak, z roku na rok jest gorzej. — Wzruszył ramionami, łapiąc się na tym, że wszedł na tematy stanowczo zbyt osobiste, by poruszać je z kimś, kto przecież był jedynie chwilowym sojusznikiem i to nieprzyjaźnie nastawionym.

— A co się z tobą dzieje? — Wiedział, że jest o krok od śladu, który mógłby potwierdzić jego przypuszczenia.

Nikt nie miał pojęcia, że od prawie dwóch lat skrzętnie gromadził szczegółowe informacje o działaniach i losach chłopaka. Dzięki władzy swojego stanowiska i budowanej przez siebie rozległej sieci agentów i informatorów był w stanie przeświecić życie każdego mieszkańca Lwieszna, również takiego, którego osłaniał cień Ukrytego Miasta. Być może Gildii udawało się ochraniać przed nim mnóstwo tajemnic, ale niewiele zostało takich, do których

nie mógłby dotrzeć, gdy mu naprawdę zależało. A na obserwowaniu Norana zależało mu bardzo.

Chłopak znów milczał dłuższą chwilę. W końcu tylko szepnął:

— Uwierz mi, nie chcesz tego wiedzieć.

„A niech to mrok” — przeklął w duchu druid. Nic więcej nie wyciągnie. Przynajmniej nie tym razem.

Noran przypatrywał się ledwo widocznym rysunkom.

— Ty wiesz, jak wygląda TA runa?

— Dlaczego chcesz przyglądać się moim zaklęciom? — Druid zbyt pytanie pytaniem. Wiedział, o jaką runę chodziło młodzieńcowi, ale była to jedna z tych spraw, których starał się unikać.

Złote oczy w nocnym półmroku były tak samo ciemne jak wszystkie inne.

— Nie umiem ci na to jednoznacznie odpowiedzieć. Może to tylko ciekawość i chęć poznawania, a może jakiś niezrozumiały pociąg do magii. — Mówił tak, jakby rozmawiał sam ze sobą. — Tak, magia zawsze mnie intrygowała i... kusiła.

„Nie tylko ciebie, pytanie jedynie, którą ścieżką byś podążył, gdybyś potrafił ją wykorzystać” — pomyślał druid, a głośno powiedział:

— Pokażę ci te ochronne runy, ale wiedz, że mogą one się przydać tylko komuś, kto opanował sztukę wypełniania ich... magią.

Noran bez słowa ponownie przykucnął i obserwował poczynania Druwiana, pilnie śledząc każdy jego ruch. Ten tworzył znaki i cicho komentował. Jednak część jego umysłu cały czas intensywnie analizowała usłyszane dziś słowa. Fragment dotychczasowego chaosu niespodziewanie się uporządkował, dając pierwszy nieśmiały pogląd na zagadki, które od tak dawna chciał rozwikłać. Wyłaniające się rozwiązania nie przypadły mu do gustu. W układance pojawił się też nowy znak zapytania: jakim cudem ten młodzieniec nie tylko swobodnie rozmawia, ale też posiada wiedzę o magii, jeśli w konsekwencji Wielkiej Przysięgi wymuszonej przez Grywora na Darzanach byli oni odpowiedzialni za jej blokowanie obejmujące również, a może nawet przede wszystkim, umysły wszystkich mieszkańców kontynentu? Oczywiście zawsze istniały wyjątki, jak choćby dzicy magowie, ale ten chłopak nie pasował



do żadnego z nich. Czyżby miał potencjał do zostania właśnie takim dzikim magiem? A może eksperymenty tego alchemika uwolniły jego umysł od zasnutej nad kontynentem magicznej blokady? Niezależnie od wszystkiego i tak najbardziej niepokojący był mocno wyczuwalny w aurze zabójcy mrok. Mrok, który w niewytłumaczalny sposób najwyraźniej nie miał jednak nad nim władzy.

## V. Konfrontacja z cienistymi

Po sześciu kolejnych dniach podróży przez leśny masyw dotarli do pierwszej większej wioski zamieszkaney przez górali. Przystanęli na wzniesieniu, by przyjrzeć się skupisku charakterystycznych chałup otoczonych niską palisadą, wyzierających z wykarczowanego, niewysokiego wzgórza. W oddali, nad koronami drzew, majaczyły już wysokie, słabo ośnieżone o tej porze roku południowe szczyty łańcucha Gór Zębanych.

— Zatrzymamy się u tych ludzi na noc. — Druid wskazał miejsce głową. — Mieszkańcy Świerkowej Górki to serdeczni, choć ostrożni ludzie. Za odpowiednią sumę dadzą dobrą strawę, nocleg i jak zwykle garść bezcennych informacji.

Nie zdążyli jednak ruszyć, bo Noran dał znak dłonią, by zaczekali. Jego nieco większe i znacznie bardziej wydłużone uszy zastrzygły jak u konia. Zachęcił gestem do nasłuchiwania.

— Gdzieś na trakcie przed nami. To rozmowa mieczy — rzekł w skupieniu, wpatrując się w las przesłaniający skręcającą przed nimi drogę. — Kilkanaście ostrzy — dodał lakonicznie.

Odgłosy były odległe i wygłuszone przez drzewa, choć rosły one w tej okolicy niezbyt gęsto. Druid zmarszczył brwi i ponaglił konia. Zabójcy spojrzeli po sobie i również spięli wierzchowce.

Minięcie zakrętu zabrało im dłuższą chwilę. Gdy tylko wyjechali na bardziej odsłonięty, prosty odcinek gościńca, ich oczom ukazał się szokujący obraz. W niewielkiej wycince stało kilka kupieckich wozów, najwyraźniej handlowej karawany. Wkoło panował chaos krwawej jatki. Dosłownie wszędzie wały się trupy,

sprawiające wrażenie, jakby były dziełem jakiegoś szalonego rzeźnika, straszliwie porozcinane, a niektóre wręcz rozczłonkowane. Okolica upstrzona była czerwonymi rozbryzgami. Wyprężnięte konie, związane zwyczajowo na czas postoju, rwały się i rżały dziko. Jeszcze głośniejsze były gardłowy, tubalny ryk olbrzymiego wojownika i szczęk jego miecza, którym wciąż się bronił, stojąc plecami do grubego dębu przed prawie tuzinem dziwnych, emanujących aurą grozy przeciwników. Kilka szaro-srebrzystych ciał już leżało w jego zasięgu. Wyglądało na to, że jest ostatnim pozostałym przy życiu ze swojej grupy. Napastnicy z wyrachowaniem, ale też ostrożnością, zacieśniali wokół niego półokrąg śmierci.

Noran szybko ocenił sytuację, ściągając wodze i zeskakując z siodła płynnie jak panterak, równocześnie dobywając miecza. Jednym szarpnięciem pozbył się wierzchniego okrycia ograniczającego ruchy.

Olbrzym nie miał szans. Mimo że z jego piersi wystawały dwie pierzaste strzały, wciąż rozpaczliwie blokował wrogie smukłe klingi, mocno chwiejąc się już na nogach. Było kwestią czasu, gdy nietypowi, nieco eteryczni oponenti przebiją się przez jego słabnącą obronę. Wszyscy wyglądali bardzo podobnie, wręcz identycznie, jak zjawy z jakiegoś mrocznego snu. Wysocy, gibcy, zwinni, z wyraźnym znanstwem wojennego rzemiosła. Fakt, że dotąd nie wykończyli swojej ofiary, mógłby być prawdopodobnie zasługą jedynie tego, że zaskoczeni zuchwałością mężczyzny nie chcieli już ponosić więcej strat i nie śpieszyli się, tylko czekali, aż śmiertelnie raniony wykrwawi się i zmęczy. Zimne wyrachowanie biło nawet z ich oszczędnych ataków, które wyglądały, jakby delectowali się okrutną zabawą. Srebrzyste długie kolczugi z krótkimi rękawami migotały w przebijającym się przez drzewa słońcu, dziwnie załamując światło. Noran nigdy nie słyszał o podobnych istotach. Niewytłumaczalny strach przylepiał się do człowieka na sam widok ich dziwnych, groźnych, pociągłych twarzy, długich popielatych włosów i mrocznych oczu.

— Facet nie mógł mieć większego pecha. Podpaść cienistym to jak odesrać się na dopiero co zrzucone gniazdo dzikich os. —

Leśniad stał już obok, trzymając w rękach lekko zakrzywione szable. Wpatrywał się zmrużonymi oczami w niehumanoidalnych wojowników, z których część już skierowała ostrza w ich stronę. — Co robimy? Czekamy na zaproszenie, negocjujemy czy po chamsku mieszamy się w nie swoje sprawy?

— Wiem, że macie inną misję. Nie musicie mi pomagać w tym, za co wam nie płacą, ale mam zamiar nie dopuścić, żeby choć jeden z nich uszedł z życiem. — Oczy druida iskrzyły wezbranym gniewem. Przez chwilę patrzył na nich, potem skupił spojrzenie na nieco zaskoczonych nieprzyjaciółach, a jego dłonie nabrały ruchu, kreśląc w powietrzu błyszczące znaki. Wzory tatuaży na jego czaszce jakby ożyły, stając się ciemnogniatowe i pulsujące.

— Wiesz co? — Leśniad nie musiał w tej sprawie uzgadniać stanowiska. — Mam wrażenie, że my też ich nie polubiliśmy od pierwszego wejrzenia, a oni wyglądają na takich, którzy nie pozostawią nam specjalnego wyboru.

Wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Gdy zabójcy zaszarżowali, najwyższy z tajemniczych wojowników, którego połowę twarzy zakrywała upiorna srebrna maska, skinął gestem rozkazu na dwóch osobników trzymających łuki, a do reszty coś warknął. Utworzyli luźny półokrąg wysuniętych do przodu cienkich mieczy. Noran starał się obieć formację z boku. Dwie strzały znalazły się w powietrzu w tym samym momencie, w którym z ziemi w promieniu kilkunastu kroków od starego dębu wystrzeliły setki grubych i cienkich korzeni i natychmiast oplotły nogi szarych istot. Formacja rozpadła się od razu. Każdy z zaatakowanych przez drzewo ciał wkoło na oślepię, starając się uwolnić i jak najdalej odbiec. Noran skręcił tułów w ostatniej chwili, zmniejszając pole trafienia. Jedna ze strzał minęła go o szerokość dłoni, a druga spotkała jego lewy bok, nie czyniąc mu większej szkody tylko ze względu na ostry kąt uderzenia i gruby pas z wypolerowanej, twardej skóry, po którym grot ześlizgnął się, żłobiąc głęboką bruzdę. Zabójca natarł na najbliższych wrogów, którzy uwolnili się ze śmiertelnych splotów korzeni. Korzystając z własnego impetu, zdołał prześlizgnąć się przez blok jednego z nich i rozorał mu pierś na całej szerokości. Dwaj pozostali przyjęli jego atak niezwykle elastycznie i spokojnie,

zbijając uderzenia z wprawą graniczącą z gracją. Po chwili dołączył do nich trzeci. Właściciel srebrnej półmaski nie pozostał bez przydziału ze względu na dwa zakrzywione ostrza Leśniada, który nagle wyłonił się z przeciwnej strony. Pozostali napastnicy umierali w męczarniach, oplątani zdrewniałymi zwojami duszącymi ich i miażdżącymi im kości.

Potyczka nie zapowiadała się optymistycznie. Atakujący Norana współdziałali ze sobą tak sprawnie, jakby byli trzygłową bestią, prawie nie ustępując mu ani szybkością, ani zręcznością. Zabójca wirował między nimi, zmuszając swoje ciało do nieprawdopodobnych ruchów i pozycji, całkowicie skupiając się na obronie. Leśniad odkrył zaś w swoim na wpół zamaskowanym przeciwniku olbrzymie doświadczenie i wyczucie. Dowódca walczył oszczędnie, ale też precyzyjnie. Po kilkunastu wymianach obaj znali już niechybny wynik pojedynku.

Ogień walki i wszechobecny zapach krwi powoli kruszyły chłód profesjonalizmu w umyśle Norana. Pogrążał się w znajomej mu doskonale, choć wciąż całkowicie niezrozumiałej, przemianie. Coś w jego podświadomości próbowało się uwolnić, zawładnąć wolą bez reszty. To coś było przerażająco głodne, tak jakby zostało stworzone tylko w jednym celu: aby siać terror, śmierć i strach. Niosło też szeptaną obietnicę zwycięstwa, wiecznej nietykalności i niezależności od świata i ludzi, którzy nienawidzili jego odmienności...

Niespodziewanie do jego mózgu przedarł się dźwięk wywołujący ból. Nieznośny wizg zdusił momentalnie wszelkie inne doznania. Odmieniec zachwiał się, próbując utrzymać równowagę. W bezsilnym odruchu strachu zastawił się pionowo swoim ostrzem, ale żaden cios nie padł. Na ziemi, niemal u jego stóp, wiły się trzy szare postacie, krzycząc coś, czego nie słyszał, ogłuszony wibrującym świdrem udręki. Spozrzegł przez łzy, że pociągłe twarze wykrzywione są niesamowitym cierpieniem, a dłonie o długich palcach z całej siły zaciskają się na nieco spiczastych, podobnych do jego uszach. Najpierw przeniósł spojrzenie na Leśniada, a potem zerknął na druida, który, jak się spodziewał, wciąż pozostawał w odległości kilkudziesięciu kroków, przy koniach. Leśniad klęczał

na jednym kolanie, wspierając się na swoich klingach. Poznaczona w kilku miejscach krwią pierś unosiła się ciężko, a jego rywal stał przed nim na szeroko rozstawionych nogach, drżąc na całym ciele jak epileptyk. Druid szybko ruszył ku nim po polu walki. Gdy jego gorejący wzrok spoczął na leżących, ich ciała już sztywniały.

— Bierzmy go żywcem — syknął i zerwał się do jedyne­go pozostałego przy życiu cienistego.

Wibracje w głowie Norana wciąż rozbrzmiewały bolesnym echem, ale postawił chwiejnie kilka kroków. Najbliżej był Leśniad, ale nie dość blisko, by móc zapobiec desperacji częściowo jedynie oszołomionego przywódcy. Ten przełamał paraliżujący go dźwięk, wyszarpnął z cholewy wąski sztylet i zdecydowanym ruchem wbił go sobie tuż ponad mostkiem. Padł na plecy jak kłoda, ułamek chwili nim do niego dopadli.

— A niech to... — Druwian zacisnął pięści i pochylił się nad ciałem.

— Drań pewnie zakładał, że będziemy go odpytywać z intymnych szczegółów z dzieciństwa, i zabrał je do grobu — mruknął pod nosem wyczerpany Leśniad.

— Albo zapomniał białej chusteczki i zrobiło mu się na tyle głupio, że musiał się dziabnąć. — Noran przełknął głośno ślinę, żeby pozbyć się efektu zatkanego ucha.

Druid spojrział na nich kwaśno, wyraźnie nie doceniając specyficznego humoru.

— Trzeba mu zerwać maskę. — Usiadł po turecku obok i wskazał na jeden ze sztyletów jasnowłosego zabójcy. — Podważ ją, gdy dam ci znak, spróbuję wcześniej zneutralizować jej działanie.

Obaj wytrzeszczyli na niego oczy.

— Po co ci to? Czyżby skarbiec Daczysława miał się aż tak źle?

— Później wytłumaczę. Pomóżcie mi... i jemu.

Druid złożył dziwnie dłonie i wszedł w trans, skupiając szkliste spojrzenie na kawałku srebra na twarzy trupa, wyglądającym, jakby wielka brosza przypominająca kształtem pająka spinała skórę policzka i linię włosów przy skroni jej właściciela. Noran przykucnął i delikatnie wsunął ostrze pod metal od strony ucha.

„Jestem bardziej podobny do niego niż do tych, dla których pracuję” — usłyszał gdzieś w umyśle.

Gdy kątem oka dojrzał kiwnięcie głową druida, mocno podważył srebro. W pierwszym momencie miał wrażenie, że metal ożył i się bronił, ale chwilę później poczuł niemiłe plaśnięcie kawałka odrywanego ciała. Zabity wyprężył się, jakby dopiero teraz otrzymał cios. Głośno zassał powietrze, choć mętne oczy były nieruchome. Jego wargi poruszyły się, wymawiając słowa.

Druid pochylił się błyskawicznie, przykładając ucho do ust ponownie umierającego, po czym zaklął. Ciało powoli flaczało, a na odrażająco okaleczonym obliczu zagościły wyraz ulgi i nikły uśmiech.

— Nie zdążyłem usłyszeć, a mogła to być jakże cenna informacja. — Zagryzł ze złością wargi.

— Powiedział coś w rodzaju... *sit et maj due est*, czy coś takiego. — Noran wzruszył ramionami w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie druida. — Pobierałem nauki czytania z ruchu warg.

Królewski doradca wstał, niespodziewanie wręczając pociemniały kawałek srebra Leśniadowi.

— Masz na pamiętkę. Skarbiec Daczysława nie stoi aż tak źle. To kłamra woli, magiczny przedmiot do zniewalania tych, którzy są potrzebni żywi i w pełni sprawni, ale w których lojalność się powątpiewa. Nie widziałem tego od ponad pięciu wieków. Jeszcze długo przed kolonizacją kontynentu zdarzało się, że zmuszano właśnie tym do posłuszeństwa istoty nieludzkie, między innymi leśnych panów magii.

Szpakowaty zabójca uniósł brwi, a Noran zmarszczył swoje.

„Ponad pięćset lat? Druid nie druid, ale jak to możliwe, by ktoś tyle żył?” — zadumał się. Jak wiele tajemnic, o których obecni nie mają pojęcia, może znać taka osoba? Chyba to ojczym alchemik, o ile dobrze pamiętał, gderał sam do siebie o niezależności panów magii. Sarkał, że to jedyna współegzystująca z Rodem Krwi na terytorium legendarnego Amadal rasa, która nie poddaje się jego bezpośrednim rządóm.

Druwian przetarł wierzchem dłoni spocone czoło. Żyłki tatuaży na jego skórze były teraz wąskie i pobladłe, a dłonie lekko mu drżały.

Rozejrzeli się.

— No cóż, zabawa chyba wygasła. — Leśniad znów uśmiechnął się pogodnie, choć w jego oczach gromadziło się przytłaczające znużenie. — Pozostało zatem tylko to, co zawsze jest najnudniejsze. Posprzątać po gościach.

Noran podszedł do dębu. Ogromna postać wojownika, któremu przyszli z pomocą, stała ciężko oparta plecami o pień. Mężczyzna miał przymknięte oczy i zbolały wyraz twarzy. Jego krwawiąca pierś unosiła się ciężko, ramiona trzymał niedbale na jelcu długiego dwuręcznego miecza wbitego w ziemię. Zdawał się drzemać niczym legendarny wieczny wartownik.

— Czy jest coś, panie, co możemy dla ciebie zrobić?

Masywne, muskularne ciało z bliska budziło jeszcze większy respekt. Mężczyzna był wyższy prawie o głowę nawet od Norana i szerszy w barach ze dwa razy. Przedramiona grubości uda zabójcy chronione stalowymi obręczami i bicepsy tak napięte pod skórą, jakby miały zaraz wystrzelić spomiędzy nabrzmiąłych żył, robiły wrażenie.

„Szkoda, że nie dotarliśmy szybciej, wystarczyłoby zaatakować chwilę wcześniej, a koleś mógłby przeżyć” — pomyślał jasnowłosy ze znużeniem.

— Może jest ktoś, kogo moglibyśmy powiadomić? Jak cię, panie, zwą? — zapytał z lekkim zakłopotaniem.

Pozostali również zbliżyli się do umierającego.

Wielkolud podniósł ociężale powieki, próbując skupić mętne spojrzenie.

— Moje imię Gromir. Wielce jestem wam wdzięczny... za pomoc, szlachetni panowie. — Mówił powoli, z wysiłkiem, w dodatku z dziwnym akcentem i specyficzną składnią. — Jeśli na łaskawość waszą... liczyć mógłbym, to prosiłbym o odcięcie grotów z tych strzał oto.

— Mogę ci złagodzić ból. — Druid podszedł, unosząc dłoń, ale wojownik gwałtownie wyprostował się, powstrzymując go gestem.

— Wolałbym, byś tego nie czynił, królewski doradco. Wystarczy, że groty... odciąć mi pomożecie, a z resztą sobie poradzę.

Zabójcy wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

— Ostatnia wola odchodzącego staje się pierwszą powinnością dla żegnających. — Cytując jeden z punktów kodeksu Gildii, Leśniad wyjął własne ostrze, po jednej stronie pokryte ząbkami. Najdelikatniej, jak potrafił, przepiłował tuż za plecami najpierw strzałę wbiją blisko serca, a następnie tę, która niechybnie przebiła dół płuca nad wątrobą.

Mężczyzna wyraźnie się spiął, po czym rycząc gardłowo, wydobyl pierzaste pociski. Opadł na kolana, przyciskając ogromne dłonie do krwawiących ran.

Leśniad chrząknął.

— Co tu się w ogóle wydarzyło? Czy wasza karawana wiozła coś szczególnie cennego?

— To zwykła grupa... kupców, panie. Głównie... tkaniny i papier. Jak zrozumiałem, zdążaliśmy... szlakiem ze Lwieszna do... Koziej. — Mówił z krótkimi przerwami, pokaszując lekko. — Cienie... wyczułem je, gdy do tej... wycinki żeśmy podjechali. Było nas w ochronie... tylko kilku, a większość nawet dobrze... broni nie wyjęła.

Zamilkł i przymknął oczy, spuszczaając głowę. Widać było, ile go kosztowało samo mówienie.

— Położmy go na tym najmniejszym z wozów i zawieźmy do osady — rzekł cicho druid. — To niedaleko, a mają tam swoje miejscowe skuteczne medykamenty.

— Hmm, za pozwoleniem. — Leśny ściszył głos, odwracając się do doradcy. — On nie da rady. Obawiam się, że nawet dysponując tak potężnym ciałem, może nie przeżyć drogi. Nacierpi się tylko na korzeniach na trakcie.

„Jego siła życiowa jeszcze się w nim kołacze, ale ja nie dam rady pomóc mu tak szybko, zbyt wiele energii zużyłem na walkę” — rozważał Druwian.

— Szlachetni panowie. — Mężczyzna podniósł wzrok, usłyszawszy ich rozmowę. — Ja sobie... dam radę. Muszę jedynie odpocząć i wypić... dużo wody.

— Od kiedy to picie wody pomaga na przebite stałą płuca? — rzucił Noran przez ramię, kierując się w stronę koni.



— Nie rozumiecie. — Wykrzywił usta, wstając ciężko. — Ja... jestem bardziej żywotny niż... inni. Wiem, że nie umrę. Nie dziś.

— No cóż, podobno umierający zawsze wie, że to koniec. — Szpakowaty zabójca zabrał się do opatrywania własnych, na szczęście płytkich i niegroźnych, obrażeń. — Osobiście nigdy tego nie sprawdzałem, ale skoro to twoje cierpienie i twoje życie, ty decydujesz.

Noran z powątpiewaniem wyciągnął z sakwy niewielki słoiczek z grubego, ciemnozielonego szkła i ulepiwszy z zawartości małą grudkę, zaproponował nieznanemu, aby ten wsunął ją sobie pod język. W powietrzu uniósł się intensywny, słodkawy zapach. Dostrzegłszy zainteresowanie w spojrzeniu królewskiego doradcy, wyjaśnił:

— To narkotyk. W małych ilościach zmniejsza odczuwanie bólu. — Posłał mu kąśliwy uśmiezek, lekko ukazując koniuszki kłów. — W większych oczywiście natychmiast zabija.

Nie było czasu sprawdzać zawartości wozów. Jedynie Druwian szybko, ale jednocześnie skrupulatnie, przeszukał zabitych napastników. Zgodził się zaprząć swojego rumaka jako najsilniejszego do wozu, na którym ulokował się ranny. W trakcie zamieszania konie kupców zerwały się i nie było sensu ich teraz zganiać. Powiadomieni miejscowi najpewniej szybko ściągną do osady całość transportu, o którego zawartości trzeba będzie zdecydować. Z pewnością też pogrzebią zabitych.

— Co to był za straszliwy dźwięk, który pokonał te mordercze istoty? — zapytał Noran nagle od niechcienia, gdy jechali ostrożnie w stronę zabudowań. — Zdaje się, że jestem jedynym, który nie rozpoznał tych... — Zmarszczył brwi. — Cienistych?

Jego kompan zrobił zdziwioną minę, a zaskoczony druid momentalnie zamarł. Wyraz twarzy dostojnika przeszedł szybko od zdumienia do wrogiej czujności. Oczy pociemniały mu, a ciało stężało, zupełnie jakby przygotowywał się do walki. Zabójca nie zareagował na ten niespodziewany sygnał, choć instynktownie go odczytał.

„Nie powinien tego słyszeć, ale jeśli słyszał, to znaczy, że w jego żyłach płynie krew skażona złem” — myśli przemykały przez umysł

Druwiana niczym błyskawice. „To by z kolei potwierdzało moje początkowe przypuszczenia. Jak jednak by nad tym panował, gdyby był tym, kim musiałby być? I jak przetrwałby tę siłę zaklęcia?”

— Nikt do końca nie wie, skąd tak naprawdę pochodzą cienie i kim są — odpowiedział na drugą część pytania, starając się utrzymać kontrolę nad emocjami. — Jedno jednak jest pewne. Jeśli te złe do szpiku kości istoty pojawiają się na naszym kontynencie, wszyscy mamy poważne problemy. To niezwykle groźni przeciwnicy.

„I zawsze zwiastujący objawienie się mroku” — dodał już tylko w głowie.

— Pierwszy raz miałem okazję się o tym osobiście przekonać w ramach kampanii przeciw Zamorcom. Teraz przekonuję się o tym ponownie. — Leśniad rzucił krótkie spojrzenie na brodacza. — A przy okazji, skoro już omawiamy nasze najświeższe doświadczenia, pozwól, że zapytam cię, panie, tak z czystej ciekawości: co sprawia, że mimo panującego od wieków zakazu używania magii wydajesz się tym zupełnie nie kłopotać? — Okraślił wypowiedź szerokim, czarującym uśmiechem, jakby dla podkreślenia, że nie ma na myśli żadnej ukrytej aluzji czy zarzutu.

Druwian milczał przez dłuższą chwilę, przyglądając się pogrążonemu w odrętwieniu na granicy przytomności olbrzymowi ułożonemu na belach jedwabiu.

— Znam bardzo dokładnie wersy Wielkiej Przysięgi, do której złożenia Grywor Wysoki zmusił dawnych magów z Najstarszym na czele, jak również słowa edyktu, który wydał swoim poddanym. I zapewniam cię, że nie ma tam nawet najdrobniejszej wzmianki o magii druidów. A jest to zupełnie inny rodzaj magii, której źródła zostały... mówiąc oględnie, wycięte w pień. Poza tym obecni Darzanie nie rejestrują przejawów magii natury, a ja od strony formalnej nie jestem nawet poddanym dynastii Krwi. Nikt zresztą mi tego nigdy nie zaproponował. — Skrzywił się z przekąsem.

— Aha. — Starszy z zabójców przyjął wytłumaczenie bez komentarza. Jego pogodna wersja oblicza została zastąpiona dużo rzadszą odmianą chłodnej obojętności, a w oczach pojawiło się zamyślenie.

Z jakichś względów nikt nie miał ochoty na kontynuowanie rozmowy. Reszta drogi do Świerkowej Górki upłynęła im w nieco niezręcznym milczeniu, tak jakby każdy miał teraz w głowie własne poważne dylematy. Jedynie ranny, pozostający w sennym letargu dzięki dawce narkotyku, sprawiał wrażenie całkiem wolnego od jakichkolwiek zmartwień.

## VI. Świerkowa Górka

Ogromna, pomarańczowo-czerwona tarcza zachodzącego słońca okryła świat rdzawym blaskiem. Fascynująca poświata wpadała do jedynej w wiosce gospody przez małe okienka, które poza deszczem nie pamiętały zbyt wielu spotkań z wodą. Siedzieli przy jednym z narożnych stołów w bardzo rozległej izbie biesiadnej, pogrążeni w zadumie. Leniwie sączone ciemne piwo, będące lokalnym specjałem, pozostawiało w gardle specyficzną goryczkę po każdym łyku.

— Ile razy mam okazję tu być, zawsze jestem pod wrażeniem gościnności tych ludzi — zaczął druid. — Nie mają za wiele, życie prowadzą surowe, ale oddali obcemu najlepszy pokój. Oporządzili jego rany starannie jak klasztorni medycy, a starsza córka właściciela lokalu, a jednocześnie starszego wioski, przy nim czuwa. Kto wie, może mu nawet śpiewa kołysanki. W takich warunkach człowiek może naprawdę stracić motywację do szybkiego ozdrowienia.

— Górale to specyficzny rodzaj ludzi. — Leśniad uśmiechnął się uwodzicielsko do przechodzącej właśnie młodszej córki gospodarza, która obdarzyła go nieśmiałym, ale wymownym spojrzeniem swoich dużych ciemnobrązowych oczu. — Ich serca zawsze są gorące, a dusze proste. Jeśli przychodzisz do nich w potrzebie, możesz liczyć na najlepsze traktowanie, współczucie, zrozumienie i troskę. Jeżeli jednak skrzywdzisz ich lub będziesz nastawać na ich dobro siłą, zmienią się w bezlitosne, nieznające strachu demony. Wtedy masz tylko dwie możliwości: albo zabijesz ich wszystkich włącznie z kobietami i dziećmi, albo już nigdy nie zaśniesz spokojnie.

Druwian przytaknął odruchowo, po czym z westchnieniem zebrał się w sobie. Aż do teraz miał nadzieję, że zadanie powierzone młodemu zabójcy i Gildii ma spore szanse na pomyślną realizację, a nawet jeśli się nie powiedzie, może przeciwnik chociaż się odsłoni, przypadkiem ujawni swoje zamiary lub słabe strony. Do tej pory uparcie patrzył na zaistniały problem przez pryzmat pojedynczego człowieka, który być może wybitnie skutecznie strzegł siebie i wspierał Drenara, ale którego wyeliminowanie będzie tylko kwestią odpowiednio ostrej stali użytej odpowiednio fachowym ramieniem. Po dzisiejszych wydarzeniach nie mógł się już dalej łądzić. To również oznaczało, że o ile nadal chce wykorzystać do swoich celów przedstawicieli recydywy, musi użyć ich w trochę innej formule niż tylko jako egzekutorów wyroku.

— Słuchajcie. To, co nas dziś spotkało, wymaga wprowadzenia was w szerszy kontekst sytuacji — przemówił półgłosem w lekkim gwarze gospody wystarczającym do pozostawienia słów we własnym gronie.

— Ten kontekst przydałby się nam od samego początku. — W tonie Leśniada nie było pretensji, raczej nutka czegoś brzmiącego jak strofowanie osoby popełniającej oczywisty błąd. — Nie wynajależ ulicznych, tępych bandziorów ufających jedynie swoim bicepsom, tylko ludzi rozwiązujących problemy bystrością umysłu i unikalnymi zdolnościami.

— Uwierz mi, mam tego głęboką świadomość. — Druid przejechał dłonią po nierównym blacie stołu zbitego z przeciętych na pół bali. — Mam tu jednak na myśli kontekst znacznie szerszy, rzekłbym wręcz: globalny. Są takie kwestie, których wolałbym z wami nigdy nie omawiać, ale w obliczu pojawienia się cieni na terytorium będącym w zasadzie pod naszą kontrolą, w takiej liczebności i pod wodzą tego zniewolonego klamrą woli seihe... to jest dostatecznie niepokojące, by skłonić mnie do podzielenia się pewnymi informacjami.

— W sumie, jak się nad tym zastanawiam, wciąż nie mogę zrozumieć, co oni tu robili. — Leśniad spojrział pytająco na druida. — Mam wrażenie, że wiesz o nich znacznie więcej niż my.

Druwian zacisnął wargi.

— Wiele lat temu miałem okazję przyjrzeć się im z bliska. Z bardzo bliska, o wiele za bardzo. — Odruchowo potarł lewą skroń, na której pod wpływem dotyku pojawiło się kilka ciemnych plamek. — To wszystko bardzo mocno dotyczy świata magii, o której, jak wiecie, nie rozmawia się na kontynencie. Zdążyłem jednak już zauważyć, że pod tym względem obaj wyłamujecie się z powszechnej... no cóż, nazwijmy to, magicznej blokady. To, co wam powiem, w większości nie jest wprawdzie tajemnicą, jednak pozostaje wiedzą dostępną wyłącznie w pewnych kręgach, zresztą wraz z upływem czasu coraz węższych. Czy wiecie, czego dokładnie dotyczy Wielka Przysięga, do której złożenia zostali zobowiązani Darzanie?

— Grywor Wysoki, gdy podbił wszystkie tutejsze ziemie, zażądał od swoich magów, by ci osiedlili się na wydzielonym obszarze, nie używali magii poza jego granicami oraz zadbali o to, żeby nikt inny jej nie wykorzystywał — podsumował Noran.

— Tak, to było główne założenie. — Druwian spojrzął na chłopaka z przeblyskiem uznania. Nie spodziewał się, że takie rzeczy są dla niego tak oczywiste, skoro nawet niektórzy lordowie już tego nie kojarzą. Być może nie doceniał demonicznego zabójcy. — Świadomość ustanowionych wówczas praw stopniowo wśród ludzi zanika. Przyczyną jest sam sposób wypełnienia Przysięgi, na który zdecydował się ówczesny arcymag. Darzanie to faktycznie potomkowie dawnych magów z Amadal, którzy przybyli z wyprawą kolonizacyjną jako część armii Grywora. Za obecny niebyt magii odpowiada ich potężne zaklęcie rzucone na wszystkich mieszkańców kontynentu cztery wieki temu. Jest ono nieustannie zasilane i odnawiane skumulowaną energią starszych plemienia, gromadzących się podczas specjalnego corocznego rytuału. Wśród Darzan funkcjonują też tak zwani czuwający, powołani specjalnie do wychwytywania wszelkich przejawów stosowania magii. Ma to zapobiec tak zwanemu samoistnemu ujawnianiu się magicznych talentów u ludzi. Gdy czuwający namierzą nieuprawnione, czyli w zasadzie jakiegokolwiek, użycie mocy, natychmiast rusza ekspedycja, by się tym zająć.

— Znaczy się co? — zapytał Noran. — Likwidują człowieczyne tylko dlatego, że nagle odkrył w sobie wrodzony talent?

— Nie, oczywiście, że nie. — Druwian wykonał nieokreślony, niecierpliwy ruch dłońmi. — To znaczy takie sytuacje też pewnie mają miejsce... hmm. — Podrapał się w zuchwę. — Ale raczej dostaje on wybór. Może zrezygnować z używania magii lub dołączyć do ich społeczności.

— He, he, akurat. — Chłopak prychnął i się skrzywił. — Już widzę, jak taki delikwent obiecuje, że nie będzie korzystał z tego fuj, fuj, niedobrego czarowania, a oni mu wierzą, uśmiechają się i wracają grzecznie na swoje wzgórza.

Starzec przewrócił oczami.

— Jasne, że to nie takie proste — rzekł z przekąsem. — Jeśli chce dalej funkcjonować wśród ludzi, któryś ze starszych wyjaławia jego obudzoną zdolność i zasklepia do niej dostęp.

— „Wyjaławia” i „zasklepia” — wycedził zabójca przez zęby i zacmokał. — To dwa przepiękne słowa. A dodają do tego amnezję po zabiegu?

Mężczyzna pokiwał z rezygnacją głową.

— O co ci chodzi?

— Chyba po prostu od urodzenia nie cierpię blokad. Szczególnie umysłu.

— Cóż, ciebie one, jak widzę, i tak nie dotyczą...

— To rzeczywiście dość unikalna wiedza, ale jak to jest powiązane z naszym zadaniem? — Leśniad wszedł im w słowo, zobaczywszy, że za chwilę sprawy mogą zajść za daleko.

Osuszył swój puchar i odruchowo sięgnął po paczuszkę z liśćmi marangi. Jak twierdził, jej żucie poprawiało mu jasność myślenia. Niby niechcący kopnął też pod stołem wychowanka w piszczel. Trafiony drgnął i rzucił spojrzenie, którym można by przeciąć żelazne kajdany.

— Zaraz do tego dojdę. — Królewski doradca aż zmarszczył krzaczaste brwi, próbując wrócić do wątku. — Czuwający wychwytyują każdy rodzaj magii poza dwoma. Nie są w stanie rejestrować przejawów magii natury, której instynktownie używają choćby pewne gatunki zwierząt, a nawet roślin, i spokrewnionej z nią magii

druidycznej, chyba że byłyby to bardzo duże natężenia. Takie sytuacje nazywamy tąpnięciami mocy. Najprawdopodobniej słabiej też odbierają przejawy korzystania z czarnej magii.

Upił kilka łyków piwa i wytarł wierzchem dłoni pianę z gęstych wąsów.

— Dla nas ma to podwójne znaczenie. — Ściszył głos jeszcze bardziej, tak że pozostali odruchowo pochylili ku niemu głowy. — Po pierwsze w ostatnich miesiącach doszło do kilku potężnych tąpnięć mocy gdzieś na północy kontynentu. Tak silnych, że nawet ja je wyczułem. Niewielka szansa, by były to konsekwencje zjawisk przyrody, choć nie jest to wykluczone. Po drugie pojawienie się tutaj cienistych prawie na pewno oznacza pojawienie się czarnej magii. A to z kolei sprawia, że prędzej czy później możemy się spodziewać interwencji starszych, zobowiązanych do jej eliminacji.

— Czy słusznie się domyślam, że podejrzewasz nasz cel o paranie się czarną magią? — Noran uniósł brwi.

Starzec skinął delikatnie głową.

— A jaką nam to robi różnicę, jeśli nasz potencjalny dziki mag okaże się akurat zwolennikiem ciemnej magii? — zapytał tym razem Leśniad.

— Jeśli byłby dzikim, ciemnym magiem, to praktycznie żadnej. — Zmarszczył krzaczaste brwi. — Ale jeśli byłby to czarny mag, czyli mag mroku, to robi znaczącą. Odnosząc się do porównań, pewnie bardziej dla ciebie czytelnych, byłyby to mniej więcej taka dysproporcja jak być zaatakowanym przez lekką piechotę albo ciężką, pancerną jazdę.

Leśniad mruknął z niechęcią, przywołując w wyobraźni łoskot kopyt i zlewający się w narastający huk chrzęst ciężkozbrojnej konnicy pędzącej z pochylonymi grotami kopii i lanc. Przełknął z napięciem ślinę.

— Czarna magia jest związana z nekromancją i zawsze zawiera pierwiastek jakiegoś bóstwa mroku — wyjaśnił cicho Druwian. — Ale istotne jest też to, że w takim przypadku nie zaatakujemy sprzymierzeńca Drenara bez uzgodnień z Darzanami. Oni na pewno pojawią się wówczas w Kronogrodzie, a ich wsparcie bez dwóch zdań będzie kluczowe. Miałem w planach tak czy inaczej odwiedzić

Najstarszego, a wam zostawić całkiem wolną rękę. Teraz będziecie musieli poczekać na mój sygnał, by podjąć aktywne działania.

— Mamy siedzieć w stolicy północy i nabijać w gospodach koszty Koronie? — jęknął blondyn z niezadowoleniem.

— Macie swobodne przedpole do zdobywania wszelkich użytecznych informacji, byle nie wchodzić w bezpośredni kontakt z wrogiem. No i nie dać się złapać ludziom Drenara.

— No to pięknie — fuknął chłopak. — Wprost uwielbiam bezczynność.

— A co nam podpowiada ten dzisiejszy atak cieni na karawanę? — Leśniad sumiennie trzymał się konkretów, przy okazji omijając cierpkie komentarze impulsywnego z natury kompana. — Po co takie istoty miałyby napadać na kupców? Przecież nie w celu ograbienia ich z tkanin czy papieru, jakkolwiek by był cenny.

— No chyba że w tym transporcie było coś, co miało dla nich duże znaczenie — zasugerował Noran.

— Nie — zaprzeczył Druwian stanowczo. — Co za różnica, jaki towar wieźli? Zawartość karawan nie uzasadnia przecież takiej przewagi. Jeden samotny seihe rozczłonkowałby trzy takie grupy.

— Eskorta. — Noran bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Prędszej. Myślę, że mogło chodzić im na przykład o pewność, że nikt z niej nie przeżyje, niezależnie od tego, na jak tęgich wojów się natkną. Swoją drogą nie zastanawia was fakt, że nasz wielkolud przez pewien czas potrafił bronić się sam przed tuzinem przeciwników tej klasy? Dlaczego użyli strzał, mimo że są wystarczająco niebezpieczni w walce wręcz?

— No cóż. — Starszy z zabójców cmoknął. — Jak by nie było, gdy zaczęliśmy nasz taniec, u jego stóp leżało już kilka odprawionych w zaświaty potworów. To trochę tak, jakbyś jechał z kosą przez łąk, leciutko, bez kłopotów, a tu naraz: traaach! i kamień. Wtedy z reguły nachodzi kosiarza ostrożna refleksja, czyż nie?

— Ja bym tam odruchowo kopnął ze złością taki bezczelny kamień. — Chłopak udał mściwy wyraz twarzy.



— Tak, ale ty się nie liczysz do porównania, bo ty w ogóle jakiś dziwny jesteś — skwitował z żartobliwą wzdrganą głosem Leśny.

Druwian pomyślał, że relacje tych dwóch przypominają trochę stosunki starszego i młodszego brata. W normalnych warunkach pewnie by się nawet uśmiechnął, ale nie obecnie, gdy obawy brały górę nad wszystkim.

— Jest też inna możliwość — powiedział poważnie zasepiony. — Jak dla mnie niezwykle niepokojąca.

Mężczyźni skupili na nim zaintrygowane spojrzenia.

— Czekali na zupełnie kogoś innego.

Zapadła cisza. Leśniad wysunął żuchwę, marszcząc przy tym brwi.

— Nasz mięśniak powiedział... że wyczuł ich... — Myśli szybko układały mu się w całość. — I być może to on był inicjatorem zdarzenia lub po prostu ich wypłoszył. Postanowili zaryzykować i szybko, ale do końca wyeliminować nieoczekiwany kłopot. Taka siła natarcia mogłaby być bardziej uzasadniona wobec naprawdę potężnego i niebezpiecznego przeciwnika...

— ...na przykład dysponującego magią druida w towarzystwie najlepszych ostrzy Ukrytego Miasta — dokończył konkluzję młody.

Spojrzeli po sobie ze skrzywionymi twarzami. Wszyscy zdali sobie sprawę, że gdyby taki scenariusz okazał się prawdziwy, cała ich misja byłaby daremna, skoro przeciwnik tak szybko ich wykrył i tylko przypadek uratował im skóry.

Druid również nie miał wesołej miny.

„Gdyby ich zasadzka okazała się skuteczna...” — pomyślał ze zgrozą. „Wystarczyłaby przecież jedna celna strzała”. Aż wzdrygnął się na tę wizję. Ale jak ktokolwiek mógłby odkryć ich zamiary? Musiałby to być ktoś z najbliższego otoczenia Daczysława albo...

— Wiesz, panie, co oznaczają słowa tchnięte przez tego umierającego w srebrnej masce? — Budzące grozę rozmyślenia przerwał starszy z mężczyzn. — Jak to leciało, Noran?

Zabójca przymknął swoje demoniczne oczy, próbując odtworzyć w pamięci ruch warg umierającego.

— Wydaje mi się, że to było jakoś... *sit et maj due est* czy coś w tym guście. Ale skutecznie czytać z ruchu warg umiem jedynie, gdy ktoś mówi w znanym mi języku. Pojedyncze obce słowa trudno wyłowić, bo wiele głosek wypowiada się, układając usta i język w podobny sposób lub wręcz identycznie.

Druwian przez chwilę się zastanawiał.

— To mogłoby choćby znaczyć: *spodziewaj się na swojej drodze cieni*. — Wzruszył ramionami.

— Być może ten, którego odzyskaliśmy dla świata żywych, powie nam coś więcej — zasugerował Leśniad i zaraz uśmiechnął się lekko łobuzersko. — Pytanie tylko, kiedy jego obecna smukłonoga opiekunka przywróci go do przytomności.

— Ciekawe, kim jest nasz wybawiony — rozważał na głos Noran. — Widziałem wielu ogromnych wojowników, ale ten egzemplarz jest zaiste... wyjątkowy. Nie wygląda na tutejszego.

Cała trójka milczała. Pierwszy odezwał się Druwian, na którego twarzy pojawił się wyraz głębszego zastanowienia:

— Cóż, mam nadzieję, że uda nam się z nim porozmawiać, zanim wyruszymy do Koziej. Wczoraj zdołał wypić wiadro wody. — Zabębnił długimi palcami po blacie. — Rozsądnie by było jak najszybciej zniknąć ze szlaków, więc musimy zwiększyć tempo. Tak jak wam wcześniej mówiłem, w górach jest ktoś, kto być może ułatwi nam rozeznanie się w sytuacji.

Westchnął ledwo zauważalnie.

— Pewnie nie będzie łatwo skorzystać z jej usług — rzekł cicho, jakby mówił tylko do siebie, a w myślach dodał: „Gdybym miał wybór, byłoby to ostatnie miejsce, do którego chciałbym się udać”. — Ale cała ta historia zaczyna mieć za dużo znaków zapytania i każdy rodzaj wsparcia będzie nam potrzebny.

Zabójcy nie odezwali się, akceptując decyzję. Dopiewszy i tak już zapłacone piwo, wstali od stołu i udali się do swoich izb sąsiadujących z pokojem rannego. Tym razem nie było wątpliwości, że trzeba koniecznie ustalić nocne warty. Aby mieć pewność, że nic niespodziewanego nie stanie się również posiadaczowi być może niezwykle cennych informacji, druid dyskretnie zabezpieczył także jego pomieszczenie.

Gdy wchodzili na piętro, jeden z niewyróżniających się niczym gości czujnie przyglądał się im znad przechylnego kufła. Odczekał trochę, po czym zapłacił i wyszedł, nikogo nie żegnając. Na jego twarzy na krótko zagościł wyraz wzgardliwego okrucieństwa.

## VII. Twierdza Kozia

Światło nieśmiało przebijało się przez nicość. Kształty nabierały barw, przypominając o rzeczywistym istnieniu przedmiotów i materii. Grube belki powały wyciosane z ciemnego drzewa, małe okna wpuszczające słoneczne promienie, szafka. Pojawił się też ruch, powolny zarys zamazanej postaci, która delikatnie zbliżała się do niego, a później dotyk, jakże subtelny i pieśczośliwy. Ciepła dłoń na czole i zapach, zwiastun drzew poruszanych wiatrem wczesnej jesieni. Na końcu dołączył głos, harmonizujący z resztą aksamitnością brzmienia.

— Jesteście już bezpieczni, panie. — Ciemnobrązowe oczy patrzyły na niego z troską i czułością. — Nie próbujcie na razie mówić, bo rany w waszej piersi zaczną znowu krwawić.

Kobieta była młoda, choć z pewnością w pełni dojrzała. Odgarnęła z pociągłej twarzy niesforny kosmyk czarnych włosów, który wysunął się z grubego warkocza.

— Przywieźli was tu, panie, ludzie służący królowi południa po tym, jak uratowali was przed hordą straszliwych potworów zabijających samym oddechem. Są tu i mówili, że jak tylko wrócicie do sił, zechcą z wami rozmawiać.

Nie znajdował w swojej na nowo otwierającej się pamięci żadnych obrazów, które potwierdzałyby podobne zdarzenie, ale magiczny urok chwili sprawiał, że nie miało to w tym momencie znaczenia.

— Kim jesteś, piękna pani? — wyszeptał zaledwie, przyglądając się jej z wielką przyjemnością, ciesząc wzrok urzekającą urodą.

— Jaka tam ze mnie pani? Żadna. — Dziewczyna splonęła się, splatając z zażenowaniem dłonie. — Jestem starszą córką Lutosława, właściciela tej gospody... — Nie widząc innego sposobu uniknięcia jednoznacznie badającego ją spojrzenia, szybko dodała: — Lepiej już pójść powiadomić królewskiego doradcę, że odzyskaliście, panie, przytomność.

W pierwszej chwili słowa jedynie zaszemrały mu w umyśle, ale gdy uruchomiły adekwatne wspomnienia, ich znaczenie uderzyło w niego falą błyskawicznie powracającej świadomości.

— Królewski doradca? Ten druid? — jęknął.

Dziewczyna, przestraszona raptowną reakcją wojownika, cofnęła się lekko dezorientowana.

— Tak, panie, jak już mówiłam, uratował wam wczoraj życie, gdy towarzyszyliście karawanie.

Skrzywił się, przypomniawszy sobie teraz dokładnie ostatnie wydarzenia: strach i wściekłość, gdy zobaczył pojawiających się zewsząd cienistych, ból po trafieniu, poczucie nieuchronnej porażki, a na koniec ulgę, gdy padali kruszeni potężną magią.

— Idź, pani, poproś go, aby przyszedł.

Dziewczyna poczuła się dziwnie, usłyszawszy zrezygnowany ton jego wypowiedzi. Opatrzenie ran i jedna noc czuwania wystarczyły, żeby narodził się w jej sercu jakiś szczególny, subtelny rodzaj przywiązania i bliskości. Nie rozumiała dokładnie, co miałyby być tego powodem, bo przecież nie pierwszy raz robiła podobne rzeczy. Całe życie towarzyszyła jej wojna, która dotykała prawie wszystkich zakątków kontynentu, również tej małej wioski przy jednym ze szlaków handlowych. W tym ogromnym człowieku odkryła jednak coś wyjątkowego i ujmującego, choć nie umiałyby tego nazwać. Może to jego muskularne ciało, tak bezwolne i potrzebujące jej pomocy i opieki, może szeroka, szczerą twarz, w której tak łatwo odnajdowało się zarówno łagodność charakteru, jak i specyficzne piętno władzy i jej ciężaru. Chciała coś powiedzieć, ale jedynie odwróciła się i wybiegła.

„Ten wyniosły druid faktycznie ocalił mi życie. A być może również tysiącom innych. To oznacza kolejne zobowiązanie na szali moich długów” — pomyślał gorzko. Ból w piersiach wzmógł się, więc

ranny postanowił na razie nie skupiać się na niczym. Opróżnił tylko duszkiem stojący obok łóżka dzban. Woda znacznie przyspieszała działanie mocy będącej dziedzictwem jego rodu.

Po chwili do pokoju wszedł Druwian, którego Gromir pamiętał z niedawnego spotkania na audiencji u Daczysława, a z nim – dwóch jego ochroniarzy. Wczoraj obydwaj dali próbkę zadziwiającej odwagi i bojowego kunsztu. W jasnym świetle wstającego dnia mógł przyjrzeć się im znacznie dokładniej. Starszy z nich automatycznie budził zaufanie. Uśmiechnięty, z życzliwością w spojrzeniu, a przy tym elegancko ubrany i... cóż, z pewnością bardzo atrakcyjny jak na przedstawiciela płci brzydkiej. Gromir miał dar trafnego oceniania ludzi już na pierwszy rzut oka. W tym przypadku wyczuł w mężczyźnie duże wojskowe doświadczenie i cień tajemnicy, jakiegoś obciążenia skrywanego za fasadą jowialności. „Któż dzisiaj nie ma spraw, które chciałby za wszelką cenę ukryć przed światem?” – skonstatował.

Młodszy miał specyficznie zdeformowaną twarz. Gdyby wojownik natknął się na niego w ciemnej uliczce, z pewnością natychmiast wyciągnąłby ostrze i przywołał bogów Jasności. Nie kojarzył, aby kiedykolwiek spotkał człowieka o takich oczach. Choć demony – owszem. Naturalna drapieżność w sposobie poruszania się, nieco pająkowate proporcje ciała, a nawet zbyt gwałtowne reakcje – te cechy nie wyglądały na typowe dla ludzi ani dla którejkolwiek ze znanych mu ras. Za to stanowiły oczywistą zapowiedź zabójczych predyspozycji, których dowód ujrzał poprzedniego dnia.

„Ciekawe, dlaczego królewski doradca korzysta z osłony takich typów. Ewidentnie nie są to ani gwardziści, ani nawet żołnierze” – zdążył pomyśleć, zanim Druwian odezwał się, witając go przyjacielskim uśmiechem:

– A więc postanowiłeś kontynuować jeszcze jakiś czas swoją ziemską wędrówkę, Gromirze.

Usiadł na jedynym stołku w izbie, a towarzysząca mu obstawa stanęła przy drzwiach i oparła się swobodnie o ścianę. Oczy odmienca błyszczały czujnością.

— Poznaj imiona moich... pomocników: Noran i Leśniad. Cieszymy się, widząc cię żywym.

— I ja się cieszę, że przybywając mi w sukurs, nie odnieśliście, panowie, żadnych groźnych obrażeń. Stałem się dłużnikiem waszmości i obecnych tu dzielnych wojowników. — Mówił to szczerze, choć na dnie duszy pojawił się lekki niepokój o to, czy nowe zobowiązania nie spowodują dodatkowego zagrożenia dla jego misji.

Noran popatrzył niedbale na paznokcie z dziwną miną.

— Niebawem wyruszamy w dalszą drogę do Koziej, więc jeśli chcesz, możemy coś komuś przekazać odnośnie do karawany i tego, co tu się wydarzyło, żebyś nie miał niepotrzebnych kłopotów. Przyszliśmy tu jednak głównie z innego powodu.

Leżący podciągnął się na poduszkach z syknięciem.

— Widzisz... — Druid ostrożnie dobierał słowa. — Pojawienie się w tym rejonie takich... istot jest bardzo niecodzienne i... no cóż, na tyle budzące niepokój, że Korona musi się tym bezzwłocznie zająć.

— Kiedy pojawiają się cienie, zawsze można spodziewać się najgorszego — odparł olbrzym, potakując głową ze zrozumieniem.

— Znasz je? Miałeś już kiedyś z nimi kontakt? — Demonicznie wyglądający ochroniarz nagle się ożywił.

Gromir lekko zmarszczył wydatne brwi.

— W moich stronach zdarza się mieć z nimi do czynienia, chociaż i u nas jest to bardzo wyjątkowe.

— W twoich stronach? — zapytał drugi, nonszalancko krzyżując ramiona na piersi.

Twarz wojownika przybrała wyraz niepokoju. Druid odgadł jego chęć zachowania tajemnicy. Dobrze pamiętał ich spotkanie na dworze, gdy król raczył go wysłuchać, a następnie niemal wyśmiał. Sam udzielił odpowiedzi:

— Gromir pochodzi z... mało znanych, dalekich ziem. — Spojrzał wymownie na swoich towarzyszy, próbując tonem i wzrokiem zasugerować pozostawienie tego tematu w spokoju.

— Znacie się? — Młody zabójca uniósł brwi ze zdziwieniem, a zaraz potem skrzywił się i rzekł zimno: — Widzę, że nie miałeś

zamiaru nam tego oznajmić, panie. W końcu jesteśmy tylko twoimi ostrzami, którym należy dawkować szerokość kontekstu sytuacji, nieprawdaż?

Druwian wstał powoli, zaciskając pięści. Linie tatuaży na jego czaszce lekko pociemniały.

— Wyluzuj, Nor, to nie ma... — Starszy zabójca chciał jak zwykle zneutralizować wrodzoną drażliwość kompana, ale sprawę rozwiązał sam Gromir, wchodząc mu w słowo mocnym głosem:

— Dajcie pokój, waszmościowie! Moje pochodzenie nie jest tajemnicą, ale faktycznie wolałbym takie sprawy zachować dla siebie, jeśli oczywiście mogę liczyć na waszą w tym względzie przychylność. Jeśli którykolwiek z was zażąda ode mnie, bym się opowiedział, uczynię to, ale nie sądzę, by miało to jakiś związek z waszymi pytaniami co do wczorajszych wydarzeń. O cieniach też nie wiem zbyt wiele poza tym, że są jednymi z najgroźniejszych i najprzebieglejszych przeciwników. Wiem też, że są nierozzerwalnie związane z przejawami mroku.

Ostatnie stwierdzenie rozładowało wprawdzie chwilowe spięcie między chłopakiem i druidem, ale za to w izbie jakby zrobiło się ciemniej i mniej swobodnie.

Ranny spróbował się uśmiechnąć. Kiepsko mu wyszło.

— Rozumiem, że powinienem zdać wam relację z tego, co miało miejsce. Jakich informacji ode mnie oczekujecie? Przyznaję, że niezbyt dokładnie pamiętam szczegóły, wszystko zaszło diabelnie szybko.

— Szczegóły mogą być najistotniejsze, ale zanim nam o nich opowiesz, spróbuj określić, co według twojego rozeznania mogło być celem ich ataku — rzekł doradca.

Wszyscy wyczekująco wpatrywali się w olbrzyma, a ten pogrążył się w zadumie. W końcu zaczął ostrożnie:

— Całe moje dotychczasowe życie to wojna i odgadywanie zamiarów wroga. Mimo to nie mam pewności niczego poza tym, że nie było ich celem ani ograbić kupców, ani ich zabić. — Przyjrzał się swoim wybawcom, bacznie obserwując ich reakcje. — O ile to ma sens, odniosłem wrażenie, że ich atak przeszedł

po eskorcie i kupcach jak burza i zabili tylko tych, którzy nawinęli się pod miecze, ale... w stosunku do mnie podeszli tak...

— Jakbyś był ich daniem głównym. — Noran zaskoczył obecnych wypowiedzią.

— Tak, to prawda — potwierdził Gromir i zamilkł.

— Jak myślisz, dlaczego mógłbyś być sam jeden powodem ataku tuzina tak niebezpiecznych przeciwników?

Wojownik wzruszył w odpowiedzi ramionami i aż syknął z bólu.

— Myślę, że dobrze wiesz dlaczego, ale to kolejna rzecz, o której nie chcesz nam powiedzieć. — Noran nie pozostawiał wątpliwości, że nie podoba mu się postawa nieznanego. — Gdyby nie my, zabrałbyś wszystkie te swoje tajemnice do grobu. Może chociaż wyjaśniłbyś nam, kim jesteś, bo nie uwierzę, że najemnikiem, który za parę księżyców ochrania szlaki handlowe.

Atmosfera zgęstniała tym razem tak, że nawet druid nie próbował bronić wojownika.

— Słuchajcie, jestem wam winien życie, a może znacznie więcej. — Przymknął na moment oczy. — Faktycznie, nie chcę powiedzieć wszystkiego, bo należę do ludzi mówiących zawsze prawdę lub niemówiących nic. A w tym przypadku prawda o mnie wam nie pomoże. Pomijam już fakt, że to, co mógłbym wam zdradzić... — Pokiwał delikatnie głową. — I tak pewnie nie uwierzylibyście, podobnie jak inni. — Spojrzał na Druwiana, a ten potwierdził skinieniem.

— On ma rację. Mieliśmy okazję spotkać się zaledwie raz, gdy udało mu się uzyskać posłuchanie u króla.

Zabójcy spojrzeli na mówiącego lekko zdezorientowani.

— Tuż przed moim wyjazdem ze Lwieszna Gromir jakimś cudem wyprosił audiencję u Daczysława. Wtedy przedstawił się i opowiedział swoją niewiarygodną historię. Ale nic z tego, co wtedy usłyszałem, nie wydaje się mieć odniesienia do naszego... kontekstu sytuacji. — Druid posłał mocne spojrzenie Noranowi. — Sprawa, w której prosił o wsparcie, jest związana z tym, skąd pochodzi i kim jest. Lub raczej za kogo się podaje, bo trudno dać temu do końca wiarę. Król na przykład nie uwierzył.

— A ty? — rzucił odmieniec z irytacją. — Ufasz mu?



— Tak, jestem gotów uznać za możliwe to, co mówił. — Druid uśmiechnął się słabo do wielkoluda, a ten z ulgą skinął głową w podziękowaniu. — Ale ja wiem więcej o historii ludzi niż prawdopodobnie ktokolwiek z obecnie żyjących. No, może poza Najstarszym.

— Do niego właśnie się wybieram. Jest moją ostatnią nadzieją — przyznał z westchnieniem leżący. — Dlatego przyłączyłem się do karawany, oferując swój miecz. Masz co do mnie rację, Noranie. Nie jestem najemnikiem i nie urodziłem się na waszych ziemiach. Powierzono mi do wykonania niezwykle odpowiedzialne zadanie. To ono sprawia, że nie jestem skory do obnoszenia się ze swoją tożsamością. Jak dotąd to zwykle albo powoduje uśmiechy pełne politowania, albo wręcz ściąga kłopoty.

— W porządku — rzekł niespodziewanie ugodowo młodzieniec i oparł się znowu swobodnie o ścianę. — To mi wystarcza za usprawiedliwienie. Żeby było jasne: nie odbieram nikomu prawa do jego tajemnic. Lubię jedynie mieć klarowność sytuacji.

— Dziękuję waszmości za zrozumienie. Czy w związku z tym pozwolicie, żebym porozmawiał z królewskim doradcą sam na sam? — W tonie prośby słychać było skrywane cierpienie i nadzieję.

— Jasne — zgodził się Leśniad i skinął głową na towarzysza. — My tymczasem coś zjemy, bo jak to mówią, bez porządnego śniadania...

— Tak, tak, Leśny, wszyscy wiemy: nie ma dobrego za dnia działania — dokończył tradycyjnie Noran. Druwian zaczynał się już przyzwyczajać zarówno do ciągłego cytowania obiegowych powiedzonek przez starszego, jak i do kończenia ich przez młodszego z zabójców.

Wyszli, pożegnawszy się z Gromirem zdawkowym wojskowym salutem.

Posiłek, choć wyborny, minął im raczej w podłych nastrojach. Jednoznacznie zasugerowane przez tajemniczego wojownika objawienie się mroku na kontynencie mogło okazać się prawdą. To oznaczałoby kłopoty nie tylko dla ich misji, ale również

dla wszystkich w królestwie. Bogowie zasadniczo nie wtrącają się do ludzkiej egzystencji, a przynajmniej nie bezpośrednio. Nie brak jednak fanatyków, którzy służą im albo którym przynajmniej tak się zdaje. Doświadczenia z ostatnich lat rządów Praworękiego potwierdzały, że tacy ludzie potrafią być ogromnie niebezpieczni. Zdarzało się też, że dysponowali niesamowitą mocą, zupełnie jakby naprawdę korzystali ze wsparcia boskich sił. Wiedział o tym nawet Noran, choć był zbyt młody, by być świadkiem wydarzeń, które doprowadziły do śmierci największego z królów ich czasów. Trudno nie nabrać złego przeczucia podobnego do tego, gdy widzi się na horyzoncie pierwsze ciemne chmury zwiastujące nawałnicę.

Kiedy Gromir zszedł na śniadanie o własnych siłach i — choć poruszał się bardzo ostrożnie, z grymasem bólu — usiadł normalnie do stołu, ludzie w gospodzie patrzyli na niego jak na zjawę. Nawet zabójcy przeżyli szok. W ich profesji doświadczą się wielu niezwykłych przypadków, a jednak nigdy nie widzieli, żeby ktoś jednego dnia był prawie martwy, a kolejnego po prostu zasiadł do posiłku. Olbrzym wypił cały dzban wody zarówno przed skosztowaniem dań, jak i po konsumpcji.

Najbardziej jednak zaskoczył ich Druwian.

— Może to was zdziwi, ale zdecydowałem, że Gromir dołączy do nas i będzie nam towarzyszył do Koziej i dalej przez góry. — Druid zakomunikował to stoicko i lekko, zupełnie jakby to była prognoza jutrzejszej pogody. — Wprowadziłem go w generalne założenia naszego zadania. Nasze cele są w pełni zbieżne, chociaż role różne. Dla waszej wyłącznej wiadomości: to, co stanowi sukces misji Norana, zostało przez Daczysława równocześnie postawione jako główny warunek jakichkolwiek rozmów o udzieleniu pomocy Gromirowi. Można by zatem rzec, że jedziemy na tym samym koniu.

— W moim rodzie za punkt honoru przyjmuje się spłacanie takich długów, jaki mam wobec was — dorzucił cicho muskularny wojownik. — Może los się do mnie uśmiechnie i podróżując z wami, będę miał okazję tego dokonać. Poza tym zdążamy w znacznej mierze tą samą trasą, a jak wskazują wczorajsze doświadczenia, stała się ona obecnie niezwykle niebezpieczna.

— Panie, ty zlecasz, ty decydujesz. To jasne — rzekł Leśniad. — Tyle że przy ostrym tempie, które mamy narzucić, on i tak nie utrzyma się długo w siodle, mając dwie świeże dziury w piersi.

— Jeśli spadnę z konia po drodze, nie będę wołał za wami, byście poczekali. Czy tak jest w porządku? — zaproponował olbrzym.

Zabójca przytaknął z powątpiewaniem. Starzec spojrział na Norana, ale ten milczał ze skrzyżowanymi ramionami. Wydawał się pogrążony w rozmyślaniach.

— Spotkajmy się zatem przy koniach za kwadrans. — Druid dał znak gospodarzowi, że chce uregulować rachunek. — Spodziewam się, że górale schwytali także twojego rumaka, a i ekwipunek powinien być nietknięty.

Wszyscy wstali jak na komendę. Gromir skinął głową i oddalił się bez słowa, by przygotować wszystko do podróży. Mocno rozszerzone w jasnym świetle źrenice Norana śledziły go beznamiętnie.

„Wygląda na tęgiego rębajłę, co przyda się w ewentualnej otwartej walce, ale jak tak dalej będziemy wszystkich po drodze przygarniać, powołamy całą chorągiew” — pomyślał zabójca, a następnie rzekł ostrzegawczym tonem:

— Twoja wiedza o nim, druidzie, będzie jego gwarancją. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Druwianowi nie drgnął nawet jeden mięsień twarzy. Nie przywykł, żeby ktokolwiek mówił do niego w ten sposób, ale po tych kilku dniach reagował z coraz to większym dystansem na nadwrażliwość chłopaka. Zaczynał go rozumieć.

Przez całe przedpołudnie jechali praktycznie bez słów. Noran wysforował się naprzód, a cudzoziemiec zamykał pochód. Widać było, że przeżywa prawdziwe tortury, ale nie zachwiał się w siodle ani razu mimo dość szybkiego tempa. Biły od niego ogromna niezłomność i niesamowity upór. Na krótkim postoju druid zauważył, że wojownik pluje krwią. Podszedł pomóc, ale tamten machnął tylko ręką.

— Dlaczego tak wzdragasz się przed moimi umiejętnościami uzdrawiania? Byłoby ci znacznie lżej i łatwiej.

— Wiem. — Spojrzał mętnie. — Problem w tym, że wolę, żebyś nawet nie próbował używać wobec mnie swojej magii. Odziedziczyłem po rodzicach zarówno odporność na zaklęcia, jak i własną, wewnętrzną moc regeneracji. Poza tym przywykłem już do zdrowienia w siodle.

Dostojnik wzruszył ramionami lekko zaskoczony, trawiąc w milczeniu znaczenie tych słów. Za to Leśniad bardzo się nimi zainteresował. Podszedł z przyjaznym uśmiechem.

— Nigdy nie widziałem takich zdolności — przyznał z wyraźnym zaciekawieniem. — Czy w twoich stronach to typowe zjawisko?

— Nie — odparł ostrożnie Gromir. — To dotyczy wyłącznie mojego rodu. Bardzo dawny przodek otrzymał ten dar od samych bogów Jasności i od tej pory każdy syn z prawego łoża posiada go od urodzenia.

— To fascynujące. — Uśmiech zabójcy stracił na naturalności, stając się fasadą dla ukrywanych emocji. Wyjął z kieszonki listek marangi i włożywszy go do ust, zaczął coś analizować. Żucie zawsze go uspokajało.

Gdy ponownie ruszyli, Leśniad dołączył do swego młodszego kompana na przedzie. Jechali na razie stępa.

— Widzę, że mocno się zamyśliłeś. Cóż takiego mogło uruchomić ten tak nietypowy dla ciebie proces? — rzucił niby niedbale, choć nie spodziewał się, by Noran dał się nabrać na brak napięcia. Znali się zbyt dobrze.

— A cóż sprawia, że pojawiło się tak nietypowe dla ciebie zainteresowanie tym, co myślę? Martwi cię coś w naszym magicznym siłaczu? — Miał przymrużone oczy.

— Poza tym, że nie wiemy, co to za gość, nie wiemy, jaki interes ubił z druidem, nie wiemy, skąd pochodzi i w jaki sposób leczą mu się śmiertelne rany w ciągu jednej nocy? Nie, zupełnie nic mnie nie martwi. Mam to w całości w tyłku, powinieneś wiedzieć. — Uśmiechnął się wymownie. — Ale istotnie zaintrygowało mnie to, że akceptujesz jego obecność ot tak, bez słowa.

Dał mu chwilę. Odmieniec spojrzał wreszcie na niego.

— To pewnie przez ten jego osobisty urok, no wiesz, wielkie mięśnie, siła, tajemniczość i tak dalej. — Wykrzywił usta

w szyderczym grymasie, ale po chwili spoważniał. — Nie wiem, jak to precyzyjnie ująć, więc powiem jakkolwiek. Mam nieodparte wrażenie, że coś mnie z nim łączy, jakieś związanie losów, wzajemna zależność. Dziwaczne przekonanie, że zawsze stanęlibyśmy w swojej obronie jak znający się wieki towarzysze broni.

Leśniada aż przytknęło. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jego izolujący się od wszystkich wychowanek, o najbardziej aspołecznym charakterze ze wszystkich znanych mu osób, rzeczywiście to powiedział. Już zaczynał wietrzyć podstęp, gdy jasnowłosego zabójca się odezwał:

— Znasz mnie. Nie nawiązuję z reguły przyjaznych stosunków z ludźmi, szczególnie z takimi, którzy kryją się w cieniu swoich tajemnic. Własnych mam w nadmiarze. Ale Gromir... — Zagryzł wargę. — Czuję, jakby jakaś część mnie znała go doskonale. Tak to chyba można określić, choć jak słucham samego siebie, wiem, że to brzmi idiotycznie.

— Sugerujesz, że mogłeś go już spotkać, tylko nie do końca pamiętasz? — spytał Leśniad zdeorientowany.

— Nie, nie o to chodzi. — Uniesione lekko ramiona wskazywały na skupienie mówiącego. — Nigdy tak nie miałeś, że patrząc na kogoś, masz wrażenie, że ta osoba jest dla ciebie ważna w jakiś szczególny sposób, że jest wyjątkowa, że coś cię z nią łączy albo że będzie, ale nie wiesz co?

— No cóż, rzekłbym, że rozumiem cię w pełni, jeśli wziąć pod uwagę niektóre spotykane niewiasty. — Przechylił żartobliwie głowę i lubieżnie oblizał wargi. — Ale w tym przypadku... — Zastanowił się, zobaczywszy, że jego towarzysz nie jest w nastroju do żartów. — Nie myślisz chyba, że on może mieć jakikolwiek związek z twoim pochodzeniem?

Złote oczy wpatrywały się w leśną ścieżkę.

— Sądzisz, że to wykluczone?

Mężczyzna jechał przez chwilę bez słowa, leniwie mieląc w ustach listek. W końcu wypluł ziele.

— Widziałem już bardziej abstrakcyjne związki między sprawami — odparł wymijająco.

— No cóż, wydaje się, że będzie okazja spróbować to sprawdzić.

— Nie uważasz, że królewski też może coś wniesć do rozwiązania twojej zagadki? — Leśny obejrzał się w siodle. Jadący z tyłu zajęci byli cichą rozmową. — Ale żeby uzyskać jakiejkolwiek informacje, musiałbyś mieć dużo większą motywację do popracowania nad swoim charakterem. Pytanie: czy naprawdę aż tak bardzo ci na tym zależy?

Chłopak westchnął ciężko. Spojrzał przeciągle swoimi niesamowitymi oczami, które przez zwężone w świetle dnia źrenice wyglądały jak dwie złote kule.

— Wciąż mam te senne wizje. One wracają i są coraz silniejsze. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że czuję się jak jakaś pieprzona larwa?

Jadący obok kiwnął głową, teraz już poważnie zafrasowany.

— No właśnie. Nie mam pojęcia jak one, ale ja wiem, że nadchodzi moment przemiany. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że mój czas ludzkiej larwy się kończy, jestem o tym coraz bardziej przekonany. A wciąż niczego nie odkryłem. Jedyne, co mam, to te cholerne przeczucia. — Splunął ze złością w bok.

Rozmowę przerwała grupa ludzi, którzy wyłonili się z zakrętu. Wyglądali na typową rodzinę mieszkańców podgórza jadących z pełnym dobytkiem. Niski koń ledwo ciągnął wóz, na którym wśród pakunków, beczek i skrzyń siedziały dwie kobiety i kilkoro dzieci. Obok szli dwaj górale i postawny starzec. Kiedy jeźdźcy się zbliżyli, Leśniad zatrzymał ich gestem dłoni, uśmiechając się serdecznie. Stanęli z wyraźną niechęcią, dyskretnie rozglądając się i niespokojnie obserwując spotkanych.

— Witajcie, dobrzy ludzie. Nie idziecie aby od Koziej?

Starzec nakazał wzrokiem jednemu z młodych mężczyzn, aby odpowiedział. Ten zdjął kapelusz i skinął w powitaniu głową, międląc ze zdenerwowania liche nakrycie głowy.

— Niedokładnie, panie, my som spod twierdzy, s jednej s wiosek, s Mocydła, panie. — Skinął ponownie głową, mnąc w rękach filcowy materiał.

— Ale wiecie, czy przez przełęcz droga przejezdna? Bo być powinna o tej porze roku, choć w górach, jak to w górach, za pogodą nie trafisz.

Delegowany góral przestępował z nogi na nogę, zwlekając z odpowiedzią i rzucając co chwila ukradkowe spojrzenia na resztę. Z tyłu podjechał Druwian. Twarz starca wydała mu się znajoma, a gdy ich spojrzenia się spotkały, stojący za młodszymi góralami mężczyzna rozsunął ich twardo ramieniem i podszedł parę kroków, uważnie wszystkich lustrując.

— W porządku, chłopcy. — Dał znak dłonią. — To z dworu, z południa.

Napotkani ludzie odetchnęli z ulgą.

— Czy ja cię skądś nie znam? — Druwiana kusilo, żeby zamiast pytać, sprawdzić to inaczej, ale starzec rozwiał jego wątpliwości, odsuwając siwą brodę, spod której wyjrzała głęboka blizna charakterystycznie zniekształcająca podbródek.

— Tak, panie, znacie mnie doskonale, bom jest Breda Twardy, dowódca garnizonu.

Kiedy ręka puściła doczepioną brodę, mężczyzna znowu stał się starcem, z wyjątkiem może oczu, które nie tylko pełne były życiowej energii i woli, ale też płonęły ogniem straszliwego gniewu. — Lecz jeśli chcecie, panie, porozmawiać, to rozstawcie swoich ludzi na wartach, a my usiądźmy przy wozie.

Zabójcy patrzyli na rozmawiających zdezorientowani.

— Kozia padła. — Stwierdzenie zabrzmiało jak wyrok sądu, w który nikt nie zechce uwierzyć. — To Janikowe oddziały wspierane przez jakieś nieludzkie istoty, ciche jak nietoperze, srebrzyste jak księżycowa poświata, niezrównane w walce, nieznające żadnej litości.

— Cienie... — szepnął z przerażeniem Druwian.

Chwilę później na skrzyniach ustawionych przy wozie barczysty człowiek opowiadał przyciszonym głosem o niespotykanych, budzących grozę zdarzeniach. Naprzeciw siedzieli jedynie druid i Noran, obaj posępniejąc coraz bardziej w miarę słuchania.

— Nie było nawet porządniejszej walki. Tych kilku przytomniejszych, co się nie dało zaskoczyć, rozniesiono na mieczach w ciągu trzech oddechów. — Żołnierz nerwowo zaciskał pięści. — Zresztą dla nich to i tak lepiej, przynajmniej zginęli z honorem. Atak nastąpił trzy noce temu. Te cienie swoją diabelską

mocą musiały jakoś przedostać się do twierdzy, bo całą wartę na głównej bramie po prostu zarżnięto jak prosiaki. Otwarto wrota na tyle tylko, by wpuścić oddział siepaczy barona z Dwóch Stawów. Ten przeklęty sprzedawczyk Janik dla złota zrobi wszystko.

Mówiący splunął ordynarnie, nieadekwatnie do udawanego wieku.

— Dzięki straszliwcom ludzie barona zaskoczyli załogę i dokończyli dzieła. Śpiący w koszarach pod nóż, zasiedziani w gospodzie pod nóż, zaskoczeni w uliczkach pod nóż. Garstka broniła się jeszcze przez chwilę pod ratuszem. Zabili wszystkich zdolnych do noszenia oręża. Nie brano żadnych jeńców. — W szerokiej, kanciastej twarzy niczym w tyglu mieszały się wrząca nienawiść i żrący ból straty.

— Jeśli to wojsko Janika, czegoś tu nie rozumiem. — Druwian nie krył goryczy. — Jako rycerz i możnowładca okrył się hańbą i zrezygnował z możliwych okupów? Nie było wprawdzie synów wysokiego rodu wśród twojego kontyngentu, jak pamiętam, ale za wielu rodziny nie żałowałyby skrzynek pełnych księżyców, a kto wie, może nawet i słońca by się znalazły na okup. Na wojnie od wieków zyskuje się na jeńcach, nie na trupach.

Przebrany człowiek pokręcił smętnie głową.

— Nic wciąż nie rozumiesz, panie. To nie było działanie wojenne. — Zacisnął wargi. — To była eliminacja i to nie baron dowodził.

— Niech zgadnę. — Złote oczy milczącego dotąd zabójcy błyszczały ciemniejszymi odcieniami. — Cienisty drab ze srebrną maską?

Góral skupił na nim lodowatą otchłań swojego spojrzenia i odrzekł:

— Mam nadzieję, że to nie twoja rodzina. — Słowa zawisły w powietrzu. — Ten kurewski cienisty zamordował jedną z moich córek i byłby pewnie zrobił to ze wszystkimi przebywającymi w twierdzy, gdyby nie baron. Nie usprawiedliwiając tego przeklętego głupca, trzeba mu jednak oddać ten ludzki odruch, gdy sprzeciwił się potworowi. W gniewie ich sprzeczki oberwało mu się, ale cienie przerwały totalną egzekucję.



— Spokojnie, kapitanie, Noran jest w mojej służbie i to między innymi dzięki niemu morderca twojej córki gnije już w brzuchach dzikiej zwierzyny niedaleko osady Lutosława. On i tuzin jego cienistych.

Żołnierz szarpnął nerwowo brodę i rzucił zabójcy przeprasające spojrzenie.

— Jak to się stało, żeś ocalał, i jak to możliwe, że nikt nie zaniósł tej wieści wcześniej choćby z okolicznych wsi? — zapytał rzeczowo druid, analizując sytuację. — Minęły przecież już trzy doby.

Góral znowu pokręcił głową.

— Sam tego do końca nie rozumiem. W momencie ataku byłem... — Potarł nerwowo ręce. — Jak by to powiedzieć... z wizytą u córki jednego z odwiedzających twierdzę kupców i cóż...

Druwian kątem oka zauważył wzgardliwy uśmieszek na ustach Norana.

— ...miałem szczęście. Znam Kozią jak nikt inny, a ma sekrety, które są tak stare jak jej twórcy. Pod zamkiem znajduje się prawdziwy labirynt tuneli i ukrytych korytarzy, z których większość prowadzi do różnych pomieszczeń i miejsc, ale są też drogi służące do ucieczki poza mury. Przez to, że żołdacy barona rozgościli się w naszych koszarach, mogłem z niej skorzystać dopiero wczoraj. Co dziwne, na wieżach powiewają wciąż nasze barwy, a brama jest zamknięta na głucho, rozumiem więc, że nikt Koziej nie opuścił, nawet jeśli wszedł. Na przełęcz ludzi chyba puszczali, ale po tej stronie w całej okolicy są jedynie Janikowe patrole, niektóre z naszymi proporczykami.

— To faktycznie dziwne. — Druid się zamyślił. — I rzeczywiście nie wygląda na działania wojenne. Czy jesteś pewien, że wszyscy twoi ludzie zginęli?

— Sześć dziesiątek i czterech pod bronią i drugie tyle różnego chłopca, co to zwykle przy garnizonach służą. Jeśli ktoś ocalał, to chyba cudem tylko.

— Na dobrego boga, toż to masakra, istna rzeź! — Starzec kręcił głową z niedowierzaniem.

— Nie wiem natomiast, co z patrolami z samej przełęczy i oddziałem wysłanym w góry tuż przed atakiem. Pojawiły się

pogłoski o jakimś ogromnym białym niedźwiedziu, który niby to miał grasować na szlakach tuż za przełęczą, więc wyprawiłem tuzin swoich do zbadania sprawy.

— Tuzin zbrojnych na jednego niedźwiedzia? — Noran zmarszczył brwi.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Z tego, co prawili ludzie mieszkający w chatach przy przełęczu, dziwny ten niedźwiedź. Ponoć ma to być potwór jakiś, a są tacy, co twierdzili, że to sam rozzłoszczony człowiek gór, ale jak żyję, nie widziałem go, więc myślę, że strach jedynie w głowach prostakom pokręcił. A tuzin wysłałem, bom od urodzenia ostrożny.

— Jak widać, na nic ci się twoja ostrożność zdała. — Noran w duszy winił dowódcę za to, że gdy jego ludziom podrzynano gardła, ten zapewne baraszkował w najlepsze z córką kupca, bo w nocy zwykłych wizyt się raczej nie składa.

Do głosu górala momentalnie powrócił lód.

— Ej, panie złotooki. Każdy wie, że na skrytobójców rada niewielka, a jak to trzy tuziny srebrzystych duchów prosto z zaświatów, to ostrożności można se jedynie nasrać do butów.

— To prawda. — Druid starał się trzymać sedna ich problemów. Rzekł ciszej, bardziej do siebie samego: — Ale w tym cała sprawa, skąd ich tu przyniosło. Nie bywało cienistych od śmierci Praworękiego.

Przez chwilę milczeli.

— Nie mam pojęcia, co sprawiło powrót tego piekielnego pomiotu. — Góral spojrzał na Druwiana. — Ale jeśli podążacie do Koziej, to po pierwsze przejścia tam nie będzie, aż armia południa odbije twierdzę, a po drugie zachowanie wrogów przypomina właśnie oczekiwanie nadejścia kogoś, na kim im cholernie zależy. I to właśnie kogoś idącego od tej strony co wy — dodał, wysuwając zabawnie dolną wargę.

— Sugerujesz, że podbili twierdzę, aby kogoś złapać? — prychnął Noran.

— Nie, panie myślicielu. — Góral zirytował się pomysłem. — Nie po to zdobyli twierdzę, ale może po to nie zmienili sztandarów

na wieżach i nie roztrąbili wielkiego wojennego sukcesu, jaki nie zdarzył się im od wielu lat.

— No cóż, jeśli przyjmujemy taką możliwość... — Druid rozmyślał na głos. — ...to znaczy, że nasze podróżowanie może nie jest już dla Drenara tajemnicą, że przywołał on lub raczej jego mag cienistych i że...

— Ja nie zmieniam planów. Jeśli my wiemy, że on wie, nadal mamy przewagę. — Noran uprzedził ewentualne sugestie. — Góralu, czy jest jakieś inne przejście na drugą stronę Gór Zębatych?

Breda potarł zuchwę dłonią.

— Kozia to jedyna droga na przełęcz w tym łańcuchu, następna na południe jest nad samym morzem, a na północy dopiero przy Czarnych Wierchach, ale to już głęboko na ziemiach Drenara.

— W takim razie ruszemy na północ — powiedział zabójca monotonnym głosem, jakby planował marszrutę grzybobrania, ale żołnierz powstrzymał jego wypowiedź gestem dłoni.

— Niekoniecznie, może jest inne wyjście.

Spojrzeli na niego wyczekująco.

— Nie da się przejechać przez samą twierdzę i być może również przez główny szlak przełęcz, ale gdybyście ominęli zamek, dalej można by spróbować przedrzeć się występami skalnymi w samych zboczach. Tak czasem robią patrole, gdy warunki śniegowe są wyjątkowe, choć to dosyć niebezpieczne.

— No tak, ale o ile mnie pamięć nie myli, to Kozia dlatego od stuleci jest ważna, że ominąć jej się nie da, szczególnie w takich okolicznościach. Mamy nad nią przefrunąć?

— Wręcz przeciwnie. — Wyraz triumfu na twarzy sugerował, że dowódca Koziej jest pewien swojego pomysłu.

— Masz na myśli tunele? Da się do nich jakoś dostać bez wnikania do twierdzy?

— Uhm. — Pochylił się nieco do przodu. — Przykładowo wykorzystując jedną z sekretnych dróg prowadzącą daleko na zewnątrz murów, przygotowaną dla oblężonych obrońców. Jest jednak mały szkopał, a właściwie dwa.

— Wiedziałem, że ta róża ma kolce — westchnął druid. — Mów.

— Po pierwsze muszę z wami iść przynajmniej do przełęczy, bo tylko ja znam ten labirynt wystarczająco dobrze, a po drugie... to ukryte przejście trzeba niestety otworzyć od wewnątrz. — Ujrzawszy niezrozumienie u rozmówców, wzruszył ramionami. — Zaplanowano je jako drogę ucieczki, a nie jako szlak turystyczny dla zwiedzających zamek. Uwierzcie mi, bardzo zadbano, by nikt nie zdołał wykorzystać tunelu do zdobycia warowni.

Wyniosłe, masywne mury twierdzy idealnie wkomponowały się swym majestatem w górski krajobraz. Zachmurzona, zimna noc dawała prawie pełnej tarczy księżyca jedynie krótkie chwile na posrebrzenie wysokich świerków, fragmentów zamku i skał na stromych zboczach pokrytych w wyższych partiach niewielką ilością śniegu. W tych na swój sposób przepięknych i malowniczych momentach okolica pogrążona była w całkowitym bezruchu, tylko lekki, mroźny wietrzyk delikatnie pieścił zblakłe proporce południowego księstwa zwisające smętnie z wieżyc głównej bramy.

Gdy jednak leniwe chmury zakrywały twarz bladego bożka, na dole ożywał jeden z jego ulubionych synów. Czarna postać poruszała się zwinnie i szybko niczym cień, migając między kolejnymi zagłębieniami i występami terenu niemal pozbawionego naturalnych miejsc ukrycia przed wzrokiem wartowników. Zabójca nieprzerwanie zbliżał się do wąskiego rowu ukształtowanego na wzór fosy, który w przypadku Koziej i tak tracił zimną charakter obronny, bo gdy przychodziły wczesne mrozy, wypełniająca go brunatna breja po prostu zamarzała. Specyficzny strój wykonany w całości z matowego czarnego materiału wchłaniał każdą smużkę światła niczym mroczna otchłań. Półdługie płowo-złotawe włosy, normalnie opadające na ramiona gęstą grzywą, były teraz zebrane z tyłu głowy w jedyny w swoim rodzaju usmolony i zmierzwiony kucyk z wplecionymi weń czarnymi rzemykami. Szczupłą, lekko kanciastą, pociągłą twarz pokrywała farba, tak samo czarna jak mocno rozszerzone nieludzkie źrenice.

Dotarł do ostatniego punktu. Przycupnął, uważnie lustrując ciemne zarysy zastygłych na blankach wartowników. Wokół

panowała szemrząca, górską ciszą złudnego spoczynku. Teraz ostatni odcinek i skok. Szerokość lodowatej, śmierzdzącej nawet w zimie cieczy nie stanowiła przeszkody nie do pokonania dla jego sprężystych i mocnych jak ramiona katapulty mięśni, była jednak wystarczająca, by nie mógł sobie pozwolić na luksus zamortyzowania upadku choćby przewrotem. Przyjął impet spotkania z drugim brzegiem maksymalną powierzchnią ciała. Nie dopuścił do odczucia bólu, w kilku susach doskoczył do muru i przyłgął plecami do zimnego kamienia. Spóźniona fala otrzymanej przed chwilą energii rozplynęła się z piekącym mrowieniem. Zacisnął wąskie usta, jęcząc w wyobraźni. Zaczekał, aż oddech i zmysły wrócą do normy. Nie musiał się śpieszyć, jeszcze nie.

Ostrożnie wyjął niewielkie zawiniątko ukryte w kieszeni pod szerokim pasem. Pokryte kleistą substancją rękawice znacznie ułatwiały wspinaczkę, a żadne metalowe ostrza ani zarzucanie jakiegokolwiek kotwicy nie wchodziły tu w grę. Zresztą i tak nie lubił tradycyjnych metod – były zbyt przewidywalne.

Przebył porysowaną, prawie pionową powierzchnię ze swobodą muchy spacerującej po ścianie, podciągnął się obok jednego z krenelaży i znowu zastygł, nasłuchując i obserwując teren dziedzińca za bramą. Oprócz kilku strażników tu i ówdzie, ospale czekających końca swojej warty i rozmawiających półgłosem, nie zauważył nikogo. Odszukał wzrokiem charakterystyczne zwieńczenie ratusza, w którego podziemiach zgodnie ze wskazówkami Bredy miało znajdować się zejście do labiryntu. Ustaliwszy najlepszą trasę, bezwiednie położył dłoń na krótkich, czarnych ostrzach przypiętych dwoma rzędami do kostiumu na wysokości ud i najniższych żeber. Głęboko w zakamarkach jego umysłu coś ciemnego i żarłocznego ocknęło się z letargu i uśmiechnęło, rozkoszując obietnicą tego, co za chwilę mogło je nakarmić.

— Chrzanisz, Czerny, ja tam wierzę Janikowi. Obiecał złoto, to będzie złoto, ot co ci mówię. — Zarośnięty, długowłosego weterana walnął wielką pięścią w stół, rozlewając nieco ciemnego wina. —

Niech no tylko cienie przydybią swoją ofiarę, a znikną, ot co ci mówię.

— Kto wie, kto wie. — Siedzący naprzeciwko kościsty najemnik potrząsnął kubeczkim, chuchnął obrzydliwie i zręcznym ruchem wieloletniego gracza wysypał kości obok dopiero co powstałej plamy. — Ale jak dla mnie cała ta sprawa śmierdzi gorzej niż koszarowy wychodek w środku gorącego lata i temu nie zaprzeczy nawet taki zakuty łeb jak ty, Kudłaty.

Kudłaty zgrzytnął paskudnie zębami, zobaczywszy na kościach liczbę oczek oznaczającą dla niego pożegnanie się z kolejną dniówką żołdu.

— Cholernie źle znoszę ich obecność. — Łysy żołdak zniżył głos. Przekazując kubeczek kompanowi, zmrużył i tak już szparkowate oczy i potarł dłonie w nerwowym tiku. — Piekielne cienie, są jak duchy, nieobecni, małomówni, nieludscy, a jednocześnie ma się ciągle wrażenie, że stoją ci za plecami i tylko czekają głodni...

Kudłaty łypnął groźnym spojrzeniem.

— Zamilcz lepiej, ot co ci mówię — mruknął, potrząsając kubeczkim. — Nikt ci za plecami nie stoi, ja ci mówię, co siedzę naprzeciw. Lepiej popatrz, jak ci teraz dołożę. — Zakręcił energiczniej ostatni raz kośćmi, chuchnął równie obrzydliwie co jego poprzednik i wysypał na stół. Poturlały się.

Wynik oznaczał jego kolejną porażkę, ale żaden z nich już tego nie ocenił. W ułamku sekundy za plecami Czernego pojawił się smukły kształt, a dwa długie, ciemne kolce wystrzeliły z miedzianej rurki i wbiły się w kark jednego i skroń drugiego z grających. Ich ciała się wyprężyły, a po chwili prawie bezgłośnie osunęły zwiotczale na stół. Zabójca podszedł do martwych wartowników, delikatnie odłamał wystające części śmiercionośnych pocisków, a następnie używając uzbrojenia ofiar, szybko zaaranżował wszystko tak, aby każdy, kto odkryje ciała, nie miał wątpliwości, że to, co tu zaszło, było zwykłą sprzeczką dwóch nadgorliwych i napitych hazardzistów. Zdolności teatralne zawierały się w podstawowym repertuarze każdego choć trochę szanującego się skrytobójcy.

Gdy skończył, jego spojrzenie jeszcze raz padło na leżące na stole kości. Ich układ wydał mu się znajomy, jakby w pewien

sposób charakterystyczny. „Tak, nie szukaj uczciwych najemników, szukaj skutecznych” — pomyślał i wziął jedną z nich, nacisnął, lekko przekręcił i odłożył z powrotem. „Jakie to teraz przekonujące”. Uśmiechnął się ironicznie w myślach.

Ruszył dalej, skupiony na odszukaniu miejsc opisanych przez dowódcę garnizonu. Do tej pory nie napotkał żadnych trudności, może poza dwoma rozmawiającymi na jednej z ulic cienistymi, przez których musiał zmienić trasę do ratusza i przez to nadłożyć nieco drogi. Teraz pozostało mu przedostać się do położonej piętro niżej kuchni. Ponieważ na schodach i korytarzu oprócz spotkania rozłokowanych ludzi Janika istniało duże prawdopodobieństwo natknięcia się na stale czujnych niehumanoidalnych strażników, Breda zaproponował wykorzystanie ukrytych przejść i kilku poszczególnych komnat na parterze. Szczęśliwie większość z nich pozostawała pusta, w niektórych jedynie spali wyżsi stopniem żołnierze. Noran prześlizgnął się wśród pogrążonych we śnie niczym złowieszcza mara.

W końcu dotarł do kuchni. Drzwi były uchylone. Gdzieś w głowie zaszemrały ostrzegawczo wyostrzone zmysły, a włosy na karku się zjeżyły. Nie musiał mieć wyczulonego słuchu, by rozpoznać dobiegające z tego pomieszczenia zduszone odgłosy samotności. Rozpoznał urywane próby krzyknięcia kobiety, której zasłania się usta. Wiedział też, że napastnikami nie byli ludzie. Specyficzny zapach, znany mu z niedawnej potyczki na polance, nie dał się porównać z niczym innym. Ostrożnie zbliżył się do wejścia, wydobył długi sztylet z ostrzem w kształcie smukłego liścia i używając go jak lustro, zajrzał do wnętrza.

W rogu, tuż za ogromnym piecem, dwaj ponurzy cieniści zaspokajali swe żądze na rozłożonej na stole kobiecie. Jeden z nich unieruchamiał jej głowę i założone nad nią ramiona, drugi dogadzał swoim chuciom, pozostając plecami do kuchennych drzwi. Noran przez chwilę analizował sytuację. Nie podobała mu się. Nie miał możliwości ominięcia zagrożenia poza przeczekaniem całego zajścia. Najgorsza była jednak głęboka wewnętrzna niezgoda, której gniew zawsze palił mu umysł w podobnych przypadkach. Wiedział, że nawet gdyby mógł uniknąć konfrontacji, nie zostawiłby tego tak.

Mroczny byt, przycajony gdzieś na dnie jego świadomości i potwornie głodny, również nie był w stanie zmienić tej decyzji. Pozostało działanie.

Dyskretnie obserwując, dotrwał do najsposobniejszej chwili, kiedy plecy stojącego tyłem do wejścia się wyprężyły. Matowe ostrza wyrzucone oburącz z ogromną siłą nie dały drugiemu cienistemu szans na odpowiednią reakcję. Czarna stal utkwiała w jednym z jego oczodołów. Zaskoczony szarpnął się w tył. Smukłe ciało osunęło się leniwie za stołem. Drugi z przeciwników, zbyt rozluźniony orgazmem, okręcił się i stanął z mieczem w ręku o chwilę za późno. Gdyby najpierw sięgnął do sygnałowego gwizdka, plan Norana byłby mocno zagrożony. Zabójca doskoczył do niego w kilku susach, zręcznie wyprowadzając znad ramienia skośne uderzenie długim sztyletem. Szary wojownik zrozumiał swój błąd już w momencie sparowania trudnego ciosu. Wyraz wściekłości wypełnił nieziemsko błękitne oczy, zanim druga, wcześniej niewidoczna, dłoń atakującego prześlizgnęła się do jego krtani niczym kobra. Noran przerwał okropny charkot, uderzając sztyletem ponownie, tym razem z boku, tuż pod lewe ucho. Ofiara zwała się w tył na leżącą na stole zaskoczoną i nic nierozumiejącą kobietę, niefortunnie spryskując ją nieludzką posoką. Serce odmieńca zamarło ze strachu, bo twarz gwałconej natychmiast przybrała wyraz zwiastujący niechybny typowo kobiecy odruch. A jednak nie krzyknęła. Jej spojrzenie, sztywno utkwione w pionowych źrenicach zabójcy, przypominało wzrok zahipnotyzowanego. Powoli wypełniało się z powrotem swoją naturalną głębią, pełną gniewu i dumy. Z obrzydzeniem zrzuciła z siebie zwłoki i delikatnie zsunęła się z blatu, przyciskając dłonią rozdartą suknię do zbolałego łona.

— Nie wiem, kim jesteś... jak się tu znalazłeś i dlaczego to zrobiłeś, ale... dziękuję. — Jej głos brzmiał matowo, wręcz cierpko.

Noran stał nieruchomo. Jego umysł zalewał się już dzikim głodem szepczącego wyroku, emanacja obcej, nienawistnej świadomości rozrastała się i napierała na rozsądek. Dziewczyna wciąż przyglądała mu się bacznie.

— Ty... wcale mi nie pomagałeś. — Przerazenie wracało do jej oczu niczym morski przypływ. — Chyba... nie chcesz mnie teraz...



Mroczny wir zmieniał myśli odmienca w zimowe wilki osaczające ofiarę. Z ogromnym trudem siłą woli zachował spokój i opanowanie, jeszcze raz odpychając zagrożenie w zakamarki jaźni. Podszedł krok w kierunku niewiasty. Drgnęła, zasłaniając się wolną dłonią w impulsywnej obronie. Pochylił się nad stygnącym trupem i powoli, starannie wytarł o jego ubranie szczupłe ostrze. Gdy się wyprostował, kobieta miała przymknięte oczy, a jej ciało lekko dygotało.

— Zatem musisz pójść ze mną. — Jego głos jakby ją przebudził. Skinęła szybko głową. — To wejście do komórki prowadzi do podziemi, a dalej na zewnątrz zamku.

Miał wrażenie, że dziewczyna chce coś odpowiedzieć, ale zrezygnowała. „Jest niezwykle bystra i twarda” — pomyślał. Podszedł do niewysokich, lekko wypaczonych drzwiczek za piecem i otworzył je. Odwrócił głowę.

— Idę pierwszy. Nie zatrzymam się aż do wyjścia. Trzymaj się jak najbliżej. Jeżeli oddalisz się, wrócę do ciebie tylko w jednym celu.

Przyjęła instrukcje spokojnie.

— Nie licz, że brak światła cokolwiek zmienia. — Wykrzywił nieznacznie usta, ukazując pokaźne kły. — Nie u mnie.

— Tyłek mi zaczyna sztywnieć — westchnął Leśniad, opierając się wygodniej o drzewo. — Słońce już wysoko, a jego nie ma i nie ma. Zwiedza te lochy czy co?

— Może ma sentymenty z jakimś niewieścim duchem. — Bez przebrania Breda i tak nie przypominał garnizonowego oficera, raczej herszta jakiejś rozbójniczej szajki. — Wiesz, z duchami te sprawy idą znacznie dłużej, one mają mnóstwo czasu.

— Dobraliście się w gderaniu jak dziewczka z dzbanem wina. — Druwian nie podzielał ich rozluźnienia.

Od zachodu księżyca nie mógł pozbyć się napięcia. Siedzieli w niewielkim, osłoniętym leszczyną zagłębieniu i obserwowali z odległości kilkunastu kroków szerokie, szerniałe pęknięcie w starym drzewie. W środku ogromnego spróchniałego pnia znajdowało się zamaskowane wyjście z tunelów Koziej. Wiedział, że gdzieś pod ziemią wydarzyło się coś, czego nie zakładali,

nie wiedział tylko co. Nawet tak krótka znajomość z dziwnym młodzieńcem wystarczyła mu, by wytworzyć swego rodzaju emocjonalną więź, pozwalającą przy dużym skupieniu odbierać jego nastrój. A umysł Norana od dłuższego czasu podszyty był mieszanią niepokoju i wzmożonej czujności. Jedynym pocieszeniem kilku ostatnich godzin pozostawał fakt, że druid wciąż coś wyczuwał.

W pewnej chwili w szczelinie poruszył się jakiś kształt. Zabójca i góral poderwali się na równe nogi, Druwian pozostał nieruchomy, podobnie jak Gromir, który odpoczywał, na wpół drzemiąc. Z pnia wysunął się ich czarny towarzysz, ale zamiast powitać nadbiegających, odwrócił się i wyciągnął w stronę otworu ramię. Kobieta, która wyszła z drzewa, wyglądała jak siedem nieszczęść, umorusana, w podartej sukni, słała się ze zmęczenia, zakrywając i mrużąc oczy oślepione światłem. Mimo to natychmiast rozpoznała ojca.

— Tatko?! — Rzuciła się ku niemu, wyciągając ręce.

Breda przez moment wyglądał na dziwnie zdezorientowanego. Wtuliła w niego załzawioną twarz, przywierając mocno do szerokiej piersi.

— Jagoda? Na pierony kuliste i lód gór naszych, czy to naprawdę ty? — Żołnierz obejmował dziewczynę, niezdarnie głaszcząc jej zmierzwiłone włosy.

— Tatko, ja myślała... Bryna, Rela, dziadek, oni wszyscy... — Oszołomiona nagłym szczęściem łkała, śmiejąc się jednocześnie.

— Tak, wiem, już dobrze, skarbie ty mój. — Gładził jej plecy wielkimi jak bochny dłońmi. — Już dobrze, już dobrze.

— Czułem twój niepokój, Noranie, ale nie wiedziałem, że to z tego powodu. — Druwian podszedł do jasnowłosego z pogodnym uśmiechem. — Cieszę się.

Obaj przyglądali się rodzinnej scenie z lekkim skrępowaniem.

„Mój niepokój?” — zabójca już chciał powiedzieć o jego prawdziwym źródle, ale się powstrzymał. I tak w powrotnej drodze przez podziemia odkrywają, że przez tę dziewczynę oprócz ciemności i pułapek labiryntu będą musieli pokonać również zaalarmowanych cienistych. Nie żywił nadziei, że nie zorientują się w tym, co zaszło,

a jeśli Kozia faktycznie miała być specjalnie zastawioną pułapką, to teraz uszczelnia ją w dwójnasób.

— Dajmy im chwilę, a potem ruszamy. — Druwian wyglądał na tak rozluźnionego, jakby najgorsza część przeniknięcia przez twierdzę była już za nimi. — Jak tunele?

Noran wzruszył ramionami i podszedł do swoich sakw zdjętych z koni, które niestety musieli teraz zostawić pod opieką górali.

— Dość typowe, miejscami piekielnie wąskie, niektóre fragmenty śliskie, pokryte grzybem. Od czasu do czasu trzeba uważać na prymitywne niespodzianki, większość da się po prostu ominąć bez rozbijania. Możemy mieć jednak pewien prawdziwy problem — mówił, uzupełniając sekretne kieszonki swojego czarnego stroju. — W twierdzy oprócz wojska jest wciąż co najmniej kilkunastu cienistych.

Spojrzał na Druwiana.

— Teraz najprawdopodobniej wiedzą też, że ktoś będzie próbował się przedostać podziemiami.

— No to o przełęczy możemy tylko pomarzyć. — Leśniad zaklął pod nosem, włączając się do rozmowy.

— Jak to oceniasz? — zapytał blondyna z niepokojem druid.

Noran zatrzymał wzrok na trzymanym w ręku flakoniku i zastanawiał się przez chwilę, po czym podpiął go również wewnątrz ubrania i zwrócił się bezpośrednio do górala, raczej stwierdzając, niż pytając:

— Zdaje się, że te labirynty mają więcej niż jeden poziom.

Breda podszedł do rozmawiających, pocierając policzek. Jego córka podążyła za nim, przyglądając się bacznie Noranowi, którego dopiero teraz, w świetle dnia, mogła naprawdę obejrzeć.

— Tak, nie mylisz się. Różnych tras, którymi możemy przedostać się na przełęcz za zamkiem, jest kilka. — Zmarszczył brwi w skupieniu. — Jest też droga prowadząca głębiej, znacznie głębiej. Tej z pewnością nikt nie będzie strzegł.

— Skąd pewność, że nikt jej nie będzie pilnował?

Żołnierz spojrzał na druida dziwnie.

— Nawet gdyby jakimś cudem znalazł sekretne przejście, to i tak... no cóż, wśród górskich klanów krąży pewna odstrasząca

legenda. — Dowódca nie dokończył, wzruszył tylko ramionami. — Po prostu nie słyszałem, by schodził tam ktokolwiek przy zdrowych zmysłach.

Noran przypiął uprzęż do miecza i rzekł z zimną obojętnością w spojrzeniu:

— Ja lubię legendy. A cienie zapewne mają to w rzyci.

Jednak to nie legendy ciągnęły go w dół, głęboko pod ziemię. Kozia od jakiegoś czasu przestała być dla niego jedynie zwykłym przejściem przez przełęcz. Nieokreślona wewnętrzna presja towarzysząca mu całe życie, każąca odnaleźć źródło jego odmienności, nasilała się. Teraz to uczucie wyraźnie zaczynało splatać się z podziemiami Koziej. Nie umiał ocenić, czy to, co go tam może spotkać, będzie dla niego dobre, czy złe. Był jednak pewien jednego — w mrokach owianego tajemnicą zamku kryje się coś, co go dotyczy, a może nawet chce go spotkać, a jeśli chce, to znaczy, że go zna. A jeśli go zna... nie mógł tego zignorować.

# WIEŻA DWÓCH ŚWIATÓW

## I. Port w Oron

Rozkołysana powierzchnia morza odbijała promienie wysoko stojącego słońca. Łagodny plusk wody opływającej burty i chłodny wiatr wdzierający się orzeźwieniem w płuca sprawiały, że Winea przez moment czuła głęboki spokój. Stała oparta o pryzmę skrzyń na głównym pokładzie średniej wielkości statku transportowego, zapatrzona w dal przymrużonymi przez jasność oczami. Czysta radość, duma, ulga i wielki entuzjazm — to uczucia, które powinny towarzyszyć jej powrotowi z wyspy Orin po zakończeniu rygorystycznego kształcenia u Najstarszego. Jeszcze kilka dni temu wyobrażała sobie, jak tego typu emocje będą ją wypełniać właśnie w tej chwili. Dziś niestety nie czuła żadnej z nich. Zamiast tego w jej głowie wciąż kłębiły się budzące niepokój pytania dotyczące jej przyszłego miejsca w społeczności Darzan oraz misji wyznaczonej przez najwyższego mistrza. Najbardziej dokuczała jednak gorzkość świadomości, że nie jest zwykłym dzieckiem urodzonym pośród swoich, tylko jakąś znajdą przygarniętą z litości. Ze wszystkich sił starała się odgonić te myśli. Wolała już martwić się niebezpieczeństwami jutra, bo ze strachem radziła sobie znacznie lepiej niż z utratą tożsamości.

— Wineo! — Znajomy głos wyrwał ją z błogostanu. — Tutaj jesteś. Wracajmy do nauki... znaczy się naszej pracy, bo to dla nas ostatnia szansa. Znaczy się ostatnia dla mnie.

— Dobrze, Keorze, już idę. — Wiedziała, że spieranie się z wiedzącym przygotowującym ją do potencjalnej teleportacji na Amadal nie ma sensu. Starzec zbyt poważnie traktował powierzane mu zadania. Zresztą sama zdawała sobie aż nazbyt dobrze sprawę, że każda, nawet drobna informacja może być dla niej nieoceniona po drugiej stronie portalu.

Gdy znów usiedli w nieco zatęchłej, dusznej i ciasnej kajucie, główny bibliotekarz Orin przeszukał kilka kart swoich notatek, mruczając coś pod nosem. Przyjrzała się mu. Lubiła książki i lubiła jego. Nigdy nie zachował się wobec niej nieuprzejmie, co w relacjach między mentorami i mądrymi a uczniami stanowiło raczej rzadkość. Możliwe, że widzi go dziś po raz ostatni.

— W porządku, moja droga qi-szamanko — rzekł rzeczowo. — Jeśli masz uchodzić tam za najemnika, to z pewnością warto powtórzyć wszystko, co wiesz o tamtejszych formacjach wojskowych oraz ich specyfice. Pomiń naszą rasę jako oczywistą.

Winea wytężyła wytrenowaną pamięć.

— Najmocniejsi Orogonowie dysponują wyłącznie ciężką piechotą. Podstawową ich jednostką jest ban, który liczy dziesięciu warów, jak nazywają swoich wojowników; dziesięć banów tworzy zaś lag. Znacznie wyżsi i silniejsi niż my, noszą pełne, grube opancerzenie, choć nie używają tarcz. Walczą przeważnie ogromnymi młotami, toporami, czasem szerokimi mieczami...

— Ich słabe punkty? — przerwał Keor, zabawnie podnosząc palec.

— Te same co mocne. — Uśmiechnęła się, zobaczywszy uniesione w zdumieniu brwi mędrca. — Duma, pewność siebie i brawura. W starciu jeden na jeden można ich pokonać sprytem i szybkością, precyzyjnie odnajdując nieosłonięte miejsca. Nie należy liczyć, że dadzą się zmęczyć, nawet wielokrotnie ranni są wytrzymalsi od każdego innego. Ale przebite tętnice wykrwawiają ich jak wszystkich. W szyku w dużej liczbie są prawie nie do pokonania, dlatego poszczególni możnowładcy Amadal zawsze chętnie korzystali z tych zawodowych najemników.

— Czyje formacje dałabyś na drugim miejscu? — zapytał, przeglądając jednocześnie jakiś manuskrypt.

— Ewidentnie Ghallow. — Odrzuciła z twarzy niesforny kosmyk blond włosów. — Ich szyk bojowy jest porównywalnie odporny na rozerwanie, a morale podobnie trwałe. Nie mogą się równać z Orogonami jedynie w skuteczności ataku. To raczej powolne, stabilne oddziały, które nie nadają się do gwałtownych szarż. Jako znacznie niżsi są bardziej podatni na ataki jazdy, ale jako szczelniej opancerzeni — mniej wrażliwi na ostrzał, szczególnie łuczników. Ich

kolczaste tarcze często zasłaniają większą część ciała, czyniąc synów Ghalli prawdziwymi pancernymi żółwiami.

— Myślałem, że zaryzykujesz tę pozycję dla wysokich Myriadów, korzystających przecież ze swoich bojowych magów.

— Ha, żaden Mediv nie jest bojowym magiem. Są tylko wykorzystywani jako wsparcie, choć przyznaję, że to duża przewaga. — Uśmiechnęła się zadowolona, że nie dała Keorowi się podejść.

Ten pokiwał głową z uznaniem.

— Z perspektywy najemnika Myriadowie nie mogą być zbyt poważani. — Zamyśliła się na chwilę. — Mimo że ich potencjalne wojsko stanowi potęgę, choćby przez zróżnicowanie jednostek, gdzie nawet ich lekka piechota potrafi być niezwykle groźna, a jazda i łucznicy to elita w całym Amadal, jednak nie jest to rasa, która ma serce do walki. W opinii zawodowego wojaka będą to raczej tchórzliwe istoty, które wolą kryć się za magią Wielkiego Lasu, niż wdychać bitewny pył i smród śmierci.

— A co z Arrakinami? — Poślinił palec i przewrócił kilka stron opasłej księgi.

— To z kolei najliczniejsze siły. Rasa w zasadzie żyjąca z gwałtu i rozboju, jednak cherlawa i bardzo podatna na kalkulowanie. Ponoć naruszone morale armii można poznać po pierwszym Arrakinie podającym tyły. To plemienna nacja, trochę podobna do nas, Darzan.

Wiedzący aż skrzywił się z odrazą na to porównanie, ale dziewczyna dała znak ręką, że ma na myśli uogólnienie.

— Oczywiście to zupełnie inna kultura. Każde plemię, których na Starym Kontynencie występuje około dwudziestu, trzydziestu, formuje pojedynczą jednostkę zwaną zagonem, liczącą kilkuset lekkobrojnych piechurów. W zasadzie trudno ich nawet nazwać regularnym wojskiem, bo nie mają ani jednolitego uzbrojenia, ani jasnych reguł czy określonej dyscypliny. Każdy zagon jest taki, jaki charakter ma dany klan, a ten z kolei jest taki jak jego wódz, czyli Aghan-bej.

Potakiwał głową, cały czas coś notując, kreśląc lub szukając w swoich zbiorach. Była przyzwyczajona, że potrafił zachować

czujność i jednocześnie robić coś innego.

— Keorze?

Oderwał wzrok od papierów i spojrzał na nią.

— Dlaczego tam jest takie bogactwo ras, a na naszym kontynencie jesteśmy tylko my?

Zamrugął zaskoczony pytaniem. Widać było, że zastanawia się nad odpowiedzią.

— Na dobrą sprawę nie mam pojęcia — przyznał. — Choć to celna uwaga. Z tego, co wiem, na Amadal zawsze postrzegano Elise jako miejsce drugiej kategorii, nieznane, ale też nieistotne terytorium, obce, dalekie, niedostępne, bo zbyt oddalone drogą morską. Praktycznie nikt nie próbował tutaj przypłynąć nie tylko ze względu na odległość i brak map, ale też dlatego, że nie było żadnych rozsądnych powodów, by nawiązywać kontakt z krainą niewzbudzającą żadnych emocji, nic nieznaczącą. To chyba po prostu dwa całkowicie różne światy, a do tego tamten ląd to matecznik ludzkości, pełen magii, kipiący energią, wart objawienia bogów Światła i ich błogosławieństwa. Ten tu to trochę jak... uboga daleka krewna.

— Czy nazwałś nasz kontynent Elise? — zapytała z ciekawością. — Nigdy nie słyszałam tej nazwy.

Starzec potarł brodę i westchnął.

— No cóż. Elise oznacza coś na kształt „drugie życie”. Grywor Wysoki bardzo nie lubił, gdy ktoś używał tego terminu, więc ludzie przestali. To był porywczy władca, jak pewnie wiesz.

Kiwnęła głową. Znała sylwetki wszystkich królów dość szczegółowo.

— A co z moim imieniem? — Założyła ręce za głowę i oparła się o ścianę kajuty. — Czy nie powinnam używać jakiegoś innego, skoro mam już całą historię jako niby-najemnik? Po co czymś takim kłuć ludzi w oczy, gdy się ma pozostać jak najbardziej anonimowym?

— Hmm, też miałem taką wątpliwość. Rozmawiałem o tym nawet z Najstarszym. Oznajmił mi, że akurat na Amadal imiona dawnych błogosławionych regularnie nadawano dzieciom. Z jednej strony podobno było zaszczytem móc takie nosić, a z drugiej rodzice decydowali się na to, jeśli chcieli pokazać swoje całkowite oddanie



dynastii Ogromirów. Taka sytuacja bowiem oznaczała też szczególne zobowiązania.

— Na Światłość, do czego?!

— Do godnego prowadzenia się. — Wiedzący uspokoił ją gestem. — To coś w rodzaju rycerskich ślubów czystości, prawości oraz stawania w obronie słabszych.

— Uff, a już się bałam, że to coś poważnego.

Mężczyzna skarcił ją gniewnym spojrzeniem.

— Na twoim miejscu nie lekceważyłbym wagi rycerskiego stanu. Zdarza się wprawdzie, że rycerzem zostanie ktoś nie do końca cnotliwy i honorowy, ale ten etos to największa wartość naszego gatunku.

— Ech, jasne, jasne — westchnęła. — I tak to pewnie jedyna rzecz, która tu i tam jest podobna. Mam wrażenie, że nasze światy są skrajnie różne. A większość decyzji Grywora i jego następców te różnice jeszcze spotęgowała.

Łysy bibliotekarz odłożył księgi na bok i popatrzył uważnie na Wineę.

— Gdybyś była zmuszona porzucić swoją ojczyznę, zostawić wszystko, co kochasz — mówił dziwnie cichym głosem — co jest ci bliskie i znajome, i wyruszyć do miejsca, gdzie nic nie może się równać z ziemią twoich ojców, to czy chciałabyś uczynić je mimo wszystko jak najbardziej podobnym? A może bałabyś się, że stworzysz jedynie karykaturę tego, co utraciłaś, za czym tęsknisz? Może wówczas stwierdziłabyś, że lepiej jest odciąć się i wykreować zupełnie nową przystań dla siebie i swojego ludu? Inną krainę, w niczym nieprzypominającą dawnej. Ukształtowaną na swoją modłę, tak aby żadne skojarzenie nie rozdzierało niemożliwych do zablźnienia ran.

W ciszy, która zapadła, słyhać było jedynie szum rozcinanej dziobem morskiej toni i skrzypienie kołyszącego się statku.

— Nigdy tak o tym nie myślałam. — Spojrzała smutno na mężczyznę i zagryzła nieznacznie wargę. — Po prostu boję się. — Objęła się ramionami. — Do tej pory myślałam o swoim losie wyłącznie w kontekście zwykłych obowiązków Szarim. To i tak byłoby niepokojąco nowe życie, ale tu jestem u siebie,

wszystko jest mi znajome, wiem, czego można się spodziewać. Jak każdy qi-szaman, zdobywałabym własne doświadczenia, nawet jeśli okupione bolesnymi błędami, to jednak według utartych reguł i konsekwencji. Na Amadal będę obca. Zasady rządzące relacjami międzyludzkimi, zwyczaje różnych ras... to wszystko może być urządzone całkiem odmiennie. Moje przyzwyczajenia, nawyki czy wpojone mi odruchy mogą stać się dla mnie w każdej chwili pułapką. Pół biedy, jeśli tylko towarzyską czy kulturową.

Pokręciła głową z rezygnacją. Po chwili dodała:

— Nie zrozum mnie źle. Oczywiście doceniam zaszczyt powierzenia mi tak doniosłego zadania. — Dotknęła delikatnie swojego ke. — Ale mam wrażenie, że ono może mnie całkowicie przerosnąć. Naprawdę nie wiem, dlaczego Najstarszy wybrał do niego akurat mnie, mając tylu uzdolnionych i sprawdzonych szamanów.

Keor ujął dłoń dziewczyny w swoje i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Po pierwsze zaufaj mu. To naprawdę mądry człowiek i odkąd go znam, nigdy nie zrobił niczego ważnego bez dogłębnego przygotowania. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby się okazało, że tę decyzję również podjął bardzo dawno temu. Może nawet już wtedy, gdy cię przyjmował na naukę. To by było do niego podobne — obserwować cię, upewniać się, przygotowywać, ukierunkować do wykonania czegoś, co postanowił zlecić ci dużo wcześniej.

Winea przypomniała sobie natychmiast o Czeluści Bez Dna, do której skierował tylko ją, o braku zaskoczenia przezroczyością wody w karafce z Sali Objawień, o zatajaniu jej pochodzenia przez siedemnaście lat. „Kto wie, ile jeszcze rzeczy zachowywał wyłącznie dla siebie” — pomyślała.

— Dam ci dwie rady — powiedział, uśmiechając się tajemniczo. — Na teraz i na później. Najpierw w kontekście tych Szarim, których wyznaczono ci do pomocy w drodze do Wieży Dwóch Światów.

Dziewczyna się skrzywiła.

— Mówiłam mistrzowi, że nie potrzebuję eskorty w podróży przez nasz kontynent.

— Może i nie potrzebujesz, choć w dzisiejszych czasach ja bym się ucieszył z każdego życzliwego ostrza obok mnie. —

Wiedzący znowu zabawnie podniósł wskazujący palec. — Ale pomyśl: dwóch bardzo doświadczonych Szarim, o wyjątkowych zdolnościach, zaprawionych w służbie, również tej związanej z wyprawami poza krainę Sid. Do czego mogłabyś wykorzystać ich obecność?

Winea zmarszczyła brwi. Do tej pory myślała o nich głównie jak o krępujących niańkach.

— Cóż, mogłabym podpatrzeć, jak działają i jak myślą. — W zamyśleniu postukała się w uroczy dołek w policzku. — Może udałoby mi się też więcej dowiedzieć o funkcjonowaniu naszej kasty w społeczności, że tak powiem, od kuchni.

— Bravo! — Klepnął się dłońmi po kolanach. — Dokładnie tak. Potraktuj to jako wyjątkową okazję do zdobycia informacji, których nie przekazują na Orin. Wystarczą przecież odpowiednio zadawane pytania, niewinne komentarze w drodze.

Dopiero teraz dotarło do niej sedno odpowiedzi starca. „Bogowie Jasności, on przecież widzi we mnie następcę Najstarszego! Myśli, że takie obserwacje pozwolą mi kiedyś lepiej kształtować praktyki Szarim”. Wzdrygnęła się na samą myśl.

— A ta druga rada? — spytała z nadzieją.

Spowaźniał.

— Kiedy już tam będziesz...

Zwróciła uwagę, że nie użył słowa „jeśli”, tylko „kiedy”.

— ...po prostu postaraj się wykonać wszystko najszybciej i najprościej, jak się da, delikatnie, z jak najmniejszym zaangażowaniem się. Zrób wyłącznie to, co masz zrobić, i wracaj.

Przerwał, po czym dodał:

— Bądź skuteczna, nie perfekcyjna. — Uśmiechnął się zagadkowo. — Dla odmiany.

Spojrzała na niego zaskoczona. Na wyspie nie był jej bezpośrednim mentorem, ale... cóż, przez taki szmat czasu można przecież dobrze poznać czyjś temperament i osobowość. Szczególnie jeśli się jest byстрыm obserwatorem.

Na statku rozległ się trzykrotny gong. Przybijali do portu w Oron. Spojrzeli po sobie w milczeniu, jakby wzrokiem komunikując proste słowa: „powodzenia” i „dziękuję”.

Gdy Winea wyszła na pokład, jej oczom ukazało się nabrzeże upstrzone małymi domkami z czerwoną dachówką. W tle nad wszystkim górowała majestatyczna kamienna wieża ratusza, jak zawsze w słoneczne dni błyszcząca okazałą miedzianą kopułą. Przy większych pirsach żurawie gorliwie wspierały załadunek. Malownicze miasteczko ze specyficzną, urokliwą architekturą pełniło zasadniczo dwie funkcje: pozwalało na dogodną komunikację i zaopatrzenie wyspy Orin oraz stanowiło punkt handlowy dla północnych ziem, z których często dużo łatwiej było coś przetransportować drogą morską niż lądową. Po obu stronach wejścia do mariny, wysoko nad wodą, ogromne sylwetki wykutych w białym kamieniu sylfid — pół kobiet, pół ryb — zachęcały przybywających do wpłynięcia. Według legend los żeglarzy zależał od tych mitycznych istot, które czasem pomagały zawinąć do portu, a czasem kapryśnie wprowadzały statki na rafy. Widok oddalających się posągów był ostatnim zapamiętanym obrazem, gdy siedem lat temu wyruszyła na naukę, mając w sercu wulkan entuzjazmu z odrobiną niepokoju. Dziś, patrząc na rzeźby, czuła jedynie pustkę. Nie potrafiła cieszyć się wytęsknionym powrotem na kontynent.

„Kim jestem?” — pytanie pojawiło się niespodziewanie w umyśle. „Szarim skazanym na misje typu teleportacja na Amadal? Szarim przeznaczonym, by zostać przywódcą Darzan? Szarim, którego magia nie pasuje do żadnych kanonów, a którego imię wyłamuje się z przyjętych norm?”

Statek przybił precyzyjnie do jednego z pomostów wśród pokrzykiwań marynarzy rzucających liny. Gdy Winea zeszła z pokładu w towarzystwie Keora, ten od razu podszedł do stojącego opodal wysokiego szamana w średnim wieku. Oczy w skupionej twarzy miały nietypowy kolor ciemnego orzecha. Sprawiał wrażenie władczego, ale też przyjaznego. Krótko przystrzyżone szpakowate włosy, ostry, wydatny nos i mocno zarysowana żuchwa nadawały mu nieco wojskowego charakteru. Winea zerknęła na jego ke i zeszywniała — w dolnym polu miał osadzonych aż pięć onyksowych kamieni! Oznaczało to mistrzostwo w co najmniej trzech dziedzinach. Ideogram sowy w górnej części kastowej klamry

i wściekły fiolet elite sugerowały kogoś, od kogo mogłaby kiedyś uczyć się swojej wymarzonej profesji.

— Światłość z tobą, Szarim Dukaju. — Wiedzący skłonił lekko głowę i przyłożył dłoń do serca w geście oficjalnego powitania. — Oto Szarim Winea, co do której z pewnością przekazano ci już niezbędne informacje, a którą to miałem pod twoją opiekę przekazać.

Mężczyzna odklonił się i uśmiechnął do starszego szamana.

— Światłość z tobą, Szarim Keorze. — Podszedł i uściskał go serdecznie, zupełnie poza jakimikolwiek konwenansami. Przeniósłszy wzrok na dziewczynę, spoważniał i się usztywnił. Otaksował ją nieśpiesznie i dopiero wtedy skinął powitalnie. — Światłość z tobą, Szarim Wineo. — Przyłożył od niechcienia rękę do piersi, przewiercając dziewczynę spojrzeniem.

Pod jego czujną obserwacją czuła się jak zajęc w potrzasku.

— I z tobą, mistrzu Dukaju. — Wiedziała, że najbezpieczniej będzie wejść w rolę zwykłej, świeżo upieczonej qi-szamanki: grzecznej, lekko przestraszonej, zachowującej do przesady formalne reguły etykiety.

Zadziałało. Po krótkim namyśle, w trakcie którego przyglądał się bacznie jej ke, zwrócił w końcu uwagę znów na bibliotekarza.

— Odprowadź mnie kawałek, zanim znowu znikniesz na tej zapomnianej przez świat i bogów skale na kolejne kilkadziesiąt lat. — Wziął starca pod rękę i obaj ruszyli pomostem. — Już myślałem, zasiedziały molu książkowy, że nie zobaczę cię za życia.

Wiedzący uśmiechał się z lekkim zakłopotaniem, coś mamrocząc.

Winea poczuła się trochę jak bagażowy — nieistotny, ignorowany, truchcikiem podążający za panami. Wiedziała jednak, że ranga maga jasno wyznaczała miejsce w hierarchii ich elitarnej społeczności. A między pozycjami jej i Dukaja ziała obecnie wręcz otchłań. Pomyślała, że przecież nie ma niczego złego w trzymaniu się za nimi w stosownej odległości i daniu im szansy na spokojną rozmowę. Zresztą widać było, że obu łączy jakaś dawna zażyłość, którą wypadało uszanować.

Gdy dotarli do nieco bardziej reprezentacyjnego budynku, mężczyźni pożegnali się po przyjacielsku, a Keor przed odejściem szepnął Winei konspiracyjnie:

— Trzymaj się tej sowy, a znajdziesz się w azylu. — Mrugnął z uśmiechem i pomaszerował z powrotem do portu.

Dukaj gestem ręki dał jej znać, by weszła z nim do gmachu. Minąwszy frontowe drzwi z napisem „Kapitanat”, zmuszeni byli przecisnąć się przez spory tłum ludzi kręcących się z jakimiś papierami w rękach, czasem nawet formujących krótkie kolejki do pomieszczeń, w których za stołami siedzieli urzędnicy i oficerowie portowi. Powietrze przesycone było mieszanką zapachów potu, ryb, smarów i inkaustu. Wchodząc po schodach na kolejne piętra, coraz bardziej oddalali się od handlowego gwaru.

Na ostatnim poziomie panowały przyjemny chłód i tajemnicza cisza. Wprowadził dziewczynę do przestronnego, eleganckiego gabinetu i wskazał gestem miejsce na obitym skórą fotelu przy solidnym dębowym biurku. Winea rozejrzała się z zapartym tchem. Wysmakowany luksus widoczny był w każdym elemencie. Mozaikowe drewniane podłogi, kinkiety w formie mlecznych szklanych kul podtrzymywanych mosiężnymi mocowaniami w kształcie estetycznych liści, przepiękne obrazy na ścianach, rzeźbione komody i szafki, sufit ozdobiony dyskretną sztukaterią i lekko przyblakłymi malowidłami przedstawiającymi Istoty Światła powalające mroczną bestię. Za oknami roztaczał się cudowny widok na morze. Woń używanego kominka wprowadzała dodatkowo domowego ducha.

— To pomieszczenia wykorzystywane do pracy przez członków kręgu — rzekł chłodno mężczyzna, dostrzegłszy zainteresowanie towarzyski. — Mamy w Oron do dyspozycji całe to piętro.

„A więc oprócz tego, że rozmawiam z mistrzem, mam do czynienia z jednym z przedstawicieli najważniejszego grona Szarim w całej krainie Sid” — pomyślała ze zgrozą.

— Ustalmy najpierw sprawy generalne — zaczął bez ogródek, usiadłszy za biurkiem. — Powierzono mi wprowadzenie cię w świat polityki, co wydaje mi się ekstremalnie heroiczne, biorąc pod uwagę, że mamy tylko dziś i jutro. Tak więc porozmawiamy chwilę, żebym

zdołał ocenić, na ile orientujesz się w obecnej sytuacji, i wtedy wyselekcjonuję ci odpowiednie... źródła informacji. Zapoznasz się z nimi do jutra, abyśmy w drodze na Białą Skałę zdążyli je choć trochę omówić.

Przysiadła bez słowa, milczeniem okazując bezdyskusyjne przyjęcie decyzji.

— Jak wiesz, Wielkie Zgromadzenie, które ma władzę ustanawiać i zmieniać całość kanonu funkcjonowania nie tylko starszych, ale też całego plemienia, zwoływane jest na wniosek kręgu, ale nie rzadziej niż raz w roku, gdy odbywa się Ceremonia Odradzania. To nasza najwyższa instancja decyzyjna. — Zabębnił palcami po blacie. — Jakiego typu sprawy są podejmowane na zgromadzeniu z pominięciem zwykłych wniosków ludu?

Dziewczyna poruszyła się na siedzisku w odruchu skupienia.

— Z tych punktów agendy, które mają znaczenie, a także stały charakter, przychodzą mi do głowy co najmniej cztery rzeczy. Spodziewam się, że prezentacja nowych qi-szamanów i ustalenie harmonogramu wypraw handlowych na kontynent są elementami częstymi, a kwestie postulatów zmian naszych praw oraz ekspedycje na wniosek czuwających raczej sporadycznymi. Zgaduję, że sprawy dyscyplinarne też należą do rzadkości.

Pokiwał lekko głową i westchnął.

— Życzyłbym sobie takiej proporcji. — Przyjrzał się jej z cieniem smutku. — Ale ostatnimi czasy mamy dużo więcej propozycji zmian formalnych i fundamentalnych niż kiedykolwiek za mojej kadencji przewodniczącego kręgu.

„No to pięknie!” — zgroza w jej umyśle zamieniła się w całkowite zwątpienie. „Zatem Dukaj jest pierwszą, najważniejszą osobą po Najstarszym”.

Mężczyzna znowu westchnął.

— Na jutrzejszym zgromadzeniu będzie też poruszony problem potężnych tąpnięć mocy z ostatnich miesięcy.

Winea aż drgnęła i zasłoniła dłonią usta.

— Czy to dziki mag!? — zapytała zatrwożona, ale też podekscytowana.

— Wiele na to wskazuje. — Skrzywił się. — Takie sytuacje zawsze pogarszają nastroje wśród Szarim. I sprzyjają niektórym odłamom naszej sceny politycznej. Co wiesz o postulatach Frakcji Białych?

Postukała się w dołeczek na policzku, próbując sobie przypomnieć wszystkie usłyszane komentarze.

— Podobno pewna grupa młodszych szamanów od jakiegoś czasu propaguje odejście od kanonu. Zerwanie Pieczęci Krwi.

— Ta grupa rośnie z roku na rok od co najmniej dekady. W jej skład mniej lub bardziej oficjalnie wchodzi też liczni starsi wiekiem i poważani członkowie zgromadzenia. Siła perswazji sytuuje ją na dziś jako najbardziej liczące się ugrupowanie. A co do zmian, o które wnioskuje, to gwoździ ścisłości: nie chodzi o zerwanie Wielkiej Przysięgi, a raczej o stwierdzenie ustania jej obowiązywania ze względu na wygaśnięcie błogosławionego Rodu Krwi, któremu ślubowanie zostało złożone. To robi ogromną różnicę.

— Ale tak czy inaczej, podobne myślenie nigdy nie zostanie poparte przez Najstarszego, a ma on prawo zawetować decyzje nawet większości głosujących...

— A co z przypadkiem jedności decyzyjnej? — przerwał jej spokojnie.

— Naturalnie. — Wykonała gest, jakby mówiła o oczywistości. — Zgromadzenie może odrzucić weto najwyższego mistrza, tyle że musiałoby to zrobić jednomyślnie, a to w historii Sid nie miało jak dotąd miejsca.

— I tu się mylisz. — Wykrzywił usta, robiąc kwaśną minę. — Był taki przypadek. Wprawdzie przedmiot głosowania nie dotyczył wówczas niczego istotnego, niemniej wszyscy opowiedzieli się tak samo co do jednego.

Zmarszczyła brwi, nie przypominając sobie niczego podobnego na zajęciach z historii Darzan.

— Wszyscy Szarim przeciwstawili się kiedyś najwyższemu!? — Nie mogła uwierzyć w podobną sytuację, postrzegała ją wręcz jako zamach stanu.

— Nie. — Dukaj opadł swobodnie na wysokie oparcie, wyciągając nogi pod biurkiem. — Nie był w ogóle obecny, jak zresztą jest najczęściej. I nie była to sytuacja zgodnego głosowania nas



wszystkich, tylko wszystkich tych, którzy byli obecni. A na Białą Skałę przybyło wtedy czterdziestu siedmiu szamanów.

Oczy Winei otworzyły się szeroko ze zdumienia, następnie pojawiło się w nich zrozumienie. „No tak, do zablokowania Najstarszego wystarczą głosy wszystkich OBECNYCH” — pomyślała, ujrzawszy powód tak poważnego traktowania dążeń Frakcji Białych. „Ale czterdziestu siedmiu to mniej niż połowa przedstawicieli rządzącej kasty i to nawet w latach, gdy populacja była najmniejsza”.

— Co się stało? — zapytała zaciekawiona. — Myślałam, że przybycie na zgromadzenie to święty obowiązek wszystkich Szarim.

— Wyłącznie na Ceremonię Odradzania. — Podniósł wskazujący palec dla zaznaczenia różnicy. — Na same posiedzenia, szczególnie te ogłaszane na zwykły wniosek kręgu, jest to zwykłą powinnością. To oznacza, że można mieć jakiś milion wymówek, by nie dojechać.

Biorąc pod uwagę swoją ostatnią rozmowę w tej materii na Orin, miała wrażenie, jakby teraz weszła na wysokie wzgórze i mogła ogarnąć znacznie szerszą perspektywę. „A więc widmo jawnego buntu i zniszczenia podwalin bytu naszej nacji faktycznie było realne” — przyznała w myślach z zaniepokojeniem.

Dukaj przyjrzał się jej z namysłem.

— Dobrze. — Wyprostował się nagle. — Myśli znacznie lepiej układają się, gdy żołądek ich nie zagłusza. A twoje burczenie brzucha słyhać pewnie aż na redzie.

Zadzwoił małym srebrnym dzwoneczkiem leżącym na brzegu blatu. Zaledwie kilka oddechów później w drzwiach gabinetu pojawiła się tęgawa kobieta w średnim wieku, z krótko przyciętymi włosami. Mały emblemat słońca widoczny na rękawie jej luźnej bluzy oznaczał pozycję osobistego asystenta.

— Mistrzu? — Dygnęła ruchem wskazującym na wiele lat praktyki. Sprawiała wrażenie bardzo sympatycznej osoby.

— Moja droga Mgaw, to jest nowy nabytek naszego panteonu zaprzysiężonych. — Wskazał z cynicznym uśmiechem na Wineę. — Obecnie zmęczony rejssem i zapewne głodny. Jak doskonale wiesz, podróże morskie napędzają wilczy apetyt. Zaprowadź panienkę

do jej pokoju i spraw, by nigdy nie mówiła za naszymi plecami, że na Oron nie dba się o gościnność.

Kobieta znowu dygnęła, uśmiechając się przy tym serdecznie. Qi-szamanka polubiła ją od pierwszego wejrzenia.

— A ty, gdy już zjesz i się rozgościsz, zabieraj się do pracy. Do jutra przewertuj to, co ci wybiorę. — Dukaj wstał, ponownie przybrawszy surowy wyraz twarzy. — Raczej będzie sporo lektury, ale nie musisz przecież uczyć się tego na pamięć, a jedynie zapoznać się z tym.

## II. Czarująca znajomość

Kilka godzin po sutym i przepysznym posiłku słowo „sporo” obnażyło swoje dogłębne znaczenie. Piętrzące się stosy zapisków z setek zgromadzeń, skrzynki dokumentów ze spotkań kręgu, kilkanaście opasłych ksiąg traktujących o polityce Szarim — nie dałaby rady przekartkować donoszonego wciąż materiału nawet i w tydzień, a cóż dopiero zapoznać się z nim, by stworzyć sobie jako tako spójny obraz sytuacji rządów w krainie. Od ciągłego wczytywania się w nużące teksty aż rozboleła ją głowa. Otworzyła szeroko okno, licząc na świeży powiew wczesnowieczornego chłodu. Wąskimi brukowanymi uliczkami, dobrze widocznymi z jej piętra, spacerowało lub maszerowało niewiele osób. Spokój i cichy, miarowy szum morza koił i zachęcał do dającej wytchnienie przechadzki. Jedynie z bardziej oświetlonej części portowego miasta, w której skupiały się sklepy i tawerny, dochodził większy gwar.

„To mój pierwszy wieczór na kontynencie od siedmiu lat” — uświadomiła sobie nagle, wciągając w płuca wilgotne powietrze, przesycone dopiero poznawanym przez nią miejskim zapachem. „Pierwszy symboliczny dzień swobody i wolności wśród zwykłych ludzi”. Rozsmakowywała się w ulotnym uroku chwili. Miała dosyć ślęczenia nad papierami. Jeśli ma przejrzeć to multum informacji, co pewnie zabierze jej większość nocy, koniecznie potrzebuje się teraz przewietrzyć. Przemienne pragnienie wyjścia do ludzi, pobycia

wśród nich, choćby tylko krótkiego poobserwowania ich codzienności, zawładnęło niepodzielnie jej duszą. Piękna, dość ciepła noc kusiła swoją magią.

„Jestem dorosła i jestem Szarim” — uformowała myśl, próbując ostatecznie skruszyć w sobie mocno już nadwątlone okowy wpojonej dyscypliny i odpowiedzialności. „Godzinka czy dwie mnie nie zbawią. Przecież nie po to przetrwałam koszmar służby na wyspie, by dalej nie móc zaznawać choć drobnych przyjemności życia”.

Niespodziewanie natrafiła na inny dylemat, który do tej pory zasadniczo jej nie dotyczył: w co się ubrać? Zgodnie ze zwyczajami panującymi na Orin jej strój sprowadzał się z reguły albo do prostej tuniki i spodni, albo do zgoła użytkowych zestawów łowcy czy wojownika — rynsztunków do polowania i walki. Można powiedzieć, że przywdziewała w przeważającej mierze typowo męskie odzienie. Ale tym razem chciała po prostu przejść się, wstąpić do pierwszej z brzegu tawerny, wypić dobre wino, posiedzieć, pobyc w miejscu publicznym. Kłopot rozwiązał się sam — dysponowała tylko jednym prawdziwie kobiecym ubiorem, schowanym na samym dnie jej podróznego kuferka, otrzymanym na odchodne w prezencie od mentorów. Błękitna lniana, dopasowana w talii suknia nie była wprawdzie niczym wyszukany, ale z pewnością doskonale podkreślała dziewczęce atrybuty. Dość głęboki dekolt obramowany czerwonym haftem wiązany rzemykiem oraz długie, wąskie rękawy zakończone skórzanymi wstawkami nadawały jej charakteru, który można by określić nawet jako elegancki. Jedynie kastowy pas z klamrą psuł ostateczny efekt. Związała włosy w oszukańczy warkocz i wyszła z budynku.

Po dotarciu do okolic symbolicznego ryneczku wiedzona subiektywnym odczuciem wybrała najokazalszy z otwartych lokali. Nocny przybytek miał aż trzy piętra, a na parterze — kilka izb biesiadnych różnej wielkości. W porównaniu z innymi mijanymi miejscami tawerna „Pod sylfidami” nie wyglądała na specjalnie zatłoczoną.

Winea zamówiła przy barze czerwone korzenne i garść perkatych orzeszków Arachidy, po czym, klnąc w duchu na uwłaczające

wszelkiemu rozsądkowi ceny, wcisnęła się na jedną z mniejszych ław. Rozejrzała się dyskretnie, uświadamiając sobie z rozbawieniem, że jej umysł odruchowo analizuje wszystko z perspektywy zagrożenie–działanie. Ale cóż, to nieuchronna konsekwencja wieloletniego szkolenia. Z jednej strony powszechnie zainteresowanie jej osobą, które odnotowała, wywoływało kobiecą satysfakcję, ale z drugiej — wzbudzało irytujący niepokój. Ostatecznie przyszła tu, żeby się trochę zrelaksować, oderwać od natłoku myśli, a nie zostać głównym tematem szeptów.

Wśród kilkunastu gości zauważyła tylko dwie kobiety, w dodatku ewidentnie niebędące damami. Pobieźnie oceniła pozostałe osoby i uznała, że w większości są raczej żeglarzami lub kupcami. Jedynie siedzący prawie naprzeciw młody mężczyzna wyglądał na Darzanina. Również jako jedyny przyglądał się jej zupełnie otwarcie. Z lekkim skrępowaniem musiała przyznać, że jest oszałamiająco przystojny. Niesfornie układające się ciemne włosy, duże czarne oczy odzwierciedlające zapewne gorący temperament, wydatny, męski nos, pełne usta i kanciasto zarysowana żuchwa ocieniona zarostem zwracały uwagę. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Wyczuła w jego czujnym taksowaniu pociągającą nonszalancję i zawadiackie rozbawienie.

Szybko skupiła się na popijaniu wina, w naiwnej nadziei, że ta czynność pozwoli opanować przyśpieszone bicie serca. „Na mrok, czy tego właśnie doświadcza każda nowicjuszka w pierwszy dzień po opuszczeniu Orin?” Zaskoczona własną reakcją, próbowała jakoś ostudzić onieśmielające ją emocje. Oczywiście w trakcie nauki zawiązywały się sporadycznie męsko-damskie relacje, ale ze względu na wiek uczniów i szczerze wypełniony obowiązkami czas były to bardziej sympatie niż jakiegokolwiek związki.

Łomot gwałtownie otwartych drzwi sprawił, że aż podskoczyła na ławie, mało nie wylewając trunku na suknię. Zdusiła przekleństwo. Do tawerny weszła, a właściwie wtoczyła się, grupa rozochoconych mężczyzn. Mocno już pijani, bez dwóch zdań wyglądali na najemników, których czasem zatrudniano do eskortowania statków handlowych.

— Ej, kalkczmaszu mój mijutki! — zawołał donośnie od progu zwalisty osobnik obwieszony, nie wiedzieć czemu, mnóstwem broni. — Naleeepszej arraki dla moich kompanów. Ja stafi... —

Potknął się i zamiast podejść do kontuaru, poleciał, usiłując odzyskać równowagę aż do samej lady. Łupnął w nią tak, że pospadały z niej przygotowane puchary. Właściciel tawerny zgrzytnął zębami, unosząc ręce w gniewnym geście.

— Spokojnie, zapłacimy. — Drugi z mężczyzn wykonał uspokajający gest. — A ty, Swen, lepiej patrz pod kaptur, bo wolę wydawać na napitek niż pokrywać szkody.

— I właśnie dlatego, Elfyn, nie lubię s tobą chodzić na picie. — Osilek machał wskazującym palcem dla podkreślenia dobitności swojej wypowiedzi. — Bo ty sawsze tak straaaaaasnie marudzisz.

Czknął pijacko. Pozostali, rechocząc i poklepując się, złożyli zamówienie, po czym zasiedli przy największym ze stołów, ku rozpaczcy Winei, w jej bliskim sąsiedztwie.

„No i pozamiatane” — pomyślała z narastającą wściekłością. „To już się zrelaksowałam. Niech to mrok”. Z rezygnacją postanowiła dopić wino, a orzeszki zabrać w garść i poszukać ewentualnie innego lokum lub w ogóle wrócić do kapitanatu. Rzuciła okiem na przystojniaka z naprzeciwka. Wyglądał teraz niczym przyczajony panterak. Spięty w sobie do granic, zmrużonymi oczami przyglądał się na przemian jej i nietrzeźwym żołdakom.

„Ciekawe, kim jest” — zastanawiała się. „I co sobie teraz myśli...”

— A ja panienkę skądś znam.

Zaskoczona zwróciła wzrok ku najniższemu z całej pijanej grupy, który obróciwszy się na stołku, radośnie wyszczerzył do niej krzywe zęby.

— Nie sędzę — ucięła lodowato, choć nie miała ochoty wcale odpowiadać.

— A jednak. — Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał się spierać, ale ostatecznie rozjaśnił się na twarzy. — Chociaż może i nie. Ale to lepiej, bo wtedy zawsze możemy się poznać.

Mrugnął do niej, obleśnie oblizując usta.

— Również nie sędzę. — Zaczynało się w niej gotować z oburzenia.

— Ale że co? Że niegodnym może? — Przybliżył się niespodziewanie ze stołkiem. Zionęło od niego okropnie i nie był to wyłącznie smród alkoholu.

— Ona jest ze mną. — Czarujący, wysoki młodzieniec o szerokich ramionach stanął nagle po drugiej stronie jej stołu. Ciskał z oczu błyskawice gniewu.

— Phi, no i co z tego? — Najemnik podniósł mętne spojrzenie na rozmówcę. Część siedzących obok kolegów również zainteresowała się dyskusją, zaciekawiona, jak się dalej potoczy.

— To, że nie życzę sobie, abyś z nią rozmawiał ani nawet na nią patrzył. — Przelotnie spotkali się wzrokiem z Wineą, która wykonała doń zapraszający gest.

— A, to faktycznie zmienia postać rzeczy. — Natręt podniósł się powoli, wsadzając kciuki za szeroki pas. — A co to ja, kurwa, wróżka jestem, żebym spełniał twoje życzenia, pastuchu jeden?!

Atmosfera od razu zgęstniała. W gospodzie zapadła ciężka cisza. Kompani patrzącego wyzywająco awanturnika obrócili się w stronę Darzanina z pochmurnymi minami. Niektórzy odruchowo przenieśli dłonie w okolice broni.

— Jest tak, jak mówi mój przyjaciel — wtrąciła Winea, instynktownie projektując możliwe scenariusze działania. — Nie mam ochoty ani na znajomość z tobą, ani na pogawędkę, ani nawet na patrzeć w stronę takiego obwiesia jak ty. Jestem Szarim i rzeczywiście nie jesteś godny mojej uwagi.

Ton głębokiej pogardy w tej wypowiedzi prawdopodobnie przelał czarę goryczy. Arogant zgrzytnął zębami i jak na podpitego wyjątkowo szybko wyszarpnął krótki miecz. Wycelował końcem w jej twarz. Zamarła, nie mogąc uwierzyć w jego bezczelność i głupotę. Wyciągać broń w stronę szamana na terytorium Darzan!? To się po prostu nie mieści w głowie!

— Zaraz zobaczymy, kto tu jest niegodny, ty su... — Tyle zdążył wycedzić, zanim pięść bruneta, prawie niewidoczna przez szybkość ruchu, grzmotnęła go w bok głowy.

Cios był tak silny, że wręcz rzucił nieszczęśnika na odległą o parę metrów ścianę. Bezwładne ciało osunęło się z grzechotem elementów uzbrojenia na podłogę. Wszyscy siedzący

obok poderwali się gwałtownie ze stołków i sięgnęli po broń, trzeźwiejąc jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ich gniewne ryki i przekleństwa zadziałały jak dźwignia spustowa kuszy.

Umysł dziewczyny otrząsnął się natychmiast z szoku. Wytrenowane odruchy zadziałały samoistnie. Wskoczyła na stół jednym susem, co w długiej do ziemi sukni stanowiło nie lada wyczyn, porywając przy okazji swój taboret. Używając go jednocześnie jak tarczy i obucha, zabiła sztych i proste cięcie. Rozbiła głowę jednego z napastników i odebrała oddech z piersi drugiemu. Kątem oka dostrzegła błyskawiczne ataki jej nieoczekiwanego wybawcy, który z zabójczą gracją unikał razów i powalał kolejnych przeciwników uderzeniami dłoni. Gdy Winea, zeskakując na posadzkę, sprytnie podcięła nogi olbrzymiemu Swenowi, cała zgraja żołdaków już leżała, zwijając się na podłodze, trzymała się za obolałe miejsca lub próbowała zająć lepsze pozycje.

— Wiejmy, póki są zaskoczeni — rzucił jednym tchem czarnooki i chwycił dziewczynę za ramię, mocno pociągając do wyjścia.

— Oszalałeś? Przecież...

Zmuszona była pobiec za nim. Nie bardzo rozumiała, dlaczego powinni uciekać, skoro mają możliwość wypróbować na tych lajdakach całą gamę pomniejszych zaklęć bojowych.

Po chwili wypadli na ulicę, a ponieważ jej niespodziewany sprzymierzeniec dalej pędził, ruszyła za nim, koncentrując się jedynie na niepołamaniu nóg. „Kiecki stanowczo nie są dla mnie” — skonstatowała z żalem, trzymając w garści zadarty materiał.

Zatrzymali się dopiero po kilku minutach, skręciwszy parokrotnie w kolejne uliczki. Dyszeli, opierając się o bramę w jednej z kamienic. Winea rozejrzała się i stwierdziła, że chyba znaleźli się w którejś z bogatszych dzielnic.

— Czemu uciekliśmy? — zapytała oskarżycielsko, gdy tylko wyrównała oddech. — Posmakowaliby magii, toby od razu wytrzeźwieli, a może nawet sporządznieli.

— W tym właśnie rzecz — odparł, prostując się z grymasem. — Nie masz prawa używać tu magii.

— Dlaczego? — Zmarszczyła brwi. — Jesteśmy przecież na terytorium naszej krainy, gdzie mamy prawo użyć mocy,

szczególnie w obronie własnej.

— Niezupełnie. — Odgarnął włosy spadające mu na spocone czoło.

Nie sądziła, że to możliwe, ale obecnie wyglądał jeszcze bardziej zniewalająco. Stał na tyle blisko, że czuła jego zapach.

— Nikt cię nie uprzedzał, że miasto Oron jest specyficzne pod tym względem? Tylko tutaj nasz hermetyczny świat Darzan przenika się z kulturą i obyczajami mieszkańców kontynentu. Ci przybywający do portu heire mogą zatrzymać się tu na tak długo, jak potrzebują, pozbawieni są jedynie prawa przekroczenia zewnętrznego muru, ale my nie mamy publicznego zezwolenia na przejawianie mocy. Publicznego w znaczeniu niosącego zagrożenie, że ktoś z zewnątrz stanie się świadkiem działania magii.

Przesunął ręką po szyi z lewej strony i syknął. Spojrzał na krew na palcach.

— Jesteś ranny? — Przybliżyła się zaniepokojona.

— To drobiazg, zwykle draśnięcie. — Uśmiechnął się czarująco. — Poza tym gdy wrócę do siebie, zawsze będę mógł... — Zawahał się. — Opatrzeć się i zastosować odpowiednie zioła.

Stali teraz bardzo blisko siebie, o wiele za blisko jak na dwoje nieznajomych.

— Zdaje się, że ty też oberwałaś. — Musnął jej usta opuszkami palców. Mimo delikatności dotyku poczuła ukłucie, dopiero teraz zdawszy sobie sprawę z urazu. Widocznie coś musiało uderzyć ją przypadkowo. Ale drgnęła całym ciałem z zupełnie innego powodu.

Zbadała czubkiem języka bolesne miejsce i poczuła smak krwi.

„No to pięknie. Jak się wytłumaczę Dukajowi z rozbitej wargi?”

— Znajomi mówią mi Kar — szepnął, symbolicznie kładąc dłoń na piersi.

— Jestem... Winea. — Przedstawianie się nowym imieniem wciąż było dla niej nieco sztuczne. — Ale kiedyś mówiono do mnie Skra.

Na jego twarzy odmalowało się olbrzymie zdumienie. Odruchowo skuliła się, zdezorientowana reakcją, której do tej pory spodziewała się jedynie ze strony starszych. Ale on miał w oczach jedynie rozbawienie i serdeczność.



— Odprowadzę cię — rzekł zdecydowanie z figlarnym uśmiechem, podając jej ramię. — Jak widać, portowe zwyczaje potrafią zaskoczyć młode, ładne kobiety.

— Radzę sobie. Mimo to dziękuję. — Wzięła go pod ramię, odwzajemniając aktorski grymas życzliwości.

— Gdzie dokładnie nocujesz? — zadał pytanie bardziej jakby do siebie. — Niech zgadnę: w budynku kapitanatu?

Przytaknęła głową, zastanawiając się, dlaczego lokalizacja jej zakwaterowania jest dla niego aż tak oczywista. Być może w tym mieście wszyscy Szarim kwaterowali się właśnie tam.

Ruszyli spokojnym, wręcz spacerowym tempem.

— Nie masz zbyt wielu doświadczeń w kontaktach z ludźmi z kontynentu, co? — zagał po chwili.

— To aż tak widać?

— Gdyby ci kiedyś przyszło podróżować poza Sid, radzę ci dobrze: przyjeźdź wcześniej do Oron. Tu jest okazja posmakować prawdziwego nastawienia mieszkańców królestwa wobec Darzan. Większość traktuje nas jak banitów, ciemną, wyizolowaną społeczność pasterzy kóz.

— Przecież powinni być nam wdzięczni za to, że pilnujemy za nich porządku w zakresie, w którym zupełnie by sobie nie poradzili. — Dziewczyna nie dowierzała. — To, że nie możemy pokazać na kontynencie swoich uzdolnień, nie powinno przeszkadzać im w okazywaniu nam należnego szacunku, choćby za zbiorowe poświęcenie naszego narodu.

— Ha! Nic nie rozumiesz. Przecież to nasza własna blokada magii powoduje, że całkowicie wyparli z pamięci jej istnienie. A kanony postępowania Szarim sprawiają z kolei, że nie mają również świadomości naszych interwencji i tego, czym się naprawdę zajmujemy. Tu jesteśmy faktycznie wyizolowani, wyłącznie we własnym sosie, tam musimy odgrywać rolę dzikusów, którzy mieszkają w szałasach, uprawiają rolę, hodują konie, kozy i świnie, polują w lasach.

— Ale przecież szlachta musi mieć jakąś orientację w naszej historii i choć trochę rozumieć znaczenie ofiarności, z jaką

przyjmujemy brzemie ślubowanych Gryworowi Wysokiemu zobowiązań. — Zmarszczyła brwi.

— Zdziwiłabyś się, jak nieliczni w ogóle pamiętają nawet sam fakt, że jesteśmy potomkami potężnych niegdyś magów.

Milczała zszokowana informacjami.

— Dopóki będzie obowiązywać Wielka Przysięga, dopóty musimy udawać rolników i tańczyć, jak nam zagrają — dokończył smutno.

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała, patrząc na niego badawczo. — Nie przypominam sobie, by którykolwiek z szamanów narzekał na relacje z ludźmi, a to głównie oni są odpowiedzialni za kontakty zewnętrzne.

Zerknęła na nią w sposób, który odebrała jako objaw respektu.

— Zwykli Darzanie też przecież biorą udział w dage torri. — Wyszczrzył się zadziornie, obnażając równe, białutkie zęby. — Ale prawda jest taka, że mój ojciec był Szarim, mój dziadek był Szarim i ojciec mojego dziadka też.

Uniosła brwi ze zdziwieniem, odruchowo jeszcze raz lustrując szczupłą talię mężczyzny. Jego luźna tunika była jednak spięta zwykłym, choć z pewnością drogim, skórzanym pasem.

Jakiś zagadkowy grymas, którego nie potrafiła rozgryźć, cały czas błąkał się na jego twarzy. Znów szli w milczeniu. Jej myśli przeniosły się na moment do refleksji, że to, co się w tej chwili dzieje — choć w sumie nie było to nic nadzwyczajnego — jest na swój sposób niesamowicie przyjemne. Niespodziewanie znalazła się w jakimś zakętym innym świecie. Przechadzała się w ciepły wieczór z tajemniczym, przystojnym facetem, który... no właśnie, który był wobec niej nader szarmancki, życzliwy i... otwarty? Czyżby zdążył ją zauroczyć? Usilnie próbowała nazwać to, co czuła, ale było to całkiem nowe doznanie.

— Co znaczy twój elite? — zagadnął swobodnie. — Nie widziałem nigdy takiego koloru.

— Niestety nie wiem — przyznała najzwyczajniej. — Nawet Rada Mentorów Orin postawiła jedynie hipotezy, że niby poszczególne rodzaje mojej mocy są w idealnej równowadze czy coś takiego. Sama chciałabym to zrozumieć — dodała szeptem.

Pokiwał głową, obdarzając ją kolejnym, wręcz czułym uśmiechem. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Nie martw się, wszystko się wyjaśni”.

— A dlaczego nie masz w ke żadnego symbolu profesji? — Mimo wszystko kontynuował rozmowę o jej statusie. — Nie masz jeszcze sprecyzowanych zainteresowań?

Westchnęła, przysuwając się do jego ciepłego boku.

— To decyzja Najstarszego — odparła niechętnie. — Uznał, że mam być członkiem jego gromadki smutasów na Orin.

Zachichotał, wyraźnie ubawiony.

— Zawsze chciałam pracować z samą magią i jej naturą. Kreować zaklęcia utrwalone — przyznała cicho. — To moja pasja, albo przynajmniej tak mi się wydaje.

Zagwizdał z nieskrywanym uznaniem. Zamyślił się, mrużąc lekko oczy. Skręciwszy kolejny raz, w końcu ujrzeli gmach kapitanatu. Zatrzymali się, a ona uwolniła rękę i stanęła przed mężczyzną.

— To był dla mnie prawdziwy zaszczyt poznać cię, Wineo — rzekł w sposób świadczący o czymś znacznie więcej niż zwykłej kurtuazji. — I nie ukrywam, że także niesamowicie urokliwa przygoda, której z pewnością nigdy nie zapomnę.

— Dla mnie również, Kar — odparła mocno skrępowana. Opuściła wzrok, by oderwać się od fali nieoczekiwanych emocji, zbyt oczywistych, by ich nie odczytać z jego twarzy. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, złożyła je na brzuchu i nerwowo zacisnęła.

— Czy zgodziłabyś się, gdybym... — zaczął niezręcznie. — Byłoby mi miło, gdybyśmy mieli jeszcze kiedyś okazję... no wiesz, porozmawiać, może pospacerować jak dziś. Czy w ogóle mógłbym na to liczyć?

Spłoniła się nagle. „Czy on właśnie... proponuje mi coś więcej?” — osobliwa myśl zatrzepotała jej w umyśle. Zdała sobie sprawę, że nie ma żadnych doświadczeń w takich sytuacjach i czuje się totalnie zagubiona. Serce biło jej jak szalone.

— Jeśli tylko Światłość okaże nam łaskawość — odparła najbezpieczniej, jak wydawało się jej to możliwe.

Przyjął odpowiedź z widoczną ulgą i się rozpromienił. Ujął jej dłoń i pocałował delikatnie. Przełknęła ślinę, mając dziwną suchość w gardle. Nie wiedziała z zakłopotania, jak powinna zareagować, dygnęła więc tylko i gwałtownie odwróciła się, by szybko odejść. Zatrzymała się jednak i powiedziała przez ramię:

— Dziękuję, Kar. Naprawdę mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

Wiedziała, że będzie stał nieruchomo w tym samym miejscu, aż ona zniknie w drzwiach budynku.

### III. Zgromadzenie Starszych

W nocy nie zmrużyła oka. Starła się czytać materiały przekazane przez Dukaja, ale było to skazane na porażkę tak samo jak próba przenoszenia wody sitem. Co rusz wracała myślami do Kara, jego słów i samego zdarzenia.

Następnego dnia rano mistrz oczywiście zauważył jej wciąż lekko spuchnięte wargi, ale o dziwo nie skomentował. Zaczął ją za to dużo baczniej obserwować, w dodatku z zamyśleniem. Niestety, w drodze na Białą Skałę było jeszcze gorzej. Nie dość, że nie umiała wystarczająco skoncentrować się na omawianiu aspektów polityki Szarim zawartych w teoretycznie przejranych dokumentach, to jeszcze dwa razy mało nie spadła z konia, prawie zasypiając z otwartymi oczami. Mężczyzna nie krył irytacji tym stanem rzeczy.

Dojechali mocno spóźnieni. Wysokie, wielorzędowe audytorium wykute w wapiennej skale o kształcie przypominającym nieco przerośniętego rogała gościło już wszystkich szamanów, którzy mieli się dziś pojawić. Jedynie miejsce zarezerwowane dla Najstarszego pozostawało wciąż puste. Nawet z pewnej odległości słysząc było gwar wielu głosów. Mistrz zsiadł z konia i z chmurną miną dał Winei znak, by poszła za nim. Obeszli skalne wzniesienie wyznaczoną ścieżką i dotarli do rozległego tunelu prowadzącego w jej głąb. Stojący u wylotu dwaj potężni strażnicy w pełnych zbrojach, rozpoznawszy przewodniczącego kręgu,

rozsunęli błyszczące halabardy, nie wykonując przy tym innego ruchu. Pokonali kilkadziesiąt stopni szerokich schodów i ruszyli wzdłuż wymalowanego na śnieżnobiały kolor korytarza. Po obu jego stronach ulokowano po kilka szerokich, masywnych dębowych drzwi. Na ostatnich z nich widniał spory emblemat słońca wykonany z czarnego onyksu. Dukaj nie musiał pukać do prywatnego gabinetu Najstarszego. Odrzwia uchyliły się same, gdy tylko podeszli.

— Światłość z tobą, arcymistrzu. — Wszedł pierwszy. — Wybacz mi spóźnienie, ale...

— Tłumaczy się tylko winny. — Gospodarz przerwał mu niedbałym machnięciem ręki. — A ty nim nie jesteś. Siądźcie, proszę.

Winea, skinąwszy głową w niemym powitaniu, również przyłożyła dłoń do piersi. Usiadła obok, rozglądając się dyskretnie po pomieszczeniu. Prosty wystrój, surowa dębowa podłoga i skromne, ale gustowne meble — wyraźnie rozpoznawała upodobania Najstarszego znane jej z Orin.

Starzec przyglądał się jej z uśmiechem.

— No cóż, mój uczniu — rzekł w końcu z przekąsem i rozbawieniem. — Nastała dla ciebie wiekopomna chwila. Jesteś gotowa?

„Bycie gotowym a czucie się tak to jednak dwie różne rzeczy” — pomyślała.

— Ja jestem. Pytanie tylko: czy świat jest na to gotowy, mój mistrzu? — Odwzajemniła swobodnie uśmiech, starając się podkreślić zmianę w ich relacjach. W końcu nie była już adeptem, lecz pełnoprawnym członkiem rządzącej kasty. Jednym z nich.

Siedzący obok Dukaj prychnął lekceważąco, za to Najstarszy zachichotał niczym dziecko.

— No cóż, widząc twoją nabrzmiałą wargę, domyślam się, że inicjację swoich kontaktów ze światem masz już za sobą. — Pogroził jej wymownie palcem.

Spoważniał, splatając ręce na brzuchu i odchylając się w fotelu.

— Najważniejsze punkty programu mamy wciąż przed sobą. — Zwrócił wzrok na siedzącego w milczeniu szamana. — Mistrzu Dukaju, niezależnie od tego, kiedy skończy się dzisiejsze

zgromadzenie, chciałbym zwołać zebranie kręgu bezpośrednio po nim. Nawet jeśli by to miało być w środku nocy.

— Oczywiście, arcymistrzu. — Skinął głową. — Uprzedziłem już wszystkich członków poza... Karanem. Nie był dostępny od wczoraj.

— Przekaż mu zatem wiadomość teraz. Z tego, co wiem, postulaty Frakcji Białych zostaną dziś przedstawione akurat osobiście przez niego.

Przewodniczący kręgu uniósł brwi ze zdziwienia, ale nie skomentował. Winea miała nieodparte wrażenie, że między tymi mężczyznami słowa nie są konieczne, bo łączy ich jakaś silna więź wzajemnego zrozumienia.

Najstarszy niespodziewanie westchnął ciężko i wstał, zapraszając ich gestem do wyjścia.

— Dzisiejszy dzień może okazać się wiekopomny nie tylko dla nowicjuszy — rzekł grobowym tonem bardziej do siebie, ale wystarczająco głośno, by dziewczyna się wzdrygnęła.

Czyżby obóz zwolenników Karana stał się aż tak potężny, by zagrozić podwalinom ich zasad?

Przeszli do drzwi na końcu korytarza prowadzących z wnętrza skały na sam środek swego rodzaju półkolistego amfiteatru, mniej więcej w trzech czwartych wysokości wielorzędowego forum. Wychodząc na zewnątrz, znaleźli się na niewielkiej platformie, z której małymi schodkami Najstarszy dostał się na swoje honorowe miejsce, nieco większe niż pozostałe i jako jedyne mające z tyłu wysokie oparcie. Dukaj usiadł obok, pokazując Winei miejsce tuż przy swoim. Pojawienie się na zgromadzeniu arcymistrza ucięło jak nożem gwar trwającej właśnie dyskusji, a zaraz potem rozległy się zaniepokojone szmery i szepty.

— Światłość z tobą, wielki przywódco krainy Sid. — Głos starego Geina, pełniącego jak zwykle oficjalną funkcję pretana, czyli przewodniczącego obrad, zabrzmiał bardzo uroczyście. W pewnym sensie była to faktycznie wyjątkowa sytuacja, gdyż Najstarszy niezwykle rzadko brał udział choćby w części posiedzeń. Wśród zgromadzonych zasiadali nawet tacy szamani, którzy nigdy go w tym miejscu nie widzieli.

— I z tobą, mój przyjacielu. — Najstarszy życzliwie skinął głową do odpowiedzialnego za porządek posiedzenia, a następnie rzekł donośnym głosem do pozostałych: — Doszły mnie ostatnio słuchy, że ponoć jestem już podstarzały i leniwy, skoro nie przybywam na Białą Skałę, gdzie wykuwa się przyszłość naszego ludu.

Młodszy stażem zaczęli rozglądać się nerwowo, trwożąc się, że ktoś mógłby wypowiedzieć taką straszną potwarz wobec charyzmatycznej głowy ich plemienia, a starsi uśmiechali się lub wręcz rechotali, doskonale zdając sobie sprawę z ekscentrycznego humoru mówiącego.

— Postanowiłem zatem trochę dziś z wami popracować, moi drodzy utrudzeni, by zadać kłam tym niecnym pomówieniom. Prawda jest bowiem taka, że wasza praca jest tak doskonała, że nie wymaga mojej uwagi, która nie byłaby już w stanie niczego udoskonalić w podejmowanych tu decyzjach.

Po tych słowach wszyscy już podśmiewali się i kiwali rozbawieni głowami. Jeśli wcześniejsze sprawy wywołały jakieś napięcie czy nerwy, to w tym momencie atmosfera z pewnością całkowicie się rozluźniła.

„A więc tak radzimy sobie z reakcjami tłumu” — zauważyła Winea, przypominając sobie polecenie Najstarszego, by wnikliwie obserwować i wyciągać wnioski ze wszystkiego, co się tutaj wydarzy. Zerknęła ukradkiem na Dukaja. Nie znalazła cienia uśmiechu na jego twarzy skupionej na lustrowaniu audytorium. „Jest czujny jak polujący sokół. Pewnie dostrzega miliony istotnych niuansów niczym ochroniarz — obecny niby tu, ale tkwiący jakby w równoległym świecie, zorientowany na zupełnie inny wymiar tych samych zdarzeń”.

— Skorzystam też z przywileju, by samemu przedstawić wam nowego, pełnoprawnego członka naszej społeczności — kontynuował najwyższy. — Oto kolejny Szarim, którego uzdolnienia stają się naszym wspólnym bogactwem, a wierna służba wzmacnia wypełnianie wiekowej misji.

Wskazał na siedzącą niedaleko qi-szamankę, która wstając, poczuła drżenie w nogach i suchość w ustach. Zaciśnęła pięści i wzięła głęboki oddech, by przejść czekającą ją próbę.

— Szanowni bracia i siostry Szarim — zaczęła lekko łamiącym się głosem. — To wielki zaszczyt móc stać tu wśród was, stając się częścią darzańskiej chwały. — Mimo że przygotowywała się emocjonalnie na ten moment, i tak czuła się kompletnie zagubiona, panicznie blisko odwrócenia się i ucieczki. Serce waliło jej jak szalone, a fale gorąca zalewały sparaliżowany umysł. — Przyjęłam imię... Winea.

Miała wrażenie, że to nie ona wypowiedziała te słowa, że jej wargi są zbyt zdrętwiałe, by to zrobić. Nie potrafiła powstrzymać odruchu skulenia się w sobie w oczekiwaniu na coś strasznego, co miało się za chwilę stać. Tymczasem do jej uszu dobiegły brawa i okrzyki poparcia. Spojrzała z niedowierzaniem po otaczających ją postaciach. Większość, uśmiechnięta, przykładła dłonie do piersi w geście symbolicznego powitania. Z konsternacją i ogromną ulgą odnotowała tylko kilka twarzy, na których pojawił się grymas niedowierzania lub kwaśnego skrzywienia. Tylko kilka na dziesiątki w pełni przyjaznych! Jej ciało zaczęło dygotać wewnątrz, opanowane przez radosne odprężenie. Westchnęła głęboko, zwracając oczy ku arcymistrzowi. Patrzył na nią z... dumą?!

Gdy usiadła, podniósł rękę i znów zapadła względna cisza.

— Winny jestem wam pewne ważne informacje związane z tą prześliczną blondynką. — Zerknął na nią, unosząc kącik ust i puszczając jej oczko w sposób, którego nie można by się spodziewać po kimś ponad czterystuletnim. Zarumieniła się natychmiast aż po same uszy. — To niezwykła osoba i wyjątkowy Szarim. Wielu z was dziwi pewnie biały kolor jej elite. To pierwszy i jedyny taki przypadek, by wszystkie rodzaje energii pozostawały w kimś w tak idealnej i stabilnej równowadze.

Pozwolił gwałtownej fali szmerów rozemocjonowanych komentarzy wznieść się, przetoczyć i opaść, by mógł mówić dalej.

— Na próżno również będziecie zgadywać, dlaczego tak wygląda jej ke. Żebyście nie zamęczyli jej ciągłymi pytaniami, oznajmiam wam, że to ja sam zdecydowałem się włączyć ją do grona szamanów Orin, ale w charakterze mojego osobistego ucznia.

Tym razem efekt był odwrotny — zapadła martwa cisza. Wielu zgromadzonych oglądało się na innych zdumionych tym,



co usłyszeli. Dziewczyna widziała na wielu obliczach prawdziwy szok i niedowierzanie. Niektórzy wręcz kręcili głowami, kładąc na nich dłonie.

— Winea jest w nowicjacie, ma zaledwie siedemnaście lat, a już została zmuszona wziąć na siebie bardzo poważne obowiązki. Dlatego proszę was wszystkich we własnym imieniu o wyrozumiałość i przychylność dla niej. Wiedźcie, że będzie go bardzo mocno potrzebowała, aby sprostać wyzwaniom, które jej wyznaczy nasza racja stanu. Liczę na wasze otwarte i życzliwe serca.

Usiadł, dając znak Geinowi, by dalej procedował przerwany porządek obrad.

Dziewczyna była ogromnie wdzięczna Najstarszemu za to, co i w jaki sposób powiedział. Teraz to wszystko, co naznaczyło ją odmiennością, uzyskało status namaszczenia i usankcjonowania przez najbardziej wpływową, szanowaną i cieszącą się respektem osobę. Nawet jeśli część obecnych będzie mieć negatywne nastawienie do jej roli i powierzonej funkcji, to każdy dwa razy pomyśli, nim odważy się to ujawnić.

Pretan stuknął trzykrotnie okutą metalem laską, skupiając uwagę zebranych na kolejnym punkcie spotkania.

— Zapraszam Szarim Karana, by przedstawił postulaty zmian formalnych, o które wnioskuje jego ugrupowanie.

Wkrótce do specjalnej mównicy podszedł wysoki, młody szaman. Potoczył spokojnym, odważnym wzrokiem po całym audytorium, zatrzymując się na dłuższą chwilę na podium arcymistrza. Winea zamarła, ujrzawszy znajomą, przystojną twarz.

„To przecież Kar!” — omal krzyknęła z niedowierzaniem. Miała nawet wrażenie, że posłał jej lekki uśmiech. „To drań! Specjalnie zataił fakt, że jest szamanem i do tego przywódcą najbardziej wywrotowej grupy”. Poczowała się oszukana i zła. „Czyż nie mamy obowiązku nosić naszych kastowych symboli?” Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że może z tym jest tak samo jak z koniecznością udziału w zgromadzeniu — to powinność, ale nie obowiązek, można więc mieć miliony wymówek. „Ewidentnie muszę dowiedzieć się jeszcze wielu szczegółów o naszych zwyczajach i normach, jeśli nie mam być przysłowiowym dwugarbem

w sklepie z ceramiką” — postanowiła. Przypomniawszy sobie ich rozstanie, nabrała wielkiej ochoty na tupnięcie i ostentacyjne opuszczenie jego wystąpienia. Niestety, dobrze pamiętała, że Najstarszy wyraźnie przykazał jej skoncentrować się właśnie na nim i jego motywach. Wykona zatem to zadanie, a potem znajdzie czas, by wygarnąć mu, co o nim myśli.

— Arcymistrzu, szanowni przyjaciele — zaczął nadspodziewanie donośnym i mocnym tonem. — Frakcja Białych, której mam zaszczyt przewodniczyć, wielokrotnie zwracała już uwagę na konieczność reform w naszych regułach. Z pewnością znane są wam nasze postulaty, więc nie będę ich powtarzał. Ale dziś zdecydowałem się osobiście wystąpić, ponieważ w porządku zgromadzenia pojawił się jeden bardzo ważny punkt. Kwestia, a właściwie wydarzenie, które diametralnie zmienia naszą sytuację.

— Nikczemnik jeden!

Winea obróciła się, usłyszawszy odważny komentarz gdzieś z lewej strony. Wyciągnęła głowę i dostrzegła zwalistą postać Rejwana, który aż wiercił się na miejscu z wściekłości.

— Wykorzysta tąpnięcia mocy, padalec szczwany. — Mocarz zaciskał pięści.

Jakiś szczupły sąsiad mentora walki próbował go uspokajać, ale największy z darzańskich wojowników niemal sapał z irytacji.

— Ten punkt to... — Karan zawiesił głos, zdając sobie sprawę, że niewielu spoza kręgu zna dokładnie temat. — Potężne tąpnięcia mocy, których kilka odnotowano w ostatnich miesiącach.

Informacja natychmiast wywołała gremialne wzburzenie wśród słuchaczy, zapewne zgodnie z oczekiwaniem mówiącego. Przyglądał się lekko zmrużonymi oczami, jak niektórzy łapią się za głowy, a nawet wstają. Na wielu twarzach widać było przerażenie.

— Nie byłem jeszcze wówczas w waszym zacnym gronie, ale doskonale pamiętam historię sprzed siedemnastu lat. — Chłopak szedł za ciosem, szukając najczulszych strun, w które mógłby uderzyć. — Wtedy właśnie przez nasze zasady zareagowaliśmy zbyt wolno, zbyt słabo i zbyt mało skutecznie. Konsekwencje zasmucają nas do dziś — dokończył, wplatając iście aktorsko smutek w swoje słowa. — Tyle że wówczas byliśmy jeszcze jakoś usprawiedliwieni,

bo żył przedstawiciel Rodu Krwi, któremu to składaliśmy przysięgę. Dziś nie ma już na kontynencie nikogo takiego. Nasze ugrupowanie sprawdziło bardzo dokładnie tekst zawartego zobowiązania i nie ma tam jakiegokolwiek wzmianki o konieczności trwania naszego poświęcenia do końca świata. Heroiczne wyzwanie postawione przed Darzanami dopełniło się. Jest dziś jak wdowa, może nadal czuć się związana ze zmarłym mężem i dokonać swoich dni w samotności albo ułożyć życie po nowemu. Z pewnością ma swobodny wybór i my też mamy! — Zawiesił głos.

Z wielu miejsc dało się słyszeć: „Racja!”, „Przysięga wygasła!”, „Dość uwiązania!”. Winea próbowała oszacować liczbę zwolenników propozycji. Wydawało się ich zaskakująco sporo, ale co gorsza, osoby, których twarze były zachmurzone, milczały, zupełnie jakby argumenty Karana broniły się same.

— Drogi przewodniczący. — Mówca zwrócił się bezpośrednio do Geina. — Czy pozwoliłbyś połączyć moje wystąpienie z relacją czuwających? Obie sprawy są ze sobą bardzo mocno powiązane.

Wywołany starzec wziął głębszy oddech, po czym zerknął na arcymistrza pytająco, ale ten nieznacznym gestem pokazał: „nic nie stoi na przeszkodzie”.

— Szarim Karanie, możemy oczywiście omawiać te dwa wątki łącznie. Jak chciałbyś to przeprowadzić?

Młody szaman wyglądał, jakby miał pewność uzyskania zgody i tylko czekał na zaproszenie do ustawienia charakteru dyskusji według własnego pomysłu.

— Dziękuję, Gein. — Uśmiechnął się tajemniczo. — Myślę, że najlepiej będzie, jeśli najpierw zabrzmią fakty. Czy mogę prosić czuwających, by poinformowali zgromadzenie o szczegółach ich odkryć?

Zebrani rozglądali się w poszukiwaniu siedzących wśród nich trzech Szarim odpowiedzialnych za rozpoznawanie wszelkich nieuprawnionych przejawów stosowania magii na kontynencie poza terytorium Sid. Po chwili wstał niski, przygarbiony staruszek i zaczął mozolnie przemieszczać się w stronę pulpitu dla przemawiających. Powszechnie było wiadomo, że pełnienie misji ciągłej magicznej uważności jest niezwykle wyczerpujące

dla ludzkiego organizmu i wszyscy zaszczytzeni nią wyglądali jak zasuszeni, posunięci w latach seniorzy, niekoniecznie będąc nimi w rzeczywistości.

— Szanowny przewodniczący, zacni zebrani i ty, wielki arcymistrzu. — Sędziwy mężczyzna zaczął mówić tak słabym i drżącym głosem, że Karan od razu usłuznie wzmocnił jego brzmienie magią. — Ja, Szarim Ven, potwierdzam sześć eksplozji mocy. Cztery z nich miały ogromną siłę daleko poza skalą błysku, a dwa w jej górnych rejestrach.

Wśród słuchających znowu podniósł się gwar pełen obaw i niepokoju.

— Kiedy to dokładnie było? — Młody mężczyzna wszedł w rolę pytającego.

Relacjonujący zmrużył oczy w skupieniu i gdy już wydawało się, że zasnął, wyrecytował precyzyjnie:

— Licząc od dziś, trzydzieści sześć dni temu, czterdzieści dwa i czterdzieści trzy, a wcześniej pięćdziesiąt jeden oraz sto dwadzieścia cztery i sto dziewięćdziesiąt dwa.

— Czy da się określić rodzaj magii użytej do ich wywołania? — Przywódca Frakcji Białych dalej indagował.

Czuwający odchrząknął gwałtownie, kierując spojrzenie w stronę podium. Arcymistrz zawahał się, ale w końcu wykonał gest przyzwolenia.

— Nie była to żadna z form przez nas kultywowanych. — Odpowiadający zwiesił głowę.

— Wiemy wszyscy, że w takim razie mogłaby to być jedynie magia natury albo magia jasności błogosławionych, albo...

Napięcie audytorium sięgnęło zenitu. Zebrani wiedzieli, co Szarim Karan dalej powie, i bali się to usłyszeć. Oblicze mężczyzny przybrało zacięty, nieubłagany wyraz, jakby za chwilę miał opuścić katowski topór na mającego wciąż nadzieję skazańca.

— Mogłaby to być magia śmierci.

Cisza zdawała się Winei tak głęboka, jakby zebranych przestały nawet uderzać serca.

— Nie wiemy na pewno, jaka to była moc! — Okrzyk wstającego i oskarżycielsko wytykającego palcem Rejwana uderzył

we wszystkich niczym bicz.

— Ach, jakże słusznie to zauważyłeś, nasz wielki mentorze walki. — Karan rozłożył ramiona w geście sugerującym chęć przytulenia adwersarza. — Pomijając fakt, że do samoistnego wybuchu energii natury tych rozmiarów potrzebny by był chyba jakiś istny kataklizm i to sześciokrotny, a do użycia magii jasności oczywiście jakiś błogosławiony, pozwolę sobie jednak zapytać o tę sprawę naszego drogiego Vena.

Spojrzał łagodnie na zgarbionego szamana.

— Mistrzu, gdy tąpnięcie mocy następuje w wyniku czyjś oddziaływania magicznego, to jego charakter jest przez was zawsze lepiej lub gorzej identyfikowalny. Jedynie wyzwolenie się mocy bez jakiegokolwiek udziału człowieka rejestrujecie jako wybuch bez magicznego tła. Czy według twojego odczucia i rozeznania te przypadki miały takie tło, a jeśli tak, to do jakiej magii najbardziej podobne było echo tej mocy?

Czuwający patrzył na Szarim, milcząc przez pewien czas, po czym ledwie mruknął:

— Miało tło. — Po dłuższej pauzie dodał boleśnie: — To była ciemna magia.

— Dziękuję ci, przyjacielu. — Karan położył rękę na ramieniu starca i zwrócił się bezpośrednio do pretana: — Szarim Geinie. Składam dwa formalne wnioski. Jeden, by uznać, że Pieczęć Krwi wyczerpała swoje znaczenie i już nas nie wiąże, a drugi, głosowany niezależnie, by najbliższej ekspedycji nadać status *rectis ictur*, tak by jej członkowie mieli wszelkie najwyższe uprawnienia do pełnej neutralizacji źródła niedozwolonej magii.

Burzę wśród Szarim po tej wypowiedzi udało się opanować dopiero po wielu próbach przywołania zebranych do porządku. Głosowanie przeprowadzono w kolejności zgłaszania. Winea z ogromnym zaskoczeniem patrzyła na liczby pojawiające się na specjalnej tablicy. Już pierwszy wniosek pokazał, jak skuteczne było wystąpienie Karana. Postulat składany na wcześniejszych zgromadzeniach jak dotąd nie uzyskał nawet zwykłej większości. Tym razem do podjęcia decyzji o ustaniu obecnego kanonu zabrakło jedynie dwóch głosów, ale znacząca przewaga zwolenników

stanowiła jasny sygnał rychłego nadejścia istotnych zmian. Druga z propozycji zdobyła prawie komplet poparcia. Młody przywódca najbardziej radykalnego ugrupowania przeszedł do sektora swoich popleczników, zbierając głośne gratulacje i oklaski.

Gdy przewodniczący zgromadzenia ogłosił zakończenie obrad, słońce zniknęło już za horyzontem. Liczne grupki starszych wciąż dyskutowały żywo między sobą, podczas gdy pozostali szybko opuszczali Białą Skałę. Wieczór zapowiadał się chłodniejszy, choć niebo pozostawało czyste. Trzej z czterech głównych mentorów — Rejwan, Tedor i Frakir — podeszli do podium Najstarszego, witając się oficjalnie również z Dukajem i Wineą.

— To wydaje się wręcz absurdalne — gderał głośno Rejwan. — Nie mogę uwierzyć, że temu szczyłowi udało się przekabacić tylu porządnych Szarim.

— Może i zagrał umiejętnie na emocjach — skomentował spokojnie jak zwykle opanowany Tedor — ale i tak jego zabiegi mają charakter impulsowy. Spora część głosujących dziś za nim już w drodze powrotnej do własnych klanów ostudzi głowę i zmieni zdanie. Poza tym stanowisko arcymistrza może blokować te zapędy nawet i do końca świata.

Winea ukradkiem przyjrzała się Najstarszemu. Zamyślane oblicze może tworzyło pewne pozory, jednak ona pamiętała żarliwą tęsknotę podczas ich ostatniej rozmowy na Orin. Teraz w jego oczach znów dostrzegła ten poblask. „Wcale nie byłabym pewna tego tak oczywistego dla niektórych stanowiska naszego przywódcy” — podjęła rozmyślenia.

Godzinę później okazało się ku jej zaskoczeniu, że ona również jest zaproszona na posiedzenie kręgu. Wcześniej jednak Najstarszy skinął gestem, by weszła do jego gabinetu, i zamknął drzwi. Nie usiadł, więc ona też stała. Przyglądał się jej, coś analizując. W końcu z wahaniem zapytał:

— Co sądzisz o dzisiejszym wystąpieniu Karana?

Zamyśliła się, próbując sobie to jakoś ułożyć w głowie. Z jednej strony odejście od kanonu ich praw wydawało się jej istną apokalipsą, z drugiej jednak nie można było odmówić Frakcji Białych pewnych racji. Ród Krwi na Nowym Kontynencie wygasł i nic

już tego nie zmieni. Kontynuowanie misji Darzan w nieskończoność zakrawało na zwykły konserwatyzm. Tyle że nagłe pozwolenie na otwarte stosowanie magii w świecie, który dawno o niej zapomniał... konsekwencje aż trudno sobie było wyobrazić.

— Mistrzu. — Bardzo chciała wyważyć słowa. — Karanowi nie można odmówić dwóch rzeczy: rozsądnych argumentów i wybitnych zdolności pozyskiwania zwolenników. Dzisiejsze głosowanie, niezależnie od sensu w tym, co powiedział Tedor, pokazało, że prędzej czy później czeka nas groźba poważnego rozłamu.

Szaman kiwał delikatnie głową, zaciskając usta.

— Myślę też, że poddał ponownie pod głosowanie ich podstawowy postulat nie po to, by uzyskać kwalifikowalną większość. Wiedział, że raczej jej nie zdobędzie, a jeśli nawet, to ty i tak postawisz weto, którego nie ma szans odrzucić. Zrobił to z zupełnie innego powodu.

Na twarzy starca pojawiło się zaskoczenie.

— On chciał coś pokazać. — Jak zwykle, gdy się nad czymś mocno zamyślała, stukała palcem w dołeczek na policzku. — Wydaje się, że to był sygnał kierowany specjalnie do ciebie. Może na kształt: „zrób coś z tym, to naprawdę stało się koniecznością”.

Uniósł brwi z wyrazem uznania.

— Widzę, że bystrość twojego umysłu dorównuje twojemu talentowi magicznemu. — Jego uśmiech przeppełniała duma mentora z sukcesu wychowanka, która zaraz potem ustąpiła miejsca zwyczajowej stanowczości. — Gdybyś to ty była odpowiedzialna za podjęcie decyzji, jak byś postąpiła? — Arcymistrz przekrzywił lekko głowę, spoglądając na dziewczynę uważnie.

Winea się zmieszała. Odruchowo dotknęła swojej klamry. Najwyższy zauważył ten gest i zmrużył oczy. Jej umysł rozpaczliwie próbował opanować niespodziewaną panikę, która pojawiała się za każdym razem, gdy uświadamiała sobie, co może być jej przeznaczeniem. Wciąż całą sobą odrzucała wizję zastąpienia kiedyś Najstarszego. W jej postrzeganiu świata to on był filarem. Niezłomnym, niezmiennym, dającym bezpieczeństwo, że ktoś nieskończenie mądry i stanowczy panuje nad losem Darzan.

Nie mogąc wymyślić niczego sensownego, postanowiła zaufać instynktowi.

— Nie wiem, mistrzu. — Pozwoliła sobie na szczere westchnienie. — Ale chyba szukałabym kompromisów.

Położył jej dłoń na ramieniu.

— W porządku. Nie liczyłem na żadną konkretną propozycję. — Przeniósł nieobecny wzrok gdzieś ponad nią. — To rozwiązanie jeszcze nie powstało. Dopiero się tworzy.

Gdy weszli z arcymistrzem do komnaty narad, wszyscy byli już tam w komplecie. Ośmiu stałych członków kręgu, uwzględniając przewodniczącego, liderzy trzech głównych ugrupowań i czterej mentorzy z Orin zajmowali swoje miejsca wokół długiego, prostokątnego stołu o błyszczącym blacie. Z oczywistych względów w niektórych spotkaniach brał też udział Najstarszy, a gdy pozostawał na wyspie, to właśnie Dukaj reprezentował jego stanowisko, ewentualnie konsultując z nim telepatycznie wątpliwe kwestie. Dziś w obradach miały uczestniczyć dwie dodatkowe osoby: Winea i czuwający Ven.

— Ponieważ jest już dość późno, a zgromadzenie z pewnością nadwyrężyło nasze umysły... — Dukaj bez zbędnych formalności otworzył spotkanie, gdy tylko wszyscy ulokowali się na wygodnych krzesłach z wysokimi oparciami. — ...proponuję, byśmy ograniczyli się dziś do jednego najważniejszego obecnie zagadnienia: tąpnięć mocy. Przy okazji skorzystamy z osobistej obecności arcymistrza, który jutro rano wraca do siebie, a którego opinie są dla nas zawsze nieocenionym źródłem mądrości i roztropności.

Postawny szaman ukłonił się z szacunkiem w stronę siedzącego na honorowym miejscu przywódcy. Ten odwzajemnił mu się ironicznym uśmieszkiem. Spięta Winea raz za razem łypała na Karana rozpartego wygodnie po przeciwnej stronie stołu. Złowił ją szelmowskim mrugnięciem, aż speszona zmusiła się do skupienia wyłącznie na przebiegu obrad.

— Zanim zgodnie z naszymi regułami zdecydujemy o liczebności i składzie ekspedycji, spróbujmy zebrać podstawowe dane. Ven,



czy mógłbyś przybliżyć nam lokalizację tych wybuchów?

— Uderzenia pochodziły z różnych, acz niezbyt odległych od siebie, miejsc. — Czuwający podniósł się mozolnie z krzesła i nachylił nad mapą, która z detalami pojawiła się nagle na całej powierzchni blatu. — Dwa ostatnie zarejestrowaliśmy w samym Kronogrodzie, ale pierwszy był tu, w niezamieszkanym obszarze leśnym.

Winea aż drgnęła, gdy jego zmarszczony, lekko zagięty palec postukał dokładnie w ten sam punkt, który Najstarszy wyznaczył jako cel jej wyprawy. Rzuciła przestraszone spojrzenie w stronę mistrza, ale ten nie raczył zareagować, tylko spokojnie przyglądał się mapie. Wychwyciła za to czujny wzrok Karana, który zauważył jej emocje. „Niech to mrok! Muszę pamiętać, że nie jestem w jadalni na Orin w gronie uczniów” — skarciła się.

— Mam niejaki przeczucie, graniczące wręcz z pewnością, że dokładnie w tej samej okolicy siedemnaście lat temu odnotowano tąpnięcia, po których rozpętała się inwazja Zamorców. — Lider Frakcji Białych cedził zimno słowa, przyglądając się to Dukajowi, to arcymistrzowi. Coś w jego oczach budziło niepokój.

— Cóż, faktycznie, to bardzo zbliżone usytuowanie. — Przewodniczący zagryzł wargi, patrząc sztywno na północno-wschodni fragment kontynentu.

— Zbliżone usytuowanie? — Karan powtórzył kpiąco. — O ile mnie pamięć nie myli, cały ten obszar został parokrotnie przeczesany przez nasze ekspedycje w pierwszych latach obecnej, durnej wojny. Z zerowym skutkiem.

— Co chcesz nam zasugerować, młodzieńcze? — Arcymistrz delikatnie podkreślił ostatnie słowo, co wystarczyło, by zapytany się zmieszał.

— Nie zwykłem ufać przypadkom. — Odchylił się w fotelu, ścisząc nieco głos. Spojrzał ostrożnie na Najstarszego. — Zgłaszam się na ochotnika, by tym razem osobiście poprowadzić wyprawę.

Zebrani poruszyli się zdumieni niespodziewaną propozycją.

— Załatwianie tego typu spraw nie jest domeną członków kręgu — zauważył spokojnie Dukaj.

— Wyjątkowe okoliczności wymagają wyjątkowych decyzji. — Brunet uśmiechnął się do przewodniczącego. — I działań.

— Twoje bezpośrednie zaangażowanie z pewnością zapewni nam dużo większą skuteczność. — Arcymistrz przytaknął głową, wywołując zdziwienie nie tylko na twarzy Dukaja. — A poświęcenie zasługuje na naszą pełną aprobatę. Najlepiej, jeśli weźmiesz ludzi, którym najbardziej ufasz. Dobierz ich sobie wedle uznania.

Karan zamrugnął zaskoczony poparciem przywódcy. Zaraz potem zmrużył oczy i zamarł, czekając na ujawnienie jakiegoś podstępu.

— Kierowana przez ciebie ekspedycja uda się jednak najpierw do Kronogrodu. — Starzec wyciągnął dłoń. Duża ikona warowni na mapie zajarzyła się zielonkawym blaskiem. — Pozostałe punkty tąpnięć nam nie uciekną, a bardziej niepokojące są wieści od naszego... starego przyjaciela.

Wszyscy zebrani skupili zaintrygowane spojrzenia na przywódcy. Wszyscy poza Dukajem, którego oblicze pozostawało chłodne i jakby nieobecne.

— Druwian, najbliższy doradca króla Daczysława, wysłał mi niedawno szereg ciekawych informacji o poczynaniach Drenara Samozwańca. — Zlustrował twarz lidera Frakcji Białych. — Według druida tajemniczy doradca króla zbuntowanej północy może okazać się magiem. A to mogłoby stanowić dobry trop w rozpoznaniu źródeł uderzeń mocy, czyż nie?

— To chyba niezbyt prawdopodobne, by dziki mag mógł znaleźć posłuch u monarchy. Tego typu osobnicy raczej ukrywają się na odludziu, niż pchają do najbardziej publicznego miejsca.

— Niestety, jak sam ustaliłeś na zgromadzeniu, istnieje podejrzenie, że ten, kto wyzwolił tak duże ilości energii, nie jest zwykłym dzikim magiem. — Uśmiech arcymistrza był jednocześnie ironiczny i złowieszczy. — Ekspedycja musi być przygotowana nawet na najgorsze.

Przez pomieszczenie przeszedł szmer zaniepokojenia.

— Chyba nie sądzisz, że... — Twarz Karana pobladła. Przesunął po niej ręką, jakby chciał usunąć rodzące się przerażenie.

— Na twoim miejscu przygotowałbym się na każdą ewentualność. — Zamyślony szept Najstarszego zasiał w sercach

zgrupowanych trwogę.

Po chwili ciszy Tedor poruszył się na krześle i odchrząknął lekko.

— Arcymistrzu, nie chciałbym, żebyś potraktował moją wypowiedź jako cokolwiek sugerującą, ale jeśli potwierdzą się doniesienia Druwiana, to czy... — Mężczyzna potarł dłonią o dłoń. — ...nasza interwencja bezpośrednio na dworze jednej ze stron konfliktu wobec osoby, jak by nie było, królewskiego doradcy nie zostanie odczytana jako jawne i stronnicze mieszanie się w politykę kontynentu?

— Mój drogi przyjacielu, oczywiście, że istnieje takie zagrożenie. — Najstarszy opadł plecami na oparcie. — Dlatego cieszę się, że ekspedycja ma najszersze możliwe uprawnienia i będzie poprowadzona przez doskonałego Szarim.

Winea dostrzegła w reakcji Karana pierwszą oznakę wątpliwości, czy słusznie zrobił, zgłaszając swoją kandydaturę.

— Jeśli nasz kłopotliwy delikwent okaże się dzikim magiem, nie będzie specjalnie problemu, by sprawę załatwić po cichu i w całkowitej tajemnicy. — Rejwan mówił charakterystycznym dla siebie, odrobinę gardłowym głosem. — Gorzej, jeśli... — Rzucił nieprzyjazne spojrzenie na Karana. — ...okaże się czarnym magiem.

Winea wyczuła, jakby na dźwięk tych słów przez pokój przebiegł niewidzialny impuls strachu.

— Tyle że wówczas stronniczość nie będzie miała żadnego znaczenia. Nasze prawa w takich sytuacjach są bezdyskusyjnie jasne i jednoznaczne — wtrącił Frakir.

— Czy my naprawdę bierzemy pod uwagę, że za tąpnięcia mocy odpowiada jakiś czarny mag, który pełni oficjalną funkcję doradcy Drenara? — Kar rozejrzał się po zebranych, by na końcu utkwic pełne niedowierzania spojrzenie w Najstarszym. — Naprawdę bierzemy pod uwagę takie... szaleństwo?

— Młodzińcze — zaczął łagodnie arcymistrz. — Jedyne, co sugeruję, to postarać się nie popełnić błędów sprzed siedemnastu lat, o co przecież sam masz całe życie żal. Jakkolwiek wydaje się to mało realne, musisz się zgodzić, że nie jest niemożliwe.

Twarz przewodniczącego Frakcji Białych nagle stężała.

— A czy konfrontacja z czarnym magiem nie jest dla nas misją samobójczą? — Winea wiedziała, że jej udział w posiedzeniu kręgu powinien ograniczać się do obserwowania, ale wewnętrzny przymus był zbyt silny. — Jakie Karan ma szanse, jeśli tacy magowie mają moc zwyciężyć nawet błogosławionego?

Zebrani zwrócili się w stronę dziewczyny, a miny większości sprawiały wrażenie, jakby dopiero teraz zauważyli jej obecność. Mimowolnie skurczyła się w sobie. Arcymistrz wstał i w swoim stylu, nikiem się nie przejmując, zaczął chodzić w tę i z powrotem.

— Po pierwsze żaden mag, nawet korzystający ze wsparcia bóstw mroku, nie ma możliwości posiadać mocy większej od doświadczonego błogosławionego. Nie dysponujemy wystarczającą wiedzą o tym, co dokładnie wydarzyło się podczas bitwy Złamanego Ostrza, ale doskonale wiemy, że można pokonać silniejszego przeciwnika na wiele różnych sposobów. Król Reingard, błogosławiony czy nie, nie był nieśmiertelny. Po drugie niezależnie od tego, jak potężny jest nasz potencjalny przeciwnik, jeśli okaże się magiem naznaczonym mrokiem, zadanie ekspedycji sprowadzi się do rozpoznania i zdobycia jak największej ilości informacji o nim. Czy to jest jasne, Szarim Karanie? — Ton pytania sugerował zamknięcie dyskusji.

— Tak, arcymistrzu. — Po obliczu pytanego przemykały cienie sprzecznych emocji.

— Doskonale. Na tym kończymy dzisiejsze spotkanie.

#### IV. Trudne relacje na początek

Jako miejsce zakwaterowania wskazano Winei jeden z solidnych piętrowych domków skupionych na rozległej polanie w równych rzędach po cztery, kilka minut drogi od Białej Skały. Gdy podchodziła do drzwi, była tak mocno pogrążona w rozmyślaniach i zmęczona wyczerpującym dniem, że nie zauważyła wyłaniającej się zza rogu postaci.

— Światłość z tobą, Szarim.

Aż podskoczyła, zaskoczona głosem Karana tuż za plecami.

— Nie miałem dziś okazji należycie przywitać się i... pogratulować ci.

— Niby czego? — Odgarnęła za ucho spadające na twarz włosy.

— No cóż, nie da się nie zauważyć wyjątkowo uprzywilejowanej pozycji, jaką cieszysz się u Najstarszego.

— Nie wszyscy tak gorliwie zabiegają o posłuch i władzę. — Jakkolwiek chciałyby okazać mu wzdarcie czy choćby chłodną obojętność, nie mogła oprzeć się jego zniewalającemu urokowi. — Dla mnie to uprzywilejowanie stanowi raczej dotkliwą niezręczność.

— Tak, widzę to. — Wzruszył ramionami. Przesunął jakiś kamyczek na ziemi czubkiem buta, a gdy podniósł znowu spojrzenie, zobaczyła ten sam wyraz twarzy, który pamiętała z ich rozstania w Oron. — Chciałem po prostu powiedzieć coś miłego. Wyszło, jak wyszło.

Wiedziona odruchem otworzyła drzwi i wskazała mu je ręką.

— Będzie mi miło, jeśli wejdiesz i porozmawiamy na siedząco z czymś do picia w dłoniach.

Skinął głową skwapliwie.

Główna izba była bardzo przestronna i komfortowa, wyposażona w eleganckie drewniane meble, głębokie obite skórą fotele oraz duży kominek z przygotowanym opałem. Na blacie pod jedną ze ścian stały dzbany, zastawa i kilka koszyków z chlebem, serami i owocami. „No, wreszcie ktoś rozumie, co znaczy gościć Szarim” — ciepła refleksja przepłynęła przez jej umysł. Po chwili pomieszczenie rozświetlił blask płonących szczap i migoczących świec. Gdy usiedli w fotelach z pucharkami i niewielkimi porcjami jedzenia, Wineę ogarnęła błogość.

Po chwili ciszy Karan poruszył się, pochylając nieco do przodu.

— Zależy mi, żebyś mnie lepiej zrozumiała. W tym, co robię, nie chodzi o poklask czy wpływy. — Jego głos był spokojny, nawet lekko melancholijny. — Staram się po prostu coś zmienić, coś, czego wszyscy bardzo potrzebujemy, tylko że większość boi się nawet o tym pomarzyć.

Zamrugała ze zdziwieniem.

— Chodzi ci o większą swobodę Darzan, o szacunek dla nas ze strony ludzi z kontynentu?

Pokręcił przecząco głową z zaciśniętymi ustami.

— Jestem chyba zbyt dumny, bym miał się przejmować szacunkiem tych, których ja nie szanuję. — Spojrzał na nią gorącym wzrokiem. — Gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, mówiłem ci, że pochodzę z rodziny z magicznymi tradycjami. Nie powiedziałem jednak, że oboje moi rodzice byli Szarim. Mój ojciec był strasznym tradycjonalistą, a matka zawsze chciała dla nas czegoś więcej. Nie uwierzysz, ile się nasłuchiwałem argumentów za i przeciw w najróżniejszych sprawach darzańskiej polityki. — Skrzywił się na samo wspomnienie. — W końcu te i inne rozbieżności spowodowały, że matka wyprowadziła się, zostawiając mnie z ojcem. Wciąż nie mogę zapomnieć, jak bardzo to przeżył. Byli niczym ogień i woda, ale podobno czasem to właśnie przeciwności przyciągają się najbardziej. Siedemnaście lat temu, tuż przed śmiercią Reingarda, postanowili dać sobie ostatnią szansę. Wyprosili możliwość wspólnego poprowadzenia jednej z wypraw handlowych na południe kontynentu. To miała być podróż dająca im odpowiedź, czy mimo różnic jest im pisane być razem, czy nie.

— I co się okazało? — Winea siedziała zasłuchana, czując, jak kolejne łyżki wina wygłuszają w jej ciele wszystkie trudy kończącego się dnia.

Jego wzrok niespodziewanie się zaszklili, a twarz uwidoczniła wspomnienie niezaleczonego bólu.

— Nigdy się tego nie dowiem. Gdy powinni już wracać, łowca patrolujący nasze granice znalazł ich trupy w odległości kilku strzałów z łuku od granicznych drzew. Z zimną krwią zamordowano kilkanaście osób, a oni, wierni Przysiędze, nawet nie mogli się bronić. Umierając, pewnie widzieli już dymy najbliższych darzańskich domostw.

Poczuła nagły skok tętna i suchość w ustach, trzeźwiejąc w sekundę. „Na Jasność, to niemożliwe, by... siedemnaście lat temu... Czyżby to była ta sama wyprawa?”

— Nie mogli nic zrobić, bo wciąż byli na terytorium kontynentu, rozumiesz? — Jego szept krył w sobie jakąś przyczajoną potworność.

Jakąś decyzję, którą podjął dawno temu i którą wcieli w życie niezależnie od konsekwencji.

— Czy wiadomo, kto ich zaatakował? — zapytała słabo, mając wciąż nikłą nadzieję, że wydarzenie, o którym Kar opowiada, nie jest tym samym, o którym ona nigdy nie chciałaby się dowiedzieć.

— Ten łowca... — Przyglądał się mętnym wzrokiem kołyszącemu się w kieliszku ciemnoczerwonemu trunkowi. — Oczywiście został objęty klauzulą milczenia, ale... pewne tropy prowadzą do płatnych zabójców naznaczonych mrokiem. — Nerwowo upił duży łyk, jakby chciał w ten sposób odpędzić złe myśli. — Wiesz dobrze, co to mogło oznaczać. — Na dnie jego niepokojąco czarnych oczu pobłyskiwały nienawiść i zimna determinacja. — Nikt mnie nie przekona, że nie powinni wtedy użyć magii. Zawsze, gdy ktoś broni zasadności naszego ślubowania, słyszę argumentację ojca, który trwał ślepo przy swoich poglądach, czy miały sens, czy nie. I nie potrafił odpuścić, nawet gdy matka płakała i cierpiała.

— Czy... czy ktoś przeżył? — Za wszelką cenę próbowała ukryć szok i zmieszanie.

— Być może. — Przechylił głowę, przyglądając się jej uważnie. — Badałem bardzo drobiazgowo tę sprawę, gdy już uzyskałem tytuł Szarim. Natrafiłem wówczas na informację o jakimś niemowlęciu, które miało zostać uratowane. Nie można mieć jednak co do tego żadnej pewności.

„A więc to musiało być to samo zabójstwo, o którym opowiedział mi Najstarszy!” Uświadomiła sobie przerażającą ironię losu, że tego dnia, gdy życie Karana zostało zwichnięte, jej własne również zmieniło swój bieg, choć dowiedziała się tego zaledwie tydzień temu.

— Słyszałaś już kiedyś coś o tej sprawie? — zapytał lekko, nie potrafiąc jednak ukryć napięcia.

— Nie — skłamała gładko i od razu źle się z tym poczuła.

Dostrzegła w nim wahanie. Zorientował się, że powiedziała nieprawdę, ale zaakceptował jej decyzję o zachowaniu wiedzy dla siebie. Przez chwilę coś analizował.

— A tobie na czym zależy? — Zmienił temat na bardziej neutralny. — Co byś chciała osiągnąć jako Szarim?

Rozluźniła się nieco, myśląc przez chwilę nad odpowiedzią.

— Nie wiem — przyznała szczerze. — Kiedyś miałam jakąś naiwną wizję, ale teraz, gdy noszę białe elite, imię Winea i jestem uczniem Najstarszego? Obawiam się, że to nie ja trzymam sznurki mojego losu. Moja przyszłość jawi mi się jako jedno wielkie pasmo zaskoczeń i gwałtownych zwrotów akcji.

— Eee, praca na Orin chyba nie może być aż tak burzliwa. — Uśmiechnął się figlarnie.

— Gdybym miała zastąpić Keora, to z pewnością nie, ale będąc do osobistej dyspozycji naszego ukochanego przywódcy... sam wiesz, że w takiej sytuacji wszystko się może wydarzyć.

— O taaak. — Zaśmiał się niemal bezgłośnie.

Przez chwilę milczeli. W końcu Karan wstał, strzepując okruszki ze spodni.

— Pójdę już, na pewno masz wystarczająco dużo wrażeń jak na jeden dzień.

Gdy odprowadziła go do drzwi, odwrócił się i zawahał.

— Ta moja poprzednia propozycja... jeśli jesteś nadal otwarta, by... no wiesz, gdy już wrócę z ekspedycji, mógłbym odwiedzić cię na Orin. Może nawet ten twój sędziwiec pozwoliłby ci pojechać ze mną tu i tam, poznać lepiej krainę Sid, jej realia... no wiesz, w ramach przygotowywania się...

Położyła mu delikatnie dłoń na ramieniu, uśmiechając się.

— Moja odpowiedź się nie zmieniła, Kar. Może wspólnie spędzony czas pozwoli nam odnaleźć jakieś kompromisowe rozwiązanie dla naszego ludu, skoro, jak widać, mamy mieć na to istotny wpływ.

Wesołe ogniki w jego oczach zapadły jej głęboko w pamięć.

W osobistym pomieszczeniu Najstarszego płonęło tylko kilka świec. Do świtu została może godzina. Winea dyskretnie lustrowała dwóch mężczyzn, którzy mieli towarzyszyć jej w wyprawie do Wieży Dwóch Światów. Próbowwała ich ocenić, starając się jednocześnie



ze wszystkich sił zagłuszyć własną niechęć do zaakceptowania nianiek i potraktowania ich obecności zgodnie z radą Keora.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że obaj są bardzo doświadczonymi Szarim. Oznaczenia na powierzchni ich ke również dobitnie sugerowały wysoką pozycję w zadeklarowanych dyscyplinach. „Mistrz tropienia i elitarny powiernik życia, cóż za jednoznaczny wybór. Pewnie obaj dostali instrukcję, by troskliwie dostarczyć ważną dla krainy nowicjuszkę w odpowiednie miejsce w odpowiednim stanie. A więc to ich misja, a nie moja. Ja mam być tylko niewygodnym pakunkiem” — pomyślała z rozgoryczeniem.

Ten, który nosił zielone elite łowcy, zjednywał sobie sympatię już samym wyglądem. Wysoki, szczupły, o piegowatej, młodej twarzy, z burzą rozwichrzonych rudych kędziorów, sprawiał wrażenie niefrasobliwego wesołka. Wydawał się przyjacielskim typem otwartego, bezpośredniego lekkoducha. Leniwie oparty o ścianę, cały czas nonszalancko podrzucał metalową kulkę, żując coś z miną wyrażającą rozbawienie i zaintrygowanie. Drugi z jej przyszłych kompanów był za to całkowitym przeciwieństwem pierwszego. Znacznie niższy, szeroki w barach, wręcz zwałisty. Jego godnej podziwu muskulatury nie było w stanie ukryć nawet luźne ubranie. Czarne krótko przystrzyżone włosy, grube, wydatne brwi ocieniające głęboko osadzone mroczne spojrzenie równie czarnych oczu dobitnie ostrzegały. Podobnie jak kilka drobnych, starych blizn rozrzuconych chaotycznie na jego surowej twarzy. Stał w lekkim rozkroku, pozornie swobodnie. Coś w jego aurze budziło jednak podświadomy respekt. Przeczucie wyraźnie podpowiadało Winei, że to zasadniczy i śmiertelnie niebezpieczny człowiek.

— Nie zapraszam was do siadania, bo też nie mam w planach zabrać wam zbyt dużo czasu. — Najstarszy jak zwykle traktował innych jak dzieci sąsiada: niby uprzejmie, ale z dystansem i bez zbędnej uwagi. — Bogdarze, znam dobrze twoją reputację i wiem, że mogę liczyć na pełne bezpieczeństwo tej wyprawy. Żadnych niepotrzebnych komplikacji, szybko i sprawnie do wyznaczonego miejsca.

Brunet o kamiennym obliczu skinął nieznacznie głową. Było jasne, że doskonale rozumie swoje zadanie. Intensywna czerwień

elite stanowiła jedyny kolorowy dodatek do jego czarnego ubioru.

— Misja Winei jest dla nas niezwykle ważna, ale przeżycie naszej młodej Szarim będzie najwyższą wartością. — Najstarszy patrzył jej w oczy, jakby kierował słowa głównie do niej. Po chwili przeniósł spojrzenie na rudego dryblasa. — Ty, Ben, jak mi nie mam, dostałeś już klarowne wskazówki od Wilka. — Bardziej stwierdził, niż zapytał.

— Owszem. — Szeroki uśmiech pasował do beztroskiej osobowości chłopaka. — Trzymamy się lasów, chaszczy, gór, bagien, rowów, jarów. Omijamy drogi, szlaki, miasta, miasteczka, osady, knajpy, kapliczki, a nawet leśne szałaszy drwali. Wędrujemy w trakcie uroczych, najlepiej bezksiężycowych nocy, a dniem cieszymy się błogim odpoczynkiem w jakiejś dziurze, norze, jaskini czy co tam namierzemy.

— Ale... — Winea patrzyła z niedowierzaniem i przerażeniem na Najstarszego. — ...myślałam, że możemy... no, normalnie, jak Darzanie...

— Moja droga, z tego, co pamiętam, kiedy zdecydowaliśmy o twoim udziale w misji, nie było mowy o wycieczce krajoznawczej ani o przygodzie turystycznej. — Na twarzy starca sarkazm mieszał się z niezadowoleniem. — Nasze „normalne” wyprawy, inne niż handlowe, tak właśnie zwykle wyglądają. Kiedy ludzie kontynentu widzą Darzan niebędących kupcami jadącymi z karawaną wyładowaną towarami, zaczynają się głowić, co oni robią na drodze. A to jest bardzo, bardzo niepożądane szczególnie w tej konkretnej sytuacji. Oczywiście Ben nieco przerysował ustalenia. — Starzec spojrzął z politowaniem na łowcę.

— Uwierz mi, podróżowanie w dyskretny sposób jest znacznie mniej kłopotliwe niż jakiś, dajmy na to, nadgorliwy dowódca nudzącego się patrolu, mający szczere chęci wykazania się bystrością przed swoim lordem, zadający pytania uwłaczające inteligencji naszego gatunku. — Ben puścił do niej konspiracyjne oczko. — A z czasem idzie się przyzwyczaić do uroków sprzyjającej nam natury.

Czując się coraz bardziej zażenowana własną reakcją, zerknęła na drugiego mężczyznę, ale ten pozostawał obojętny niczym mebel.

— Cóż, jeśli wszystko jest jasne, zostawcie mnie i Wineę na chwilę samych.

Mężczyźni wyszli bez słowa. Jeden z zimną, ponurą miną, a drugi dla kontrastu z rozbawieniem w oczach.

— Moja droga. — Głos arcymistrza brzmiał zaskakująco łagodnie i ciepło, wręcz ugodowo. — To bardzo doświadczeni Szarim. Doskonale wiedzą, co robią. Zaufaj im we wszystkich sprawach, w których możesz im zaufać zgodnie ze swoim sumieniem. Ty nie jesteś jeszcze w pełni szamanką, wciąż wiele przed tobą. Ale to właśnie ty jesteś tym Szarim, od którego teraz i w przyszłości będzie zależało najwięcej. Ucz się od nich i skup na zadaniu. Wiedz, że od twojego sukcesu ważniejszy jest dla mnie jedynie twój powrót w zdrowiu.

Podszedł do jednej z bocznych szafek i wyjął purpurowe pudełeczko.

— Jeśli spotkasz na Amadal jakiegoś maga lub błogosławionego, możesz mu to pokazać. — Wręczył jej nieduży pierścień z krwistoczerwonym oczkiem. — Zapewni ci, jak sądzę, posłuch, ochronę, a być może niezbędną pomoc. Być może zostanie również uszanowane twoje milczenie, gdy będą pytać. Strzeż go najpilniej, jak potrafisz.

— Dziękuję, mistrzu. — Schowała podarunek, intuicyjnie wiedząc, że wkładanie go na palec nie jest ani na miejscu, ani bezpieczne.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy w ciszy. Po raz pierwszy odebrała go po prostu jak zwykłego człowieka, a nie legendarnego przywódcę.

— Nie zawiodę cię, przyrzekam. — Słowa same wypłynęły z jej ust.

— Wiem. Bardziej się obawiam, że to ja cię kiedyś zawiodę. — Uśmiechnął się ze smutkiem. Położył jej ręce na ramionach. — Musisz zawsze pamiętać, że jesteś winna wierność przede wszystkim swojemu ludowi, nie mnie czy komukolwiek innemu. Może kiedyś nadejść taki dzień, że oczy wszystkich będą zwrócone na ciebie, a serca tysięcy będą czekały na twoją decyzję. Bywa, że los kładzie na jednej szali wszystko, o czym marzysz, a na drugiej dobro ludzi,

wśród których są też ci nie do końca oddani tobie, nie do końca prawi, nie do końca warci twojego poświęcenia. Uwierz mi, że gdy zdrowy rozsądek walczy z całych sił z poczuciem odpowiedzialności, żałujesz, że jesteś tym, kim jesteś. Przeznaczenie można długo oszukiwać, jeśli ktoś jest wystarczająco sprytny, ale koniec końców, ono i tak zawsze wygrywa.

Z niewiadomych powodów nagle poczuła się tak, jakby te słowa były ostatnim pożegnaniem. Jakby nie mieli się już nigdy spotkać. Tylko wewnętrzna dyscyplina, wpajana boleśnie przez siedem lat na Orin, pozwoliła jej powstrzymać łzy i odruch rzucenia się starcowi na szyję.

Gdy wyszła na zewnątrz, mężczyźni czekali już w pełni obarczeni podróżnym ekwipunkiem. Jej zestaw leżał obok. Wciągnęła pełną piersią wilgotny chłód kończącej się nocy, żeby przegonić strach niespodziewanie czający się gdzieś na dnie umysłu. Inaczej wyobrażała sobie ten moment.

— Pośpieszmy się, póki nie wstał świt. — Głos Bogdara nie zostawiał wątpliwości, kto przewodzi wyprawie. — Ben, prowadzisz do najbliższej ścieżki szeptu.

Rudzielec uśmiechnął się zachęcająco do Winei, poprawił paski sporego, płaskiego plecaka i ruszył dziarskim krokiem. Miała niewiele czasu, by zarzucić wszystko na plecy i podreptać za nimi. „To niesprawiedliwe, że niektórzy mają takie długie nogi” — pomyślała gorzko.

Po paru godzinach przedzierania się przez gęsty las, który o dziwo dawało się dość sprawnie pokonywać, dotarli do niewielkiego jaru, gdzie zatrzymali się na mały posiłek. Słońce wzniosło się już całkiem wysoko. Dzień zapowiadał się przyjemny i ciepły.

— Co to są te ścieżki szeptu? — zapytała łowcę, jakoś nie wyobrażając sobie na razie rozmowy ze starszym z Darzan.

— To takie nieoczywiste trasy, które pozwalają opuścić Sid bez wiedzy innych, nawet patrolujących przygranicze łowców.

— A co to ma wspólnego z szeptem?

— Zasadniczo nic. — Rudzielec zrobił śmieszny minę. — Ale przyznaj, że nieźle brzmi.

— Ben, zabezpiecz miejsce. — Oschły głos powiernika nie zwiastował miłej atmosfery.

— Ale, Dar, przecież jesteśmy jeszcze u siebie. — Łowca był wyraźnie zaskoczony. — Przed czym chcesz się zabezpieczać? Przed wścibskimi wiewiórkami, które...

— Ben! — przerwał zniecierpliwiony mężczyzna. — Po prostu zabezpiecz.

Chłopak prychnął, kręcąc głową z niedowierzaniem, ale ruszył wykonać polecenie. Mijając kompana, rzucił przez ramię z wyrzutem:

— Ty naprawdę przejąłeś się tym zadaniem, jakby to miało być polowanie na czarnego gryfona. Powinieneś trochę wyluzować, zanim całkiem ci odwali.

Brunet zachował obojętne milczenie.

Wybitnie nie miała ochoty z nim rozmawiać, ale wizja podróży w zapowiadającej się wersji budziła w niej jeszcze większą niezgodę.

— Szarim Bogdarze, dlaczego nie moglibyśmy kogoś udawać? Przecież nie mamy oznaczone na czołach, że jesteśmy Darzanami, a naszym celem nie jest zabicie kogoś, tylko dotarcie do wyznaczonego miejsca. Poza tym wszyscy jesteśmy w jakimś zakresie przeszkoleni z odgrywania ról.

Milczał tak długo, aż doszła do wniosku, że jej nie odpowie.

— To kwestia ryzyka — zaczął chłodnym głosem, przygotowując jednocześnie jedzenie. — Spotkanie ludzi oceniam na dużo bardziej nieprzewidywalne w konsekwencjach niż spotkanie wilka czy niedźwiedzia.

— Czy zwykłe podróżowanie przez kontynent naprawdę jest aż tak niebezpieczne? — jęknęła przygnębiona. Nie liczyła specjalnie na zmianę decyzji, ale frustracja nie pozwalała jej siedzieć cicho.

— Trwa wojna, a wtedy ludzie stają się chorobliwie podejrzliwi. Ostatni rok to wręcz przesilenie drażliwości. Nasza droga wiedzie na tereny bezpośrednio kontrolowane przez wojska Drenara, a twoja misja... jest niezwykle kluczowa dla naszej przyszłości. Spróbuj zrozumieć moją odpowiedzialność.

Gdy podniósł na nią wzrok, zobaczyła w nim cień skrywanego bólu, który po chwili został zastąpiony wyrazem zimnej determinacji.

— Mów mi Dar — rzucił, wracając do mieszania jajecznicy, robionej na tak minimalnym ognisku, że Winea nie sądziła, że da się takie rozpalić. Równie dobrze mógłby smażyć nad świeczką. — Jestem zawsze po twojej stronie, ale po prostu mam inną rolę do odegrania.

Westchnęła zrezygnowana. Zdawała sobie sprawę zarówno z tego, że ma rację, jak i z tego, że jego najwyższą powinnością jest wypełnić zalecenia Najstarszego. Pomyślała, że może chociaż podzieli się z nim tym, co czuje, jeżeli mieli nawiązać jakiegokolwiek sensowne relacje na czas zadania.

— Dar, nie jestem dzieckiem. Nikt, kto przeszedł Orin, nim nie jest. — Uklękła obok, by pokroić pieczywo. — Ale miałam nadzieję, że gdy zostanę wreszcie Szarim, moje życie...

— Będzie lepsze, wygodniejsze, łatwiejsze? — przerwał jej, przyglądając się niemal z politowaniem. Pokręcił głową, doprawiając danie ziołami z woreczka. — Przykro mi, ale los darzańskiego szamana to nieustające wyrzeczenia, ciągłe niewygody, ustawiczne poświęcanie się. Nasze życie, jak wiesz, to ipresi — służba duszy i ciała. Jeszcze może gdybyś została klanowym uzdrowicielem albo tropicielem... — Przechylił głowę, jakby się zastanawiał. — Ale kolor twojego elite i ke jest jak wyrok. Im szybciej to zaakceptujesz, tym mniej wycierpisz. Gdybym potrafił, tobym ci nawet współczuł.

Chciała coś odpowiedzieć, ale zrezygnowała. Po chwili wrócił Ben. Oblizał się, kierując od razu w stronę jedzenia.

— I to w tobie akurat lubię, Dar, gdy razem działamy. — Energicznie usiadł, łapczywie zagarniając największą porcję. — Dla tego żarcia pójdę za tobą nawet w ogień.

Winea, podobnie jak wojownik, skrzywiła się na widok rudzielca mówiącego z pełnymi ustami.

Pod koniec drugiego dnia dotarli do granicy krainy, robiąc jedynie krótkie przerwy w marszu. Jak dotąd wędrowali praktycznie cały czas wśród drzew, nie napotykając nikogo. Dziewczyna

zastanawiała się nad szybkim tempem, w jakim przebyli, zdawałoby się, najbezpieczniejszą część trasy. Miała nieodparte wrażenie, że Darowi mocno zależy na opuszczeniu darzańskiego terytorium w całkowitej tajemnicy. Ich misja — a z pewnością jej owoce — może stać się mocną kartą przetargową w wielu ważnych politycznie ruchach. Winea domyślała się, że taką kartę najlepiej jest trzymać ukrytą do samego końca. Poruszali się na tyle pośpiesznie, że nie było nawet okazji do dłuższych rozmów. Zresztą starszy z Szarim i tak odpowiadał najwyżej zdawkowo, a łowca zawsze wyprzedzał ich na odległość wzroku, będąc swego rodzaju zwiadowcą. Na postojach była na tyle zmęczona, że wolała skupić się wyłącznie na odpoczynku i przekąszeniu czegoś.

— To nasza ostatnia noc u siebie — powiedział Dar, rozkładając podróżną mapę, gdy skończyli wieczerzę. Tym razem rozpalili nieco większy ogień niż zwykle. — Jutro rano ruszymy bardziej na północ, by móc jak najdłużej korzystać z ochrony Lasu Wiecznego Słońca, a następnie Cichych Kniei na podgórzu Synetów. Gdy dotrzemy na wysokość Doliny Kerbera... — Wskazał palcem na oznaczenia usytuowane w dwóch trzecich całej trasy. — ...rozejrzemy się nieco i zwolnimy tempo. Najprawdopodobniej prześlizgniemy się słabo zalesionym północnym obrzeżem kotliny. Zrobimy to nocą.

— Och, Dar, jesteś pewien, że musimy zwolnić w tych pasmach zagajników? Tak wspaniale byłoby dalej pędzić na złamanie karku jak dotąd, tyle że po ciemku. Wyobraź sobie: tylko my i tysiące śmigających gałęzi przeciw nam. — Ben aż cmoknął, udając żal. — Moglibyśmy wówczas prawdziwie poćwiczyć widzenie w ciemnościach i refleks. Można by nawet urządzić zawody. Wygrywa ten, którego twarz na koniec nocy będzie jeszcze rozpoznawalna. — Przekrzywił zabawnie głowę. W jego nietypowych, jasnoszafirowych oczach błąkała się dziecięca wesołość splatanego figla.

Dar spojrział na niego z niesmakiem, wyraźnie nie podzielając specyficznego rodzaju humoru dryblasa. Po chwili wrócił wzrokiem do mapy, marszcząc lekko brwi, jakby szukał utraconego skupienia.

— Do tego miejsca przemierzamy się dniem i na tyle szybko, na ile się da. Nie, nie musimy już utrzymywać obecnego poziomu

ruchliwości...

— Światłości, Dar! Zacznę notować te twoje sformułowania. „Obecnego poziomu ruchliwości”... — Chłopak sparodiował poważny ton wypowiedzi powiernika. — Niech cię szlag, chłopie, zaprawdę są one tak wyraziste i ostre, że prawie można się nimi golić.

Winea nie mogła powstrzymać zduszonego chichotu. Zwalisty mężczyzna zacisnął szczęki, przymykając oczy. Wziął trzy głębokie, przeciągłe oddechy.

— Ben, wiesz, że cię uwielbiam — powiedział spokojnie, gdy się opanował. — Ale wiesz też dobrze, że nie dopuszczę, by dekoncentracja i nadmierne rozluźnienie zwiększyły ryzyko niepowodzenia naszego zadania. Znamy się już tyle lat, że oczekiwałbym od ciebie większego... hmmm... dopasowania? Ta wyprawa ma dla naszego ludu krytyczne znaczenie.

Dziewczyna przyglądała się towarzyszom z rosnącym rozbawieniem. „Gdyby nie to, że są tak strasznie różni, założyłabym, że to bracia” — stwierdziła, nagle zaciekawiona historią ich relacji. „Ciekawe, jak się poznali i jak dawali sobie radę z kontrastem osobowości w trakcie pierwszej misji”.

— Daj spokój, Dar. Każda sprawa, w której braliśmy udział, miała krytyczne znaczenie. Przynajmniej dla ciebie. — Rudzielec machnął ręką z lekceważeniem.

Dar znów zacisnął szczęki.

— Ale nigdy aż tak bardzo jak ta.

— A czy nie jest tak, że niezależnie od wagi naszego posłannictwa możemy pozwolić sobie na spokój, komfort i zdrowy rozsądek? Przecież nie mamy terminu dotarcia do celu — wtrąciła się dziewczyna, unosząc brwi. Uśmiechnęła się do zasadniczego mężczyzny, ale ten tylko zmrużył oczy.

— Wybacz, Wineo, ale im dłużej pozostajemy na kontynencie poza terytorium naszej krainy, tym bardziej rośnie ryzyko, że coś złego się nam przydarzy. Każde z nas ma określoną rolę do odegrania i związane z nią decyzje do podjęcia. O wszystkich kwestiach sposobu dotarcia do wieży decyduję ja. W tym aspekcie oczekuję pełnego podporządkowania się.



W głosie siłacza pobrzmiwała wyraźna groźba przeciw jakiegokolwiek niesubordynacji. Winea poczuła wzrastającą irytację. „Co on sobie myśli, na pomroczość?! Że jestem posyłkowym w jego karawanie?” Jakiś fragment świadomości był coraz bardziej przerażony raptownością rozgrzewających się w niej emocji. To ta część umysłu, którą brutalnie i konsekwentnie wykuto w karności i samokontroli na wyspie.

— A co, jeśli nie poddam się twojej dyscyplinie? — Wysunęła zaczepnie podbródek. — Zwiążesz mnie i dowiesz jak pakunek? — Prychnęła lekceważąco. Ogień instynktownych odczuć z zadziwiającą łatwością kruszył kolejne skały mentalnych zabezpieczeń.

— Jeśli mnie zmusisz, tak zrobię. — Patrzył na nią twardo.

Resztki opanowania wyparowały z niej w mgnieniu oka. Bez ostrzeżenia. Szarpnęła się do tyłu z sapnięciem, przyjmując błyskawicznie postawę pojedynkową, z jedną ręką ukrytą za plecami. Pulsująca złość uświadomiła jej, że trzyma w schowanej dłoni nóż łowcy.

Na twarzy powiernika chwilowy wyraz zaskoczenia ustąpił lawinowo kumulującej się wściekłości. Oczy poczerniały mu złowrogo, mięśnie żuchwy drgały w napięciu. W odróżnieniu od oblicza całe jego ciało zamarło w bezruchu.

— Ej, ej, ej! — Ben wstał nagle i rozdzielił ich uspokajającym gestem. — Co w was wstąpiło? Mózgi wam poszarpało? Hej, jesteśmy w jednej bandzie! Nie pamiętacie? Mamy jeden cel. Że o godności bycia Szarim nie wspomnę.

Zwalisty wojownik wstał powoli, obrócił się i w milczeniu odszedł w głąb lasu.

— Nie pozwolę nikomu sobą pomiatać, nawet jemu! — Nazbyt gwałtownie schowała ostrze do uchwytu przy pasie. Usiadła z impetem na powrót przy ognisku. Ben przyglądał się jej w zamyśleniu.

„Co mnie tak szybko i nadmiernie rozdrażniło?” — zdała sobie sprawę, jak jej reakcja musiała wyglądać z perspektywy obserwatora. „Ben ma rację, takie zachowanie nie przystoi szamanom. Nawet qiszamanom”. Zagryzła wargi, próbując się wyciszyć i ujarzmić

emocje. „Może to napięcie ostatnich dni tak mnie skołowało?” — przelotna myśl nie wydała jej się przekonująca w żadnym stopniu.

— Zastanawia mnie, jak przez tyle lat radzili sobie z tobą mentorzy i mądrzy na Orin — odezwał się łowca po dłuższym milczeniu, bardziej do siebie niż do niej.

— Łamali różgi na moich plecach — przyznała bez skrępowania. — I klęli w żywy kamień, przynajmniej ci bardziej impulsywni.

— Impulsywni jak ty? — Ben spojrzał na dziewczynę z ukosa. — Takich chyba nie ma na wyspie. Nie wiem nawet, czy są tacy w całej krainie Sid.

— Myślę, że nie brakuje nawet bardziej gwałtownych ode mnie. — Wzruszyła ramionami. — Ale przyznaję, że jako uczeń znacznie lepiej trzymałam się w ryzach.

— Ha, to byłby numer, gdyby Szarim zaczął cofać się w rozwoju po tym, jak ukończył naukę, przeszedł próbę i rozpoczął nowicjat — parsknął.

— Nie chodzi jedynie o kontrolę jako taką. — Westchnęła, próbując zebrać myśli. — To raczej kwestia... no wiesz, uczeń musi słuchać z powodu samej swojej pozycji, a ja już nie jestem uczniem. Rozumiesz? — Spojrzała na niego, szukając usprawiedliwienia. Czuła się coraz gorzej z tym, co zrobiła.

— Wyrwał się ogień ze szkła, w którym przez lata usłudnie oświetlał ludziom drogę, buzując radośnie, gdy wreszcie zaczął móc pożerać lasy i pola.

Skrzywiła się dotknięta jednoznaczną aluzją chłopaka.

— W porządku. Przepraszam. To było głupie i nieodpowiedzialne. — Przygarbiła się, opuszczając ramiona.

— Phi. — Dryblas uśmiechnął się do niej szelmowsko. Po chwili wesołość z jego oblicza wyciekła jak woda z przedziurawionego bukłaka. Z zaskoczeniem ujrzała w jego twarzy świadectwo dziesiątek, a może setek zdarzeń, po których zostają w ludziach niezacieralne blizny. Zapatrzył się z dziwnym smutkiem w blask płomieni. — Kilka lat temu krąg powierzył niezwykle ważną misję grupie wybranych Szarim — zaczął opowiadać ostrożnym, przyciszonym głosem. — Jej elementem była ochrona córki Dukaja

w drodze do pewnego miejsca daleko na południu kontynentu. Powiernikiem został wtedy Dar.

Chłopak dorzucił do ognia, na chwilę przerywając.

— Mój przyjaciel popełnił wówczas fatalny w skutkach błąd. Ustąpił Grenie w jednej ze swoich zasad, przez co została schwytana i uwięziona przez królewskich żołdaków pod absurdalnym zarzutem szpiegowania na rzecz Drenara. Gdy udało się ją uwolnić dzięki osobistemu wstawiennictwu Najstarszego, nie była już sobą. To po prostu trwało zbyt długo. Gdy wyprowadzaliśmy ją z lochów, myślałem, że pęknie mi serce. Całe ciało miała zmaltretowane torturami. Wyłupiono jej oczy.

Przerwał, jakby nie był już w stanie nic więcej powiedzieć. Po kilku oddechach spojrzał przenikliwie na Wineę.

— Dwa dni później rzuciła się z urwiska. Powstrzymałem Dara przed zabiciem się dosłownie w ostatniej chwili. To, jak wówczas mi złożyczył, tkwi we mnie niczym zatruty ułamek ostrza.

Winea milczała, wpatrując się w chłopaka rozszerzonymi oczami.

— Nie wiem, co powiedzieć — szepnęła w końcu, przełykając gulę w przełyku. Groza obrazów wytworzonych przez wyobraźnię przygniotła ją jak wielki głaz. Żadne słowa nie wydawały się tu właściwe. — Przykro mi. Dlaczego Dar wciąż jest powiernikiem? Czy Dukaj i krąg nie powinni zmienić jego powołania po czymś takim?

— Widzisz... — Łowca pochylił się nieco i znowu wbił wzrok w płomienie. — Myślę, że on świadomie postanowił robić to dalej. Zakładam, że znajduje w tym rodzaj dożywotniej pokuty. Z kolei Dukaj to bardzo mądry człowiek. Mam na myśli taką inną mądrość, niż zwykle rozumiemy. Mądrość poznania ludzkiego serca. Poza tym tamten błąd nie zmienia faktu, że Dar i tak jest najprawdopodobniej wciąż najlepszym człowiekiem do tej roboty wśród naszych.

Winea poczuła przemożną presję, by natychmiast odnaleźć wzburzonego mężczyznę i powiedzieć mu... co właściwie? Że go przeprasza? Że jest jej głupio?

— Powinnaś chyba wiedzieć jeszcze jedno. — Ben podążył na moment wzrokiem w miejsce, w którym zniknął jego

towarzysz. — Oni byli ze sobą zaręczeni. Grena była jedyną miłością Dara.

Winea zamarła. Poczła dziwny ucisk w piersi, gdy sens słów dotarł do niej w pełni. „Światłości!” — wyobraźnia wywołała w jej umyśle serię drastycznych emocji, zupełnie jakby sama przeżyła tamte zdarzenia. Po chwili płuca przypomniały sobie, że oddychanie jest jednak koniecznością. Wciągnęła potężny haust wieczornego powietrza. Potem nastąpiła cisza i pustka.

Siedziała w milczeniu bez ruchu, gdy Ben zabezpieczał ich miejsce, gdy zaproponował jej pierwszą wartę i gdy wzruszywszy ramionami, ostatecznie położył się spać. Siedziała, gdy noc zaczęła wreszcie szarzeć, a nawet gdy wczesnym świtem nadszedł Bogdar.

— Ja... — zaczął chrapliwie potężny mężczyzna, nie patrząc na Wineę.

— Dopasuję się, powierniku, do twoich zaleceń — przerwała mu sucho. — Mój napad złości był niczym nieusprawiedliwioną obrazą dla twojej odpowiedzialności. To się już nie powtórzy. Masz na to moje słowo Szarim.

Mężczyzna zastygł zaskoczony, przypatrując się jej uważnie.

— Arcymistrz nie powinien wyznaczać mnie do tej misji. — Pokręcił głową zrezygnowany. — Każdej innej, byle nie tej.

— Bzdura, Dar. — Podeszła i położyła dłoń na jego muskularnym ramieniu. — Nie znam cię, ale ufam bezgranicznie wszystkim decyzjom Najstarszego. To wystarczy, bym nie miała nawet cienia wątpliwości, że jesteś najlepszą osobą, której można powierzyć życie.

Mężczyzna wydał z siebie stłumiony jęk.

— Chciałbym, żebyś się nie myliła, dziewczyno. Uwierz mi, nic nie ma dla mnie dziś większej wartości. — Pokręcił głową, odwracając twarz, by ukryć malujący się na niej ból.

Ostatni raz rozważyła w myślach swoją decyzję. Wciągnęła głęboko powietrze. „Muszę to zrobić. Oni są tego warci. Moje zadanie jest tego warte”.

— Potrzebuję waszej pomocy. Was obu. — Mocny ton jej wypowiedzi przyciągnął również wzrok Bena. — Mam dopiero siedemnaście lat. Zaledwie kilka dni temu stałam się qi-szamanką.

W ciągu kilkunastu godzin okazało się, że nie spełnią się moje marzenia o byciu zwykłym Szarim, że mam przyjąć na siebie niewyobrażalną dla mnie rolę w naszej społeczności i nosić imię byłej błogosławionej, że nie jestem córką tych ludzi, o których myślałam całe życie jak o rodzicach, oraz że moją pierwszą misją ma być nie tylko coś, czego nikt z nas nigdy nie robił, ale też coś, o czym nawet nie wiadomo było, że ktoś mógłby. Jestem młoda, niedoświadczona, zagubiona i przerażona. Ale jestem też uparta, wytrwała i waleczna. Zrobię wszystko, co jest moją powinnością wobec naszego ludu. Potrzebuję jednak waszej pomocy.

Mężczyźni stali teraz nieruchomo, zdziwieni tak otwartą i szczerą wypowiedzią. Pierwszy z szoku ocknął się Ben. Podszedł do dziewczyny, górując nad nią wzrostem.

— Możesz na mnie liczyć, Wineo. Twoje bezpieczeństwo jest moim świętym obowiązkiem tak w dzień, jak i w nocy. — Podał jej dłoń. Uścisnęła ją, patrząc prosto w szafirowe oczy.

Spojrzenie zwalistego wojownika przeskakiwało z twarzy chłopaka na jej i z powrotem. Wyprostował się.

— Moje życie za twoje życie, honor za śmierć, a w niej ostateczna chwała powołania. — Starszy z mężczyzn pochylił głowę uroczyście.

Niespodziewanie poczuła, jak wewnętrzną pustkę ponownie wypełniają jasność i spokój. Jej postrzeganie obu towarzyszy ukształtowało się zupełnie na nowo. Piegowaty żartowniś i uszczypliwy lekkoduch stał się nagle bystrym, godnym najwyższego zaufania łowcą i tropicielem, a przerażający, zimny i mrukliwy wojownik awansował na silnego, nieugiętego i oddanego obrońcę. Bezpieczną skałę, schronienie i pewne oparcie.

Las lekko szumiał, ptaki hałaśliwie witały dzień, w powietrzu czuć było resztki lata.

— To może wyczarowałbyś, mistrzu kociołka, jakieś małe smaczności, hmm? Tak na dobry początek dnia, co? — Ben oblizał się sugestywnie.

Muskularny Szarim uśmiechnął się kącikiem ust.

Wkrótce wszyscy cieszyli podniebienia zarumienionymi na złoto plasterkami pieczarek w towarzystwie przypieczonych paseczków

mięsa w oliwie i ostrych przyprawach, popijając rozrzedzonym wodą jagodowym sokiem z gniecionymi liśćmi ożywczego cytrusa.

— Gdybyś kiedyś szukał ucznia, Dar, by podzielić się choć częścią swoich kulinarnych talentów... — Winea wciąż napawała się rozkoszą subtelnych smaków polowego śniadania. — ...to jestem pierwsza w kolejce.

— Marzenie urwanej czaszki — parsknął rudzielec. — Spóźniłaś się o jakieś pięćdziesiąt lat. Jedyne, na co możesz obecnie liczyć, to uczenie się od ucznia ucznia ucznia ucznia...

Rzuciła w chłopaka szyszką błyskawicznym ruchem ręki, jednak ten zdążył się uchylić, szczerząc zęby w szyderczym grymasie.

## V. Dolina Kerbera

Drogę w pobliże Doliny Kerbera przebyli w ciągu niecałych sześciu dni. Pełna skupienia, ostrożna wędrówka za dnia, krótkie postoje dające okazję do rozmów i żartów oraz kolacje zamieniane w wysublimowane uczyty wypełniały im cały czas. Jak dotąd nie napotkali żadnych kłopotów. Z łatwością omijali nieliczne niewielkie polanki, przekraczali wartkie, lodowate strumyki, różnego typu trakty i drogi wiodące bezpośrednio na północ, w stronę gór. Tylko kilka razy musieli przeczekać obecność górali lub wędrowców, ale zdolności Bena sprawiały, że robili to bez żadnego ryzyka.

Tych parę spokojnych dni mimo intensywnego ruchu i fizycznego wysiłku dało Winei wytchnienie, którego tak potrzebowała. Wreszcie miała wystarczająco dużo czasu, by przemyśleć swoją sytuację. Wielogodzinne maszerowanie w otoczeniu cudownej przyrody, przy słonecznej, choć nie upalnej pogodzie ewidentnie sprzyjało wyciszeniu i rozważaniom. Pozwoliło jej to na bardziej zdystansowaną ocenę ostatnich zdarzeń, z pewnością zbyt raptownych i zbyt brzemiennych w skutkach. Owszem, była w zupełnie innym punkcie swojego życia, i to takim, w którym nie przypuszczała kiedykolwiek się znaleźć. Jednak zaakceptowała swój obecny status i rolę. „Wyjątkowość i wysoka

ranga mają przecież też swoje niezaprzeczalne zalety” — uparcie starała się poukładać w głowie swój świat na nowo. „To da mi znacznie lepsze możliwości rozwijania się, zdobywania wyjątkowych doświadczeń i przysłużenia się swojemu ludowi”. A to zasadniczo był cel jej życia. Mierzenie się z bardziej przerażającymi zagrożeniami i wyższym ryzykiem w sposób logiczny wynikało z trudniejszych wyzwań i większej odpowiedzialności. To z kolei wydawało się czymś, do czego potrafiłaby się przyzwyczaić. Szczególnie gdy można było liczyć na wsparcie tak utalentowanych i doświadczonych ludzi jak przydzieleni jej towarzysze.

Większość czasu, gdy mogła rozmawiać z którymś z Szarim, starała się wykorzystywać na pogłębianie zrozumienia zasad funkcjonowania Sid i ich społeczności. W teorii znała je doskonale, ale jak się przekonała, realia były znacznie bardziej złożone, a czasem wręcz przeczące temu, czego się tyle lat uczyła. Zadawała mnóstwo pytań, a oni skwapliwie i — co ważniejsze — cierpliwie dzielili się wiedzą. Być może ich otwartość wynikała z faktu ogłoszenia jej uczniem Najstarszego. Tego nie wiedziała. Ale zdawała sobie sprawę, jak silnie oddziaływał autorytet najwyższego szamana.

Dar opowiedział jej o roli Najstarszego w początkach istnienia krainy stworzonej przez niego właściwie od podstaw w czasach po złożeniu Wielkiej Przysięgi. Do podziwiania przywódcy Darzan wystarczyłby pewnie fakt potęgi jego mocy będącej poza zasięgiem któregośkolwiek z szamanów. Wystarczyłaby może też wyjątkowa osobowość nacechowana niezłomnością, zdecydowaniem, troską o wszystkich i mądrością w podejmowaniu decyzji. Ale tym, co tworzyło prawdziwy mit arcymistrza, było jego niewyobrażalne wizjonerstwo. Wszystko, czym była dziś społeczność Darzan — jej struktura, prawa, wartości, edukacja, system polityczny, a nawet model ekonomiczny i relacje zewnętrzne — powstawało w jego umyśle od setek lat. Planował, tworzył i kształtował odrębny lud, który powołał do istnienia czterysta lat temu na terenach zaoferowanych mu przez Koronę. Rdzeniem darzańskiej populacji stała się wówczas spora grupa magów przybyłych wraz z rodzinami z wyprawą Grywora Wysokiego. Był ojcem narodu w pełnym tego

słowa znaczeniu. A teraz ten właśnie człowiek powierzył jej niezwykłą misję.

Im więcej o niej myślała, tym więcej miała wątpliwości. Jeśli założyć możliwość teleportacji, nie wiadomo było, w którym miejscu Amadal wyląduje. To z kolei uniemożliwiało jakiegokolwiek prognozowanie dalszych działań poza ogólnymi, zdroworozsądkowymi pomysłami. Czy powinna od razu udać się do któregoś z większych miast? W jaki sposób zdobyć podstawowe informacje, żeby nie wzbudzić podejrzeń swoją ignorancją? Czy jej wygląd i zachowanie nie wydadzą się obce? Pytania i obawy mnożyły się w zaniepokojonym umyśle.

„Z pewnością muszę na bieżąco katalogować zdobywane wiadomości i doniesienia, by móc weryfikować je na podstawie innych źródeł” — rozważała. Miała szczerą nadzieję, że zdobędzie wystarczające dane, by spełnić oczekiwania Najstarszego, choć niestety nie raczył wyjawić jej, do czego właściwie ich potrzebuje. Rzadko zresztą przedstawiał szerszy kontekst swoich poleceń. A ona nawet nie zapytała. „Czyżby planował wyprawę na Amadal? Mógłby przekazać tamtejszemu królowi wieści o wygaśnięciu tutejszej linii Rodu Krwi” — zastanawiała się. „Nie, to bez sensu, przecież równie dobrze mógł to powierzyć mnie. Chyba że chodziło o ściągnięcie jakiegoś regenta spokrewnionego z błogosławionymi, by położyć kres braterskiemu konfliktowi Daczysława z Drenarem? A może sam chciał przenieść się na ziemie swoich ojców, przekazując komuś kierowanie Sid?” — pomyślała, przypomniawszy sobie tęsknotę, którą widziała w jego oczach.

Położenie słońca wskazywało już na późne popołudnie, kiedy powiernik zatrzymał ich gestem dłoni.

— Zróbmy tutaj ostatni postój, by lepiej przygotować się do nocnej eskapady. — Zrzucił na ziemię plecak zmęczonym ruchem. — Gdy pokonamy to niewielkie wzniesienie przed nami, będziemy potencjalnie widoczni dla bystrego obserwatora w dolinie.

— Mistrzu, to może skoro już tu jesteśmy, to ja skoczę obszerniej rozejrzeć się po okolicy, co? — Rudowłosy łowca właściwie bardziej informował, niż pytał. — Znam tu taki genialny, zaprzyjaźniony punkt widokowy, z którego widać caaaałą dolinę aż do południowego



Szlaku Wrony. I wcale nie trzeba być doskonałym obserwatorem, żeby wypatrzeć z niego wszyściutko, co ważne.

Mrugnął konspiracyjnie do Winei.

— Aha, i pożyczę twoje kryształowe szkiełka, te, co tak szamańsko pożytecznie przybliżają. Mógłbym ci wtedy w zamian przedstawić ze szczegółami, co przebywający tam w dole mają dziś w kociołkach. No wiesz, może jako źródło inspiracji kolacyjnych. O ile oczywiście ktokolwiek tam obecnie się znajduje.

Powiernik skinął lekko głową, rzucając kompanowi niewielki futerał z dziwnego ciemnego metalu. Ben złapał go w locie i śmignął w kierunku kryjącej się za pobliskim wzgórkim doliny. Za każdym razem, gdy Winea przyglądała się, jak biegł między drzewami, przypominał jej zabawne, ruchliwe zwierzątko. Nawet rysy jego twarzy robiły się czasem jakieś zwierzęce, choć to wrażenie było ulotne.

Dopiero co zdążyli rozbić prowizoryczne obozowisko, gdy chłopak zjawił się z powrotem. Jedno spojrzenie na niego wystarczyło, by zorientować się, że nadciągają kłopoty.

— Dar, sam musisz to ocenić. — Odgarnął loki z czoła. — Ale raczej nie przejdziemy Kerberem. Tam, w dole, obozuje ogromna armia. — Wzruszył ramionami w geście usprawiedliwienia: „no co? To nie moja wina”.

— Armia? Co ty opowiadasz...? — Powiernik potrząsnął głową, jakby chciał zrzucić efekt jakiejś chwilowej iluzji.

— Mówiłem przecież, że sam musisz to zobaczyć. — Łowca wskazał ręką w stronę doliny. — Kiedy miniesz te dwie zrosnięte ze sobą sosny, zaraz za nimi zauważysz po lewej stronie, nieco już na spadku, rozłożystego grubosza liściastego, idealne miejsce do bezpiecznej obserwacji. Masz i obejrzyj sam. — Wręczył Darowi jego oprawione w metal kryształy optyczne. Winea widziała już kiedyś takie w użyciu na jednym ze statków należących do symbolicznej floty wyspy Orin.

— Skoro Ben może zostać, by popilnować naszego miejsca, to ja pójdę z tobą. — Winea nie wyobrażała sobie przegapić takiej okazji.

Wojownik zmarszczył brwi, ale zaakceptował sugestię.

Gdy ulokowali się na konarach, nawet bez przyrzędu mogli ocenić sytuację wystarczająco jednoznacznie. Praktycznie cała niecka leżąca między przedgórzem Synetów a błyszczącym na południu jeziorem Moredy pokryta była mrowiem namiotów i elementów infrastruktury rozległego wojskowego obozu.

— Na mrok, co tu robi taka liczba żołnierzy? — Dar przyłożył do oczu zbliżacz. — To regularne oddziały Drenara, głównie piechota, łucznicy i trochę lekkiej kawalerii. Będzie wszystkiego jakieś kilka tysięcy. Ale to daleko od strefy niczyjej. — W zamyśleniu, ze zmarszczonym czołem oddał kryształ Winei. — Tu przecież nie toczą się żadne walki...

Dziewczyna przyłożyła do twarzy chłodną oprawę instrumentu i ujrzała poruszających się między namiotami ludzi tak wyraźnie, jakby byli od niej kilkadziesiąt kroków. Część skupiała się w pobliżu stosów pociętych drzew przygotowanych pod ogniska, część maszerowała małymi grupkami, część rozmawiała, gestykulując. Dało się rozpoznać prowizoryczne stajnie oraz zagrody dla inwentarza, trzy różne drewniane budyneczki, dwa oddalone od siebie place do ćwiczeń, ogromny pawilon dowodzenia, na którego szczycie leniwie powiewał pomarańczowy sztandar ze skaczącym czarnym kozłem. Na tyle, na ile mogła ocenić, był to obóz polowy, nieposiadający specjalnych fortyfikacji. Nie była ekspertem wojskowości, jednak jej intensywna edukacja obejmowała również podstawy w tej materii. Na dole panował względny spokój. Ludzie przemieszczali się w różne strony, wykonywali swoje obowiązki. Wydawało się nawet, że docierał do niej stłumiony zgiełk.

— Co o tym sądzisz, Dar? — Oddała mu przyrząd. — Chyba będziemy musieli wybrać jakąś inną trasę.

— Nie ma innej trasy. — Powiernik zaczął z uwagą przeczesywać wzrokiem okolicę. — Tu, na północy, Kerber to główna lądowa arteria komunikacyjna łącząca wschód z zachodem. Tworzy naturalne przejście między wysuniętymi zboczami Synetów i jeziorem Moredy. Dlatego przebiegający tędy Szlak Wrony jest tak ważny i tak uczęszczany. Aż do teraz myślałem, że ten pas częściowo zalesionego przedgórza będzie stanowił dla nas idealną możliwość ominięcia kotliny.

— Dlaczego już tak nie myślisz? — Dziewczyna próbowała oszacować szerokość lekko pofałdowanego obszaru rozciągającego się równoległe wzdłuż pasma górskiego. Jak na jej gust to był całkiem spory teren, gdzieniegdzie mocno porośnięty licznymi zagajnikami. Południowe stoki gór wydawały się leżeć dość daleko od doliny. Mogliby pójść przy samych zboczach, zachowując bezpieczny dystans od żołnierzy.

Mężczyzna wziął głęboki oddech, nie przerywając lustrowania otoczenia.

— Nie zawsze żyłem wśród Darzan — zaczął zmęczonym tonem. — Jak wiesz, zdarza się zarówno, że ktoś urodzony w krainie Sid opuszcza ją, by żyć poza nią, jak i że komuś z kontynentu udaje się dołączyć do naszego ludu.

„O tak, mam nawet w tym względzie osobiste doświadczenia” — gorzka refleksja zakłóciła dobry nastrój Winei.

— Ja... — Zawahał się. — ...służyłem przez kilka lat w armii Reingarda. — Przyjrzał się badawczo dziewczynie, po czym wrócił do obserwacji doliny. — Znam bardzo dobrze zwyczaje zwiadowców i wojskowych patroli. Wiem, jak myślą i działają ludzie w szeregach takich formacji. To sprawia, że nasze szanse nocnego prześlizgnięcia się w tym miejscu są znacznie mniejsze w świetle stacjonowania tu tak dużych sił. To zbyt ryzykowne.

— To może obejdziemy Moredę od południa? — Podsunęła niechętnie, zdając sobie sprawę ze sporego nadłożenia drogi w takim wypadku.

— To również odpada. — Pokręcił przecząco głową. — To rozległy akwen, a poniżej niego mamy połącie praktycznie samych pól i łąk z gęstą siecią mniejszych osad, wsi i miasteczek oraz łączących ich dróg. Nie ma gdzie się ukryć. Ale najgorsze, że po ominięciu zbiornika wodnego musielibyśmy dalej zdążyć przez landy Benara, Staronia i Złotego Lorda. I to od strony strefy walk. Niestety, nie mam dobrych wspomnień z poruszania się tamtejszymi szlakami. — Odruchowo się skrzywił.

— Chyba nie planujesz przebycia samego jeziora? — Spojrzała na niego z zaniepokojeniem.

— Nie. Oczywiście, że nie. To by było wręcz szaleństwo. W dodatku całkiem niepragmatyczne. Myślę raczej o konieczności wykorzystania tego, o czym mówiłaś wcześniej. O naszych zdolnościach w odgrywaniu ról. — Skrzywił się ponownie, choć tym razem inaczej, jakby z niesmakiem. — Gdyby zatrzymał nas patrol ponad kotliną, prawie na pewno potraktowaliby nas jak potencjalnych szpiegów, a to z reguły kończy się tragicznie. — Mroczny cień zagościł na jego twarzy, by po chwili ustąpić zadumie. — Jeśli rozpoznają w nas Darzan na trakcie, będą co najwyżej zaniepokojeni i... zdegustowani. W ostateczności mamy od Najstarszego swego rodzaju żelazny list. W gruncie rzeczy wystarczyłoby minąć ten posterunek, przy którym wybudowano wieżyczkę. — Wskazał odległą drewnianą konstrukcję przy samej drodze. — Moglibyśmy później dość szybko odbić na północ i znów podążać terenami w większości zalesionymi. Do wieży zostałyby nam wówczas zaledwie jedno większe nieosłonięte miejsce, ale to już są właściwie bezpieczne pustkowia.

— Ha, czyli mój początkowy pomysł był jednak słuszny. — Uśmiechnęła się, unosząc brwi w geście przekory.

— Nie był — odrzekł spokojnie, cały czas nad czymś się zastanawiając. W końcu skupił na towarzyszce zamyślane spojrzenie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że teraz spogląda na nią jeden z jej mentorów na Orin. — Im ważniejsze decyzje przyjdzie ci, Wineo, podejmować, tym bardziej musisz je odnieść do wszystkich istotnych uwarunkowań kontekstu. To kwestia oceny ryzyka.

Ostatecznie postanowili cofnąć się do oddalonego o niecałe pół dnia Werychna — sporej osady przy trakcie, gdzie zwykle zatrzymywali się podróżni zdążający w kierunku doliny. Po krótkiej dyskusji Dar zawyrokował zakwaterowanie nocą. Uparcie twierdził, że w ten sposób mniej osób będzie świadkiem ich pojawienia się w miejscowości, na czym wyraźnie mu zależało.

Przed samym opuszczeniem lasu przebrali się w typowe podróżne stroje i schowali w workach większość specyficznego ekwipunku Szarim. Po drodze też ustalili najważniejsze szczegóły historii, którą będą się posługiwać w kontaktach ze spotkanymi osobami. Okazało się, że na użytek podobnych okoliczności

Darżanie dysponowali specjalnie przygotowanym rodzajem pisma. W ich egzemplarzu pewien wielmoża prosił swoją siostrzenicę, aby ta niezwłocznie przybyła do majątku jego metresy, by pomóc jej w chorobie. Ben powiedział, że Sid od zawsze wchodziła w układy z konkretnymi osobami, by móc zabezpieczać Szarim w ich wyprawach innych niż handlowe. Choć sprawdzenie wskazanych informacji było raczej trudne, na wszelki wypadek dbano zawsze o ich autentyczność. Krąg opłacał osoby niezamożne, ale też nie biedotę, niezbyt wysoko sytuowane, ale też mające jakąś władzę i poważanie, raczej z mniej znanych landów, ale również z takich kojarzonych przez ludzi. Wszystko, aby wzbudzać jak najmniej podejrzeń i żeby historia nie była warta sprawdzenia z jakiegokolwiek powodu.

Wieś okazała się dość licznym skupiskiem domów, głównie drewnianych i zadbanych, rozrzuconych na całkiem rozległym obszarze. Miejscowość pozbawiona była jednak jakichkolwiek obwarowań, choćby w postaci wałów ziemnych.

Dotarli do masywnego kamiennego budynku gospody przy głównej ulicy grubo po północy. Zaspany właściciel otworzył im dopiero za trzecim łomotaniem w drzwi. Ujadające psy nieco zniweczyły efekt utajnienia faktu ich przybycia, ale nie zauważyli nikogo, kto by się szczególnie nimi zainteresował. Wzięli dwa osobne pokoje, chociaż gospodarz początkowo uparcie twierdził, że został mu tylko jeden. Dopiero odpowiednio duża liczba nowiutkich, srebrnych księżyców położona dźwięcznie na ladzie uzdrowiła jego chwilową amnezję.

Winea uzmysłowiła sobie, jak bardzo tęskniła za okazją pobycia sama ze sobą, w momencie, gdy zamknęła drzwi izby. Nie żeby towarzystwo obecnych kompanów jej przeszkadzało, ale od czasu do czasu każdemu dobrze robi odrobina intymności. Szczególnie kobiecie. Na tyle, na ile mogła, umyła się w małej misce, rozebrała i z rozkoszą położyła na materacu pod cienkim lnianym okryciem, przeciągając zmęczone ciało. W pomieszczeniu pachniało drewnem i wilgocią. Jak na takie miejsce było względnie cicho. Z niewiadomych sobie powodów sięgnęła ręką do worka i wyciągnęła słoiczek z niewielką kępką księżycowego mchu, leciutko pulsującego

srebrzystą poświatą. Gdy otworzyła naczynie i wpatrzyła się zafascynowana w skrzącą roślinę, poczuła przemożny przyptyw obezwładniającej senności. Rozlewająca się w jej umyśle błogość wciągała ją i wciągała bez ustanku.

Tej nocy sny przyniosły jej wiele obrazów, które widziała w wizji u Wszechmatki. Znow pojawiły się przerażające bitwy i pożogi, znow przyszło jej stać w pierwszym szeregu armii, naprzeciw której gromadziły się hordy pod wodzą ogromnego, ognistego demona. Chrząszczące, zrogowaciałe płyty jego pancerza pokryte mnóstwem ostrych kolców i wyrostków płonęły, migocząc dziwnym, czerwonym blaskiem. Straszliwe rogi i szpony przeraźliwie łatwo dziurawiły lub rozcinały zbroje i tarcze, a łuskowata skóra odbijała oręż. Potężne błoniaste skrzydła zakończone wygiętymi pazurami pozwalały stworowi rzucać się na najbardziej zwartą ścianę tarcz i rozbijać ją. W sennych marzeniach ponownie zobaczyła również młodego blondyna o niesamowitych złotych oczach, które przyglądały się jej jednocześnie z miłością i rozczarowaniem. Znow poczuła łączące ich gorące uczucie. Potem wszystko zasnuła gęsta, biała mgła i rozległ się łagodny, głęboki kobiecy głos: „Bądź dzielna, dziecko światła, kochaj, współczuj i nigdy nie porzucaj jasności”.

Gdy późnym rankiem Winea zeszła na śniadanie, Bogdar i Ben rozmawiali już z jakimś tęgim jegomościem, zapewne zarządcą którejś z karawan lub podróżnych konwojów. Rudowłosy zauważył ją pierwszy.

— O, Winea. Chodź tutaj szybko, panienko. Wielmożny pan rataj wpisuje właśnie nasze imiona na swoją listę przewoźną. — Uśmiechnął się szeroko, wskazując na bogato ubranego, brzuchatego osobnika w średnim wieku, z lekko rozbieganym wzrokiem i resztką włosów wokół spoczonej łysiny na czubku głowy.

— To ta daleka kuzynka lady Fyn z tego waszego majątku na obrzeżach Wschodnich Pustkowi? — spytał. — W obrębie włości lorda Rajczy, tak?

— Dokładnie tak, wielmożny rataju. Co do joty się zgadza. — Ben dotknął zaskakująco przyjacielskim gestem ramienia grubasa. —

Masz wręcz znakomitą pamięć! Ledwie o tym raz wspomniałem, a ty już wszyściutko spamiętałeś, no, no.

Pulchny zarządca położył szeroką dłoń na piersi, wyraźnie zadowolony z komplementu. Zaraz jednak przyjął zasadniczą, urzędową minę.

— Wpisać imiona, wpisałem. Ale nie zmienia to faktu, że i tak musicie opowiedzieć się na punkcie kontrolnym. Trwa wojna, a ja nie chcę niepotrzebnych kłopotów. — Uniósł ostrzegawczo palec ozdobiony dużym pierścieniem. — Podróżowanie nie jest już swobodne od tak długiego czasu, że prawie zapominałem, jak to może wyglądać bez tych wojskowych patroli, sprawdzania papierów i tysięcy pytań.

Ruszyli w stronę doliny Kerbera jeszcze przed południem. Dzień zapowiadał się bardziej upalny niż dotychczasowe, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Dar stwierdził, że najlepszym miejscem będzie ogon konwoju. Niewielki, trzeszczący dwukołowy wóz ciągnięty przez włochatego mulona kosztował ich nedorzeczną kwotę dwóch słońc, znacznie uszczuplającą zasoby. Załadowali na niego cały ekwipunek i trochę kupionej żywności, bardziej dla sprawiania wrażenia podróżnych niż z prawdziwej potrzeby posiadania zapasów.

Tempo kilkudziesięcioosobowej karawany okazało się ślamazarne. Kilkanaście wozów różnej wielkości i rodzaju stanowiło transport dla mieszanki kupców, miejskich rzemieślników, drobnej szlachty, a nawet paru rolników. Przypadkową zbieraninę wędrujących chronił zaledwie tuzin słabo uzbrojonych najemników, zatrudnionych prawdopodobnie w większości na szybko, bez sprawdzania referencji.

Drewniana wieżyczka, do której dotarli po paru godzinach, okazała się raczej wojskowym posterunkiem niż zwykłym punktem kontroli. Z bliska wyglądała solidnie, a otwory strzelnicze ewidentnie świadczyły o jej obronnym charakterze. Winea dobre trzy kwadranse obserwowała, jak niski sierżant w zakurzonym mundurze ze znudzoną miną sprawdza wszystkim dokumenty. Wraz z dwoma podkomendnymi podchodził do każdego wozu i każdej grupki. Cały czas towarzyszył mu rataj, wisząc niemal nad ramieniem, gdy ten

przeglądał papiery i weryfikował je z listami przewoźnymi. Stanowili dość komiczny duet. Niewysoki żołnierz przechodził między kolejnymi fragmentami konwoju, stawiając spokojne, wręcz dostojne kroki, a górujący nad nim wzrostem, otyły przewodnik truchtała niczym prosiaczek. W miarę jak zbliżali się z kontrolą, Winea coraz wyraźniej słyszała, jak tłusciuch szczebiocze prawie falsetem całe mnóstwo uzasadnień i usprawiedliwień, a dowódca posterunku jedynie basowo mruczy i wzdycha. W końcu przyszła kolej na ich trójkę. Zgodnie z ustaleniami rozmowę podjął Ben. Przywitał się z wyczuciem i ze swobodnym uśmiechem podał pismo.

— Żadnych uwierzytelnień nie macie, co? — rzucił niedbałą uwagę wojskowy, bardziej stwierdzając z apatyczną monotonią, niż pytając.

— Sierzancie, ci ludzie dołączyli do nas dopiero w Werychnie, nie było czasu nawet o to pytać. — Rataj nerwowo wyginał złożone palce, patrząc z niepokojem na dwóch stojących obok włóczników. Ci jednak wyglądali na krańcowo umęczonych upałem i rutyną zadania. Opierali się na drzewcach, tak jakby to były kolumny podtrzymujące cały ich świat, mogący runąć w każdej chwili. Prawdopodobnie jedynym marzeniem wypełniającym obecnie ich umysły po brzegi było zimne piwo w obozowej kantine.

— Taaa... — Służbista złożył dokument flegmatycznym ruchem po pobieżnym przeczytaniu. — No dobrze, panie rataju czy jak tam panu. Pozostała nam jeszcze tylko jedna kwestia. Lan, Malik! Ruszcie te swoje drętwe kulasy i przyprowadźcie mi tu migiem naszego szczura!

Przyboczni niemal podskoczyli, przez chwilę błędząc zagubionymi spojrzeniami po otoczeniu niczym wybudzeni ze snu. Napotkawszy srogie oblicze swojego dowódcy, szybko oprzytomnieli i popędzili do wieżyczki, wzbijając niemały tuman kurzu.

— Eee, jaśnie panie sierzancie? — zaczął niepewnie zdezorientowany rataj. — Czy coś się stało? Czy moje dokumenty w czymś uchybiły rygorom?

Starszy żołnierz patrzył na niego, lekko bujając się na piętach z beznamiętną miną. Nie sprawiał wrażenia chętnego do udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. W końcu jednak westchnął i odpowiedział:



— Ujmę to tak. O tym, czy wasze papiery są wystarczające, czy nie, w pełni decyduję ja. — Machnął ręką, odganiając jakąś natrętną muchę. — Ale żeby sprawy między nami nie przyjęły podobnego obrotu do tego, gdy trzy miesiące temu wystąpił pewien kłopot z puszczaniem twojego konwoju, to mam dla ciebie ciekawą propozycję. Rzekłbym: nie do odrzucenia.

Pulchny przewodnik przełknął ślinę z widocznym wysiłkiem, zachowując tym razem milczenie.

— Bo widzicie, nasze oddziały rozbiły całkiem niedawno grasującą w tych okolicach grupę bandytów. Bardzo groźnych bandytów. — Podkreślił trzy ostatnie słowa. — Schwytaliśmy ich przywódcę i okazało się, że nie możemy go od razu powiesić. Podobno prawo pierwszeństwa do jego osądzenia ma lord nestor z Górna. A tak się składa, że twoja karawana będzie wędrować właśnie przez tamte rejony. — Podrapał się niechlujnie po zarośniętym podbródku. — Daję ci więc niepowtarzalną szansę, by okazać wdzięczność Koronie. Moi ludzie dołączą wraz ze skazańcem do twojej grupy. Są samodzielni i nie podlegają twoim zarządzeniom. Po prostu będą z wami podążać do zamku lorda Edwarda.

Przez moment wydawało się, że wielmożny rataj chce coś powiedzieć. Gdy jednak sierżant zwyczajnie ruszył w stronę posterunku, wymijając mężczyznę, jakby sprawa była zamknięta, tamten zacisnął jedynie mocniej szczęki. Najwidoczniej sprawa była faktycznie zamknięta.

Parę chwil później trzech żołnierze o ponurych minach przywlekli skutego człowieka. Ich nietypowo szyte szare mundury nie nosiły żadnych oznaczeń konkretnej formacji. Jedynie na rękawie jadącego konno dowódcy widniała żółta plakietka z sokołem w locie. Zwiadowcy lekkiej kawalerii. Więzień wyglądał jak siedem nieszczęść. Łańcuchy ciasno blokujące ręce połączone były z przodu z tymi na kostkach. Ubranie w strzępach, mocno poplamione zaschłą krwią i brudem, wisiało na nim tylko jakimś cudem. Poruszał się niczym w transie, ze spuszczoną głową. Twarz zakrywały gęste, ciemne włosy opadające zlepionymi strąkami. Lekko utykał. Lewy łokieć trzymał cały czas przyciśnięty do przygiętego tułowia.

„Przecież ten człowiek nie przejdzie w tym stanie nawet dziesiątej części drogi do Górna” — oceniła w myślach Winea, przyglądając się scenie z niedowierzaniem. Błysk budzącej się niezgody zaczął szemrać w jej umyśle.

Bogdar, najwyraźniej również zaniepokojony, położył dłoń na ramieniu młodej szamanki, ostrzegając samym wzrokiem na wszelki wypadek: „nie mieszajmy się, nie nasza sprawa”.

Wzruszyła ramionami.

Karawana zaczęła przemieszczać się sprawniej niż dotychczas. Po niedługim czasie zostawili wieżyczkę strażnicy daleko w tyle. Winea starała się nie oglądać, ale jej myśli wciąż wracały do pojmanego prowadzonego na samym końcu konwoju. Godzinę później człapiący na granicy przytomności skazaniec zaczął mocno odstawać od karawany. Jeden z pilnujących rąbnął go drzewcem włóczni w plecy, mrużąc przekleństwa. Mężczyzna runął na drogę z jękiem. Winea kątem oka dostrzegła ostrzegawcze gromy w spojrzeniu powiernika, gdy zawróciła zdecydowanym krokiem w kierunku krzyczących żołnierzy. Kopniakami próbowali zmusić skazańca do dalszego marszu, ale przynosiło to raczej odwrotny rezultat.

— Wineo, nie wtrącaj się! — Usłyszała za plecami gniewny syk Dara.

Nie zatrzymała się. Podeszła do wojskowych. Ich spojrzenia były zdziwione i wrogie.

— Zastanawiam się, co lord Edward robi, gdy żołnierze, których zadaniem było dostarczyć skazańca na jego sąd, przywiozą mu jedynie zimnego trupa — rzekła spokojnie, ale stanowczo. Stała blisko konnego, ale nie na tyle, by musieć zadzierać głowę. Patrzyła mu prosto w oczy, czując w sobie buzującą determinację. — Zdaje się, że akurat ten arystokrata nie słynie z wyrozumiałości. Hmm, chyba nawet słyszałam, jak ludzie o nim szepczą, że jest gwałtownikiem nienawidzącym lekceważenia jego rozkazów.

Włócznicy skrzywili się, patrząc na nią spode łba. Winea zauważyła cień niepewności, gdy trawili celną uwagę. Dowódca podjechał bliżej, taksując ją zimno.

— A tobie co do tego? — Chrząst jego głosu nie wróżył niczego dobrego.

— Poza tym, że wasze zachowanie jest barbarzyńskie, że nie przystoi mundurowi w służbie naszego miłościwie panującego Drenara i że gniew kogoś takiego jak lord rozlewa się niestety znacznie szerzej niż tylko w obrębie głównych winowajców, to już zupełnie nic więcej mi do tego. — Założyła ramiona na piersi, nie tracąc ani na chwilę kontaktu wzrokowego. — Rozumiem, że nie ma nic przyjemnego w ciągnięciu skazańca w upale dnia nie wiedzieć po co. Ale wierz mi lub nie, wracanie wychłostanym będzie znacznie, znacznie gorsze.

— Podlegamy wyłącznie naszym oficerom. — Wydał wzgardliwie wargi.

— Tym samym, którzy posłuszni czyimś poleceniom kazali wam odeskortować tego bandytę do posiadłości w Górnym, zamiast go po prostu powiesić? — Uśmiechnęła się lekceważąco. — To zaiste ciekawe. Czyj gniew z powodu niewykonania rozkazu okaże się bardziej... dotkliwy: okrutnika Edwarda czy waszego dowódcy?

Konny drgnął, jakby przebiegł go nagły dreszcz bólu. Wykrzywił się w dziwnym grymasie.

— Może masz rację, bezczelna paniusiu. — Zgrzytnął zębami. — Ale widzisz, że ten pomrok i tak może nie dotrwać. Jest ranny.

Winea rozłożyła ręce i skinęła głową w stronę karawany.

— Dajmy go zatem na nasz wózek. Mam pewną wiedzę medyczną, obejrzę go i może opatrzę.

Dowódca przechylił głowę, znów ją oceniając. Oblizał delikatnie wargi.

— Dlaczego to robisz? — Z pozoru niewinne pytanie kryło w sobie głęboką nieufność.

Czuła, że kwestia przychylności zwiadowcy wisi na włosku. Nie wyobrażała sobie jednak odpuścić.

— Jestem Winea. — Odgarnęła kosmyk włosów za ucho. — Ktoś kiedyś powiedział mi, że są rzeczy, które opłaca się zrobić, i takie, które zrobić warto.

„Mam nadzieję, że dobrze cię oceniłam, zgorzkniały lisie” — pomodliła się w duchu. „Przecież do zwiadu nie trafiają tępaki”.

Jej rozmówca wyprostował się w siodle. Zobaczyła w nim podjętą decyzję.

— Żeby nie było wątpliwości... — Strzyknął śliną na ziemię. — Zostaje w łańcuchach, a moi ludzie idą tuż obok. Hej! — Odwrócił się do strażników. — Rzućcie to gówno na wózeczek tej paniusi i niech was światło omija, jeśli choć na chwilę spuścicie z niego oko.

Spiął lekko konia, żeby dogonić oddalającą się karawanę.

Winea uchwyciła spojrzenie więźnia, który korzystając z chwilowego spokoju, dźwignął się na kolana. Widziała, jak przypatrywał się jej zdrowym okiem spomiędzy zlepionych brudem włosów. Ze zdziwieniem stwierdziła, że to było bardzo bystre spojrzenie.

Mężczyzna faktycznie okazał się ranny. Musiał stracić sporo krwi, choć rozcięcie w boku częściowo się zamknęło. Nie było duże, ale niestety niepokojąco głębokie i zaognione. „Pchnięcie mieczem gdzieś między żołądkiem i jelitami” — ulubione ćwiczenia z opatrywania urazów przypomniały się jej ze szczegółami. „Nie może mieć niczego uszkodzonego, bo już by nie żył”.

Gdy skuty znalazł się już na wózku, w pierwszej kolejności dała mu wodę do picia, dyskretnie wsypując sproszkowaną korę z wierzby bielistej z dodatkiem imbiranu skalnego, rosnącego wyłącznie na Orin. Obie substancje działały silnie przeciwbólowo i przeciwzapalnie. Przed zabandażowaniem boku posmarowała brzegi rany specjalną maścią na bazie kurkuminy i kardamonu. Szarim zwyczajowo wzmacniali swoje substancje lecznicze zaklęciem spajającym i regeneracyjnym w trakcie ich tworzenia. Miała cichą nadzieję, że nikt nie wyrazi niepotrzebnego zainteresowania faktem posiadania takich rzeczy. O dziwo Ben chętnie pomagał, sprytnie maskując jej poczynania przed włóczykami. Powiernik wstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, jedynie wnikliwie obserwował. Opatrywany bandyta skupiał się wyłącznie na przetrwaniu bolesnych zabiegów, oddychając ciężko.

— Jestem Mil — wyszeptał, zanim zapadł w letarg.

## VI. Więzień

Następnego dnia eskortowany był w już pełni przytomny. Najwyraźniej do odzyskania sił wystarczyły mu leżenie bez ruchu i długi, mocny sen. Koło południa Winea zmieniła mu opatrunki. Obrzęk wokół obrażenia zmałał wyraźnie, a brzegi rozcięcia się zasklepiły. Rana goiła się zadziwiająco szybko.

— Dlaczego mi pomagasz? — zagaił cicho Mil, gdy strażnicy chwilowo osłabili uwagę.

— Bo tego potrzebujesz? — odparła w tonie pytania, unosząc ironicznie brwi.

Obserwował ją uważnie jednym okiem. Drugie było praktycznie zasłonięte siną opuchlizną. Gdyby nie opłakany stan, oceniłaby mężczyznę jako dość przystojnego. W rysach ewidentnie malowało się coś arystokratycznego, zupełnie niepasującego do wizerunku przydrożnego rabusia.

— Nie jesteś panienką z żadnego majątku — stwierdził, lekko unosząc kąciki pokiereszowanych ust. — Jesteś zbyt bystra, zbyt bezinteresowna i zbyt ładna.

Poczuła, że się rumieni. „Dziwne słowa jak na kogoś, kto za parę dni zawiśnie” — pomyślała.

Prowadzącemu karawanę ratajowi zależało, by dotrzeć do ziem lorda Edwarda przed zmierzchem, więc postoje stały się krótsze i rzadsze. Gdy późnym popołudniem ubity trakt zastąpiła ścieżka wijąca się coraz gęściej zalesionymi terenami, Ben wyraźnie zwiększył czujność. Winea potrafiła rozpoznawać ledwo dostrzegalne oznaki wyęźniania zmysłów, wyczuwała baczne nasłuchiwanie i skrywane napięcie. Wiedziała, że chłopaka coś mocno niepokoi. Dar również zauważył zmianę w zachowaniu przyjaciela.

— Mamy towarzystwo — szepnął od niechcienia łowca, wskazawszy symbolicznie głową mijane drzewa.

— Ilu? — westchnął muskularny wojownik.

— Wielu. Nie dadzą się dostrzec. — Nozdrza chłopaka chwytały zachłannie powietrze niczym u płowego niedźwiedzia. — Dużo skóry

i potu, mało metalu.

— Bandyci — mruknął brunet. — Musimy mieć przy sobie ostrza. Wineo, możesz jakoś odwrócić uwagę żołnierzy?

Jasnowłosa skinęła, kierując się w pobliże wózka. Po chwili pokazywała włócznikom coś na łańcuchach więźnia, gestykulując przy tym z przesadnym dramatyzmem. Burknęli parę przekleństw, odsuwając ją od leżącego. Worki z ekwipunkiem znalazły się niepostrzeżenie na plecach towarzyszy. Sznur podróżujących rozciągał się obecnie na dłuższym dystansie ze względu na niewielką szerokość drogi. „Powinniśmy ostrzec chociaż najemników” — pomyślała spięta Winea, podchodząc blisko szamanów. „Jadą tak rozrzuceni, że nie będą mieli żadnych szans na zorganizowaną obronę”. Obserwowała ukradkiem gęstwiny po obu stronach, automatycznie mobilizując całe ciało.

— Dobędziemy broni wyłącznie w obliczu bezpośredniego zagrożenia — warknął cicho Dar. — Czy to jest jasne dla ciebie, Wineo?

Zmusiła się, by przytaknąć. „Niech cię mrok, powierniku!” — gniewne myśli kłębiły się w niej. „Przecież zaraz będziemy świadkami rzezi!”

Drgnęła, odruchowo kuląc się na dźwięk nadlatujących bełtów. Obaj włócznicy pilnujący skazańca osunęli się na ziemię z jękiem. Dowódca ściągnął wodze w ostatnim momencie. Dwa drzewce wbiły się w bok zwierzęcia. Konny zeskoczył zwinnie, gdy rumak padał. Zewsząd wysypywali się wrzeszczący gardłowo napastnicy uzbrojeni głównie w miecze i krótkie topory, w większości niechronieni żadnymi pancerzami. Zaledwie kilku miało włócznie bądź hełmy. Było to jednak bez znaczenia. Kilkudziesięciu bandytów błyskawicznie unieszkodliwiło zaskoczoną obstawę. Ochroniarze nawet nie stawili oporu — rzucili ostrza i unieśli ręce. Jedynie najstarszy ze zwiadowców wybrał świadomie śmierć. Powalił z bojowym okrzykiem trzech oprychów, zanim legł pod ciosami łysiego draba z okropną blizną na twarzy.

Winea trzymała się jak najbliżej kompanów, zaciskając kurczowo pięści. Z ledwością powstrzymywała chęć wyszarpięcia broni. Dwóch roślących zbirów uwolniło z kajdan rannego skazańca.

Obchodzili się z nim z dużym szacunkiem, pomagając mu stanąć na nogi. „A więc chodziło o odbicie swojego herszta” — pomyślała Winea, czując w sobie nieznaczny zwrot nastawienia. „Ale czy to jakkolwiek zmienia nasze położenie?”

Leśni przestępcy nie atakowali nieuzbrojonych członków konwoju. Pokrzykiwali i szturchali ludzi, przeszukiwali wozy, bagaże i osobiste tobołki, napastliwie żądając kosztowności i pieniędzy.

W pewnym momencie do Winei podszedł wyjątkowo paskudny typ, szczerząc się rzadkim użębieniem.

— He, a co my tu takiego mamy? — Zbliżył się z obleśnie żarłocznym wyrazem twarzy. — Od ciebie dostanę znacznie więcej niż błyskotki.

Wyciągnął pożądliwie rękę do jej piersi. Winea nawet nie zdążyła zauważyć, kiedy i jak złamała mu ramię. Dopiero przeraźliwy wrzask nieszczęśnika kazał jej puścić koszmarnie wygiętą kończynę. Twarze wkoło wypełniło złowieszcze ostrzeżenie.

— Na mrok! — usłyszała przekleństwo powiernika.

Nagle stanął obok z wyciągniętym mieczem. Za plecami wyczuła ustawiającego się Bena. Sięgnęła po swój oręż, zaskoczona nagłym spokojem gorzkich myśli. „Przecież miałam tylko dotrzeć do jakichś cholernych ruin. Przebyć kawałek kontynentu. Odkryć tajemnicę. Przeżyć przygodę. Dać naszemu ludowi...”

Wyjęci spod prawa otaczali ich coraz ciaśniej, patrząc nienawistnie. Unieszkodliwiony łotrzyk klęczał, ściskając ramię. Jęczał boleśnie i warczał klątwy na przemian. Wrogie ostrza i groty zamknęły w końcu szczelny krąg, przyjmując szyk do natarcia.

— Stójcie! — Głos byłego więźnia zabrzmiał zdumiewająco władczo. Mil podniósł dłoń.

Wszyscy atakujący zamarli, oglądając się w jego stronę.

— Nie martw się, paniczu, pokażemy im, gdzie ich miejsce... — Łysy osiłek z długą blizną przechodzącą przez czaszkę, czoło i policzek przesunął się na dogodniejszą pozycję.

— Szrama, przypomnij mi, proszę: dlaczego to ja jestem wciąż przywódcą naszej grupy, a nie ty? — Rzezimieszek spojrział z krzywym uśmiechem na weterana. — Jesteś przecież silny i doskonale władasz mieczem. Pewnie nie pokonałbym cię w walce.

Zakapior zrobił minę, która pewnie oznaczała głębsze zamyślenie, drapiąc się bezwiednie po zarosniętej drodze.

— Bo to ty, paniczu, potrafisz sprawić, że wciąż wygrywamy i bogacimy się. — Skrzywił się z niesmakiem. — No, pominąwszy ostatni raz, ale wtedy nas nikczemnie zdradzono.

— Ano właśnie. — Szczupły mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. — A z kolei to, że umiesz poprawnie odpowiedzieć na moje pytanie, sprawia, że to ty jesteś moją prawą ręką, a nie któryś z naszych ludzi. Podejrzewam, że większość z nich mogłaby w ogóle nie wpaść na sensowną odpowiedź.

Zrobił kilka kroków w kierunku Winei i Bogdara, przyglądając się im badawczo.

— Szrama, skoro już ustaliliśmy, że i tak zrobimy to, co ja rozkażę, chciałbym jakoś wynagrodzić ci twoją lojalność i pomoc w odzyskaniu wolności. — Skinął lekko, by ten się zbliżył.

Powiernik minimalnie się poruszył i zmrużył oczy, a Winea odruchowo przesunęła się nieco, unosząc delikatnie ostrze.

— Przyjacielu, ta oto dziewczyna na tyle, na ile dobrze podsłuchałem rozmowy strażników, wędruje sobie po prostu do jakiegoś majątku, by pomóc w chorobie pewnej krewnej. — Zaczął spokojnym głosem, gdy bandyta ze szpetną pręgą przysunął się do przywódcy, zerkając na niego z dozą niepokoju. Ten stał z założonymi z tyłu rękami zupełnie swobodnie mimo niebezpiecznej odległości od uniesionych ostrzy. Najwyraźniej lekceważył zagrożenie, bo kontynuował bez emocji: — Ten zaś brunet to jej opiekun czy coś w tym rodzaju, a tamten rudas z tyłu to sługa ich rodziny. Przyjrzyj się im uważnie i powiedz mi, co o tym sądzisz.

Pytany uniósł ze zdziwienia brwi, początkowo zdezorientowany poleceniem, ale w końcu skoncentrował się na odpowiedzi.

— Gówna prawda. — Splunął w bok. — Ten zwalisty pachnie taką liczbą zabitych co ja, a ta dzierlatka... no cóż, jej ułożenie ciała to nic innego jak mrocznie dobrze wytrenowana postawa szermiercza. Jeśli ma pomóc swojej krewnej, to chyba tylko w dowodzeniu osobistą strażą. Stawiam swoje uszy, że oboje są ludźmi miecza.



— Twoja ocena jest niezwykle podobna do mojej, mój przyjacielu. — Mil znów uśmiechnął się do weterana. — A teraz pomyśl i powiedz mi: iloma dodatkowymi życiami naszych kamratów musielibyśmy zapłacić, by siłą zdobyć ich lichy majątek?

Były żołnierz zgrzytnął zębami. Widać było, że doskonale zrozumiał, do czego zmierza jego herszt.

— Cóż, uczmy się zatem dalej. — Łotrzyk przeniósł wzrok na powiernika. — Oto nasza propozycja. Oddajecie nam wszystko, co jest wartościowe, a my pozwalamy wam zachować życie. O reszcie zapominamy.

Dar mierzył go niemiłym spojrzeniem dłuższą chwilę.

— Dlaczego miałbym ci zaufać? — wycedził.

— Bo pozwolę wam zachować również broń. Zasadniczo wasza pozycja negocjacyjna nie zmieni się zbyt, czyż nie?

Znowu moment milczenia.

— Zgoda. — Dar rozluźnił się nieco i cofnął.

— Świetnie. — Mil uśmiechnął się samymi ustami i skierował z kolei w stronę Winei, podchodząc tak blisko, że mogłaby go dosięgnąć szybkim wypadem. Widać było, że nawet prosty ruch wywołuje u niego ból ran. — A teraz druga część umowy. Pieniądze i klejnoty należą się moim ludziom. To ich nagroda, którą właśnie wynegocjowałem i to bez zbędnych kosztów. Ja potrzebuję jednak osobnej zapłaty dla siebie. Czegoś innego, co będzie cenne akurat dla mnie.

Dziewczyna zeszytniała. Zmusiła się, by jej głos brzmiał swobodnie.

— Czego byś oczekiwał?

— Czegoś, co jest prywatnie miłą gratyfikacją.

— Jeśli ją choćby tkniesz... — Powiernik spiął się ponownie, podnosząc lekko miecz.

— Spokojnie, człowieku, spokojnie. — Mężczyzna uniósł otwartą dłoń, stopując wojownika. — Nie miewam zapędów, o jakie mnie właśnie posądzasz. Wymienię waszą wolność za prawdę. Powiesz mi ją, Wineo?

Dziewczyna lustrowała jego twarz. Przez wciąż zapuchnięte oko i posiniaczone wargi trudno było do końca odczytać emocje. Jednak

teraz wyraźniej nawet niż wcześniej widziała w nim kogoś należącego do wyższego stanu. Rozumiała, o co mu chodzi. I domyślała się, że chciał zdobyć informacje nie tylko z czystej ciekawości.

— Dobrze, powiem ci to, co mogę. — Opuściła miecz, robiąc krok. — Ale zabiorę też ze sobą trzy dowolnie wybrane przeze mnie przedmioty z mojego worka.

Zgodził się skinięciem głowy.

— Cóż, każdy ma swoje tajemnice — skwitował. — Ale oczekuję prawdy, która ma swoje znaczenie.

Stali blisko siebie. Ściszyła głos tak, by mieć nadzieję, że słyszą ją tylko będący w bezpośrednim sąsiedztwie.

— Jesteśmy Darzanami — zaczęła.

Mil uniósł brwi. Zamyślił się.

— Rozmawiasz z Wineą, zaprzysiężonym Szarim i osobistym uczniem wyznaczonym przez Najstarszego. — Uświadomiwszy sobie, że ten tytuł może nic nie mówić ludziom spoza Sid, dodała: — To tak jakby nasz król.

Słuchający wygiął usta z niesmakiem.

— Dziewczyno, proszę cię, nie miej mnie za zupełnego ignoranta. Wiem co nieco o Darzanach. Nie musisz mi tłumaczyć, kim jest Najstarszy.

„Nie byłabym tego taka pewna” — pomyślała, ale pozostawiła jego wypowiedź bez komentarza.

— Mój towarzysz obok jest powiernikiem życia. To ktoś znacznie więcej niż wojownik. Bez wahania zginąłby w mojej obronie. I możesz być tego pewny, że zostawilibyście tu nie tylko swojego Szramę, ale też tuzin innych.

Przywódca bandy pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć „być może”.

— Ten dryblas za nami to doskonały łowca. Jest naszym tropicielem i przewodnikiem. Dał nam znak o pułapce na długo przed atakiem twoich ludzi. I gwoli ścisłości: on też zabrałby paru z was na drugą stronę Wrót Przejścia.

Ostatnie zdanie dodała jeszcze ciszej.

— Powierzono mi do wykonania tu, na północy, pewną misję, o której nie usłyszysz ode mnie niczego poza tym, że nie dotyczy ona spraw ludzi z kontynentu.

— Rozumiem — skomentował krótko. Ułożył usta w dziubek. — Czy to prawda... z tą waszą Wielką Przysięgą i... no, tym całym czarowaniem?

Wiedziała, że powinna teraz zamilknąć. Miała też świadomość, że Dar ostro ją zrugą, jeśli powie cokolwiek o tym, o czym nie wolno jej było wspominać w żadnym kontekście, ale co cisnęło się na usta. Nie potrafiła jednak przestać być sobą. Nakazy, którym musiała być wierna, toczyły w jej umyśle nieustanny bój z pragnieniami osobowości.

— W każdej pogłosce z reguły tkwi ziarno prawdy — powiedziała bardzo ostrożnie, a w myślach dodała: „Wierz mi, Mil, że gdybym mogła użyć wszystkich moich zdolności, samodzielnie rozsmarowałabym was wszystkich po okolicy jak dżem”.

— Ach... — Młodzieniec znów uniósł brwi, patrząc przenikliwie. Miała nieodparte wrażenie, że odczytał przekaz, zapewne dostrzegłszy emocje w jej oczach. — W takim razie będę zmuszony gromadzić jeszcze więcej pogłosek.

Nie zareagowała. Utrzymywała spokojny kontakt wzrokowy. W końcu to on popatrzył w kierunku swoich butów.

— Czego chce Sid? — zapytał, rozumiejąc, że poprzedni wątek został wyczerpany.

Dziewczyna zmarszczyła brwi. „Czego chce nasz lud?” — sama musiała zadać sobie to pytanie.

— Wiedzy — rzekła z wahaniem. — I spokoju.

— Wiedza to władza — mruknął.

— Dla nas wiedza to przede wszystkim bezpieczeństwo. I niezależność. Nie szukamy władzy.

Po chwili milczenia Mil westchnął lekko.

— Nawet nie wiesz, Wineo, jak istotne informacje mi właśnie przekazałaś. Są warte naszej umowy. — Drgnął, jakby miał odejść, ale się zawahał. — Kto wie, może nasze drogi kiedyś się jeszcze przetną.

— Oby nie — odparła.

Uśmiechnął się, po czym ruszył w stronę lasu, utykając. Wydał kilka rozkazów, w dużej mierze gestami. Jego ludzie natychmiast wrócili do działania. Dokończenie odbierania kosztowności członkom karawany trwało krócej niż dopiero co skończona rozmowa.

Gdy ostatni ze złoczyńców zniknął wśród drzew, Winea wzięła głęboki oddech, dopiero teraz uświadamiając sobie, jak bardzo była napięta przez cały ten czas.

Niewiele później opuścili karawanę. Skierowali się na północ, ku widocznym z daleka niewysokim wzgórzom. Nikt ich nie zatrzymywał. Dziewczyna zauważyła kilka wrogich spojrzeń, ale większość członków konwoju nawet nie patrzyła w ich stronę. Starali się nie wiedzieć, nie myśleć, zapomnieć. Zająć własnym nieszczęściem i pozbieraniem się, by ruszyć dalej. Nie miała wątpliwości, że obecność niepokojąco dziwnej trójki Darzan wkrótce przestanie być tajemnicą.

Ben prowadził ich pewnie i szybko. Milczeli. Pod wieczór dotarli do skalistego miejsca, które okazało się odpowiednie na odpoczynek. Z tego punktu mogli obserwować praktycznie całą okolicę, sami będąc niewidocznymi.

Winea czuła się coraz bardziej niezręcznie z powodu krępującego braku rozmów. „O co chodzi?” — zastanawiała się. „Przecież udało nam się wyrwać śmierci. Jesteśmy cali, podążamy do celu. Czy moja sugestia istnienia magii aż tak bardzo zachwiała wiernością przysiędze Szarim?” Stała przed powiernikiem, podpierając pięściami boki. Widziała w jego twarzy silne emocje pulsujące pod powierzchnią samokontroli. Jakby dusił w sobie jakieś ciężkie słowa, których wypowiedzenie na głos czekało tylko na dogodny moment.

— No, wyrzuć to z siebie, Dar — zaczęła, woląc szybko oczyścić atmosferę i mieć to za sobą. — Wylej w końcu na mnie to słuszne oburzenie. Myślisz, że nie wiem, że źle zrobiłam, odpowiadając temu typowi w taki sposób?

— Źle zrobiłaś — przyznał, kiwając głową w zamyśleniu.

„I to tyle? Żadnego łajania, reprimendy, słusznego uniesienia i odwoływania do praw Szarim?”

Powiernik przyjrzał się jej bardzo uważnie, jakby widział ją pierwszy raz po długiej rozłące. Tym razem postanowiła poczekać, aż sam się odezwie. Spuścił wzrok i przetarł dłońmi twarz.

— Nie przeżylibyśmy — stwierdził z dziwnym skupieniem.

— Zapewne tak. — Wzruszyła ramionami, nie wiedząc, do czego tamten zmierza. — Ale udało się. Żyjemy. Niestety straciliśmy wszystkie fundusze i sporo bardzo użytecznego ekwipunku.

— To tylko rzeczy — mruknął, machnąwszy ręką. — W całej mojej przeszłości mnóstwo było przypadków, że aby ktoś mógł przetrwać, wielu musiało zginąć. Tym razem stało się inaczej. Czy wiesz, co sprawiło, że nam odpuścili?

Zmarszczyła brwi. „Czyż to nie oczywiste? Mil przekalkulował sobie, że nie opłaca się tracić tylu ludzi tylko po to, by nas pokonać i zabrać dobytek. Mógł dostać go, używając jedynie groźby”.

— Mieliśmy szczęście? — zaryzykowała odpowiedź.

— Szczęście sprzyja wyłącznie bohaterom — dorzucił z uśmiechem Ben, krzątając się, by przygotować choć trochę wygodniejsze miejsce odpoczynku. — Tak przynajmniej słyszałem.

— Szczęściem było jedynie to, że ich przywódca nie okazał się zwykłym, tępym rabusiem i mordercą, co uznaję za naprawdę wyjątkowe — rzekł wojownik z lekkim westchnieniem. — Nie bądź naiwna. Ten cały Mil nie utrzymałby się jako herszt takiej hołoty nawet przez tydzień, gdyby powstrzymywał swoich rębaczy, kiedy tylko ktoś wyglądający na niebezpiecznego wyciąga ostrze. To bandyci, Wineo, nie paladyni. Sensem ich działania są brutalność, okrucieństwo, żądza zabijania i odwaga. Ich szeregi uszczuplają się za każdym napadem i utarczką. Oni akceptują fakt, że to tak działa.

Dziewczyna musiała przyznać mu rację. Faktycznie, Mil sporo ryzykował, wydając taki, a nie inny rozkaz. Teraz widziała to dobitnie. Trzeba mu oddać, że dość zręcznie poprowadził ograniczone umysły swoich żołnierzy ścieżką prawdopodobnie mocno nietypową dla ich sposobu myślenia. Do uzyskania pełnego posłuszeństwa wszystkich wystarczyło, że Szrama poddał się jego

decyzjom. Autorytet weterana niejako zwalniał resztę z obowiązku samodzielnego zastanawiania się nad tym, co jest słuszne.

— To co twoim zdaniem zapewniło nam oswobodzenie? — zapytała wojownika, ale z odpowiedzią wtrącił się łowca, który wreszcie z ulgą rozsiadł się wygodnie:

— Ty to sprawiłaś, Szarim, qi-szamanko z dziwnym elite, niepokojącym ke, zastanawiającym imieniem i intrygującym spojrzeniem.

Uniosła wysoko brwi, patrząc to na jednego, to na drugiego. Mężczyźni byli jednak poważni, choć każdy na własny, zupełnie odmienny sposób.

— Zaczynam powoli rozumieć arcymistrza, choć przyznaję, że początkowo wyznaczenie cię do tej misji uważałem za... no cóż, co najmniej zadziwiające. — Dar uśmiechnął się przepraszająco.

Winea odkryła, że nie czuje się tym osądem urażona. Ona sama miała przecież mnóstwo wątpliwości. Zasadniczo wciąż nie rozumiała do końca wyborów Najstarszego.

— Zgadzam się z Darem. — Ben również przyglądał się jej ostrożniej niż zwykle. — Jest w tobie coś, co sprawia, że nie znikasz w tłumie. Najczęściej zauważamy w swoim otoczeniu tylko te osoby, które z jakiegoś względu są wyraziste. Czasem sprawia to styl noszenia się bądź zachowanie. Czasem jednak przykuwa uwagę ktoś, kto nie wyróżnia się spośród innych ani ubiorem, ani ekscentryzmem w sposobie bycia, tylko czymś, co ma w sobie. W środku. — Uśmiechnął się, przekrzywiając swoim zwyczajem głowę i mrużąc nieco oczy. — I ty to właśnie masz, ptaszyno.

— A co konkretnie masz na myśli, łowco? — zapytała z uśmiechem, czując się coraz bardziej nieswojo z tym poważnym tonem wypowiedzi towarzyszy.

— To coś, czego nie da się nauczyć na Orin — rzekł spokojnie powiernik. — Ani nigdzie indziej. Mają to czasem królowie lub wielcy dowódcy, czasem ci, za którymi podążają inni. — Podniósł na nią spojrzenie. — Ale zawsze widać to w oczach takiego człowieka. To dlatego Mil podjął ryzyko. Tak naprawdę postanowił uratować ci życie.

Winea pogrążyła się w rozmyślaniach. Przypomniała sobie spojrzenie bandyty, gdy opatrywała mu rany. On też należał do tych wyrazistych. Czy decyzja Najstarszego rzeczywiście mogła brać pod uwagę jej osobowość? Do tej pory myślała, że wyłącznym powodem wysłania do Wieży Dwóch Światów akurat jej był unikalny rodzaj magii uwidoczniiony w Sali Objawień. A nadanie statusu osobistego ucznia? Tu nie widziała żadnego związku z jej mocą.

— Pamiętaj jedynie, Wineo, że twoje światło będzie rzucać cień na wszystkich, którzy się z tobą zwiążą. — Dar błędził wzrokiem gdzieś daleko. — Im mocniejszy blask, tym wyraźniejsze cienie.

## VII. Każdy wybór ma swoją cenę

Po dwóch dniach szybkiego podążania na północny wschód dotarli do kolejnego lasu, ostatniego do pokonania. Im bliżej celu się znajdowali, tym więcej myśli Winei dotyczyło prawdziwej misji. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wyzwanie zacznie się dopiero po teleportacji na Amadal. O ile użycie Przejścia Królów w ogóle okaże się możliwe. Najgorsze było to, że choćby nie wiadomo jak dużo rozważała, i tak niewiele mogła zrobić, by lepiej się przygotować. Tak naprawdę nie miała bladego pojęcia, z czym zmierzy się w świecie znanym jej jedynie z legend. Wszystkie założenia przyjmowane w tym względzie były zaledwie ogólnymi spekulacjami. Gdy znajdzie się po drugiej stronie, i tak będzie zmuszona decydować na bieżąco, reagować zgodnie z rozwojem wypadków. Spontaniczność była bliska jej naturze, ale nie gdy chodziło o sprawy dotyczące odpowiedzialności Szarim. Czuła się coraz bardziej spięta i zagubiona. Towarzystwo obu mężczyzn stawało się nieocenionym źródłem wsparcia. Dodawali jej otuchy już samym profesjonalizmem i talentem, ale to ich życzliwość uznała za prawdziwy dar od losu.

W pewnym momencie Ben zatrzymał się i dał dłonią znak „ludzie przed nami”. Podeszli ostrożnie do jego pozycji.

— Na ścieżce — szepnął, wskazując głową ledwie widoczny przez drzewa szlak. — Wędrująca grupa. Spora i powolna. Cywile.

Winea nie mogła się nadziwić, jak trafnie łowca odczytywał tego typu szczegóły. „Albo jego zmysły wykraczają poza ludzkie normy, albo to kwestia dużego doświadczenia. Możliwe też, że jedno i drugie” — stwierdziła. Podkradli się bliżej, by móc obserwować nadchodzących. Na ścieżce pojawiło się czoło nieśpiesznie posuwającej się kawalkady żałośnie wyglądających postaci. „Wieśniacy z rodzinami i dobytkiem? Dlaczego idą w tak dużej liczbie na północ? Tam są przecież już tylko góry”. Winea zwróciła się z pytaniem w oczach w stronę powiernika. Ten z mroczną miną nakazał jej gestem obserwować uważniej. Przyjrzała się ponownie nieuporządkowanej kolumnie pieszych. Bardzo niewielu mężczyzn, głównie kobiety z dziećmi i starcy, trochę wozów i prowadzonego wiejskiego inwentarza. Bandaże, gdzieś krew na ubraniach, na skórze. Jeden z wozów z wyraźnymi śladami świeżego nadpalenia. I ta wszechobecna apatia wymieszana z bólem w twarzach. Jakby coś odebrało im sens wszystkiego i jakby zostało im tylko monotonne podążanie naprzód. „Na Jasność! To muszą być uciekinierzy z jakiejś splądrowanej wsi” — zauważyła przerażona. „Ale co aż tak strasznego się wydarzyło, by zostali zmuszeni do masowego porzucenia miejsca swojego życia?”

Patrzyli w milczeniu na coś, co przypominało bardziej kondukt żałobny niż gromadę podróżnych. Nawet towarzyszące ludziom psy człapały osowiałe, zupełnie jakby i one pogrążone były w jakiejś obezwładniającej stracie. Nim Winea zdążyła otrząsnąć się z ogarniającej ją fali grozy, usłyszeli narastający tętent i brzęk metalu dobiegające z południowego kierunku. Chłopi w nagłej trwodze zbili się w grupę. Kobiety heroicznie przytulały przerażone dzieci. Garstka mężczyzn zasłoniła resztę, niepewnie stając na froncie. Paniczny strach udzielił się nawet zwierzętom, które zaczęły kwiczeć, muczeć i beczeć.

Do ścieśnionego tłumu podjechali z impetem lekkobrojni żołnierze w barwach wojsk Drenara dzierżący krótkie włócznie. Zatrzymali konie gwałtownie tuż przed farmerami, aż ci zasłonili się



ramionami. Oblicza kilkunastu żołdaków pełne były buty i wrogości. Większość z nich miała jedynie lekkie kolczugi i garnczkowate hełmy, kilku też nosiło napierśniki.

— I kogo my tu mamy?! — Gromki głos dowódcy ociekał kpina. — Uciekinierów, którzy zdradzają swojego króla. Zamiast pracować na chwałę jego potęgi, wołają zdychać z głodu wśród zimna i śniegu.

Pancerz na jego piersi zdobiły dwa skaczące kozły. Ściągał silnie wodze, a jego koń drobił kopytami, rżąc i parskając.

— Czy jest wśród was ktokolwiek, kto odpowiada za pozostałych? Czy mam do was mówić jak do bezwolnej zbieraniny szumowin i tak was potraktować?

Zbiorowisko lekko zafalowało. W końcu krok przed wszystkich wystąpił postawny, jednooki starzec.

— Jam jest tym. — Jego wypowiedź była ledwie słyszalna z odległości, w której przyczajeni Szarim obserwowali scenę. — Obecnie.

Konny wykrzywił usta wzgardliwie.

— Powiedz w takim razie swoim... — Oparł dłoń na rękojeści miecza. — ...że nie są już mieszkańcami kontynentu, lecz wygnańcami. Jako takim odmawia się im prawa do posiadania czegokolwiek. Chcecie zemrzeć w górach? Zdychajcie tylko w tym, co macie na sobie. Konfiskujemy cały wasz dobytek.

Wyprostował się w siodle, patrząc wyniośle z odrazą. Większość żołnierzy zsiadała z koni. Niektórzy dobywali mieczy, zbliżając się do załężnionych, rozglądających się po sobie ludzi.

Winea nie mogła uwierzyć w to, czego była świadkiem. „Przecież to obywatele Korony! Bez żywności nie mają szans przetrwać zimy” — próbowała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. „A żołnierze? Jak mogą skazywać swoich rodaków na taki los? Co się tutaj dzieje?”

Poczuła na ramieniu twardą dłoń Bogdara. Bezbłędnie odczytywał jej emocje. Pokręcił przecząco głową, przyglądając się z niepokojem jej twarzy. Zdusiła w sobie zalewający ją gniew, zaciskając pięści. Nie mogła jednak nie patrzeć. A nawet gdyby odwróciła wzrok, nie mogła nie słyszeć tych rozdzierających serce błagań i rozpaczliwego szlochu kobiet, wulgarnych docinków

zbrojnych i wyrywającego się tu i ówdzie złorzeczenia. Widziała, jak bezlitośnie obrabowywani uchodźcy toną w historycznej beznadziei. Tylko na nielicznych obliczach malowała się błyskająca wściekłość. Fala emocji targała jej duszą. Mignęło wspomnienie obezwładniającej iluzji w Czułości Bez Dna, przez którą omal nie postradała zmysłów.

„Kim jestem? Czy mogę się od tego odciąć? Czy potrafię?” — szalone myśli kotłowały się, stopniowo wyślizgując wpojonej samokontroli. „Jesteś Szarim, światłem i drogą dla swego ludu” — zasadniczy głos pohukiwał gdzieś w jej głowie w odpowiedzi. „Ale kim jesteście poza Sid? Czy światło i miecz należą się tylko Darzanom? Czy te kobiety są jakieś inne? Nie mają godności? A ich dzieci? Czym różnią się od naszych?” — dręczona wątpliwościami nasłuchiwała jakichś odpowiedzi swoich mentorów i mądrych, zakodowanych głęboko w jej podświadomości. Cisza. Przywołała w pamięci obraz Najstarszego jako tego, który był zawsze najwyższą wyrocznią dla jej sumienia. Stał z rękami założonymi z tyłu, wyprostowany, milczący. Czyżby jak zwykle zostawiał decyzję jej samej, zaintrygowany wyborem?

— Wineo... — Trwożliwy szept Bena z ledwością przykuł jej uwagę. — Nie rób tego, błagam. Przysięga...

Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc. Gapił się na nią rozszerzonymi ze strachu oczami. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że jej skóra pulsuje lekkim światłem zgromadzonej magii. Pulsuje! Jak dużo mocy musiała aktywować, by wywołać taki efekt! Odruchowo zrobiła głęboki wdech i przymknęła oczy, spoglądając do wewnątrz swojej jaźni. Ileż było w niej blasku! Przestraszyła się. Wyuczone instynkty kazały jej natychmiast wygasić energię. Wdech, wyyydech, wdech, wyyydech... Czuła wewnętrzne drżenie, gdy wycofywała się ku bezpiecznej przystani głęboko w umyśle.

Gdy odzyskała stabilność, ponownie objęła spojrzeniem szlak. Żołdacy odbierali dosłownie wszystko, nawet liche tobołki przewiązane przez ramiona wieśniaków. Metodycznie przeszukiwali każdego, czy mężczyznę, czy kobietę, czy dziecko. Winea odnosiła wrażenie, że chodzi o jakąś karę, o dobitne świadectwo, co władza Drenara pochwała, a czego nie. O zgładzenie wszystkich, skazanie

ich na udrękę i powolną śmierć, bez konieczności zabijania. W pewnej chwili jeden z żołnierzy uderzył w twarz młodą kobietę. Gdy upadła na kolana, chwycił w garść jej włosy i zaczął wlec w stronę drzew. Kompani wiwatowali, pogwizdując i dopingując go. Starzec z przepaską na oku drgnął w ich stronę. Postawił kilka kroków, zaciskając dłonie na kosturze, a wtedy inny z wojowników podszedł od tyłu i poderżnął mu gardło. Przez ogólny hałas przedarł się przeraźliwy wrzask małego, może siedmioletniego umorusanego chłopca.

— Właśnie zmieniłem zdanie! — rzucił głośno oficer oddziału, wyciągając miecz. — Jednak nie jesteście wygnańcami. Jesteście zdrajcami. Odebrać im również godność i wyrznać!

Rozkaz w jednej chwili przeobraził dotychczasową grabież w bezduszną rzeź. Gdy miecze rozpoczęły swój bestialski taniec, ludzie rozbiegli się na wszystkie strony. Brzęknęły mechanizmy kusz. Kilka postaci padło, będąc już wśród drzew. Krótka włócznia przyszpiliła kobietę do pnia. Z wiotczących ramion wysunęło się zawinięte dzieciątko i upadło na ziemię u jej stóp. Jego płacz zakończyło beznamienne, wręcz leniwe pchnięcie miecza.

Winea nagle знаła wszystkie odpowiedzi. Nie potrzebowała ani wskazówek, ani akceptacji. Nie potrzebowała magii. Cała jej rzeczywistość zawęziła się do jednego przepotężnego pragnienia. Pragnienia, którego nigdy wcześniej nie czuła. Wystrzeliła z ukrycia niczym z procy, odtrącając ręce towarzyszy rozpaczliwie próbujących ją zatrzymać. Nie pozwoliła sobie na krzyk. Gdzieś w środku stała się lodowato skoncentrowana. Pierwszy z żołnierzy na jej drodze był tak zaskoczony, że nawet nie zdążył dobrze podnieść bloku. Minęła go, znacząc szyję mężczyzny cienką linią szybko wypełniającą się krwią. Gdzieś na krańcach postrzegania słyszała przekleństwa powiernika podążającego jej śladem. Gdy sprytnym zwodem zbiła nieudolny cios kolejnego przeciwnika, trafiając go ręką w twarz, dostrzegła kątem oka nerwowe napinanie kuszy. Dwaj konni osunęli się w siodłach, zanim zdążyli skutecznie wycelować. Wiedziała, że kiedy przyjdzie im działać, to Ben okaże się nieoceniony, nawet jeśli jego zdolności używania kurrari służyły wcześniej głównie do polowań.

Wykorzystując pęd, roztrąciła nastawiane pośpiesznie włócznie. Znalazła się zbyt blisko, by wojownicy dzielący ją od oficera mogli zagrozić jej taką bronią. Jeden z nich próbował sparować uderzenie drzewcem, ale się przeliczył. Klingi Szarim kuto z naprawdę solidnej stali. Przed rozplątaniem uratowała go tylko kolczuga, ale i tak upadł od siły łupnięcia. Drugi odskoczył. Wyszarpnął własną, krótszą i szerszą, broń. Ostrza spotkały się kilka razy w błyskawicznym tempie. Winea weszła w klincz, by dosięgnąć nieosłoniętego miejsca drugą ręką. Ostry jak brzytwa nóż łowcy zakończył starcie. W jakiś sposób wyczuła ruch z tyłu, a świadomość zbliżającego się niebezpieczeństwa kazała jej gwałtownie zareagować. Uchyliła się w ostatnim momencie, ale i tak długa linia bólu zapiekła ją na plecach. Ogień na szczęście płytkiego cięcia wstrząsnął nią tak dogłębnie, że aż jęknęła. Odwróciła się w okamgnieniu, ustawiając zasłonę. Dowódca, którego ataku nie zdołała dostrzec, uniósł się ponownie w strzemionach, by tym razem dokończyć dzieła. Nagle jego koń stanął dęba, drżąc i parskając. Trzy czarnopierzaste punkty widniały na jego boku tuż przed siodłem. Coraz chaotyczniej przestawiał kopyta, chwiejąc się tak mocno, że jeździec musiał się całkowicie skupić na tym, by nie spaść. Winea przeskoczyła na drugą stronę rumaka, przeciągając przy okazji końcem miecza po jego przednich kończynach. Mężczyzna uniknął przygniecenia, ryzykownie zeskakując i odtaczając się od upadającego zwierzęcia. „Musi chyba spać w tym pancerzu, skoro jest w stanie tak zwinnie się w nim poruszać” – zdziwiła się w myślach.

Dostrzegła obok walczącego Dara. Z ledwością powstrzymał trzech żołnierzy idących w sukurs dowódcy. Efekt zaskoczenia dawno już minął. Czerwony od gniewu na twarzy oficer wykrzykiwał rozkazy pomieszane z przekleństwami. Zachowywał dystans. Spoglądał co chwila lękliwie w stronę lasu. Kilku podkomendnych na jego polecenie wbiegło między drzewa i podążyło w kierunku Bena. Było jasne, że nieznany wróg skutecznie rażący z ukrycia jest znacznie bardziej niebezpieczny niż dwaj widoczni przeciwnicy. Mimo że Darzanie nie prowadzili wojen ani nie brali udziału w żadnej z bitew, z jakichś względów edukacja Szarim obejmowała

również elementy taktyki walki. Dzięki temu Winea wiedziała, że jedynym cieniem szansy na przeżycie jest zlikwidowanie właściciela napierśnika ze skaczącymi kozłami.

Rzuciła okiem na Dara. Unieszkodliwił wprawdzie już dwóch napastników, ale i tak musiał mierzyć się z kolejnymi. Napierali na niego, próbując go powalić lub wyminąć, ale na niezbyt szerokiej ścieżce wciąż udawało mu się ich blokować. Poruszał się z godną podziwu szybkością i sprytem, uderzając z niesamowitą siłą. W paru miejscach ubranie szamana zabarwiło się jednak czerwienią. „Na długo ich nie zatrzyma” — pomyślała z rosnącym strachem. Przez ułamek chwili wahała się rozdarta między pokusą wsparcia powiernika i szansą zaatakowania odseparowanego jeszcze szlachcica. Ostatecznie zaszarżowała na dowódcę, licząc, że część zbrojnych w końcu minie jej towarzysza, schodząc ze ścieżki między drzewa. Może wówczas udałoby mu się dotrzymać pola pozostałym. Chociaż tak mogła go wesprzeć.

Trening na Orin boleśnie uświadomił jej przewagę, jaką daje porządny pancerz. „Nigdy nie atakuj rywala zakutego w stal, będąc sama w koszuli” — instrukcje Rejwana brzmiały, jakby mentor dopiero co je wykrzyczał. „Jeśli jednak popełniłaś ten samobójczy krok, musisz zaryzykować coś naprawdę szalonego, czego się nie spodziewa. Szybkość i zaskoczenie to jedyne karty, na które możesz postawić”.

Natarła w sposób, który miał wyglądać na rozpaczliwą próbę wykonaną przez kogoś niedoświadczonego. Przeciwnik zbił jej uderzenie, wykrzywiając wzdargliwie usta. Udając wytrącenie z równowagi, rzuciła mu w twarz nóż możliwie najszybszym ruchem drugiej ręki. Szarpnął głową w tył na tyle gwałtownie, że stracił na moment stabilność postawy, ale nie wystarczająco, by całkowicie ustrzec się rąbnięcia rękonością w policzek tuż pod okiem. Winea wielokrotnie widziała, jak po takim uniku człowiek odruchowo wyciąga do przodu ramiona. To była ta niepowtarzalna okazja, na którą liczyła. Wyprowadziła krótkie, mocne cięcie w trzymającą miecz rękę. Planowała grzmotnąć w dłoń, ale trafiła powyżej zarękawia, przebijając się głęboko do kości. Wrzasnął krótko, upuszczając broń i chwytając się za ranę na prawie odrąbanym

przedramieniu. Chlasnęła go ostrzem na odlew przez twarz, jak najszybciej odwracając się w stronę instynktownie wyczuwanego zagrożenia. W ostatniej chwili zareagowała na niemal równoczesny atak dwóch żołnierzy. Prawie cudem zdołała odbić pchnięcie włóczni, ale nie miała już możliwości zatrzymać bocznego natarcia mieczem. Ostra krawędź metalu wgryzła się w jej bok tuż nad biodrem. Zachwiała się, cofając kilka kroków, jednocześnie czując wilgoć szybko rozprzestrzeniającą się na udo i łydkę. W oczach żołdaków dostrzegła głód mordy i pewność zwycięstwa. Cień nieuniknionej śmierci musnął jej umysł. Wtedy dostrzegła, jak Dar porzuca swoją pozycję na ścieżce i z okrzykiem furii naciera na jej przeciwników, odwracając ich uwagę. Odebrane wyszkolenie pozwoliło jej natychmiast zrozumieć to, na co się właśnie zdecydował. Odślonił własne plecy. Wiedziała, co się zaraz stanie. Nie mogła nic zrobić, patrzyła tylko, jak grot nadlatującej włóczni przebija mu plecy i wychodzi piersią. Powiernik wyprostował się, upuszczając oręż. Gdy jego muskularne ciało opadało, czas dziwnie zwolnił. Tak bardzo, jakby miał zamiar całkiem się zatrzymać.

— Daaaaaaaaaaaaaaaaaar!!! — Pełen rozpaczy, przeciągły krzyk rozdziera materię otaczającego ją świata. Słyszy go tak, jakby uszy pełne były wody, choć głos wydaje się wydobywać z jej własnego gardła. Ale to przecież nie ONA. JEJ to nie dotyczy. Jest oderwana od tego miejsca, zdarzenia, zgromadzonych istot. Zawieszona w jakiejś wygłuszonej i spowolnionej rzeczywistości. Wtedy widzi błyskawicznie następujące po sobie sceny i obrazy. Rozpoznaje je. Te same fragmenty wizji, których szamanka... Winea doświadczyła dzięki Wszechmatce. Zalewający ją ostatecznie bezmiar światła sprawia, że wszystko nabiera ponownie ruchu, barw i dźwięków, choć zostaje osobliwie osadzone w czasie i przestrzeni. Tak jakby było tu i teraz, a zarazem zupełnie gdzie indziej, w innym wymiarze, z niezrozumiałym przeniesieniem tożsamości. Z zaskoczeniem uzmysławia sobie, że wysyła w kierunku rannej... Szarim falę potężnej energii. Ta kobieta, która NIA nie jest, nie czuje teraz bólu. Nie czuje strachu. Podnosi ostrze i rusza na odwracających się do niej żołnierzy. Mężczyźni walczą z nią jakoś niezdarnie, ruszając się powoli. Reagują z zaskakującym opóźnieniem.

*Ich ciosy, dziwnie lekkie, przewidywalne, oczywiste, nie mogą stanowić dla niej żadnego zagrożenia. Kobieta powala ich wszystkich po kolei, przebijając się prostymi uderzeniami przez kolczugi i elementy zbroi, nagle kruche niczym z pergaminu. Giną tak łatwo i zwyczajnie. Część jej świadomości jest zdezorientowana, nierozumiejąca tego, co się stało, co się dzieje, niczym oderwana. Ale to przecież nie ONA sama. ONA jest tym, co wewnątrz odczuwa obecnie jedynie zadowolenie i spokój. I moc. Dopiero teraz jest SOBĄ. Przygląda się, jak z lasu wybiega czterech innych zbrojnych. Pamięć smukłej jasnowłosej dziewczyny podpowiada, że to ci, których posłano wcześniej przeciw wysokiemu rudowłosemu chłopakowi. Ma na imię... Ben. Wojskowi próbują ocenić sytuację zdezorientowanym wzrokiem. Jeden z nich odruchowo rzuca spojrzenie za siebie. „Dzięki niech będą Jasności. Nie dorwali Bena” – pojedyncza myśl młodej wojowniczkii dociera do NIEJ, zabarwiona ulgą. Żołnierze nerwowo lustrują ścieżkę, przeskakując wzrokiem między sobą, trupami, końmi, dziewczyną ruszającą ku nim z ociekającym krwią ostrzem i ludźmi gromadzącymi się za jej plecami. Niezdecydowanie znika, gdy jeden z nich rzuca się w stronę wierzchowców. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pozostali idą w ślady kompana. Wtedy nagle rzeczywistość znowu się zmienia, wracając do normalnego tempa wraz ze scalającą się świadomością. Znowu jest tylko sama ze sobą. W sobie.*

Wcześniejsza niezrozumiała siła i pewność siebie wyciekły z Winei, zapraszając w zamian rwący ból boku, głębokie pieczenie pleców i ramienia, ciężkość mięśni. Do jej umysłu wróciły strach i przytłaczające jak głaz poczucie straty. Mimo że nogi się pod nią ugięły, odwróciła się natychmiast w stronę przebitego włócznią przyjaciela. Zaskoczył ją widok kilkunastu postaci stojących wokół niego. Młode kobiety, paru starszych mężczyzn, kilku młodzików. Zdeterminowana postawa ciał, w dłoniach kije, kamienie, jakiś odebrany miecz, fragment dyszla, nieporadnie trzymana włócznia. Nieco za nimi na ziemi nieruchomy trup oficera ze sterczącym z brzucha ułamanym drzewcem. Skupiła uwagę wyłącznie na powierniku. Podeszła i osunęła się na kolana obok niego. Leżał na boku bez ruchu, wciąż przytomny, zapatrzony na nią. Jego pierś

unosila się płytko. Pochyliła się nad nim. „Przebite płuco, prawdopodobnie uszkodzony kręgosłup, błyskawiczny upływ krwi” — zimny racjonalizm wyuczonej oceny bezlitośnie zgasił w niej jakiegokolwiek szamocące się skrawki nadziei. Dotknęła ostrożnie muskularnego ramienia, czując ogarniającą ją pustkę. „Jasności! Ten wspaniały człowiek, oddany Szarim, odchodzi z mojego powodu!” — ta prosta myśl wbiła się w jej duszę niczym zatruty bełt.

— Wineo... — Głos leżącego był ledwie szeptem. — Jestem dumny, że mogłem... chronić cię. To, co... zrobiłaś, jak walczyłaś... — Na chwilę przymknął oczy, mobilizując ostatki sił. — Widziałem to już kiedyś... teraz rozumiem, kim jesteś... Najstarszy... ty musisz być...

Potęźnie umięśnione ciało zwiotczało w jednej chwili, a nadal otwarte oczy znieruchomiały, tracąc blask. Winea długo klęczała zastygła, nie mogąc choćby drgnąć. W końcu przesunęła dłonią po szorstkiej twarzy wojownika, zamykając mu powieki. Nigdy nie zastanawiała się, jak to jest wykonać ten gest pierwszy raz w życiu. Osobiście pożegnać kogoś, kto zdążył stać się bardzo bliski. Młoda qi-szamanka objęła się ramionami, czując płynące po policzkach łzy. Popatrzyła bezwiednie, jak poważny na twarzy Ben pomaga ludziom się pozbierać. Słyszała jego ciche słowa usiłujące wydobyć z rozpacz i bezsilności tych, którzy znowu stracili dziś kogoś dla siebie ważnego.

— Musicie jak najszybciej stąd uciekać... Nie grzebcie zabitych... Weźcie ocalałe konie... Zostawcie dobytek... Jedźcie w góry jak najszybciej, oni ruszą za nami... — Do Winei docierały tylko urywki jego wypowiedzi, jak oderwane od całości okrucy.

W końcu podszedł też do niej. Podniósł ją delikatnie za ramiona i popatrzył w oczy. W jego spojrzeniu nie znalazła Bena. Był ktoś inny, zgaszony, ale zdeterminowany Szarim.

— Jeśli mamy przetrwać, musimy natychmiast uciekać. Poprowadzę nas do bezpiecznego miejsca. Twoja misja jest najważniejsza.



Podążała za łowcą w milczeniu, z odrętwieniem w umyśle, skupiona wyłącznie na ruchu i bólu. Przedzierali się przez gęstniejący las szybko. Stanowczo zbyt szybko jak na jej stan. Opatrzony pobieżnie bok wciąż krwawił, plecy pulsowały ogniem. Czuła się coraz słabsza i otepiała. Rzeczywistość zawęziła się do zarysu rozmytej sylwetki Bena od czasu do czasu torującego sobie drogę mieczem. „Ścigający nas będą mieli tak widoczny szlak, że pójdą za nami nawet po ciemku” — pojedyncza, natrętna myśl przebiła się przez napierającą mgłę apatii.

Zatrzymali się jedynie nad mijanym strumieniem, gdzie dryblas przemył delikatnie ranę na plecach towarzyszki. Podał jej kubek zimnej wody, a gdy wypiała, podsunął kolejny. Chwiała się, ale wiedziała, że musi stać, jeśli ma iść dalej. Bezwzględne treningi wytrzymałości na Orin, doprowadzające młodych adeptów niemal do omdlenia, nauczyły ją jednego: dopóki jesteś w ruchu, masz szansę dalej być w ruchu. Rudzielec napełnił wszystkie naczynia, którymi dysponowali.

Tuż po zmroku dotarli na skraj Lasów Północy, gęstego, mrocznego masywu, zupełnie innego i znacznie bardziej wiekowego niż ten, w którym dopiero co byli. Zagłębiając się w puszcę, mijali coraz więcej ogromnych drzew, których pnia nie otoczyłby ramionami nawet tuzin ludzi. Rozłożyste, splątane ze sobą korony sięgały niekiedy tak wysoko, że wydawały się ginąć w chmurach. Rozgwieżdżona noc zapowiadała się na znacznie chłodniejszą niż dotychczasowe. W powietrzu dało się już wyczuć przedsmak nadchodzących przymrozków, a panujący wokół rodzaj głębszej ciszy przywodził na myśl zimową atmosferę.

W końcu Ben zatrzymał się, patrząc w zamyśleniu gdzieś w ten gąszcz podniebnego dachu. Podążyła za jego spojrzeniem, z trudem zadzierając głowę.

— Nie, Ben, proszę — zajęczała cicho. — Tylko nie to.

— Dasz radę, Szarim. — Dotknął czule jej ramienia. — Pomogę ci. Zaufaj mi, to konieczne. Straciłaś zbyt dużo krwi. Musisz odpocząć, a ja muszę zmylić pogoń.

Udało jej się wspiąć do pierwszych, bardziej rozłożystych rozgałęzień tylko dzięki marfimi — groźnej substancji silnie

pobudzającej i znieczulającej, używanej przez Darzan w ostateczności.

Potem oparła się o pień i zemdląła.

*Ogromna komnata przytłaczała majestatem i przepychem. Zdumiewająco barwne witraże wypełniały kilka wysokich, strzelistych okien. Przenikające przez nie światło migotało kolorowymi refleksami. Dwa szeregi ozdobionych złotymi ornamentami masywnych kolumn wspierały gwieździste sklepienie, na którego polach widniały wspaniałe malowidła. Stała pośrodku setek zgromadzonych dostojników, dworzan i rycerzy, naprzeciw podwyższenia z tronem wyciosanym w żółtawym kamieniu. Wszyscy wokół milczeli, skupiając na niej wzrok. Miała wrażenie, że czekają na coś, co powinna zrobić, ale nie miała pojęcia co. Czowała się w tym tłumie zagubiona i obca, pełna złych przeczuc wobec emanujących zewsząd niewypowiedzianych oczekiwań. Wiedzona wewnętrznym przymusem ruszyła w stronę monumentu. Tron przyciągał ją hipnotycznie. Całą sobą odbierała irracjonalne żądanie, by na nim zasiadła, choć w sercu trzepotały się strach i instynktowna chęć ucieczki.*

— Wineo! — Zduszone wołanie za jej plecami wypełniał ból.

*Odwróciła się, z trudem przełamując magnetyzm kamiennego artefaktu. Na podłodze zobaczyła przebitego włócznią Dara. Czołgał się ku niej z wielkim wysiłkiem, znacząc mozaikową posadzkę szerokim śladem krwi. Gdy ruszyła mu z pomocą, wielu ze zgromadzonych przesunęło się, zagradzając jej drogę. Ich oblicza wypełniała niema prośba przysłonięta przerażeniem. Mimo że nikt nie wypowiedział choćby słowa, wiedziała, że nie pozwolą jej zbliżyć się do powiernika. Jego wołanie stawało się coraz mniej słyszalne, jakby oddalało się, a mur nieznanych osób robił się coraz szczelniejszy. W jej sercu zamiast typowego buntu rosła jedynie obezwładniająca gorycz. Wbrew swojej naturze podążyła niczym marionetka i zasiadła na zimnym kamieniu. Spojrzała stamtąd na zgromadzonych. Wszyscy klękali z pochylonymi głowami. Zalewał ją ocean głębokiego smutku. Miała wrażenie, że dokonano się właśnie coś jednoznacznego i ostatecznego. Jakieś drzwi zamknęły się na zawsze.*

## VIII. Przejście Królów

Obudził ją zapach jedzenia. Otworzyła oczy, mrużąc powieki od słońca, którego promienie przenikały przez poruszone lekkim wiatrem liście. Siedziała przywiązana do pnia drzewa. Jej ciało płonęło gorączką, a język zdrętwiał z powodu suchości w ustach. Jęknęła cicho i wtedy z boku wyłonił się nagle Ben.

— Ocknęłaś się. Dzięki niech będą Światłości.

Wyczuła w jego słowach głęboką ulgę. Podał jej kubek z czymś chłodnym.

— Wypij trochę, tylko powoli, małymi łykami.

Napój był gorzkawy i niezbyt smaczny, ale zadziałał rozbudzająco. Gdy poruszyła głową, by się rozejrzeć, poczuła lekkie zawroty.

— Jak długo...? — Przez wyczerpanie Winei trudno było nawet mówić.

— Długo. — Odgarnął jej włosy przyklepione do rozgrzanego czoła. — Kilka dni.

— Co z pościgiem? Zostawiliśmy wyraźny trop.

Machnął ręką lekceważąco.

— Tym się nie musimy martwić. — W jego uśmiechu nie odnalazła typowej dla niego pyszałkowatości. — Najstarszy naprawdę wyznaczył ci najlepszych w swoim fachu. — Spowaźniał. — Naszym problemem jest za to twój obecny stan. Nie możemy tu dłużej zostać. Musimy znaleźć sposób na uleczenie obrażeń, które cię pozerają.

— Ben, ja nie dam rady nawet wstać — szepnęła, przymykając oczy.

— Wiem — przyznał spokojnie. — Ale jeśli nie powstrzymamy czarnej krwi krążącej w twoich żyłach, umrzesz. Nie mamy zbyt dużo czasu, a ja nie mam jak ci pomóc. Wszystko, co mogłoby zadziałać, zabrali nam ludzie Mila. Zachowałem kilka specyfików ukrytych w ubraniu, ale to za mało. Twoja rana w boku jest poważna. Zasadniczo gdybyśmy oboje nie byli zahartowanymi i wyszkolonymi Szarim, już byś nie żyła.

— Po prostu zawiodłam...

— Nie! — Głos chłopaka zabrzmiał stanowczo, wręcz złowrogo. — Poświęcenie Dara nie pójdzie na marne. Nie pozwolę na to.

Spojrzała na łowcę z bólem w sercu. Patrzył gdzieś daleko w przestrzeń ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Nigdy nie pomyślałaby, że ten wesołek i lekkoduch może emanować taką siłą, taką determinacją.

— Paradoksalnie naszą największą nadzieją jest jak najszybsze wykonanie przez ciebie pierwszego etapu misji. Do Wieży Dwóch Światów pozostały nam już tylko niecałe dwa dni drogi.

— Myślisz, że po drugiej stronie znajdę jakąś pomoc? — Próbowała skupić otępiełe myśli.

— Owszem. I to najlepszą z możliwych. — Przyglądał się jej twarzy z rozmysłem. — Magię.

Jej umysł dopiero teraz zaskoczył, niczym nagle naprawiony mechanizm. Cóż, faktycznie, Amadal nie jest już terytorium kontynentu, na którym obowiązuje Przysięga. Jeśli dożyje do teleportacji i da radę się przenieść... będzie mogła wykorzystać wszystko to, czego uczyła się przez ostatnich siedem lat. Jeśli dożyje.

— Zachowałem coś na czarną godzinę — powiedział ściszym tonem. — Coś, co postawi cię na nogi, przynajmniej na jakiś czas. Nie myślałem, że przyjdzie mi kiedykolwiek tego użyć, ale każdy z łowców rutynowo zabiera ze sobą liście szaleństwa.

— Masz na myśli zielne narkomaty? — przeraziła się.

Pokiwał głową, przypatrując się jej uważnie.

— Zapewne wiesz, jakie są konsekwencje.

Opisy skutków ubocznych stosowania tego silnie i błyskawicznie uzależniającego narkotyku, których uczyła się z manuskryptów, wybrzmiały w jej pamięci z niezwykłą wyrazistością. Halucynacje, napady agresji lub euforii, zaburzenia osobowości, bezsenność, nagłe stany lękowe, a w dłuższej perspektywie — całkowita utrata kontroli nad sobą i szaleństwo. Ktoś, kto przekroczył granicę, w pewnym sensie stawał się żywym trupem. Nic dziwnego, że szamani zasadniczo nigdy nie zdecydowali się na tak radykalny krok. Rozumiała ryzyko zaproponowane przez Bena. Dwa dni maszerowania w narkotycznym transie, potem wielka niewiadoma

teleportacji, a na koniec cień szansy na magiczne uleczenie obrażeń. I nadzieja, że nigdy już nie ujrzy narkomatu, bo jej organizm z pewnością zmusiłby ją do ponownego zażycia.

Poczuła nagły przyływ paniki. „Dar mógłby wymyślić coś bezpieczniejszego”. Niespodziewana myśl zapiekła ją i otrzeźwiła: „Dara już nie ma, głupia. Oddał życie właśnie za ten cień szansy dla ciebie”.

Spuściła głowę.

— Nie mamy wyjścia, musimy wykorzystać każdą możliwość — wyszeptła, przymykając oczy.

Chłopak głęboko westchnął.

„O ile prostsze byłoby wszystko, gdyby w takich chwilach można było użyć mocy...” Przed oczami stanęły jej znowu obrazy ludzi zabijanych na ścieżce w lesie, powiernika, z którego piersi wychodzi grot włóczni. „Czy Karan użyłby magii, gdyby tu był? Czy jego postulaty mogłyby pomagać tym, którzy sami nie mogą się bronić? A może nawet dałyby pokój na kontynencie? Czyż Najstarszy nie byłby dobrym władcą?”

Dziwny, intensywny zapach kazał jej przyjrzeć się płynowi, który Ben podał jej chwilę później.

— Ruszajmy, Szarim. — Łowca wpatrywał się w nią z napięciem, gdy piła. — Tym razem ścigamy się z czasem.

Uświadomiła sobie, że dotarli do wyznaczonego na mapie miejsca, tylko dzięki temu, że Ben przestał biec. Stał w lekkim rozkroku, rozglądając się czujnie. Byli w ruchu tak długo, że to zaskakujące zatrzymanie się odebrała jako nagłe zaburzenie świata. Ciągły bieg przez prawie dwie doby pod wpływem nienaturalnego pobudzenia wydawał się niewiarygodny. Każdy jej mięsień drgał, jakby za chwilę miała się rozpaść. Czuła pulsujące ciśnienie krwi w głowie i mocne uderzenia bardzo szybko bijącego serca. Początkowe rwanie boku roztopiło się w bólu całego ciała. Senność wydawała się jej abstrakcyjnym stanem. Czuła, że mogłaby nie spać cały miesiąc.

— Jesteśmy na miejscu. — W głosie przewodnika nie było słychać nawet zadyszki.

Rozejrzała się po okolicy z dezorientacją i rozczarowaniem. Otaczające ich drzewa wyglądały dokładnie tak samo jak wszystkie, które dotąd mijali.

— Skąd możesz wiedzieć? — Miała problemy z mówieniem, zupełnie jakby gardło odzwyczało się od tej czynności. — Tu nic nie ma, tylko ten pieprzony las.

Uczucia gniewu i rozbawienia przepływały przez nią na przemian całkowicie poza kontrolą.

— Po prostu wiem. Jestem łowcą. — Chłopak podszedł do niej, podając coś pomiętego, zielonego i wilgotnego. — Poza tym byłem już tu kiedyś. Masz, musisz żuć to przez jakiś czas.

— Co to za śmierdzące gówno?!

— To ostatni specyfik, który mi został. — Dryblas całkowicie zignorował jej poirytowanie. — Gdy działanie narkomatu się skończy, będziesz potrzebowała każdego rodzaju wzmocnienia.

— Jak się skończy, to dasz mi więcej! — warknęła.

Stoicyzm chłopaka wkurzał ją coraz bardziej. Właściwie wkurzało ją wszystko.

— Nie. Przyjęłaś całość tego, co miałem. Nic już nie zostało.

Spięła się w sobie, doświadczając mimowolnej paniki. „Ale ja muszę dostać jeszcze trochę!”

Ben przyjrzał się jej wnikliwie. Przygryzł wargę.

— Skup się, proszę — powiedział wyraźnie i z mocą. — Jakie instrukcje otrzymałaś od Najstarszego na ten moment, gdy dotrzemy? Od szybkiego odnalezienia Przejścia Królów zależy teraz twoje życie.

Jakimś cudem jej umysł odzyskał kontrolę. Próbowała przypomnieć sobie słowa mistrza. „Księżycowy mech będzie kluczem. Mech i twoja magia”.

Sięgnęła po słoiczek ze skrzącą się rośliną. Wyjęła część. Był taki aksamitny w dotyku. Kotłujące się emocje zwolniły, a rozhuśtany nastrój wrócił do względnej normy. Rozejrzała się uważniej po okolicy, po czym ruszyła powoli przed siebie. Ben trzymał się tuż za nią. Cały czas zaciskała dłoń na kępce mchu, ciesząc zmysły sączącym się z niego ukojeniem. W pewnym momencie coś zauważyła, jakby dziwne załamane światła. Zbliżyła się

do intrygującego optycznego fenomenu, usiłując zrozumieć, na czym polega. Efekt podobny był do neutralizowania obszarowego zakłęcia iluzji, a dokładnie do momentu, kiedy czar załamywał się ostatecznie. Dwa podobne, ale różne, nakładające się obrazy, z których jeden lekko falował. Podeszła do niewidocznej granicy i zajrzała głębiej. Na drugim planie, w niewielkiej odległości, dostrzegła ruiny dość wysokiej wieży o ponurych kamiennych ścianach miejscami pokrytych wijącymi się pnączami dzikiej róży. Niektóre z wąskich otworów strzelniczych przy samym szczycie kryły w sobie ptasie gniazda. Cisza i spokój nie wskazywały, by ktokolwiek mógł tu obecnie przebywać. W powietrzu pojawiła się nutka zapachu wilgoci i zbutwiałego drewna.

— Ben, to chyba właśnie Wieża Dwuświata — szepnęła przez ramię, czując rosnące podekscytowanie.

— Mam nadzieję, że to, co widzisz, jest realne, bo ja niestety widzę tylko drzewa. — Łowca stanął obok, wpatrując się intensywnie przez dłuższą chwilę w ten sam punkt co Winea. W końcu zrezygnował, rozmasowując opuszkami powieki. Dziewczyna zmarszczyła brwi zdezorientowana, że chłopak nie zauważa tego wyraźnego obrazu w obrazie. Po chwili coś przyszło jej do głowy.

— Połóż dłoń na mchu — zachęciła łagodnie.

Delikatnie dotknął palcami rośliny. Wkrótce również na twarzy łowcy odmalował się wyraz zauroczenia.

— A niech mnie... — szepnął mocno wstrząśnięty.

Dopiero po dłuższym czasie odezwał się ponownie dziwnie nabożnym głosem:

— Wiesz, z czym mamy tutaj do czynienia?

Winea przechyliła lekko głowę, zastanawiając się, co ma na myśli.

— Mówisz o tej budowli czy samej iluzji, która ją skrywa?

— To nie jest żadna iluzja. — Pokręcił głową ze zdumieniem. — Nie sądziłem, że kiedykolwiek spotkam się z taką legendą.

Odsunął dłoń od księżycowego mchu i znów ją przyłożył. Robił to raz za razem, cały czas obserwując zmieniające się otoczenie.

— To mityczna morfia bytu, moja droga Szarim — powiedział wolno i niemal z namaszczeniem. Zorientowawszy się,

że dziewczyna patrzy na niego bez zrozumienia, szybko dodał: — To nie jest właściwie nawet zaklęcie, to raczej twór magii natury. Miejsce, które istnieje warunkowo. W magii iluzji nie widzisz ukrywanego przedmiotu, ale jeśli pójdziesz tam, gdzie on jest, zawsze się z nim zderzysz. Bo ten przedmiot tam jest, tylko twój wzrok nie potrafi go zarejestrować. W morficznych bytach obiekt naprawdę znika i pojawia się w zależności od warunków. Ta niesamowita roślina sprawia, że... przenosimy się jakby do innego wymiaru, eliminującego poprzedni.

— Nigdy nie słyszałam o takich możliwościach magii. — Winea bacznie przyglądała się majestatycznej wieży.

— Bo tworzenie tego typu... zjawisk nie jest domeną człowieka. — Spojrzał wymownie w jej oczy. — Oglądamy właśnie autentyczne dzieło bogów Jasności.

Odruchowo przyłożyła dłoń do piersi w geście szacunku. Gdy zaczęła iść w stronę budowli, wszystko dookoła rozkołysało się, a w jej boku obudził się ból na tyle ostry, że mimowolnie zgięła się w pół.

— Narkomat przestaje działać. — Ben szybko podtrzymał ją ramieniem. — Mamy coraz mniej czasu.

Wsparta na dryblasie, mając przed oczami dziwne mroczki, dotarła do wąskich drzwi cofniętych w głąb muru wieży. Okazały się tylko przymknięte. Weszli ostrożnie. Chwilę trwało, zanim wzrok przyzwyczaił się do półmroku. Zapach wilgoci i zbutwiałego drewna przybrał na sile. Grobową ciszę zakłócały tylko ich własne kroki stukające na drewnianej podłodze, którą o dziwo tu zastali.

— Co dalej? — zapytał Ben nie wiadomo czemu szeptem.

— A skąd mam wiedzieć? — odparła coraz bardziej osłabiona. — Arcymistrz wspominał jedynie coś o schodach w dół, na które mam uważać, bo są stare.

— Tam. — Łowca wskazał skinieniem głowy zamontowane na jednej z wewnętrznych ścian niewysokie podwójne drzwiczki, podobne do tych od komórek lub spiżarek w kuchennych izbach.

Udało się je otworzyć wspólnym wysiłkiem dopiero po jakiejś chwili. Zawilgotniałe drewno najwyraźniej wypaczyło się i zaparło. Tuż za wejściem faktycznie natrafili na wąskie i bardzo strome



schody, mocno nadgryzione zębem czasu, w dodatku pogrążone w ciemności. Już piąty stopień był ledwo widoczny, a pozostałe ginęły w całkowitym mroku.

Łowca przypiął Winei do tuniki swoją broszę do nocnych polowań zaraz obok jej własnej. Obie emanowały leciutkim, ale wystarczająco intensywnym, zielonkawym światłem. Chłopak spojrzał dziewczynie w twarz, jakby chciał się upewnić, że ta da radę samodzielnie zejść. Nie miał jak jej pomóc w tak ograniczonej przestrzeni. Poza tym dla obojga było jasne, że to, co czeka na dole, jest przeznaczone tylko dla niej.

— Powodzenia, młoda Szarim.

Jego głos odebrała jako niezwykle szczery i pełen uczucia.

— Ben... — Pytanie wydało się jej dziecinne i głupie, ale nie umiała się powstrzymać przed zadaniem go. — Będiesz czekał?

— Choćby całe życie, przysięgam — wyszeptał uroczyście, przykładając pięść do piersi i skłaniając się lekko.

Dziewczyna pokiwała nieznacznie głową, wzięła głębszy oddech i ostrożnie postawiła pierwszy krok w dół. Czuła się coraz gorzej, słabła dramatycznie szybko. Jedną dłońią cały czas wspierała się o ścianę zejścia, a drugą miała zaciśniętą na połyskującym srebrem mchu. Coś jej mówiło, że trzymanie go stanowi teraz dla niej warunek przetrwania.

Gdy dotknęła stopą twardego podłoża, pokonawszy w końcu ostatni stopień na wpół rozpadających się schodów, jej oczom ukazały się zarysy przestronnej komnaty. Szczegóły podziemnego pomieszczenia wyłaniały się powoli z ciemności dzięki rosnącemu blaskowi, który budził się w jego centralnej części. Środek ogromnego kamiennego portalu coraz bardziej rozświetlał otoczenie, nabierając seledynowej, owalnej jasności. Na obu krańcach masywnego czarnego postumentu umieszczono wykute w białym granitoidzie dwie mocarne sylwetki aldenów, mitycznych wojowników światła. Wsparci na potężnych mieczach strażnicy, niczym zastygli w oczekiwaniu, stali lekko pochyleni ku rozpostartej między nimi zielonkawej tafli pulsującej energii. Ich potężne złożone skrzydła opadały znad ramion aż pod same stopy. Budzące

szacunek posągi ograniczające z obu stron rozchodzącą się kuliście, jaśniejącą moc sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili mogły się przebudzić.

Winea zbliżyła się do portalu, pokonując coraz mocniej obezwładniający ją ból. Jej umysł wyczuł czyjąś obecność. Jakaś istota przypatrywała się, delikatnie dotykając jej aury strużkami magii. Po chwili wrażenie znikło. „I co? Mam teraz tak po prostu przejść przez to żywe lustro?” – pomyślała, że to by było zbyt zwyczajne. Odruchowo chciała to przemyśleć, rozważyć, jednak organizm szybko postawił jej ultimatum. Była zbyt dobrze wyszkolona, by nie wiedzieć, że śmiertelnie groźne zakażenie, które od dłuższego czasu rozchodzi się w jej ciele, nie daje o sobie znać jedynie ze względu na narkotyk tłumiący wszystkie odczucia. Teraz ilość otumaniającej substancji we krwi spadła na tyle, by szamanka mogła w pełni uzmysłwić sobie swój prawdziwy stan. A stan ten przypominał sytuację, gdy ktoś pozostający zbyt długo pod wodą dochodzi do tego krytycznego momentu, po którym jest już tylko ciemność. „Umieram” – banalna refleksja stała się źródłem panicznej decyzji.

Rzuciła się desperacko w środek magicznego fenomenu, instynktownie wyciągając przed siebie dłonie. Nie wydarzyło się nic spektakularnego. Najnormalniej upadła po drugiej stronie na zimne kamienne podłóżę, zdzierając sobie boleśnie kolana. Podziemna komnata nadal wyglądała tak samo albo co najmniej łudząco podobnie, ale nie było cienia wątpliwości, że portal zadziałał. Winea natychmiast rozpoznała, że jest po drugiej stronie Przejścia Królów, z jednego prostego powodu – wszystko wkoło aż drgało od natężenia magii. Wyczuwało się nagromadzoną, pulsującą moc dosłownie wszędzie i we wszystkim. Jest na Amadal! Z wielką ulgą uruchomiła najpotężniejsze ze znanych jej zaklęć samoleczenia i regeneracji, wypełniła je ogromną ilością energii i osunęła się w omdlenie.

Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna, ale najprawdopodobniej długo, sądząc po intensywności pragnienia, uczucia głodu i innych potrzeb, o których zaspokojenie gwałtownie

upomniało się ciało po ocknięciu. Komnatę nadal rozświetlał poblask drgającego portalu, a bok wciąż dawał o sobie znać bólem. Obejrzała uraz, delikatnie dotykając palcami. Bolesność była obecnie zaledwie cieniem tego, czego doświadczała wcześniej. Lekko zaogniona rana zasklepiła się brzydko. „Najwidoczniej łowcy nie mają talentu do eleganckiego zszywania uszkodzeń kobiecego ciała” — pomyślała z goryczą, czując równocześnie radosne uniesienie.

Żyła. I znajdowała się na Amadal! Dokonała czegoś, co nie miało dotąd precedensu w historii nie tylko krainy Sid, ale też całego kontynentu. „A więc Przejście Królów istnieje naprawdę!” — złapała się na tym, że wciąż wydawało się jej to nieprawdopodobne. „A jeśli ja mogę go użyć, to może inni też będą mogli? Czy wystarczy do tego stan idealnej równowagi magii?” W wyobraźni zobaczyła mnożące się konsekwencje swojego odkrycia.

Zamyślona wdrapała się po stromych schodach i opuściła niesamowitą budowlę, jedyną, która istniała jednocześnie w dwóch różnych miejscach świata. A przynajmniej jedyną jej znaną.

Gdy wyszła poza niewidzialną granicę podwójnej rzeczywistości, rozejrzała się. Zaskoczyło ją, że otoczenie nie odróżniało się w żaden szczególny sposób od tego na Elise. Dość gęsty mieszany las tonął w popołudniowym słońcu. Gdyby nie jeden fakt, mogłaby mieć poważne wątpliwości, czy to, co się stało, stało się naprawdę. Tym faktem była wszechobecna moc. Czuła się wręcz zanurzona w niej. Pulsująca energia, prawie zapraszająca do zaczerpnięcia, sprawiała, że opuszczony kontynent wydawał się Winei pustynią. „To istny raj dla każdego maga” — pomyślała odruchowo, uświadomiwszy sobie nagle oczywisty kontekst tego, co widziała w oczach Najstarszego — kontekst decyzji Grywora Wysokiego, Wielkiej Przysięgi. „Bogowie Jasności, jakim zamysłem kierowaliście się, tworząc to cudowne miejsce?”

Czując zaskakującą, wręcz dziecięcą radość ze swobody korzystania z magii, przywołała tańczące w powietrzu kule światła. Na Orin to była jedna z niewielu zabaw, jakimi dodawała sobie otuchy w gorszych momentach. Teraz zrobiła to samą myślą, tak lekko, swobodnie. Wciągnęła ciepłe leśne powietrze pełną

piersią, czując się, jakby przez całe dotychczasowe życie musiała oddychać przez grubą chustę, którą właśnie pierwszy raz zdjęła. Wydobyła z wewnętrznej kieszeni mapę. Patrząc na otoczenie Wieży, najwyraźniej również na starym kontynencie znajdowała się ona na terenach zalesionych wzgórz. „Pytanie tylko: który to obszar z tych zaznaczonych na mapie? I jak tu trafić z powrotem, nie znając okolicy?” – zastanowiła się, stukając bezwiednie palcem dołeczek w policzku. Jej oblicze rozjaśniło się, gdy wpadła na pewien pomysł. Była przecież na Amadal, a tu jej możliwości wydawały się wręcz nieskończone. „No cóż, ruszajmy zatem”. Lekkość umysłu zachęcała do działania.

Trzeba zdobyć coś, co zagłuszy burczenie w brzuchu, i znaleźć jakieś miejsce, by nacieszyć się prawdziwym wypoczynkiem. W końcu należy się jej jako pierwszemu w historii Szarim, który dokonał teleportacji, czyż nie?

Na pierwszy ślad ludzi natrafiła dopiero po trzech dniach miarowego marszu. Schodziła właśnie ze wzniesienia porośniętego gęstym lasem, gdy jej wyczulony słuch wyłowił odgłosy koni i stuknięcia metalu. Podkraśniała się bliżej granicy drzew, by lepiej widzieć rozpościerający się poniżej teren rozległych łąk. W oddali ujrzała pojedynczego powoli przemierzającego się jeźdźca. Z tej odległości trudno było ocenić szczegóły, ale z pewnością był to niewysoki, krępy wojownik dosiadający niskiego, zwalistego zwierzęcia, trochę przypominającego karłowatego kuca. Okryty długą kolczugą mężczyzna jechał stępą, rozglądając się czujnie. Gdy przebył połowę dystansu dzielącego go od linii lasu, zatrzymał się i zsiadł. Winea ze zdziwieniem zobaczyła, jak zdejmuje ciężki hełm, przyklęka i przykładą bok głowy do ziemi. Po chwili wyprostował się, odwrócił w stronę, z której przyjechał, i uniósł dłoń. Niewiele później zza sporego skupiska skałek i głazów wyłoniła się grupa kilkunastu konnych, poruszających się równie nieśpiesznie i ostrożnie.

„Szkoda, że nie mam ze sobą zbliżających szkiełek Dara” – pomyślała z żalem. Na samo wspomnienie utraconego towarzysza poczuła w piersi bolesny ciężar.

W końcu grupa znalazła się na tyle blisko, że Winea mogła ocenić praktycznie każdego z jej członków. Kilka postaci pasowało ewidentnie do znanych jej z rycin Ghallów: niscy, barczyści, o szerokich udach i ramionach. Toporne rysy twarzy skrywali pod bujnymi brodami wiązanyymi w najróżniejsze warkoczyki utkane półszlachetnymi kamieniami. Mimo niepełnych zbroi poszczególne ich elementy wyglądały tak masywnie, że zwykły człowiek, który by je nałożył, prawdopodobnie nie ruszyłby się z miejsca. Wszyscy pozostali byli ludźmi, choć niektórzy osobnicy mogli budzić uzasadnione wątpliwości co do swojej gatunkowej przynależności. Szczególnie wyróżniającym się był ognistowłosy olbrzym, który dosiadał największego z koni, a i tak niemal szurał stopami po ziemi.

Dziwnemu gronu towarzyszyła kobieta w długim płaszczu z naciągniętym kapturem. Jej znacznie drobniejsza, szczupła sylwetka sprawiała, że wśród otaczających ją potężnych, umięśnionych i opancerzonych wojowników wyglądała na kruchą i eteryczną. Jadący poruszali się w taki sposób, że cały czas pozostawała w obrębie swoistego ochronnego kordonu. Towarzyszył jej młody, dumnie wyprostowany brunet o władczym spojrzeniu i postawie przywódcy. Winea nie była w stanie usłyszeć słów, ale z mowy ciała wnioskowała, że to raczej życzliwa pogawędka osób w bliższej relacji. „Na Jasność, nawet nie mam pomysłu, kim oni mogliby być. Czy to eskortowana szlachcianka w podróży?” — pomyślała sfrustrowana. „Pierwsza okazja, by uzyskać kontakt z mieszkańcami Amadal i zorientować się w sytuacji, a tu nie ma jak z niej skorzystać. Przecież nie wyjdę tak po prostu z lasu i nie powiem: Witajcie, jestem najemnikiem, mogę do was dołączyć?” Rozsądek podpowiadał, by dać sobie spokój, iść dalej, aż trafi na kogoś znacznie bardziej pospolitego, z kim mogłaby bezpieczniej zawrzeć znajomość, bez konieczności tłumaczenia się, jednak wrodzona niecierpliwość kusiła, by spróbować znaleźć sposób już teraz. O decyzji przeważało mocne zaintrygowanie zastanawiającą różnorodnością zbieraniny tak barwnych i wyrazistych osobników. „Może gdyby to oni napotkali mnie na swojej drodze, nawiązanie rozmowy okazałoby się bardziej

naturalne?” — zagryzła wargi, intensywnie analizując możliwe scenariusze.

Przyjrzała się potencjalnej marszrucie grupy. Las nieprzerwanie ciągnął się aż do kolejnych wzniesień przedzielonych głębokim kanionem. „Wyraźnie kierują się wzdłuż puszczy w stronę najbliższych wzgórz. Gdybym dała radę wyprzedzić ich, pozostając blisko prawdopodobnej trasy, istnieje szansa, że uda mi się znaleźć jakieś miejsce dogodne do zaaranżowania bardziej neutralnego spotkania. W sumie i tak sensowniej będzie poruszać się wzdłuż szlaku, skoro na takowy trafiłam”.

Dyskretnie cofnęła się w las. W bezpiecznej odległości mogła pozostać niezauważona, nawet przy szybkim biegu. Lata treningu na zalesionych terenach Orin dawały jej pewność siebie, gdy śmigiała wśród drzew, nie robiąc więcej hałasu niż jeleni czy wilk.

Znalazła się w pobliżu wąskiego przesmyku przecinającego pasmo skalnych wyżyn znacznie wcześniej niż wędrujący. Nie było to trudne, gdyż poruszali się raczej wolno, z dużą dozą wręcz zastanawiającej czujności. Zajęła dogodną pozycję, by zaczekać i upewnić się, że tędy przejdą. Będąc znacznie wyżej, mogła swobodnie obserwować okolicę pogrążoną w sielskim spokoju. Rozległe zbocza, częściowo porośnięte wysoką trawą, częściowo postrzępione wystającymi skarpami bądź ukruszonymi odłamkami skalnymi, majestatycznie ocieniały głębokie przejście poniżej. Słońce przekroczyło już dawno zenit, a słaby wiatr niósł ze sobą wyraźną nutę specyficznego zapachu. Nie umiała go przyporządkować do niczego, co znała.

Po niedługim czasie ujrzała, jak nadciągający oddział ze wzmożoną ostrożnością wjeżdża do wąskiego wąwozu. Jej wewnętrzny głos mimowolnie podsunął cichą refleksję: „Ależ to idealne miejsce na zasadzkę”. Jeźdźcy byli chyba tego samego zdania, bo rozglądali się wyraźnie zaniepokojeni. Mimo że przejście miało szerokość ponad dwudziestu kroków, ich szyk rozciągnął się znacznie. I wtedy to poczuła. Wyraźną koncentrację mocy gdzieś na tyłach wzniesienia. Doskonale wiedziała, co to oznacza — ktoś właśnie gromadził energię do potężnego czaru. Wyostrzyła wzrok prostym zaklęciem. Teraz, gdy zaczęła intensywnie przeszukiwać

teren, nagle zarejestrowała rosnącą liczbę niepokojących obrazów. Błysk metalu tu, małe poruszenie tam, kształty niemające nic wspólnego z naturą jeszcze gdzie indziej...

Zaczęła zbiegać ze zbocza, ignorując ostrzegawcze myśli, że znowu pakuje się w coś strasznego w konsekwencjach. „Tutaj nie ma Dara, nie ma Bena, nie ma Przysięgi! Tutaj są moc i wolność! Tutaj jest Amadal!” — wbijała w świadomość kolejne stwierdzenia niczym kliny w skałę. Pędząc w dół, bezwiednie uwolniła wiązkę własnej energii w kierunku miejsca, w którym ukształtowana magia czekała zapewne już tylko na słowo zamknięcia. To, co wysłała, nie było nawet zaklęciem, tylko zwykłym, desperackim pchnięciem nieuformowanej wewnętrznej mocy. Wiedziała jednak, że do neutralizacji magii wystarczy czasem niewielka dekoncentracja rzucającego czar. Mogła mieć jedynie nadzieję, że to poskutkuje również teraz.

— To pułapka! — wrzasnął jadący na przedzie Ghall, wyszarpując swój topór ułamek chwili przed tym, jak dwa pierzaste drzewce wbiły się w jego potężną pierś.

# DRAKONION

— Myślę, że teraz jesteśmy już bezpieczni. — Breda odetchnął, gdy tajemne zejście do tunelu wiodącego pod zamek zamknęło się za nimi i ponownie stało się zwykłym, niczym niewyróżniającym się kawałkiem skalnej ściany. — Bezpieczni przynajmniej od cieni. Zapalmy pochodnię, bo nawet ja znam to przejście ledwie co.

— Ledwie co? — zapytał Leśniad, przygotowując łuczywo.

— Ech, dawno temu, gdy byłem jeszcze młodym wyrostkiem, wszedłem w honorowy zakład z najstarszym synem kowala. Był najsilniejszy wśród chłopaków, a jego zarozumiałość zawsze mnie drażniła, więc postanowiłem utrzyć mu trochę nosa.

Migotliwe światło rozjaśniło wewnątrz wąskiego tunelu, ukazując ich oczom to, co do tej pory mógł z ledwością dostrzegać jedynie Noran. Jego wzrok odbierał skały jako mozaikę niewyraźnych zarysów czerni i szarości wydobywaną z mroku nikłą poświatą fosforyzującej spinki.

— I co, wygrałeś zakład w stylu „kto zejdzie niżej tymi schodami”? — Zabójca wskazał na strome kamienne stopnie niknące poza granicą słabego światła.

— Tak bym tego nie ujął. — Breda patrzył tępo w stronę zejścia. — Przegrać miał ten, kto pierwszy wycofa się z wyprawy, ale tam, na dole... coś nas zaatakowało w jednej z grot. Nawet nie wiem, co to było, bo straciliśmy światło i spanikowaliśmy. Krzyczeliśmy do siebie i biegliśmy na oślep, kalecząc ramiona i nogi. — Góral sprawdził ostrość małego toporka na dość długim trzonku, przyglądając się krytycznie orężowi. — Pamiętam wkoło dziwne odgłosy, chrzęst i klekot podobny do tego, którym naganiacze płoszą zwierzynę na polowaniu. Później usłyszałem jego krzyk. Do dziś w głowie błąka mi się echo tego niehumanicznego wycia, a wtedy...

Światło zapalonej kolejnej pochodni pozwoliło lepiej przyjrzeć się twarzy mówiącego. Przez moment na jego obliczu



malował się zaskakujący spokój, wręcz rozmarzenie, zupełnie jakby opowiadał o przyjemnej przygodzie, a nie tragicznych wydarzeniach. Gdy jednak zwrócił spojrzenie na Leśniada, wrażenie natychmiast znikło pod maską głębokiego przygnębienia wspomnieniami.

— Wtedy nie mogłem pomóc nawet sobie, błąkałem się ze trzy tygodnie, liżąc wilgotne ściany tuneli, by nie umrzeć z pragnienia, żując jakieś zdrapane z kamieni ohydztwa, jedząc złapane... — Nie dokończył, pokiwał jedynie głową.

— Mam tylko nadzieję, człowieku, że tym razem szybciej odnajdziesz drogę. — Noran zaczął powoli schodzić po stopniach. — Nie mamy aż trzech tygodni.

— No to zaczekaj choć trzy oddechy. — Druwian odwrócił się w stronę miejsca, z którego wyszli. — Zostawimy strażnika. — Jego ręce poruszały się płynnie w powietrzu, a po chwili do powierzchni skały skrywającej niewidzialne przejście przylgnął runiczny napis. Jarząc się zielonkawo w półmroku, powoli bladł i bladł, aż w końcu zgasł całkowicie. — Teraz będziemy przynajmniej wiedzieć, czy ktoś za nami zszedł, czy nie.

Ruszyli gęsiego prowadzeni przez zabójcę i przewodnika. Pochód jak zwykle zamykał milczący Gromir, trzymający wysoko drugie światło. Prosto ciosane schody ciągnęły się długo, by w końcu niepostrzeżenie rozmyć się i przekształcić w szeroki tunel, podobny do górniczych. W chłodnym powietrzu panował lekki zaduch z odrobiną wilgoci. Korytarz co jakiś czas się rozgałęział, ale nawet bez pomocy Bredy łatwo było rozpoznać, że są to jedynie odnogi odchodzące od głównego szlaku. Sceneria miała w sobie coś przygnębiającego. Wędrowców otaczała jedynie ciemna skała, gdzieś tam pokryta oślizgłym, zielonkawym nalotem. Monotonia marszu sprawiała, że czas im się dłużył.

— Po co pod Kozią tak głębokie i liczne tunele? — Leśniad miał nadzieję, że może chociaż rozmowa ociepli atmosferę.

— Nikt tak naprawdę tego nie wie. — Breda mówił ściszym głosem. — W górach istnieje legenda, według której wszystko to istniało już wcześniej, zanim twierdzą wybudowano. Podobno właśnie dlatego Kozia stoi dokładnie tu.

— Po co komu takie dziury w ziemi, jeśli tu nic nie było?

— Nie powiedziałem, że nic tu nie było.

Druwian przyjrzał się dyskretnie góralowi.

— Sugerujesz, że coś wyburzono, by zbudować na nowo? — Zabójca również zaciekał się stanem wiedzy brodacza, lecz ten widocznie nie chciał ciągnąć tematu, bo tylko skwitował:

— Tak mówią.

Znów szli w milczeniu. Strop niezauważalnie się obniżył, a ściany ścieśniły. Droga wciąż lekko opadała, stając się coraz bardziej wilgotna i śliska. W nieruchomym powietrzu pojawiła się nutka specyficznego zapachu lub raczej smrodu.

— To już niedaleko — rzekł Breda jakby podekscytowany.

— Co jest niedaleko? — Leśniad uparcie, choć bezskutecznie, szukał w pamięci skojarzeń z coraz intensywniejszą nieprzyjemną wonią. — Bo chyba nie wyjście.

— Przeszłość... — Dłonie żołnierza zaciskały się na drzewcu czekana, napięte mięśnie barków wybrzuszały włochaty kaftan.

Nagle Noran zatrzymał wszystkich gestem dłoni. W skupieniu wpatrywał się w mroczny arkadowy portal, który niespodziewanie ukazał się na granicy chybotliwego światła pochodni. Nozdrza odmienca poruszały się niczym u polującego kota, energicznie łowiąc tajemnice czarnej pustki za wejściem. Obraz otworu ujęte zostało po bokach wzdłużnie rzeźbionymi glifami dźwigającymi masywne, trzywarstwowe zwieńczenie, na którym wyryto długi ciąg znaków.

— Te symbole przypominają trochę język istot zwanych Orogonami. — Druwian zmarszczył ze zdziwieniem brwi. — Widziałem podobne znaki w jednej z ksiąg w wielkiej bibliotece, ale o czym mówi napis, tego nie wiem.

— To nie tylko przypomina język Orogonów.

Cała czwórka spojrzała zaskoczona na milczącego dotąd Gromira. Ten uniósł swoją pochodnię wyżej i rzekł spokojnie:

— To JEST język Orogonów.

— Możesz wyjaśnić nam, co głosi ten gryzmoł? — Jedyne Noran zachował zdumienie dla siebie, ukrywając je pod zwykłą maską obojętności.

Gromir nawet na niego nie spojrział. Z uwagą studiował przez chwilę treść.

— To nieco upoetyczniony przekaz lub raczej ostrzeżenie. Ponieważ zdolności poetyckie tej rasy są na poziomie umiejętności łączniczych Ghallów, ciężko zorientować się, o co piszącemu dokładnie chodziło. Jednak z pewnością zawarto tu co najmniej trzy informacje. — Wielkolud przyglądał się towarzyszom z zaciekawieniem. — Jedna dotyczy tego, że za tym portalem wielki król, największy z wojowników, znajduje miejsce swojego spoczynku, a druga, że kiedyś jego moc znów nawiedzi świat. To typowe dla Orogonów.

— Rzekłeś trzy informacje, a przytoczyłeś jedynie dwie. — Noran wykonywał rutynową kontrolę ekwipunku. — Jaka jest trzecia?

— Oględnie mówiąc, uprzedza czytającego, żeby tu nie wchodził, bo jest to ślepy zaułek. — Uśmiech na jego twarzy wyglądał jak rzadki gość. — Ślepy zaułek na drodze jego życia.

— Tak, to faktycznie nudne. — Zabójca wskazał gestem góralowi, by szedł pierwszy z pochodnią, a sam wydobył miecz i podążył przez portal tuż za nim.

Minąwszy przedsionek, znaleźli się na progu olbrzymiej jaskini, tak przestronnej, że światło ognia nie było w stanie do końca odkryć jej sekretów. Z góry, z cienia wyłaniały się ostre czubki i krawędzie skalnych stalaktytów, a kapiąca z nich woda wpadała z głośnym, wywołującym delikatne echo pluskiem w mgłę, która niczym dywan pokrywała większą część podłoża. Niesamowitość tego miejsca i rozpuszczoną w powietrzu groźbę odbierało się każdym zmysłem.

— Bajecznie — szepnął Leśniad, wchodząc powoli w mgłę i wyciągając bliźniacze ostrza.

— To dokładnie tutaj. — Breda również przesunął się w czujnym skupieniu. — Mgła była wtedy dużo wyżej i szybko się podnosiła.

— Posuwamy się wyłącznie wzdłuż ścian — warknął Noran ostrzegawczo do pozostałych. — Środkiem idą tylko głupcy.

— Ma rację, w tej mgle może być dosłownie wszystko z wyjątkiem rzeczy przyjemnych.

Nagle góral zachwiał się, jakby zaczepił o coś stopą, i runął bezwładnie, niknąc na krótko cały w białawej zasłonie. Nie to było

jednak najgorsze, lecz nadspodziewany łoskot, który tym upadkiem wywołał. Zwielokrotniony odbiciami hałas zmroził wszystkich. Jaskinia musiała mieć akustykę jak kielich dzwonu, bo dźwięk rozchodził się po niej dobrych parę chwil, zanim zaczął słabnąć i w końcu zanikł. Pechowiec poderwał się nerwowo. Przełknął ślinę, rozglądając się wokoło. Jednak pogrążone w półmroku skały znów milczały. Odetchnęli.

Chwilę później w umyśle zabójcy pojawił się niepokojący, złowrogi szept, szmer niewypowiedzianego ostrzeżenia. Instynktownie spojrział w górę, a to, co dojrzał swoimi nieludzkimi oczami, sprawiło, że na moment zeszywniał. Całe skalne sklepienie ruszało się, drgało i pełzało niczym żywy organizm. To coś było istnym kłębowiskiem czarnych, kościstych odnóży i tułowi i właśnie przemieszczało się w dół. Dało się też słyszeć ciche klekotanie.

Z odrętwienia wyrwało go zduszone sapnięcie górala:

— Mgła! — Wskazywał ręką. — Patrzcie, mgła się podnosi!

— Rypać mgłę, nad głowami mamy całą horde pająków, których matka została chyba zgwałcona przez jaskiniowego olbrzyma. — Zabójca już biegł po obwodzie, starając się trzymać jak najbliżej lewej ściany.

Pozostali, zorientowawszy się w zagrożeniu, pomknęli jego śladem.

„Wyścig z czasem i ciuciubabka z przeznaczeniem” — idiotyczne myśli często nawiedzały Norana w najmniej odpowiednich chwilach. Ale fakty były nieubłagane: jeśli ta jaskinia nie ma innych korytarzy lub dobiegną do nich zbyt późno...

„Właściwie to dlaczego po prostu nie wróciliśmy do portalu?” — wzbierała w nim złość na samego siebie i na własną głupotę nigdy niecofającego się szaleńca. Nigdy i przed niczym. Jak zwykle był znacznie szybszy, więc już po paru chwilach miał sporą przewagę nad kompanami. Nie chciał się jednak oglądać. „Trudno, na razie muszą sobie radzić sami. Byle znaleźć jakieś wyjście, byle zmniejszyć przestrzeń...”

Jego wzrok wyłowił ciemniejszą plamę na skale jakieś pięćdziesiąt kroków dalej i kilka stóp powyżej stale unoszącego się poziomu mgły, sięgającej mu już powyżej pasa.

— Wyjście! — ryknął wśród coraz donośniejszego, okropnego chrzęstu i klekotu, który do złudzenia przypominał dźwięk drewnianych kołatek służących do nagonki zwierzyny łownej.

Przyśpieszył, błagając w duchu los, by na jego drodze nic nie wystawało z podłoża, skoczył i chwycił się oburącz krawędzi niedużego otworu. Natychmiast podciągnął ciało, zaczepił nogę, wgramolił się i kucając, zlustrował ciemny przesmyk. To był zwykły pusty tunel. Odwrócił wzrok, oceniając sytuację. Nie była najlepsza. Towarzysze wprawdzie podążali za nim, ale nie wykazywali się przy tym zbyt wielką sprawnością, szczególnie że nie odważyli się upuścić pochodni, z jednej strony dających ich oczom nieocenione światło, z drugiej jednak spowalniających bieg. Na przedzie spodziewał się ujrzeć Leśniada, jedyne mu znanego człowieka mogącego przynajmniej trochę równać się z nim szybkością przemieszczania w trudnym terenie, zarówno w lesie czy na skałach, jak i w podziemiach. Ale to góral biegł pierwszy. „Coś dziwnie się porusza jak na człowieka” — przemknęło zabójcy przez głowę, ale nie było czasu na tego typu rozważania.

Pająkowate stworzenia wielkości psa ożywiły już większą część ścian, a wiele z kreatur spuszczało się bezpośrednio z legowiska po niciach i znikało we mgle na całym obszarze jaskini. Było oczywiste, że do kontaktu zostało kilka, może kilkanaście chwil. Mgła podniosła się biegnącym do piersi. „Wszyscy nie zdążą” — coś ukłuło Norana w duszy, a potem poznał inną własną myśl, zimną, pochodzącą jakby od drugiego ja: „To ich droga, co mi do tego”. Zacisnął pięści, próbując skupić się na wymyśleniu czegokolwiek, co mógłby zrobić. „Potrzebują tylko czasu, trochę więcej czasu...” Nagły pomysł uderzył go swoją prostotą. W pośpiechu wyciągnął z ukrytej kieszeni niewielkie zawiniątko. Ostrożnie odpakował, trzymając zawartość delikatnie w jednej dłoni.

— Nie przestawajcie biec i osłońcie oczy! — krzyknął najgłośniej, jak mógł, po czym rzucił przedmiot daleko, pod przeciwległą ścianę.

Krótki, oślepiająco jasny i niemal bezdźwięczny błysk nie dał szans na akomodację źrenic. Noran na krótko prawie całkowicie stracił możliwość widzenia, mimo że zasłonił się ramieniem. Efekt przeszedł jednak jego najśmielsze oczekiwania. Żyjące

w ciemnościach stwory po prostu oszalały z bólu, którego echo zaatakowało wyostrzone zmysły odmieńca. Przez moment było mu nawet ich żal, tak straszliwe cierpienie wypełniło gniazdo. Teraz nie przemieszczały się już w żadnym konkretnym kierunku, a jedynie skrzeczały przeraźliwie i biegały we wszystkie strony, w całkowitym chaosie wpadając na siebie, odpadając ze ścian i kotłując się we mgle.

Leśniad dobiegł zaraz za Bredą, Gromir i Druwian byli następni. Wszyscy po kolei wspięli się do otworu nie niepokojeni. Po krótkim biegu, mocno utrudnionym ciasnotą tunelu, przystanęli na chwilę, dysząc i opierając się o mokre ściany.

— Co to było, na jasności świata? — Gromir miał największe kłopoty ze zmieszczeniem się w korytarzu, płacił więc za przygarbioną pozycję najwyższy haracz.

— Błysk czy te czarne pajęczce ohydy? — Leśniad opierał się ramionami o kolana zgięty wpół i sapał równie ciężko.

— To tunelowce — wytłumaczył Druwian z przymkniętymi ze zmęczenia oczami. — Tak są nazywane, bo żyją prawie wyłącznie w tunelach i podziemiach, w ostateczności jeno wychodząc na powierzchnię. W ogólnym rozrachunku to wprawdzie gatunek pajęczy, ale tak naprawdę ze zwykłymi pajakami niewiele mają wspólnego.

— A srał je dzięcioł — stęknął olbrzym. — Doskonały pomysł z tym światłem, choć przez chwilę czułem się, jakby mi kto do gałek żagiew przystawił. Szczęście też, że przeklęte padalce mają w ogóle oczy, bo pod ziemią żyje więcej stworzeń, co na słuchu jedynie się opierają, więc raczej ogłuszyć, niż oślepić by je trzeba.

— A kto ci powiedział, że w tym błysku było tylko światło? — mruknął Noran od niechcienia.

Druwian przyjrzał się mu. Już otwierał usta do pytania, ale w końcu nie rzekł nic. Zaczął zastanawiać się, na ile zmysły młodego zabójcy mogą być różne od ludzkich.

Niedługo ruszyli dalej wolno gęsiego. Nie uszli zbyt daleko, gdy dotarli do kolejnej jaskini, tym razem bez żadnego wyraźnego wejścia, lecz o kształcie regularnym i wydłużonym. Proste ściany nie były zbyt wysokie, za to miały dużą liczbę wąskich, głębokich

wnęk rozlokowanych na trzech poziomach. Jeden rzut oka wystarczył, by rozpoznać starożytny grobowiec. Noran odniósł dziwne wrażenie, że zna to miejsce i że jego atmosfera jest mu bliska, wręcz przyjazna. Coś mrocznego drgnęło w jego umyśle i wzmocniło pożądlivą czujność. Zabójca powędrował na chwilę myślami w przeszłość, szukając podobnych miejsc, ale jedyny grobowiec, w jakim znajdował się kiedykolwiek w życiu, wyglądał zupełnie inaczej. Nic zresztą dziwnego — był to po prostu większy grób jednego z lordów północy, wykuty w skale jako miejsce spoczynku dla wszystkich członków rodziny i najbliższych rycerzy z jego świty.

— Skąd tu takie rozległe katakumby? Czyżby Kozia faktycznie miała podwójną historię? — rozważał półgłosem Leśniad, zerkając na górala.

Ten jednak milczał.

Podążali dalej czujniej, obserwując rzędy otworów. W większości z nich spoczywały proste kamienne sarkofagi, gdzieniegdzie zwieńczone niewielkimi posążkami lub elementami uzbrojenia, a raczej jedynie jego szczątkami. Tylko kilka wnęk wyglądało na puste. Z każdym krokiem Noran czuł się dziwniej. Część jego jestestwa w sposób niekontrolowany doznawała emocji, których źródła nie rozpoznawał. Nie mógł oprzeć się złudzeniu, że stał się nagle dwoma różnymi osobami. Ta nowa osoba wyraźnie na coś oczekiwała pełna rosnącego pożądania i ekscytacji. Wrażenie było tak silne, że w końcu spojrział na swoje ręce, żeby sprawdzić, czy nadal jest sobą. Natychmiast skarcił się w myślach za bezsens tego odruchu. „Co jest grane?” — szukał wzrokiem rozwiązania. Nagle go olśniło. Coś w tej krypcie go witało, a on z niezrozumiałych względów po prostu to odbierał.

— Tam! — Jako pierwszy wskazał na okazały, gładko oszlifowany postument, na którym umieszczono specyficzne siedzisko z wysokim oparciem.

Wszyscy milczeli pochłonięci podziwianiem tego, co zobaczyli. Tron w całości wykonano z czegoś, co mogło być błyszczącym, czarnym metalem. Bogate zdobienia nawiązujące do zwierzęcej symboliki uformowane ze złota o czerwonym odcieniu upstrzone

były gęsto wielkimi rubinami, szafirami, szmaragdami, a nawet żółtawymi topazami i zielonkawymi amazonitami. Na tym relikwie wręcz jarmarcznego przepychu siedziała niezwykle realistyczna mumifikacja ogromnego niehumanoidalnego wojownika, opierającego ramiona na wielkim dwuręcznym mieczu leżącym na kolanach. Ciało nieboszczyka wyglądało na dobrze zachowane, choć całkowicie zasuszone. Na skroniach błyszczała ciężka, złota obręcz.

— A więc to jednak prawda. — Góral podchodził do tronu powoli niczym zahipnotyzowany. Kręcił głową i mruzczał coś do siebie.

— O co chodzi, człowieku? — Leśniad wpatrywał się w mumię równie intensywnie. — Czyżby to miała być ta twoja przerażająca legenda?

Pytanie zawierało jedynie niewinną nutkę ironii, ale to wystarczyło, by zwrócić uwagę górala. Krótkie spojrzenie, które posłał zabójcy, wypełnione było czymś bardzo złym i zwierzęcym. Odwrócił szybko głowę, podchodząc bezpośrednio pod tron. Leśniad miał nieodparte wrażenie, że brodacze chciał szybko ukryć swoje uczucia.

Po chwili wszyscy stanęli bliżej, dokładniej oświetlając majestatyczną postać. Teraz Noran był już absolutnie pewny, że emocje, których doświadczał, nie są jego własnymi. Swoista mieszanina uczuć radości, pożądania i ulgi wyraźnie emanowała ze zmumifikowanej postaci pradawnego wojownika, być może władcy. Dotąd nie spotkał się z tak zachęcającymi i przyjaznymi reakcjami z niczyjej strony, bo i w sumie od kogo. Nie miał rodziny, a najbliższe mu osoby należały z reguły do fachu, w którym nie obdarza się drugiego człowieka niczym innym niż zimnym stali. Z nieznanym sobie powodów wyciągnął dłoń w stronę ręki zasuszonego olbrzyma. Jakiś przedmiot otaczający nadgarstek mumii rozjarzył się czerwonym blaskiem.

— Nie dotykaj tego! — ostrzegł druid, gwałtownie ruszając w stronę zabójcy, ale nie zdążył.

Ognisty wąż bransolety ożył i z szybkością atakującej kobry skoczył w stronę przedramienia zaskoczonych młodzieńców. Błyskawicznie wżarł się w ciało i oplótł je ciasno tuż za skórzaną osłoną. Noran zaklął ohydnie i zachwiał się, cofając dwa kroki.



Odruchowo chwycił drugą dłonią za bransoletę, ale ta na powrót stała się zimna i ciemna, zaciśnięta na skórze tak mocno, jakby od zawsze była jej częścią.

Wszyscy zeszytnieli w oczekiwaniu, patrząc to na przedmiot, to na Norana. Chłopak po kilku próbach zdjęcia ozdoby w końcu wzruszył tylko ramionami, zrezygnowany i zły. Nie było jednak czasu na rozmowę, bo nagle usłyszeli tuż za plecami złowrogi chrobot i poruszenie. Instynktownie odskoczyli od postumentu. Każdy przyjął obronną pozycję właściwą swojemu stylowi walki. Wielki niehumanoidalny wojownik poruszał się na tronie i choć wydawało się to niemożliwe, najwyraźniej patrzył na nich.

*A więc przybyłeś, pomocię nocy, sromoto dla mego ludu, na spotkanie z ognistym, a on cię rozpoznał! —* Czyjś głos rozbrzmiał w głowie Norana niczym górskie echo. — *Wiedz jednak, że głodna krew tego okrutnego demona nigdy nie znajdzie nasycenia, i dlatego stanę na drodze twego przeznaczenia.*

Olbrzym podnosił się powoli, chwytając oburącz swój wielki miecz. Jego zamiary nie pozostawały już dla nikogo tajemnicą. Zeskoczył z cokołu, aż grot zadrżała w posadach, i ruszył na Norana, biorąc zamach. Zabójcę uratowały natychmiastowy przysiad i szczupak w stronę ściany. Brzeszczot gruchnął w podłogę po skosie, tak że skała w tym miejscu pękła. Snop iskier i kawałki kamienia posypały się dookoła. Pierwszy do ataku ruszył Gromir. Obudzony olbrzym machnął od niechcienia lewym ramieniem, jakby odpychał pijanego natręta w gospodzie, i wojownik pofrunął w ciemność groty. Głuchy łoskot świadczył o jego spotkaniu z czymś twardym.

— Druidzie, zrób coś, bo ta padlina jest deczko za duża jak na nas! — krzyczał Leśniad, starając się zająć przeciwnika od tyłu.

— Wybacz, ale na niewiele się chyba przydam. — Królewski doradca z wyciągniętym przed siebie ostrzem przesuwiał się w przeciwnym do Leśniada kierunku. — Marny ze mnie nekromanta.

Mumia wciąż kierowała się w stronę Norana. Było jasne, że unicestwienie nowego właściciela bransolety jest jej głównym celem. Zabójca uwijał się jak w ukropie. Wydawało się, że powinien mieć znaczącą przewagę wynikającą z większej zwinności

i szybkości, jednak zasięg ramion przeciwnika trzymających ogromny oręż całkowicie ją niwelował. Ciężka stal raz po raz waliła niczym grom w skalne ściany bądź podłozę o włos od ciała atakowanego. Ani Leśniad, ani Druwian nie mogli wiele zrobić ponad bezskuteczne próby odwrócenia uwagi mumii oraz utrzymywanie światła pochodni.

W umyśle unikającego ciosów blondyna znowu budził się mrok. Stan, który wiele razy pojawiał się w przeszłości w sytuacjach zagrożenia życia, tym razem pochłaniał jego tożsamość znacznie żarłoczniej. Coś obcego, ciemnego i przerażająco głodnego uporczywie starało się odebrać mu wolną wolę. Jak zwykle stawiał opór, starając się zachować trzeźwość myśli, ale tym razem towarzyszący mu od zawsze cień zdawał się górować mocą nad jego nikiem z każdą chwilą samokontrolą.

Resztką świadomości rozbłysła prosta prawda: „Wygraj, wówczas zwyciężysz”, a instynkt zabójcy podsunął rozwiązanie. Skupiony przekoziołkował pod mknącym ukośnie metalem i przyjął pozycję tuż przed mumią całkowicie w zasięgu jej miecza. Pradawny wojownik zatrzymał się na ułamek chwili jakby zaskoczony. Jego przedwieczne doświadczenie najwyraźniej nic mu nie podpowiedziało, więc uderzył z góry niemal pionowo z niezwykłą siłą. Ostrze łupnęło dokładnie w miejscu, w którym stał Noran, ale jego ciała już tam nie było. Półobrót z odskokiem był tak szybki, że dla zwykłego wzroku sylwetka zabójcy przeistoczyła się w rozmazaną plamę. Cięcie z pełnego rozmachu miało jednoznaczny skutek. Miecz Norana trafił na wysokości nadgarstków i odrąbał zaciśnięte na rękojeści dłonie mumii. Olbrzym cofnął się w bezwarunkowym odruchu, pozbawiony zaklinowanego w skalnym podłożu oręża. Korzystając z możliwości bezpieczniejszego podejścia, Leśniad skoczył i ciął mumię podwójnie tuż pod kolanem. Tylko szczęśliwy traf i refleks pozwoliły mu uniknąć oberwania po głowie kikutem ramienia. Ciosy zrobiły jednak swoje, bo gdy stwór przesunął ciężar ciała na trafioną nogę, coś w niej trzasnęło. Zachwiał się i pochylił. Noran z wilczym warknięciem sieknął niemal na odlew, oddzielając czerep od reszty

zasuszonego ciała, które chwilę po tym po prostu rozpadło się w chmurę pyłu.

— Ale się za nim zakurzyło. — Uśmiechnięty brunet chował już dwa zakrzywione miecze w uprząż, przybierając wzgardliwą minę. — Ach, ach, i do piachu. Tyle że w trochę większej ilości niż zwykle.

— Lepiej idź sprawdź, czy nasz wielgas jeszcze dycha, czy całkiem go rozmazało. — Noran nie podzielał humoru towarzysza po fachu. Czuł się podle, w środku był cały rozedrgany, jakby ściągnięty znad krawędzi życia. W jego umyśle wciąż rozbrzmiewały echa czegoś, co kolejny raz musiało odejść nienasycone. — I niech ci druid tym razem pomoże. Marni nekromanci powinni być chyba lepsi jako uzdrowiciele. O ile jest co zbierać — dodał matowym głosem, nie spojrzawszy nawet w ich stronę.

Podszedł do leżącej pod postumentem złotej obręczy i dotknął jej. Była gorąca. Do jego zmęczonego umysłu dobiegł szept: *Pokonałeś mnie, ale spotkasz na swej krwawej drodze zagłady kogoś, kto jest ode mnie silniejszy. Pożywił się z tobą, spał obok i dzielił krew w żyłach. Oby bogowie dali mu nad tobą zwycięstwo.*

— Wystarczy mi, że dożyję do tego spotkania — mruknął zabójca do siebie, czując charakterystyczny odpływ energii. Przysiadł i oparł się o chłodny kamień. Przymknął oczy, chcąc odnaleźć siebie na nowo.

— Chylę przed tobą czoło, bo pokonałeś, co ci było przeznaczone. — Dziwnie chropowaty głos Bredy wyrwał blondyna z odprężającego transu. — Więc to ty będziesz teraz największym wojownikiem wśród istot, a moc twoja dopiero rozkwitnie.

— Nie wiem zaiste, o czym mówisz, ale też mogłeś nim zostać. Tyle że jakoś zabrakło nam twojego topora. Czyżbym coś przeoczył? — Siedząc w luźnej pozycji, obserwował bacznie górala spod przymkniętych powiek. Zauważył na jego twarzy cień jadowitego uśmiešku lub raczej ironii.

— To było twoje przeznaczenie, nie moje. To ciebie wybrał ognisty demon.

— Jak na ognistego wydawał się strasznie zasuszony.

— Ta mumia to tylko strażnik. Mówiłem o bransolecie.

Zabójca uprzytomnił sobie nagle zajście tuż przed walką. Podniósł do oczu rękę i przyjrzał się metalowej ozdobie. W półmroku wyglądała zwyczajnie. Miała postać podobnego do jaszczurki stwora trzymającego własny ogon w paszczy. W dotyku chłodna i gładka, nie miała w sobie nic, co mogłoby tłumaczyć jej nagłe ożycie. Najdziwniejsze było jednak to, że właściwie nie czuł jej obecności, a próbując ponownie ją zdjąć, miał nieodparte wrażenie, że chce oderwać sobie kawałek ciała.

— Nazywasz to coś ognistym demonem? — Zabójca spojrział na Brede. — To pewnie wiesz też, jak to zdjąć.

Góral przyglądał mu się dziwnie. Na jego obliczu błąkało się przyczajone szyderstwo.

— Wielu oddałoby wszystko, byle to zdobyć. Wielu to w przeszłości zrobiło...

— Zaczynasz mnie drażnić. Mam gdzieś legendy i nie lubię, gdy ktoś lub coś narzuca mi swoją wolę. Pytam więc grzecznie: wiesz, jak to coś zdjąć?

— Drakonionu nie da się zdjąć. — Słowa padły z ust Gromira, który właśnie zbliżył się wsparty na ramieniu Leśniada. Jedną ręką trzymał się za tył głowy.

— To przecież nie jest... — Druwian patrzył to na bransoletę, to na wielkiego wojownika, to na Brede. — To niemożliwe. Nie tu.

— Czy ktoś może mnie oświecić? — Noran zgrzytnął zębami i podniósł się gwałtownie. — Zdaje się, że wszyscy wiedzą coś, czego ja nie wiem, ale co, do nędzy, dotyczy właśnie mnie.

— Cóż, niewiedza jest przywilejem młodości. Jeśli Gromir ma na myśli to, co myślę, że ma, to ta bransoleta jest starożytnym artefaktem. — Druwian mówił ściszym głosem. — W wielkiej bibliotece jest kilka starych zwojów, w których pojawiają się krótkie wzmianki o takich przedmiotach. O ile dobrze pamiętam, podobne, a nie było ich wiele, tworzyli bogowie mroku jeszcze w samych początkach ludzkości. Są w nich uwięzione demony. Ich esencja spojona z przedmiotem ogniem czystej, pierwotnej mocy miała dawać posiadaczom drakonionu ogromną siłę. Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób służą właścicielowi, o ile w ogóle można

tak o nich mówić. I chyba faktycznie nie można zdjąć tej bransolety, dopóki sama tego nie zechce.

— Mówicie o niej, jakby była żywym stworzeniem. — Leśniad również przyglądał się niespodziewanemu nabytkowi towarzysza z głębokim niepokojem.

— Bo to jest żywe — rzekł cicho zamyślony Gromir. — Na swój sposób.

Noran westchnął, wywracając oczami.

— Dobra, zupełnie nie chce mi się teraz nad tym zastanawiać. Róbmy dalej, co namznaczono. Może sprawa sama się wyjaśni, a na razie... cóż, nie przeszkadza mi zbytnio ta ozdóbka. Mam do was jedynie prośbę o nieporuszanie przez jakiś czas tego tematu. Słowa typu „starożytna”, „pierwotna” i „tajemnicza” zaczynają mnie niemiłosiernie wkurzać.

Po chwili szli dalej prowadzeni tunelami przez Brekę, właściwie nie odzywając się do siebie. Atmosfera jednak zmieniła się całkowicie. Każdy zastanawiał się nad tym samym. To, że w ciągu ostatnich kilku dni brali udział w tylu dziwnych zdarzeniach, raczej nie mogło być zwykłym zbiegiem okoliczności.

Najbardziej pogrążony w rozmyślaniach był Noran, ale też miał po temu powody. Specjalnie zbył temat bransolety, by móc samemu wszystko rozważyć, a miał teraz do przetrawienia znacznie więcej niż tydzień temu. Na dnie duszy rósł niepokój. Blondyn frasował się tym bardziej, im bardziej czuł się nic nieznaczącym pionkiem w jakiejś pokręconej grze, w której ktoś lub coś manipulowało nim z całkowitą swobodą, a on nie mógł ani nic na to poradzić, ani nawet zrozumieć. Co mogły znaczyć usłyszane w umyśle słowa? Dlaczego bransoleta uczepliła się właśnie jego? Czy to może mieć jakiś związek z jego pochodzeniem? Setki pytań i żadnej sensownej odpowiedzi.

Próbował to wszystko uporządkować, ale elementy układanki do siebie nie pasowały. A do tego ta dziwna transformacja, która zachodzi w nim podczas walki. Właśnie wtedy, gdy jego zmysły naturalnie koncentrują się na zabijaniu, mroczny byt istniejący gdzieś w zakamarkach umysłu budzi się z pragnieniem przejęcia kontroli nad jego świadomością. Wzdrygnął się wewnątrz na samo wspomnienie świeżego jeszcze uczucia, że przestaje być sobą. „Jest

coraz gorzej” — pomyślał gorzko. „Kiedyś to był tylko cień, coś, co pojawiało się jak specyficzna aura drapieżcy, ale teraz...” Z przerażeniem uzmysłowił sobie, że przekroczenie cieniutkiej już granicy może nastąpić choćby następnym razem. Gorączkowo rozważał najróżniejsze ewentualności. Jedno było pewne: jeśli zostanie zaatakowany, będzie musiał się bronić.

Sporo do przemyślenia miał też Druwian. On wiedział o drakonionie wystarczająco dużo, by zastanawiać się, czy nie przerwać misji. Mag magiem i z pewnością należało się go pozbyć, ale pojawienie się cienistych i ta bransoleta to zupełnie inna bajka. W normalnych okolicznościach natychmiast skontaktowałyby się ze starszymi u Darzan, ale teraz musiał to sam spokojnie ocenić. Nie popełni ponownie tego samego błędu, nie tym razem. Poczul pieczenie starych wyrzutów sumienia. W tej chwili i tak nie mógł zrobić nic ponad trzymanie się planu i chronienie tego na wpół szalonego młokosa. Chociaż jeśli ta bransoleta faktycznie wybrała Norana, to może się okazać, że właśnie odmieniec jest najlepiej chronioną osobą na kontynencie i że to raczej przed nim trzeba będzie chronić wszystko pozostałe.

Jak na dotychczasowe przygody w tunelach doszli do ukrytego wyjścia na przełęcz zdumiewająco szybko i już bez jakichkolwiek problemów. Po wynurzeniu się z podziemi zobaczyli, że warownia została dość daleko za nimi. Słońce, ledwie przebijające się przez poszarpane chmury, przekroczyło już zenit i powoli chyliło ku zachodowi. W powietrzu pojawiły się wolno pływające płatki śniegu.

— Dalej pójdziecie tym szlakiem. — Breda wskazał ręką ledwie widoczną półkę ciągnącą się prawie równolegle do normalnej trasy przez przełęcz. — Miejscami będzie wąsko, ale póki nie ma wielkich śniegów, nie powinniście mieć żadnych kłopotów z przejściem na zachodnią stronę Zębatych.

Rozstali się po żołniersku, bez wielkich pożegnań. Jedyne Noranowi Breda przyglądał się dłużej, jakby nie spodziewał się już więcej go zobaczyć i chciał go sobie szczególnie dobrze zapamiętać.

Po niedługim czasie byli już tylko czwórką małych wspinających się figurek na tle skalnej ściany. Coraz ostrzejsze, zimne powietrze było po długiej wędrówce zatęchłymi, dusznymi tunelami wyjątkowo przyjemne dla Norana. Ze wszystkich typów krajobrazu właśnie góry działały na niego najbardziej kojąco. Wspaniałe widoki zboczy pokrytych na tej wysokości śniegiem sprawiały, że czuł się jak w białym sanktuarium spokoju. Występ skalny, którym się poruszali, był wygodny. Wprawdzie czasem zwężał się, zmuszając do marszu gęsiego, jednak w większości stanowił bezpieczny szlak. Sytuację ułatwiała okrywająca o tej porze roku zmarzniętą skałę jedynie lekka pierzynka śniegu. Nawet zasy nawiane wiatrem w załomach były dość niewielkie.

Cały czas wspinali się łagodnie, utrzymując bardzo szybkie tempo. Sprzyjało to zachowaniu ciepła, bo choć okryli się podarowanymi im przez górali specjalnymi, nieco dłuższymi ocieplanymi opończami, to jednak na przełęczy zimno było już niezwykle przenikliwie.

Młody zabójca szedł na przedzie, zasłuchany we własne myśli i w charakterystycznie niby szemrzącą ciszę gór. Dla wyczulonego ucha stanowiła ona wręcz symfonię różnych dźwięków, wspaniały duet wiatru i echa. W przeszłości już kilkakrotnie pozwalała jego zbolelej, zgorzkniałej duszy odnaleźć wytchnienie. Wszechobecna oaza wyobcowania rozpostarta w przepięknej scenerii pełnej majestatu natury wprowadzała jego umysł w unikalny stan, będący połączeniem uniesienia i snu na jawie. Wówczas wszelkie sprawy, i te makabryczne z przeszłości, i te obciążające brzemieniem niepokoju teraźniejszość, odpływały hen, daleko, stawały się nic nieznaczące. Tym razem jednak nawet piękno górskich szczytów nie było w stanie całkowicie rozwiać kołających się w sercu obaw i rozterek.

Być może właśnie dlatego jego wyczulony słuch niespodziewanie wyłapał w znajomej muzyce przyrody ewidentnie fałszywy akord. Błyskawicznie narastające połączenie syku i lekkiego furkotu mogło oznaczać tylko jedno. Coś, co znał tak doskonale, że ciało zareagowało praktycznie bez udziału świadomości. Rzucając się na płask w śnieg, krzyknął:

— Padnij! Łucznicy!

W tym samym momencie dookoła rozległo się kilka „sssum”, „pac” i „hrum”, a chwilę potem — urwany jęk Leśniada.

— Pod ścianę!

Noran skoczył szczupakiem na prawo, przeturlał się i wcisnął maksymalnie do niewielkiego wyżłobienia w zboczu. Zlustrował przestrzeń przed sobą i po bokach. Jego oczy przestawiły się na wyraźniejsze widzenie dalekich obiektów. W dwóch trzecich wysokości przeciwległej ściany przełęczą dostrzegł szaro-białe sylwetki z długimi łukami. Strzelający stali wystarczająco daleko, by nie móc razić zbyt celnie, ale również wystarczająco z boku, by mieć cel doskonale widoczny. Niewielkie nierówności ściany, wzdłuż której poruszali się wędrujący, nie mogły stanowić praktycznie żadnej osłony.

Chłopak spojrzął przez ramię i zobaczył czołgających się towarzyszy. Prawa ręka Leśniada przemieszczała się za ciałem bezwładnie jak przyczepiony element ekwipunku.

„Niedobrze” — pomyślał. „Sucze syny mogą sobie do nas strzelać jak na strzelnicy do wyczerpania strzał”. Jedynie sprawny bieg utrudniłby trafienie, ale też przez najbliższe kilkaset metrów przybliżałby drużynę do łuczników. Poza tym jeśli Leśniad oberwał, nie pobiegnie zbyt szybko, o ile w ogóle. Pozostali dotarli do ściany tuż za zabójcą.

— Nic mi nie jest. — Leśniad odgadł myśli Norana. — Nie wiem, dlaczego sprzączka mojej uprząży przesunęła się aż w to miejsce, dość, że strzała trafiła pod opończą dokładnie w metal. Boli jak cholera, a siniak dotrwa pewnie do zimy, ale ramię jest w porządku. Nie sądzę jedynie, bym mógł nim władać przez jakąś chwilę.

„Tyle dobrego” — pomyślał Noran. Spojrzął na Druwiana. Porozumieli się bez słów. Druid zmrużył oczy i skupił wzrok na odległych przeciwnikach. Jego twarz lekko zszarzała, a tatuaże pociemniały, gdy dłonie kreśliły w powietrzu błyszczące znaki. Po chwili łagodny dotąd wietrzyk szarpnął się raz i drugi. Pod wpływem gwałtowniejszych podmuchów płatki śniegu zawirowały intensywniej. Po drugiej stronie przełęczą wiatr



rozhuśtał się na dobre. Widzieli, jak w miejscu, z którego nadlatywały strzały, zapanował chaos śnieżnej zawieruchy.

— Ech, partacze. — Twarz Leśniada niewytłumaczalnie wyrażała połączenie żartu i bólu. — Nikt im nie przepowiedział pogody na dziś? Przynajmniej dowódca powinien przewidzieć, że tak będzie wiało po TAMTEJ stronie przełęczy, he, he.

— Dobra, żartownisiu, teraz sobie trochę podbiegniemy, bo taka pogoda w górach to chwilowa sprawa. — Noran ruszył pierwszy, za nim podążyli Gromir i Leśniad, którego pierwsze kroki przypominały raczej rozhuśtany spacer po wyjściu z gospody niż bieg. Na końcu szybkim marszem ruszył Druwian ze wzrokiem wciąż skupionym na przeciwległej ścianie.

W pewnym momencie mijali przeciwników w najbliższej odległości. Leśniad jeszcze bardziej żałował trafienia, bo z tej odległości nawet jego krótki łuk mógł stać się rozwiązaniem sytuacji, ale ramię na razie było jak z drewna i bolało nieznośnie. Zresztą zawieja śnieżna chwilowo kotłująca się po drugiej stronie całkowicie zasłoniła napastników.

Po kilku minutach dotarli do załomu zbocza, który oddzielił ich bezpiecznie od łuczników. Zaczęli już zwalniać, gdy nagle na szlaku przed nimi, w miejscu, które z powodu krzywizny ściany skalnej nie było dotąd widoczne, zobaczyli około trzech tuzinów postaci. Ciemne kolczugi, specyficzne blachy na wysokości barków, sporo pik. Nie mieli wątpliwości — to był oddział Janika.

— To pułapka. — Gromir wypowiedział coś, co było już oczywiste dla wszystkich.

Noran analizował sprawy, po czym odezwał się spokojnie:

— Wielgasie, my idziemy przodem, jednoręki ubezpiecza, a ty, Druwianie, postarasz się, żebyśmy nie mieli niespodzianki za plecami.

Spojrzał w twarze każdego po kolei. Spotkał się z milczącą zgodą lub nieznacznym kiwnięciem głowy na znak potwierdzenia. Zadziwiająco nawet Druwian bez problemów zaakceptował przewodnictwo Norana, przyglądał mu się jedynie w zamyśleniu. Zaatakowanie wydawało się jedyną rozsądną decyzją, mimo że i tak pachnącą samobójstwem.

Szlak w miejscu, w którym czekał na nich przeciwnik, był trochę szerszy. Widzieli, że walka rozegra się w szyku trzy-, góra czteroosobowym. To z jednej strony dawało im jakąś szansę mimo wielokrotnej przewagi żołnierzy. Noran jeszcze raz zlustrował spojrzeniem Gromira. Od niego będzie tu wiele zależało. Tajemniczy wojownik musiał być naprawdę siłaczem, a jego dwuręczniak imponował wielkością, co nabierało dodatkowego znaczenia w świetle uzbrojenia przeciwników w piki. Przy zwartym szyku tarcz ich drugi szereg mógł swobodnie atakować długimi ostrzami ponad głowami ludzi z pierwszego rzędu. Taką taktykę stosowano zresztą dość często i właściwie zawsze okazywała się skuteczna. Żołnierze byli też lepiej opancerzeni i wychodziło na to, że jedynym sposobem na przedostanie się może być próba bezpośredniego przebicia się przez szyk lub przynajmniej rozbicia go na tyle, żeby w zamieszaniu móc walczyć z wrogami bardziej indywidualnie, bo jedynie wówczas Noran mógłby wykorzystać szybkość i precyzję ciosów, dla których typowe pancerze nie stanowiły większej przeszkody. Złamać szyk mógł jednak tylko Gromir, choćby ze względu na swoją masę. Musiałby jednak zaatakować, wpadając z impetem na najeżone ostrzami szeregi, co bez pełnej zbroi właściwie oznaczałoby śmierć. Na szczęście obaj zabójcy byli świetnie wyszkoleni. W zanadrzu skrywali różne sposoby na spowodowanie zamieszania nawet w zwartej formacji, choć w ich fachu rzadko pojawiała się taka potrzeba.

Blondyn przekazał szczegóły swojego pomysłu na natarcie krótkimi, rzeczowymi słowami. Idea wydawała się na tyle prosta, że nie było nad czym się zastanawiać. Ruszyli truchtem we trzech, zostawiając z tyłu Druwiana, który nadal utrzymywał w szachu łuczników po drugiej stronie. Stojący na ich drodze oddział albo nie dysponował bronią miotającą, albo zbyt mocno wierzył w niezłomność swojego ustawienia, bo żołnierze po prostu stali, patrząc na trzech zbliżających się biegiem szaleńców.

Kilkanaście kroków przed pikami Leśniad i Noran nagle wyhamowali, przykładając do ust niewielkie miedziane rurki. Nie zwolnił tylko Gromir, który z niesamowitym rykiem runął na żołnierzy i rozbił ich formację niczym taran, wbijając się

na głębokość trzech szeregów. Nie powstrzymały go żadne piki, bo ręce ich właścicieli już sztywniały. Trucizna w małych strzałkach miotanych precyzyjnie dmuchnięciami miała skutek iście piorunujący. Trafieni w nieosłonięte miejsca prawie natychmiast wiotczeli i osuwali się bezwładnie, a niedługo później konali. Zabójcy opróżnili szybko swoje skromne zasoby pocisków, celując już w tylne szeregi, bo Gromir siał taki zamęt na przedzie, że trafienie tam kogokolwiek wiązało się ze zbyt dużym ryzykiem. Olbrzym walił próbujących cofać się najemników, wykorzystując swoją znaczną przewagę wzrostu, niczym opętane furią monstrum. Niemal miażdżył hełmy i roztrzaskiwał nieduże tarcze, które obecnie bardziej przeszkadzały właścicielom, niż stanowiły ochronę. Żołnierze z najbliższych linii nie trzymali już żadnego szyku, stali się raczej stłamszoną i przeszkadzającą sobie wzajemnie ciżbą zaskoczonych ludzi. Wielki brzeszczot na razie zapewniał atakującemu możliwie bezpieczny dystans.

„Zaczynam rozumieć cienistych” — pomyślał Noran, patrząc na Gromira, który jak rozszalała bestia szarpał i dziurawił przeciwnika z niesłabnącą energią. „To prawdziwy bóg wojennego szału”.

Mocarz górujący nad przeciwnikami o co najmniej głowę operował ciężką stalą niczym trzcinką. Pozwalało mu to właściwie zasypywać żołnierzy potężnymi ciosami bez dawania im jakiegokolwiek szansy na przyjęcie sensownej pozycji. Tylne szeregi parły równocześnie do przodu, utrzymując zbitą ludzką zaporę. Przy tak wąskiej przestrzeni rozmach Gromira nie pozwalał ani Noranowi, ani tym bardziej kontuzjowanemu Leśniadowi na skuteczne wsparcie. Odmieniec, nie mogąc wziąć udziału w bezpośrednim starciu, z bezsilnej złości dobijał tych, co wypadli wciąż żywi z istnej młockarni. Wszechobecny zapach krwi coraz intensywniej wdzierał się w jego nozdrza. Znajoma mroczna groza znowu budziła się w jego umyśle. Odruchowo spiął się wewnątrz, jak zwykle ustawiając mentalne bariery, by walczyć o zachowanie nad sobą kontroli. Jednak tym razem wir ciemności nie rozrastał się tak jak dotychczas. Nie napierał na jego świadomość żarłocznymi próbami jej zawłaszczenia. Zdawało się raczej, że obserwuje i na coś

czeka. Zaskoczony Noran uzmysłowił sobie, że dzieje się z nim coś dziwnego. Jego serce biło znacznie szybciej i mocniej, niż powinno, a wzrok zaczynała przesłaniać jakaś niepokojąca czerwona mgiełka. Potrząsnął głową, mrugając powiekami, ale zjawisko nie ustąpiło. Coraz trudniej przychodziło mu też utrzymywanie nerwów na wodzy. Był po prostu wściekły. Skrawkiem zdrowego rozsądku zdał sobie sprawę, że stoi na krawędzi niepohamowanego, ślepego szału. I wtedy poczuł to całym sobą. Potężny przypływ sił przetoczył się przez jego ciało. Ogromna fala energii wypełniła mu piersi, ramiona, całe ciało, docierała do każdego mięśnia, każdego ścięgna, każdej komórki, fantastyczna, oszałamiająca, niezmierna. Z donośnym krzykiem uwalniały się dzikie instynkty, nowe zmysły, nowe pragnienia. Poczuł, że jest wreszcie wolny, wolny i głodny, głodny szamocących się przed nim marnych ludzkich istnień, których los właśnie się przesądził. Moc wciąż rosła i rosła, aż w końcu pochłonęła go bez reszty.

Po całych eonach względnej ciszy Góry Zębate poniosły zwiłokrotnionym echem jedyny w swoim rodzaju, potworny, nieludzki ryk złowieszczej wróżby.

# AMADAL

Stuk, stuk... stuk, stuk, stuk... stuk, stuk. Zebrane w pomieszczeniu postacie czekały w napięciu, aż pukający dokończy umówiony sygnał. Wreszcie jedna z nich skinęła ręką na drzwi, które lekko szcęknęły i uchyliły się. Do izby wsunął się wysoki młodzieniec. Zrzucił energicznie kaptur płaszcza, spod którego wysypały się gęste pukle długich jasnych włosów.

— Pozdrawiam cię, ostatni z przybyłych. — Słowa młodej, szczupłej Zoriany były wręcz aksamitne w swej barwie.

— Jasność z tobą, pani. — Atrakcyjny mężczyzna o eterycznej urodzie charakterystycznej dla panów magii przyłożył pięść do piersi.

Kobieta wskazała pokój obok.

— Siadajmy więc, szkoda cennej nocy i naszego życia.

Kilkanaście osób szybko zgromadziło się wokół ogromnego stołu, u którego szczytu zasiadła zapraszająca. Obserwowała przez chwilę każdego z obecnych, przenosząc spojrzenie z twarzy na twarz, tak jakby chciała upewnić się, że są ci, co być powinni. Duże świece umieszczone w rogach pomieszczenia oblewały skupione oblicza chybotliwym światłem.

— Broczyślawie, jakie masz wieści o Niedźwiedziu? — odezwała się do postawnego, przystojnego bruneta o orlich rysach zajmującego miejsce obok. Emanował uporem i zaciętością niezłomnego żołnierza. Gdy jednak przemówił, jego bazaltowe oczy w równie ciemnej oprawie przesłonił cień wewnętrznej udreki.

— Wciąż obserwujemy, pani. — Spuścił wzrok, chcąc ukryć zakłopotanie informacjami, które musiał przekazać. — Od wielu dni więcej nieprzychylnie wiatry, być może okręt ma problemy z przejściem przesmyku Małego Kraba. W tych warunkach tamtejsze rafy stają się groźne nawet dla wytrawnych marynarzy.

Prowadząca tajne spotkanie kiwnęła głową, dając wyraz zrozumienia sytuacji.

— Jak wygląda stan przygotowań w górach, Wielki Ghrellu, wodzu na Śnieżnej? — Kolejne pytanie w bardziej oficjalnej formule skierowane zostało do ogromnego jak na Ghalla byłego dowódcy garnizonu najważniejszej górskiej twierdzy na północnym zachodzie Amadal.

Brodaty weteran położył prawą dłoń na imponującej piersi w geście pozdrowienia i skinął głową z szacunkiem.

— Słoneczna Pani, córko rodu Ogromirów, prace w tunelach prawie ukończone, plan przejęcia warowni przygotowany. Wstrzymać musimy natomiast werbunek i rozsyłanie wici, szczególnie wśród naszych braci żyjących w miastach pośród wrogów. Orogonowie, choć nazbyt pewni siebie, potrafią być jednak niezwykle czujni. Nie dalej jak dwa dni przed opuszczeniem przeze mnie Śnieżnej odkryto jedną z grot-zbrojowni. W odwecie publiczną egzekucją poćwiartowano dwa tuziny naszych ziomków. Załogę zamku wzmocniono też elitarnym oddziałem Garów.

— Jak liczny jest to zastęp? — Pytanie padło z drugiego końca sali. Szeroko osadzone oczy barczystego mężczyzny mocno osłonięte wydatnymi, krzaczastymi brwiami błyszczały gniewem. Kanciaste szczęki i wysokie czoło znaczyły liczne brzydkie blizny. Góral nie miał jednego ucha.

— Osiem srebrnych kolców, panie z gór. — Ghall zauważył u rozmówcy charakterystyczny nerwowy tik powieki. Bezgraniczna nienawiść górskich klanów wobec okrutnych bestii rekrutowanych przez Orogonów była wręcz legendarna.

— Czy twoi ludzie, Rocharze, są w stanie ich unieszkodliwić? — Zoriana musiała poczekać na odpowiedź górala długą chwilę. Mroczny wojownik północy patrzył na spadkobierczynię dawnego królestwa ludzi, bezwiednie ruszając żuchwą. Zdawało się, że w wyobraźni wykonuje przeznaczone mu zadanie, jego ludzie ścierają się z ogromnymi przeciwnikami, on wydaje rozkazy, czeka na wynik walki. W końcu ponury osobnik zawyrokował:

— Zabijemy śmierdzące ścierwa, pani. Choć góry poniosą echo lamentu wielu naszych kobiet, a mnogość synów wzrastać będzie z ogniem zemsty w sercach.

Dziewczyna, dotąd opanowana w reakcjach, teraz poruszyła się z niepokojem na krześle. Jej pierś uniosła się w nieznacznym westchnieniu. Przeniosła spojrzenie na młodzieńca, który dołączył do spiskowców jako ostatni. Nie musiała nawet formułować pytania.

— Nie mamy co na nich liczyć. Leśne, zgryźliwe mości nie kiwną palcem w naszej sprawie. — Chłopak spokojnym gestem odsunął złotawe włosy z czoła, zgarniając je za lekko spiczaste ucho.

— Tkwimy ciągle w martwym punkcie. — Stary tropiciel zabrał głos, również nie czekając na zaproszenie. — Jeśli wciąż będziemy zwlekać, całe to tak długo przygotowywane powstanie może zostać zgaszone, zanim w ogóle wybuchnie. Z drugiej strony nasze siły bez wsparcia z zewnątrz... — Pokręcił wymownie głową.

— Każde spotkanie, każdy kolejny ruch może być ostatnim. — Słowa Broczysława były pełne żaru. — Nikt z nas nie wątpi, że bez takiego wodza jak Niedźwiedź i wsparcia magów będzie nam trudniej, ale szamani Arrakinów nie śpią.

Spojrzał na tę, o której ludzie chcieli myśleć jako o dziedzicze wygasłego Rodu Krwi. W jego oczach płonęło uczucie nie tylko wiernego poddanego.

— Ty nas poprowadź, Zoriano. Los objawił cię nam wszystkim nieprzypadkowo. To twoje pojawienie się obudziło nas z wieloletniego snu, z koszmaru o stracie rodu, odejściu bogów, którzy opiekowali się rasą ludzką od początków jej istnienia. Obudziłaś nadzieję i wiarę, że krew naznaczona przez Jasność jest znowu wśród nas. Tej krwi przed wiekami została powierzona władza w całym Amadal. Na jedno twoje słowo ręce wszystkich zniewolonych ludzi sięgną Orogonom do gardeł.

Zwrócił się do zebranych:

— Ile już czekamy? Okręt wypłynął wiele miesięcy temu i nikt z nas nie wie, czy kiedykolwiek wróci. Wierzajcie mi, panowie, że wolnym ogniem wolałbym być pieczony, niż pozwoliłbym komukolwiek utracić nadzieję, że Niedźwiedź wróci. Ale czy teraz, gdy mamy kogoś, kto może użyć magii światła, kto samym swym widokiem prostuje karki zmęczonym, rozpala serca zwątpionym, burzy krew skrzywdzonym, powinniśmy jeszcze czekać?

Widać było, że jego słowa trafiają do serc wszystkich zebranych, wyrażając jednocześnie ich obawy i nadzieje.

— My jesteśmy gotowi. — Czarnowłosa rzezimieszek siedzący naprzeciw Broczysława stuknął w blat pierścieniem. Jego małe skupione oczka nie odbijały blasku świec. — Gildia dała już dowody wierności Słonecznej Pani i rodowi Ogromirów.

Dwaj bracia, podobni do siebie jak krople wody, poruszyli się jednocześnie, kładąc dłonie na główkach sztyletów zaczepionych przy kurtkach. Ich gest potwierdzenia gotowości był wystarczająco czytelny.

Zoriana przez chwilę obserwowała w milczeniu sojuszników. Widziała w ich twarzach oczekiwanie, determinację i wolę poświęcenia. Nie wiedzieli jednak, że ona nie była gotowa, by ich poprowadzić, kazać umierać, wziąć odpowiedzialność za cierpienie i krew, za ryzyko porażki, która uwolni nieuchronną falę terroru. Miało być inaczej, to Niedźwiedź był wodzem, urodził się nim, był mężczyzną, a teraz, gdy wyruszył, a jej kazał zostać, czuła się jak w potrzasku. Musi zyskać czas, musi ukryć strach. Jej wzrok padł w końcu na przygarbioną postać, która mogła stać się przysłowiową deską ratunku. Proszący wyraz jej spojrzenia wystarczył mu.

— Cóż, racje są dość wyważone. — Siwobrody mędrzec mówił powoli, zdawałoby się, tylko do siebie. Przez te ostatnie lata zdążył poznać Zorianę wystarczająco, by widzieć w niej nie tylko potencjalną spadkobierczynię rodu i nadzieję na wyzwolenie Amadal spod orogońskiego jarzma, ale też zwykłą, bardzo młodą dziewczynę. Mimo wewnętrznej siły i pochodzenia była też nadzwyczaj delikatna i wrażliwa. Miał świadomość, że może nie udźwignąć tak wielkich oczekiwań. Wiedział też, że te wszystkie gorące głowy czekają na jego osąd i że może on przechylić szalę decyzji w każdą ze stron. Zbyt długo już żył i zbyt wiele widział, by tego nie rozumieć. — Uderzenie zbyt pochopne to ryzyko morza niewinnej krwi, dalsze zwlekanie to ryzyko wykrycia naszych zamiarów. — Jego spojrzenie, utkwione sztywno w jakimś nieokreślonym punkcie stołu, trzymało zebranych w napięciu. Po dłuższej chwili całkowitej ciszy spojrzął na księżniczkę. —



Zoriano, nie mamy wyjścia, musimy spróbować zdobyć informacje o Niedźwiedziu, by podjąć najlepszą decyzję. Przykro mi.

Księżniczka drgnęła. Nagła bladość jej oblicza pozostała niezauważona jedynie ze względu na słabe światło w izbie. W duchu podziękowała za to Jasności. Ci ludzie nie mogą widzieć żadnej słabości z jej strony. Jednak umysł podsuwał jeden z tych obrazów, którego wolałaby nigdy nie oglądać. Wiedziała bowiem, co oznaczają słowa starca. Istniał tylko jeden sposób na wykonanie tego zadania.

Jak zwykle w takich sytuacjach był przede wszystkim zły. Gniew i złość przeważały, choć w prostym sercu kotłowało się jeszcze jedno uczucie, niezwykle wyjątkowe dla jego twardej natury pierwszego żołnierza królestwa. To był strach. Lodowaty, czający się w każdej komórce muskularnego ciała. I to był zarazem główny powód samego gniewu. Nie mógł darować sobie takiej słabości, której nie przystoi ulegać żadnemu mężowi, a cóż dopiero jemu, jednemu z najślawniejszych wodzów w historii Orogonów, zwycięzcy wielu potyczek, skutecznie tępiącemu wszelkie poczynania powstańczego podziemia ludzi. Szedł korytarzami pałacu w Tryborgu, a grymas twarzy w cudowny sposób usuwał mu z drogi wszystkich. Nie należał do okrutników, ale w takich chwilach urwałby komuś łeb, by choć trochę ostudzić szalejący w duszy wulkan. Zatrzymał się przed wysokimi drzwiami z ciemnego drewna, fascynująco inkrustowanymi czarnym, błyszczącym szklivem. Podniósł olbrzymią jak melon pięść i zawahał się. Jego brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej, zgrzytnął zębami i pchnął pewnie wrota do swojego poniżającego strachu.

Pomieszczenie nie dorównywało wielkością orogońskim standardom. Nie można jednak było mu odmówić unikalnego charakteru i atmosfery, która skutecznie zmniejszała każdą dumną osobowość. Wysokie gwieździste sklepienie, po którym pełzły ku sobie cztery czarno-złote smoki, smukłe, strzeliste witraże wpuszczające jedynie szkarłatne resztki dziennego światła, setki świec, których nikły blask dyrygował subtelną grą cieni załamujących się na milczących maskach umieszczonych

na ścianach rzeźb. Wszystko to sprawiało, że goście tej sali kurczyli się i stawali malutcy, nic nieznaczący.

— Znowu coś umknęło twojej uwadze, Mehonie. — Szeleszczący głos, brzmiący niczym szmer łusek węża sunącego po suchych liściach, jak zwykle pomijał przydomek należny królowi, używając jedynie rodowego imienia. Ich spotkania nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości co do relacji panujących między nimi. Mag był panem, a przywódca Orogonów zaledwie jego usłużnym poddanym. Usłużnym i bojaźliwym, i tak miało pozostać. — Wczoraj w nocy sprzymierzone rasy porozumiały się ponownie.

Szczupła postać stojącego dotąd tyłem Semaela odwróciła się. Mrok ukryty pod kapturem uderzył przenikliwym zimnem. Cała sylwetka spowita drgającą szarością rozmywała się tak, że trudno było nawet ustalić, jak naprawdę mag się porusza: po posadzce czy tuż nad nią. Na dłuższą metę niełatwo było też skupić na nim spojrzenie, bo przy zbyt usilnych próbach oczy napełniały się łzami, nie mogąc znaleźć stałego punktu odniesienia. Wszystko, co można było powiedzieć o wyglądzie maga ponad wszelką wątpliwość, to że zawsze otulony był tym samym rodzajem długiego, czarnego habitu z narzuconym kapturem przepasanego grubym, szkarłatnym sznurem. Ten element ubioru budził u wojownika skojarzenia z ulubionym typem zaklęć czarownika. Ileż to razy widział, jak okrutne płomienie pożerały wrzeszczące ofiary. No i zapach. Zawsze gdy stał w pobliżu, wyczuwał ten sam charakterystyczny odór. Wielokrotnie próbował ustalić, do czego jest podobny. Czasem wydawało mu się, że wychwytuje w nim nutkę zapachu znanego mu z pola bitwy, kiedy wśród stosów ciał wyszukuje się rannych i zbiera zwłoki do spalenia, czasem był to raczej biblioteczny kurz i pajęczyny. Mimo że ciągle nie potrafił go jednoznacznie określić, jednego był pewien — woń ta niewątpliwie miała związek ze śmiercią i niebytem.

— Nie wiem, panie, jak to możliwe, śledzimy każdy ich ruch... — Władca poczuł znajome lodowate robaki pełzające w jego umyśle, przyglądające się myślom jak smacznym kąskom ulubionego dania.

— Żałosna góro bezużytecznego mięsa. — Prześladowca, znając dumę i gorącą krew swojego dowódcy, uwielbiał traktować go

jak ostatniego gamonia i posługacza. Ilekroć król Orogonów zastanawiał się nad tym, za każdym razem miał wrażenie, że jest to swego rodzaju gra, prowokacja, z której mroczny mag czerpie zwierzęcą satysfakcję. — Nie widzę powodu, żeby ich śledzić. Ich trzeba zabijać. Powoli, boleśnie i dla przykładu. — Pozbawiona konturów szarość przesunęła się majestatycznie w stronę zeszywniałego rozmówcy. Głos zmienił się w złowieszczy pomruk. Orogon poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. — Swoją drogą ciągle zastanawiam się, dlaczego mimo pełnej władzy i wsparcia potęgą mojej mocy nie możesz ani ty, ani twoi poprzednicy złamać głupiego uporu ludzi i zmusić ich do bezwzględного poddaństwa.

— Panie, obawiam się, że to nie tylko głupi upór. — Król zaczerpnął głęboko powietrza, żeby dokończyć trudną wypowiedź. — Od długiego czasu nadmieniam ci w swoich raportach o przybranej córce jednego z najgroźniejszych buntowników, która stała się symbolem pradawnej wiary. Ludzie wierzą, że ona prawdziwie jest ze świętej krwi i że wraz z jej cudownym pojawieniem się będą zdolni przeciwstawić się naszej potędze.

— Było już takich fałszywych proroków bez liku w przeszłości, a ich moc szybko czeźła w ogniu płonących słupów. Czyżbyś dopuszczał do swoich przemyśleń prawdziwość tych plotek, mimo iż usunąłem ten ród bezpowrotnie?

— Nie, panie, nie śmiałybym wątpić w skuteczność twych poczynań. Ale podzegaczom taka plotka wystarcza, czy prawdziwa, czy nie. Staje się jak skra skrzęsana w suche siano ich starej wiary. Ta wiara tak naprawdę nigdy w ludziach nie umarła, a dopóki ona żyje...

— Dopóty twoje marne życie stoi pod tragicznym znakiem zapytania — dokończył za niego mag, uśmiechając się przy tym obrzydliwie wymownie.

Olbrzym opuścił z rezygnacją ramiona i pokręcił głową.

— Nie chodzi, panie, o mój żywot. Skończy się prędzej czy później. Chodzi o honor mojego ludu i o jego przyszłość. Dziś, gdy ocean krwi barwi ostatnie stulecie, nie ma już innego wyjścia: albo ludzie, albo Orogonowie.

— Mało mnie interesują wasze rasowe sentymenty. — Semael stanął tuż za plecami króla, rozmyślnie wyczuwając,

że dla żołnierskiej natury jest to pozycja psychicznie najtrudniejsza. — Ludzie muszą stać się całkowicie i bezwarunkowo podporządkowani, tak aby czas mógł kształtować przyszłe pokolenia niewolników, którym nie będzie przychodzić do głowy nic poza pragnieniem wiernego służenia swoim panom.

Mehon bezwiednie uderzył pięścią w drugą dłoń. Zmarszczył brwi, starając się, aby jego wypowiedź była ostrożna, ale też wystarczająco precyzyjna.

— Czy nie jest to możliwe, by nasza mroczna pani, niech jej boska chwała ocienia ten łąd po wieki, mogła pomóc w wyeliminowaniu uzurpatorki? W odróżnieniu od poprzedników ona jedna umyka naszym sieciom już dobre trzy wiosny, a z miesiąca na miesiąc liczba stronników, dla których staje się źródłem nadziei, gwałtownie rośnie. Już jakiś czas temu udało jej się nawiązać sojusze nawet z rasami pomniejszych. Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli, a groźba otwartego buntu robi się coraz bardziej realna. Czy chcemy to przyznać, czy nie, ona włada magią lepiej niż nasi szamani.

— Nie wiesz, o czym mówisz. — Mag milczał kilka uderzeń serca, by znowu zaszumieć słowami: — Gdyby mroczna pani miała to zrobić, po cóż byłbyś potrzebny jej ty i twój lud? Pomyliły ci się chyba zależności. To bogowie wysługują się istotami ziemskimi, a nie na odwrót, nawet jeśli byłoby to zgodne z ich zamysłami. — Szara mgła zafalowała znów przed Orogonem, na mgnienie oka bardziej ujawniając kontury, które skrywała. — Poza tym jeśli powstanie jest faktycznie aż tak prawdopodobne... — W wypowiedzi pobrzmiwało lekkie rozbawienie. — ...no cóż, może jest ci to po prostu pisane. Zresztą orogońskim żywiołem są bardziej wielkie kampanie pełne bitew i rzezi niż żmudne szpiegowanie, nieprawdaż?

Semael założył z tyłu ręce i odwrócił się lekceważąco plecami. Kontynuował zimnym tonem:

— Zastanawiasz się, czy dopuściłbym do tego? Pomyśl, to doskonała okazja do gwałtownego ograniczenia liczebności ludzi, szczególnie tych, którym marzy się powrót dawnych czasów. Jedyne, co będziesz musiał wówczas uczynić, to wygrać tę batalię, zabić

przywódców oraz wprowadzić na jakiś czas terror, o którym przez stulecia będą opowiadać legendy. Tyle chyba potrafisz? A co do tej, jak ją zwa, Słonecznej Pani... Cóż, nawet jeśli jest jakoś spokrewniona z rodem Błogosławionej Krwi, to musi być dalece spokrewniona i nie zasiądzie na tronie mocy. A tylko taki spadkobierca byłby dla nas niebezpieczny. Zresztą w przypływie swojej łaskawości przekażę ci informacje o działaniach rebeliantów, wystarczające, abyś mógł ją wyeliminować.

Największy z Orogonów skinął głową. Wiedział, że jeśli zawiedzie, jego chwile będą policzone. Jakby na potwierdzenie tej myśli mag tchnął słowa bezpośrednio w jego umysł:

— Pamiętaj, przymierze twojego ludu z moją panią ma zarówno swoje konsekwencje, jak i granice.

Gdy drzwi zamknęły się za odchodzącym, Semael wciągnął głęboko powietrze i wygasił zakłęcie iluzji, jaką z reguły otaczał się podczas podobnych spotkań. Przyzwyczał się do tego, tak jak do przytyków mrocznej bogini. Przy każdej okazji drwiła z jego, jak to nazywała, tanich sztuczek dla małych ludzi. „Nemeth i tak nigdy nie pojmie istoty podobnych zabiegów” — pomyślał ze spokojem. To, że bóstwo, z którym się związał setki lat temu, nie było w stanie w pełni zrozumieć serc i umysłów istot ziemskich, dawało mu ogromny atut w ich momentami napiętych relacjach.

Podszedł do stołu przysłoniętego ogromną mapą Dwuświata. Oparł się o brzeg blatu, patrząc na obraz obu kontynentów. „Już niedługo nie będzie ani jednego miejsca opierającego się moim wpływom” — uśmiechnął się do swoich myśli. Wszystko wskazywało na to, że jego misterny plan w końcu się powiedzie. Kluczem zaś będzie ten, który właśnie się przebudził.